

A dramatic scene featuring a spotlight from above that casts a bright, circular pool of light onto a dark wooden surface. In the center of the light, a simple metal ring lies on the wood. The background is dark, with the spotlight creating a strong contrast and highlighting the texture of the wood and the metallic sheen of the ring.

IDEALNA ŻONA

Jeśli mój mąż nie zgłosi mojego zaginięcia,
to czy ktoś będzie mnie szukał?

KIMBERLY BELLE

KIMBERLY BELLE

**IDEALNA
ŻONA**

Przełożyła
Kinga Markiewicz

FILIA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

BETH

JEFFREY

BETH

JEFFREY

BETH

JEFFREY

BETH

JEFFREY

MARCUS

BETH

JEFFREY

BETH

JEFFREY

BETH

MARCUS

BETH

JEFFREY

BETH

JEFFREY

MARCUS

BETH

MARCUS

BETH

MARCUS

BETH
MARCUS
BETH
MARCUS
BETH
MARCUS
BETH
MARCUS
BETH
BETH
BETH
BETH
BETH
BETH
BETH

Karta redakcyjna

*Dla cudownych pań z Altitude – Angelique, Jen,
Mandy, Marquette, Nancy i Tracy. Nie zamierzam
jeszcze wyskakiwać z pokładu tego samolotu.*

BETH

Włączam kierunkowskaz, wjeżdżam na płatną autostradę Muskogee i biorę głęboki wdech po raz pierwszy od siedmiu długich lat. Zaczerpnięty pełną piersią oddech, od którego płuca rozdymają mi się niczym piłka plażowa. Nabieram tak dużo powietrza, że aż palą mnie z bólu.

Tak smakuje wolność.

Jestem w drodze od czterech godzin. Dzieli nas czterysta pięćdziesiąt pięć kilometrów, a mimo to nadal odnoszę wrażenie, że to za mało. Ciągłe słyszę brzęk twoich kluczy rzucanych na stół, ciągle zamieram w bezruchu na dźwięk stukotu twoich butów, gdy idziesz w stronę kuchni. Nadal czuję strach czający się tuż pod powierzchnią mojej skóry.

Ostatnio miewasz trzy rodzaje nastroju: obraźliwy, wściekły i agresywny. Chwila, w której wyłaniasz się zza rogu, a ja dostrzegam któryś z nich, sprawia, że czuję w ustach gorzki posmak żółci. To zdecydowanie najgorsza część mojego dnia.

Powtarzam sobie, że koniec z tym. Koniec z chodzeniem na paluszkach w trakcie twoich ataków wściekłości, koniec z unikaniem twoich ciosów.

Podobnie jak Arkansas, tamte dni są już daleko za mną.

Jak na wczesne środowe popołudnie, na autostradzie jest tłoczno. Po obu stronach z głośnym hukiem przejeżdżają zakurzone ciężarówki, a ja trzymam dłonie na kierownicy w prawidłowej pozycji, na godzinie dziesiątej i drugiej, jadąc zgodnie z przepisami.

Cała Oklahoma jest poprzecinana autostradami takimi jak ta, czteropasmówkami usianymi fotoradarami monitorującymi przekroczenia prędkości i naruszenia zasad poboru opłat. Jest zbyt wcześnie, by na każdej rejestrowano wszystkie czarne sedany z tablicami z Arkansas, ale nie dają im żadnego powodu, aby to zrobiły. Używam kierunkowskazu i nie przekraczam dozwolonej prędkości, jadąc sporo poniżej górnego limitu, choć w rzeczywistości mam ochotę wcisnąć gaz do dechy.

Dotykam guzika sterującego opuszczaniem szyb, pozwalając, by podmuch powietrza z autostrady rozwiął zapach ciebie i domu. Przy prędkości stu dwóch kilometrów na godzinę wiatr jest porywisty, gorący i nieprzyjemny. Cuchnie spalinami, łajnem i chemikaliami, które są średnio przyjemne. Tworzy we wnętrzu samochodu coś na kształt miniaturowego tornada, rozwiewając mi włosy i szarpiąc ubranie oraz podrzucając mapą leżącą na przednim siedzeniu pasażera jak papierowym samolocikiem. Zsuwam z nogi but i przyciskam kartkę do fotela. Wiem, że mi nie odpuścisz, więc muszę trzymać się tej mapy.

Owszem, papierowa mapa to staroświecki przeżytek, ale jej zaletą jest to, że nie można jej namierzyć. Nie udało ci się jeszcze odkryć numeru telefonu na kartę ładującego się w uchwycie pojemnika na napoje, jednak wyznaję zasadę, że przezorny zawsze ubezpieczony. Lepiej nie ryzykować. Wyjęłam telefon z opakowania, ale nie zdążyłam go jeszcze włączyć. Zrobię to dopiero po dotarciu na miejsce. Nie po to zapędziłam się tak daleko w nowe życie, żeby dać się ściągnąć z powrotem do starego.

Jak na razie krajobraz wygląda identycznie jak ten w stanie, z którego właśnie wyjechałam – pola, farmy i niekończące się wstęgi wyblakłego asfaltu. Nawet dźwięki są te same. Lokalne stacje radiowe dają do wyboru tylko dwie opcje: country lub przemowy kaznodziejów. Słucham głębokiego głosu wychwalającego siłę przebaczenia, ale to pojęcie, z którym już od dawna się nie utożsamiam. Zmieniam stacje, zatrzymując się na przeboju Mirandy Lambert, którego tekst odpowiada bardziej mojemu obecnemu nastrojowi, i podkręcam głośność.

Dla ścisłości – nigdy tego nie chciałam. Nie chciałam uciekać. Zostawiać wszystkich i wszystko za sobą. Staram się nie myśleć o rzeczach, które mnie ominą, o *twarzach*, za którymi będę tęsknić, nawet jeśli ich właściciele nie będą tęsknić za mną. Zbudowanie chłodnego dystansu między mną a ludźmi, których kocham najbardziej, było częścią planu, tak samo jak niedopuszczenie do tego, by poznali prawdę. To jedyny aspekt, za który nie mogę cię winić – to ja odcięłam się od przyjaciół po to, żebyś ich nie prześladował. Tylko jedna osoba wie, że wyjechałam, a pozostali... Miną dni, a może nawet tygodnie, nim ktokolwiek zacznie się zastanawiać, gdzie jestem.

Jesteś bystry, więc muszę być bystrzejsza. I przebiegły, więc muszę wykazać się jeszcze większą przebiegłością. Nie posiadałam żadnej z tych

umiejętności, gdy wiele lat temu szłam do ołtarza, zakochana w tobie po uszy. Spojrzałam ci wtedy w oczy i przyrzekłam, że będziemy razem, dopóki śmierć nas nie rozłączy, mówiąc absolutną prawdę. Rozwód nigdy nie wchodził w grę – aż w końcu nie miałam wyboru.

Kiedy wspomniałam to słowo po raz pierwszy, powaliłeś mnie na podłogę, wsadziłeś pistolet w usta i kazałeś powtórzyć. Rozwód. Rozwód, rozwód, rozwód, *rozwód*. Już nigdy nie wypowiedziałam tego słowa na głos, choć przyznaję, że bardzo często chodziło mi po głowie.

Oczami wyobraźni widzę, jak wchodzisz do domu i zaczynasz mnie szukać. Przechodzisz z pokoju do pokoju, nawołując i przeklinając pod nosem, i w końcu wyciągasz telefon, by do mnie zadzwonić. Widzę, jak idziesz do kuchni, zwabiony stłumionym brzęczeniem komórki, i marszczysz gniewnie brwi, gdy uświadamiasz sobie, że wydobywa się ono z szafki pod zlewem. Otwierasz drzwiczki jednym szarpnięciem i wyrzucasz na podłogę wszystkie śmieci, brudząc sobie ręce szlamowatymi fusami od kawy i resztkami kolacji z poprzedniego wieczoru, aż w końcu odnajdujesz mojego starego iPhone'a, a wtedy na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Uśmiecham się tak szeroko, że zaraz policzki pękają mi na pół.

Nie zawsze byłam taka mściwa, ale ty również nie zawsze byłeś dla mnie taki wredny. Gdy się poznaliśmy, byłeś czarującym facetem, który w zimne poranki włączał ogrzewanie w moim samochodzie i przyrządził na moje urodziny najlepsze na świecie grillowane steki. Jeśli się postarasz, nadal potrafisz taki być. Jesteś jak kokaina, której dają spróbować psom policyjnym przeszukującym samochody na granicy. Dajesz mi tylko tyle, bym pragnęła więcej. To jeden z powodów, dla którego tak długo zwlekałam z tym, żeby od ciebie odejść. Drugim był tamten wepchnięty do ust pistolet.

Nie chciałam tego robić, ale zaplanowałam wszystko krok po kroku. Od dawna planowałam ten dzień.

Mój pierwszy dzień wolności.

JEFFREY

Gdy parkuję przed domem po czterech dniach w trasie, od razu rzucają mi się w oczy trzy rzeczy.

Pierwsza: zamiast stać na swoim miejscu przy wewnętrznej prawej ścianie, kosze na śmieci nadal leżą rozrzucone przed drzwiami garażu, choć od ich opróżnienia minęły już dwa dni. Druga: zasłony w salonie są zaciągnięte, choć na zewnątrz jest jeszcze jasno, co oznacza, że nie były przesuwane od poprzedniego wieczora albo przez cały ten czas, gdy nie było mnie w domu. Trzecia: pomimo nisko położonego na niebie słońca, światła na werandzie są włączone. Wróc – *jedno* z nich jest włączone. Żarówka po prawej stronie jest przepalona, a jej szklana powierzchnia ciemna jak od sadzy. Można odnieść wrażenie, że ludzie, którzy tu mieszkają, nie zwracają sobie głowy wymienieniem jej, ale to nieprawda. Tylko jednej osobie z naszej dwójki to nie przeszkadza, a jest nią Sabine.

Zatrzymuję się. Pozbywam się negatywnych emocji. Koniec narzekań. To obietnica, którą złożyłem sam sobie. Dość tych kłótni.

Wyjmuję walizkę z bagażnika i wchodzę do domu.

– Sabine?

Stoję w absolutnym bezruchu, nasłuchując dobiegających z piętra dźwięków. Szumu prysznic, suszarki do włosów, muzyki albo telewizji, ale niczego nie słyszę. Wokół panuje tylko cisza.

Rzucam klucze na stolik obok grubej na siedem centymetrów sterty poczty.

– Sabine, jesteś tu? – wołam, zaglądając do dalszych pomieszczeń.

Wracam myślami do rozmowy telefonicznej, którą odbyliśmy wczesnym rankiem, i próbuję sobie przypomnieć, czy wspominała cokolwiek o tym, że wróci późno do domu. Nawet w najlepiej zorganizowanym dniu grafik Sabine potrafi być nieprzewidywalny, a ona nie zawsze pamięta, by zaktualizować nasz wspólny kalendarz.

Trajkotała przez bite dziesięć minut o prezentacji nowo nabytej

nieruchomości, którą zaplanowała, o jakimś dopiero co wybudowanym architektonicznym koszmarku w północnej części miasta. Bez przerwy nawijała o przepięknej stolarce i krytym łupkiem dachu, przesuwanych drzwiach i podłodze z dębowych desek oraz całej masie innych szczegółów, które głównie mnie obchodziły, bo szedłem w pośpiechu przez lotnisko w Atlancie, by zdążyć na samolot, i bardzo możliwe, że wcale jej nie słuchałem. Paplanina Sabine była urzekająca na samym początku naszego związku, a ostatnimi czasy wywołuje u mnie niepohamowaną chęć ciśnięcia telefonu prosto do rzeki Arkansas, jedynie po to by się odciąć od niekończącej się gadaniny. Gdy tylko dotarłem do bramki i zorientowałem się, że pasażerowie wchodzą już na pokład, od razu się rozłączyłem.

Zerkam przez okno w stronę garażu. Nie ma w nim jej mercedesa. Wygląda na to, że zdążyłem wrócić do domu przed nią.

Wchodzę do kuchni, w której panuje totalny bajzel. W zlewie i na blacie stoją sterty brudnych naczyń. Na stole walają się gazety sprzed tygodnia, rozłożone niczym karty do gry. W wazonie pełnym mętnej, zielonej wody gniją na wpół uschnięte, opadłe róże. Sabine *wie*, jak bardzo nie znoszę wracać do domu, gdy w kuchni jest bałagan. Biorę do ręki miseczkę po płatkach śniadaniowych, w której resztki jej śniadania przykleiły się do porcelany niczym zaschnięte na kamień odpady nuklearne. Napełniam miseczkę wodą z kranu, gotując się z wściekłości.

Kosze na śmieci, brudna kuchnia, brak jakiegokolwiek liściku, w którym napisałaby, gdzie jest – to wszystko kara za coś, co zrobiłem. W pasywno-agresywny sposób Sabine daje mi do zrozumienia, że nadal jest o coś wściekła. Nie pamiętam nawet, o co się pokłóciliśmy. Pewnie o jakiś drobiazg, tak jak w przypadku pozostałych sprzeczek. Okruchy na kanapie, włosy w odpływie, kto zapomniał odebrać rzeczy z pralni albo wypił resztę soku pomarańczowego. Kompletne pierdoły, które nie powinny mieć znaczenia, ale w przyływie złości jakimś cudem zawsze mają.

Wyjmuję telefon z kieszeni i przewijam esemesy, będące skrawkami naszego przyziemnego, małżeńskiego życia.

Pamiętałeś o rachunku za światło?

Mikrofalówka znowu się popsuła.

Składam zamówienie na materiały biurowe, potrzebujesz czegoś?

Docieram do ostatniej wiadomości – i bingo. To właśnie jej szukałem.

Mam dzisiaj prezentację. Będę w domu przed 21.

Przez następne pół godziny sprzątam bałagan, którego narobiła Sabine. Wszystko, co nie trafia do zmywarki, łąduje w workach na śmieci, które wrzucam później do odpowiednich koszy po tym, jak ustawiłem je na swoim miejscu. Po wszystkim wnoszę walizkę na piętro.

Łóżko jest nieposłane. Część szafy z ubraniami Sabine przypomina chlew. Staram się zignorować chaos, który wszędzie po sobie zostawia: ciśnięte byle jak buty, koszulki z niewywiniętymi rękawami założone niechlujnie na koślawych, drucianych wieszakach. W niczym nie przypomina to schludnej, poukładanej zawartości szafy po mojej stronie. Czy naprawdę tak ciężko odłożyć rzeczy na swoje miejsce? Albo pogrupować ubrania według kolorów?

Dziesięć minut później, ubrany w spodenki, koszulkę i adidas, pokonuję wściekłym sprintem ścieżkę na zachód wzdłuż rzeki. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie mam najłatwiejszego usposobienia i czasami ciężko ze mną wytrzymać. Sabine przypomina mi o tym częściej, niż jestem w stanie zliczyć. Nic nie poradzę na to, że mam swoje upodobania – umyty samochód, czysty dom, ciepły obiad, czekający na mnie po pracy. Sabine jest świetną kucharką, o ile praca nie pochłania większości jej czasu, co ostatnio dzieje się niemal bez przerwy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wróciłem wieczorem do domu, by móc rozkoszować się jednym z jej domowych posiłków, takich, których przygotowanie zajmuje niemal cały dzień. Dawno temu serwowała mi je w fartuszkach i niczym więcej.

Poświęciłem mnóstwo czasu na rozmyślania, jak sprawić, byśmy wrócili do tego etapu w naszym związku. Do tego, jacy byliśmy seksowni, swobodni, zaskakujący. Zanim utknąłem w martwym punkcie w firmie zajmującej się zasobami ludzkimi, sprzedającej wadliwe oprogramowanie po zawyżonej cenie, którego nikt nie chce kupować. Zanim Sabine zrobiła licencję agenta nieruchomości, którą zlekceważyłem jako zwykłe hobby. Teraz, w dobrym miesiącu, jej pensja dwukrotnie przewyższa moją.

Powiedziałbym jej, żeby to rzuciła, ale jeśli mam być szczery, to przyzwyczailiśmy się do lepszych pieniędzy. To jak przeprowadzka do domu z dodatkowym schowkiem – człowiek zawsze do czegoś go wykorzysta.

W naszym przypadku kasa sprawiła, że staliśmy się zbyt pewni siebie i arogancy, topiąc znaczną część dochodów w dom, dwupoziomowe szkaradztwo ze zbyt małymi oknami i kruszącą się elewacją. Wnętrze było w jeszcze gorszym stanie. Tanie panele i wytarte dywany zachodzące na ściany i pokrywające schody.

„Jaja sobie robisz”, powiedziałem, gdy oprowadzała mnie po ciasnych, zatęchłych pokojach. Wnętrze wyglądało jak plan filmu porno z lat siedemdziesiątych. Jak uboga wersja *Króliczków Playboya*, w której w każdej chwili zza rogu mógł się wyłonić ubrany w znoszony szlafrok Hugh Hefner. Nie było opcji, żebyśmy tu zamieszkali.

Wtedy Sabine zaciągnęła mnie na werandę na tyłach domu, gdzie moim oczom ukazał się wspaniały widok na zapierającą dech w piersiach panoramę rzeki Arkansas. Sabine wszystko wykalkulowała: trzeba było wziąć kredyt na trzydzieści lat, zaciągnięty na podstawie szacowanej wartości nieruchomości po gruntownym remoncie. Jego suma zwała mnie z nóg. Kupiliśmy dom jeszcze tego samego dnia.

I tak oto staliśmy się właścicielami pięknego bungalowu w stylu rustykalnym nad rzeką, choć jako rodowici mieszkańcy Pine Bluff, miasteczka zaludnionego przez klasę robotniczą, wciśniętego pomiędzy farmy i fabryki, powinniśmy mieć więcej rozumu. Dom stoi po niewłaściwej stronie miasta i jest niczym zamek w porównaniu z dwupoziomowymi ruderami stojącymi po obu stronach ulicy. Żaden remont, bez względu na to jak rozległy, nie zmieni faktu, że w mieście nie ma zbyt wielu ludzi, którzy mogliby pozwolić sobie na jego kupno. Nigdy nie będziemy w stanie go sprzedać. Nasz dom nie tylko wychodzi na rzekę, ale wznosi się nad nią. Nurt wody znajduje się tak blisko, że drewniane schodki na tyłach pęcznieją wraz z każdą nagłą ulewą.

Chodzi o to, że praca Sabine, która na początku była drobnym, nic nieznaczącym zajęciem zapewniającym okazjonalny, dodatkowy dochód, stała się niezbędną.

Komórka brzeczy w kieszeni przy moim biodrze, więc zatrzymuję się na dróźnie. Patrzę na ekran, a głęboko w moich trzewiach rozlewa się pałace

uczucie irytacji, gdy widzę, że to nie Sabine, tylko jej siostra. Odbieram połączenie, wypuszczając z ust krótkie, zdyszane oddechy.

– Cześć, Ingrid.

Powitanie jest chłodne i formalne, ponieważ taka jest moja relacja z Ingrid – chłodna i formalna. Wszystkich rzeczy, które uwielbiam w swojej żonie – kasztanowe włosy ze złocistymi refleksami, smukłe uda i wąska talia, pachnąca wanilią i cukrem skóra – w rażący sposób brakuje jej siostrze bliźniaczce. Ingrid jest niższa, korpulentna i mało atrakcyjna. W porównaniu do królowej balu Sabine, jest jak podpierająca ściany sierota. Jak stara chabeta stojąca obok klaczy czempionki. Ingrid nigdy nie miała żalu do siostry o to, że jest ładniejsza, ale gołym okiem widać, że ma żal do wszystkich, którzy zwracają na to uwagę.

– Próbuję dodzwonić się do Sabine – mówi Ingrid rozdrażnionym, nosowym głosem. – Rozmawiałaś z nią dzisiaj?

Po rzece płynie motorówka z ryczącym silnikiem, a ja czekam, aż zniknie w oddali.

– U mnie wszystko w porządku, Ingrid. Dzięki, że pytasz. Tak, rozmawiałem z nią, choć bardzo krótko, bo przez cały tydzień byłem na konferencji na Florydzie. Dopiero co wróciłem do domu, a ona ma prezentację nieruchomości. Próbowłaś dodzwonić się na jej komórkę?

Ingrid wydaje z siebie niski pomruk, coś w rodzaju dźwięku, po którym człowiek przewraca oczami.

– Oczywiście, że próbowałam, chyba z milion razy. Kiedy rozmawiałaś z nią po raz ostatni?

– Jakąś godzinę temu. – Kłamstwo wychodzi z moich ust w sposób automatyczny. Ingrid może wiedzieć, że dziś rano rzuciłem słuchawką w rozmowie z jej siostrą, ale na pewno nie usłyszy tego ode mnie. – Sabine mówiła, że wróci przed dziewiątą wieczorem, więc spróbuj wtedy. Tak czy inaczej, przekażę jej, że dzwoniłaś.

Z tymi słowami wciskam przycisk kończący rozmowę, podkreślam na maksa muzykę w słuchawkach i biegnę w stronę zachodzącego słońca.

BETH

Osiedle przy River Bend to nudna, przeciętna społeczność na brzegach przepływającej przez Tulsę rzeki Arkansas, która niejako automatycznie sprawia wrażenie znajomej. Brązowe kamienie, beżowe fasady, niczym niewyróżniające się budynki złożone z trzech i czterech pięter, upchnięte wokół basenu o kształcie ameby. Takich kompleksów mieszkaniowych, rozsianych po setkach tysięcy miast i miasteczek w całej Ameryce, są miliony. Właśnie dlatego zdecydowałam się na jeden z nich.

Parkuję na pustym miejscu przed głównym budynkiem, biorę torbę – która poza ciuchami na moim grzbiecie jest wszystkim, co mam ze sobą – i idę w stronę drzwi.

Ludzie, którzy wyglądają, jakby dopiero co skończyli studia, zajmują olbrzymi kryty wewnętrzny dziedziniec, ściskając w dłoniach papierowe kubki z kawą albo stukając w swoje macBooki. Wszyscy mnie ignorują, co jest nieoczekiwaną, ale przyjemną odmianą. Zapisuję sobie w pamięci, że osiedle takie jak to jest idealnym miejscem na kryjówkę. W krainie zapatrzonych w siebie milenialsów każda osoba po trzydziestce równie dobrze mogłaby być niewidzialna.

Mój wzrok przykuwa szyld biura wynajmu i idę wzdłuż korytarza. Kobieta siedząca za eleganckim, szklanym biurkiem jest jedną z nich. Młoda. Blondynka. Prawdziwa piękność. Laska ze starannie wyselekcjonowaną zawartością Instagrama, składającą się z selfie z dziubkiem i pozowanymi fotkami w stylu glamour z ręką wspartą na biodrze. Zatrzymuję się przy krawędzi jej biurka, a ona unosi wzrok i spogląda na mnie z oślepiającym uśmiechem.

– Witam panią. Szuka pani domu w *najbardziej* ekskluzywnym osiedlu mieszkaniowym w Tulsie? Bo jeśli tak, to trafiła pani w odpowiednie miejsce.

Dobry Boże. Ten jej środkowozachodni akcent, piskliwy głosik jak u Kim Kardashian i nienaturalnie białe zęby... Ta dziewczyna nie może być

prawdziwa.

– Uhm, tak. Przeglądałam mieszkania z jedną sypialnią na waszej stronie internetowej i...

– Orajusku! W takim razie to pani szczęśliwy dzień. Dosłownie przed sekundką dotarła do mnie wiadomość, że na początku przyszłego tygodnia zwalnia się apartament Vogue. Co pani myśli o siedemdziesięciu czterech metrach kwadratowych przestrzeni i balkonie z widokiem na basen?

Podrzucam torbę wyżej na ramieniu.

– Brzmi świetnie, ale miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć coś, co będzie dostępne nieco szybciej.

– To znaczy jak szybko?

– To znaczy od razu.

Jowialny uśmiech znika z jej twarzy.

– Och. Cóż, mamy kilka wolnych mieszkań z jedną sypialnią, ale są mniejsze i nie zapewniają takich wspaniałych widoków.

Wzruszam ramionami.

– Nie przeszkadza mi to.

Dziewczyna wskazuje na jedno z tapicerowanych krzeseł za moimi plecami.

– W takim razie proszę usiąść, a ja sprawdzę, czy będę mogła przydzielić pani któryś z naszych apartamentów Alpha. Kiedy chciałaby się pani wprowadzić?

Siadam na krześle, kładąc torbę na kolanach.

– Jeszcze dzisiaj, o ile to możliwe.

Otwiera szeroko oczy ze zdziwienia i kręci głową.

– Nie jest. To znaczy, nie ma takiej możliwości. Procedura przyjmowania wniosku wynosi *co najmniej* dwadzieścia cztery godziny.

Moje serce zaczyna gwałtowniej bić.

– Procedura przyjmowania wniosku?

Zdążyłam się z nią zapoznać. Przeszukałam całą stronę internetową i dobrze wiem, co jest potrzebne, by zamieszkać w tym miejscu. Wiem też, że właśnie na tym etapie sytuacja może stać się bardzo nieciekawa.

Kobieta kiwa głową.

– Potrzebuję miesięcznych pasków płacowych albo zaświadczenia o wynagrodzeniu na pani wyciągu bankowym, wydany przez rząd dokument tożsamości, taki jak prawo jazdy albo paszport, i numer

ubezpieczenia. Proces sprawdzania danych to standardowa procedura, ale trwa dzień lub dwa, w zależności o której godzinie złożę wnioski.

Mam wszystkie rzeczy, które wymieniła. Są w kopercie, schowane w torbie. Kiedy wrzuci informacje do swojego komputera, jedno kliknięcie myszki przeniesie do sieci wszystkie moje dane. Proces sprawdzania danych wiąże się z dokumentami, wskazówkami i wyjściem ze strefy anonimowości. Gdy tylko znajdziesz mnie w systemie, a nie mam wątpliwości, że tak się stanie, będę mieć zaledwie kilka godzin, nim zjawisz się na miejscu, szukając mnie.

Kobieta sprawdza czas na swoim telefonie.

– Jeśli się teraz pośpieszymy, do jutra rana wszystkie informacje zostaną przepuszczone przez system.

A wtedy mnie już dawno tu nie będzie.

Przesuwam kopertę po blacie biurka.

– W takim razie pośpieszmy się. Za dwa dni zaczynam nową pracę i do tej pory chciałabym się już wprowadzić.

Kobieta kartkuje plik dokumentów. Jej palce zatrzymują się na moim wyciągu bankowym, a powietrze w pokoju gęstnieje. Kompleksy mieszkalne wymagają minimalnej kwoty wynagrodzenia w wysokości trzykrotności miesięcznego czynszu i dlatego dodałam do wyciągu kilka zer. Częścią przygotowań do Dnia Pierwszego było opanowanie obsługi Photoshopa.

Ale ona nie skupia się wcale na kwocie, tylko na poprzednim adresie.

– O, Arkansas. Co sprowadza panią do miasta?

Odchylam się wygodnie na krześle.

– Dostałam pracę w QuikTrip.

To kłamstwo, ale sądząc po tym, jak jej twarz rozjaśnia się w uśmiechu, kupuje je.

– Pracuje tam moja koleżanka. Uwielbia to miejsce. Mają świetne dodatki pracownicze. O wiele lepsze niż tutaj, choć jeśli komuś to pani powtórzy, zaprzeczę, że kiedykolwiek tak powiedziałam. – Uśmiecha się, jakbyśmy były najlepszymi kumpelami, więc robię to samo.

Wskazuję ręką na plik w jej dłoni.

– Nie dostałam jeszcze odcinków płacowych, dlatego załączyłam kopię umowy.

Podrobionej, rzecz jasna, ale i tak wygląda na wystarczająco

autentyczną. O ile jej koleżanka nie pracuje w dziale kadr, nikt prócz mnie i drukarki w bibliotece publicznej Pine Bluff nie ma pojęcia, że to fałszywka.

Daję jej chwilę na przejrzenie reszty dokumentów, które są autentyczne. Moje prawdziwe prawo jazdy. Numer ubezpieczenia socjalnego. Adres – wróc – mój *poprzedni* adres. Cały ten plan opiera się na tym, by przyjęła spoczywające w jej dłoniach dokumenty, umożliwiając mi pozostawienie za sobą fałszywego śladu, a potem zniknięcie.

Unosi wzrok znad pliku papierów i uśmiecha się szeroko.

– Nieczęsto się zdarza, żeby trafił mi się obiecujący najemca z dokumentami bez zarzutu. O ile system nie wychwyci czegoś, co mogło mi umknąć, reszta procedury będzie tylko formalnością.

Nie umiem stwierdzić, czy za jej słowami kryje się pytanie, czy ostrzeżenie. Uśmiecham się, zakładając, że nie chodzi o żadną z tych rzeczy.

Dziewczyna kładzie papiery na biurku i sięga po myszkę.

– W takim razie wprowadźmy pani dane do systemu.

Ty i ja poznaliśmy się w McDonald's, w oparach bijących ze smażonych na głębokim tłuszczu ziemniaków i w towarzystwie migreny, od której głowa pękała mi z bólu. To właśnie ona zaprowadziła mnie do tego miejsca, budząc we mnie rozpaczliwą potrzebę pożarcia zestawu Happy Meal. Magiczną, leczniczą kombinację skrobi, soli i fruktozy, która działa lepiej od każdej połkniętej przeze mnie tabletki. To jedyna rzecz, która jest w stanie zmniejszyć ucisk podobny do imadła zamykającego się na mojej czaszce i uspokoić szalejący żołądek.

Siedziałam w okularach przeciwsłonecznych i skubałam frytki, a małe potworki wbijały w mój mózg gwoźdź po gwoździu, gdy znalazłeś się w przestrzeni pomiędzy stołami.

– Co dostałaś?

Nie odpowiedziałam. Mówienie sprawiało nieznośny ból, a poza tym nie miałam bladego pojęcia, o co pytasz.

Wskazałeś palcem na pudełko obok mojego łokcia.

– Czy do tych zestawów nie są dołączone zabawki? Co ci się trafiło?

Przesunęłam okulary na czubek głowy i zajrzałam do środka.

– Plastikowy żółty samochodzik.

Wyciągnęłam go i podałam ci.

– To autko z serii Hot Wheels.

Położyłam zabawkę na krawędzi tacy.

– Co takiego?

– Jestem prawie pewien, że to dodge charger. Każdy chłopiec na świecie miał takie autko w którymś momencie swojego życia. Mój siostrzeniec ma ich chyba z milion.

Byłeś niewiarygodnie przystojny. Charakteryzowała cię uroda, która zupełnie nie pasowała do scenerii zwykłego fast foodu. Zagadałeś do nieznajomej o dzieciach i postaciach z kreskówek. Wysoki, ciemnowłosy, dobrze zbudowany, z gęstymi wachlarzami rzęs i mocną, kwadratową szczęką. Pomyślałam, że pewnie masz włoskie albo greckie korzenie.

Wyciągnęłam dłoń z samochodzikiem w twoją stronę.

– Weź go i daj swojemu siostrzeńcowi.

Twoje usta wygięły się w uśmiechu. Może w końcu węglowodany trafiły do mojego krwioobiegu, ale kiedy posłałeś go w moją stronę, ból nieco zelżał.

Trzy dni później zakochałam się w tobie po uszy.

Teraz, gdy otwieram przed sobą szklane drzwi restauracji, myślę o tobie. Inny stan, inny McDonald's, ale wrażenia podobne. Wszystko pasuje w niemal poetycki sposób. Ty i ja kończący w tym samym miejscu, w którym zaczęła się nasza historia.

W nozdrza uderza mnie zapach smażonych frytek i skwierczącego mięsa, wywołując falę mdłości i widmowy ból pulsujący w głębi czaszki, choć od miesięcy nie miałam migreny. To prawda, co mówią, że zapach jest największym katalizatorem wspomnień, nie powinno mnie więc dziwić, że jedno zaciągnięcie się powietrzem w McDonald's jest w stanie wywołać początkowe stadium migreny. Połykam zapobiegawczo jedną tabletkę excedrinu i pijam ją wodą kupioną przy kasie.

Jak na bar szybkiej obsługi położony u wylotu głównej drogi międzystanowej, lokal jest zaskakująco wyludniony. Przechodzę między prawie pustymi stolikami, rejestrując po drodze klientów rozsianych po sali. Wśród nich jest matka przeglądająca czasopismo, której dzieci obrzucają się nuggetsami z kurczaka, przyszczaty nastolatek oglądający na telefonie jakiś filmik z YouTube'a oraz para w podeszłym wieku

siorbiąca brązową breję przez słomki.

Wybieram stolik przy oknie z widokiem na parking. Rząd pick-upów połyskuje w popołudniowym słońcu, rywalizując o miano najbrzydszego. Olbrzymie opony z wypolerowanymi felgami, poręcze, uchwyty na strzelby, naklejki z łopoczącymi flagami na tylnej szybie. Chrześcijanie, wielbiciele broni i Trumpa, jeśli wierzyć naklejkom na zderzakach. Popularny, stereotypowy wizerunek mieszkańców Środkowego Zachodu, który jest w stu procentach prawdziwy.

Kolejny stereotyp: samotna kobieta w okularach przeciwsłonecznych siedząca w barze szybkiej obsługi bez jedzenia z pewnością nie może mieć dobrych zamiarów. Przez chwilę rozważam kupno jednodolarowego posiłku w ramach przykrywki, ale jestem zbyt zdenerwowana, by jeść. Sprawdzam zegarek i staram się nie wiercić. Za trzy minuty wybije siedemnasta.

Lepiej, żeby ten koleś Nick się nie spóźnił. Stanowi istotną część mojego planu, a ja nie mam czasu do stracenia. Za godzinę wrócisz z pracy do domu. Przejdziesz przez próg, spodziewając się, że zastaniesz mnie w kuchni, czekającą na ciebie z kolacją, po której bez przerwy będę musiała donosić ci gazety, piloty do telewizora i piwo, a potem przyjdzie pora na seks – choć to, czy twoje pożądanie będzie napędzała namiętność, czy wściekłość, to wieczna loteria. Ta myśl sprawia, że momentalnie robi mi się gorąco, a mięśnie w moim ciele napinają się bezwiednie pod wpływem intensywnej potrzeby podbiegnięcia do samochodu i ucieknięcia stąd, gdzie pieprz rośnie. Za godzinę od teraz, paręset kilometrów stąd, zaczniesz mnie szukać.

– Skąd będę wiedziała, że to ty? – spytałam Nicka dwa dni temu w trakcie jedynej rozmowy telefonicznej, którą odbyliśmy. Zadzwoiłam z telefonu do obsługi klienta w Walmarcie po tym, jak skłamałam, że w moim aucie wysiadł akumulator.

Nick i ja nigdy się nie spotkaliśmy. Nie wymieniliśmy się zdjęciami ani nawet podstawowym opisem wyglądu zewnętrznego. Jeszcze tydzień temu nie wiedziałam o jego istnieniu.

Nick parsknął śmiechem.

– Niby co mam zrobić, trzymać w zębach różę? Nie martw się. Od razu mnie poznasz.

Zerkam ukradkiem na nastolatka śmiejącego się z czegoś, co zobaczył

na ekranie smartfona. To na pewno nie on. Gdy rozmawialiśmy przez telefon, Nick nie sprawiał wrażenia nieświadomego własnego otoczenia. Przenoszę wzrok na mężczyznę w podeszłym wieku, oferującego żonie resztę mlecznego shake'a. To też nie on.

Gdy Nick zjawia się na trzydzieści sekund przed piątą, wypuszczam z ust pełen ulgi oddech, bo miał rację. Od razu *wiem*, że to on, bo każdego innego dnia i w każdym innym McDonalddie nigdy nie zwróciłabym na niego uwagi.

Wszystko zaczyna się od jego samochodu, nieokreślonego, czterodrzwiowego pojazdu, wciśniętego pomiędzy podrasowanego forda F-250 a dodge'a ram z przedłużoną kabiną. Jego ubrania są równie nijakie – zwykłe spodnie bojówki, biała koszulka oraz brązowe buty. Wygląda jak nauczyciel matematyki w dniu wolnym od pracy albo inżynier. Podchodzi do drzwi, a jego oczy przesłania ciemnoniebieska czapeczka baseballowa. Nawet nie patrzy w moją stronę.

Zamawia przy kasie kubek kawy, po czym zanosí go do mojego stolika i siada z kłapnięciem na krzesło naprzeciwko mnie.

– Nick, jak mniemam.

Sądząc po spojrzeniu, którym mnie taksuje, to niemożliwe, by to było jego prawdziwe imię.

– A ty pewnie jesteś Beth.

Touché. To również nie jest moje prawdziwe imię.

Z bliska wygląda lepiej, niż się spodziewałam. Szeroko rozstawione oczy, wąski podbródek, gęste włosy wystające spod czapeczki. W normalnym świetle, w swoich dzinsach i wygniecionym podkoszulku, Nick wcale nie byłby taki zły.

Wsypuje do swojej kawy trzy saszetki sztucznego słodzika i miesza zawartość czerwoną plastikową słomką.

– To jedyny sposób, żebym przełknął tą lure. Zabijam jej smak czymś, co smakuje, jakby importowano to prosto z Czarnobyli. Jeśli wyrośnie mi dodatkowe ucho, zwałę winę na ciebie.

To mały przytyk w moją stronę, bo chciał się spotkać w Dunkin' Donuts po drugiej stronie ulicy. Jakoś niespecjalnie silił się na subtelność w tej kwestii. „Jeśli nie masz nic przeciwko, to naprawdę wolałbym spotkać się w Dunkin'”, powiedział, i to nie raz, ale wystarczającą ilość razy, by dawna ja ugięła się pod naporem jego próśb, choć w rzeczywistości

miałam wiele przeciwko temu. To, o czym chciałam porozmawiać z Nickiem, mogło zostać zrobione wyłącznie w restauracji sieci McDonald's. Wszechświat się tego domaga.

– Z tym miejscem wiążą się dla mnie wyjątkowe wspomnienia – mówię w ramach wyjaśnienia, a nie przeprosin. To raczej gałązka oliwna wyciągnięta na zgodę za kawę rodem z Czarnobyła. – Niekoniecznie dobre, ale to zawsze wspomnienia. Jeśli zrobimy to tutaj, to będzie jak karma.

Nick wzrusza ramionami, nie drążąc tematu.

– Karma to wredna suka. Zawsze powtarzam, że lepiej jej nie wkurwiać. – Upija łyk kawy, po czym odkłada kubek na stole, krzywiąc się. Splata dłonie na blacie z formiki. I czeka.

– Rozumiem, że dużo podróżujesz w interesach.

Nick został mi polecony głównie z powodu spełnienia tego warunku – musi *dużo podróżować w interesach*. Drugi warunek – *musi być rzetelny i dyskretny* – odhaczyłam w myślach w momencie, w którym zobaczyłam, jak wchodzi do środka o czasie i w ubraniu, które czyniło go niezauważalnym dla innych.

– Jestem w trasie niemal bez przerwy.

– Jak długie bywają te wyjazdy?

– To zależy. Czasami muszę siedzieć cicho na miejscu przez dzień lub dwa, ale nawet wtedy nie śpię w tym samym hotelu dłużej niż dwie noce. Lubię przemieszczać się z miejsca na miejsce, tak na wszelki wypadek.

Nie dodaje nic więcej, a ja nie wnikam. *Tak na wszelki wypadek*. Cokolwiek to znaczy, średnio mnie to obchodzi. W przypadku zadania, które ma do wykonania, nie robi to żadnej różnicy.

– Jednak w trakcie zwykłego miesiąca robię od trzech do czterech tysięcy mil, więc to chyba kwalifikuje się jako daleka podróż w interesach – dodaje, wzruszając ramionami.

– Masz jakąś bazę, do której zwykle wracasz?

– Mam ich całe mnóstwo. Ale jak już wspominałem, prawie nie zagrzewam w nich miejsca.

– Idealnie.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Powiedz to mojej żonce.

Jestem pewna, że żartuje, albo mówi to tylko dlatego, żebym nie wiązała z nim żadnych nadziei. Faceci tacy jak Nick nie są stworzeni do żeniaczki

– a jeśli faktycznie się na to decydują, chodzi im o wygodę albo przykrywkę, a nie o miłość. Miłość nie ma z tym nic wspólnego.

– Zabawne – mówię, odkręcając korek z butelki wody. – Zawsze lubiłam, kiedy mój mąż wyjeżdżał w delegacje.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, mam ochotę wepchnąć je sobie z powrotem do ust. Skóra wokół oczu Nicka napina się nieznacznie, ale trwa to wystarczająco długo, żebym zauważyła. W odróżnieniu od jego niewinnego żartu o nieistniejącej żonie, mój ujawnił zbyt wiele – to, że mąż istnieje, że życie było lepsze, gdy nie było go w pobliżu. Nick nie jest moim przyjacielem. Nie jest osobą, z którą powinnam żartować przy kubku gównianej kawy. To spotkanie w interesach, więc im mniej o mnie wie, tym lepiej.

Z bocznej kieszeni torby wydaję lśniącą kartę kredytową Wells Fargo i kładę ją na stole.

– Chcę, żebyś wydał moje pieniądze.

Milczy, ale bierze kartę i przesuwa palcem po błyszczących, złotych literach z przodu – składających się na moje prawdziwe imię i nazwisko, którym wcale nie jest Beth. Gdy unosi wzrok, wyrazu jego twarzy nie da się odczytać.

– Dla jasności, nie mam na myśli kupna biletu pierwszej klasy do Vegas ani przepuszczenia całej forsy na ruletkę, a bardziej o drobne wydatki. Dziesięć dolców tu, dwadzieścia tam. Masz się stale przemieszczać. Nigdy nie korzystać dwa razy z tego samego bankomatu ani nawet nie przebywać w tym samym mieście. Im bardziej oddalone będą od siebie poszczególne wypłaty środków i im bardziej różne lokalizacje, tym lepiej. Uznaj mnie za swoją bankomatową dobrą wróżkę.

– Chcesz, żebym zostawił fałszywy trop.

Przytakuję głową w wyrazie milczącego potwierdzenia.

– O ile nie będziesz pobierał więcej niż sto dolarów tygodniowo, co i tak ci się nie uda, bo ustawiłam na karcie tygodniowy limit, będziesz mógł wyjąć z bankomatu pięćset dolarów w ciągu pięciu następnych tygodni.

– A co z moim honorarium?

Jego honorarium wynosi pięć tysięcy dolarów. Przez telefon dał mi znać jasno i wyraźnie, że to kwota niepodlegająca negocjacom. Zadanie, które mu zleciłam, liczy się dodatkowo, co oznacza, że z tą pracą wiąże się spora premia w gotówce. To chyba najłatwiej zarobione pieniądze, jakie

kiedykolwiek udało mu się zgarnąć.

– Twoje honorarium też jest na karcie. Możesz je wyjąć już teraz. Tygodniowy limit zostanie uruchomiony, jak tylko to zrobisz.

Wsuwa kartę do przedniej kieszeni spodni.

– Chcesz, żebym pojechał na wschód czy na zachód?

Wiem, dlaczego pyta – zakłada, że chcę, żeby pojechał w przeciwnym kierunku. A przynajmniej tak mi się *wydaje*. Nadal czuję dyskomfort z powodu swojej poprzedniej gafy. Dzięki karcie w kieszeni Nick zna moje prawdziwe nazwisko. Nie zamierzam mu mówić – przestępcy i całkiem obcemu facetowi – dokąd jadę. Nie sądzę, by chciał mnie dopaść, ale mimo wszystko... Jediną rzeczą, której nauczyłam się w ciągu ostatnich dziesięciu lat, jest to, żeby nikomu nie ufać, nawet ludziom, którym powinnam ufać najbardziej.

– Na wschód, zachód, północ, południe, wszystko mi jedno, pod warunkiem że twoje wypłaty z bankomatów będą chaotyczne, a przystanki nieprzewidywalne. Będę obserwować transakcje przez Internet, a jeśli nie spodoba mi się to, co widzę, założę blokadę na konto.

– Wiesz, że w każdym bankomacie są zainstalowane kamery?

Przewracam oczami. Oczywiście, że wiem. Nie po to spędziłam ostatnie dziesięć miesięcy na planowaniu, żeby nie wziąć pod uwagę tak podstawowego elementu, którym są kamery nadzorujące. Jednak miną dni, a może nawet tygodnie, zanim wytropisz wypłaty, a jeszcze dłużej, zanim zobaczysz na nagraniach twarz Nicka, a nie moją. Nie martwię się taką drobnostką jak głupie kamery.

– Tylko pamiętaj, żeby się ładnie uśmiechać. – Zarzucam torbę na ramię, dając tym samym znak, że rozmowa, przypominająca bardziej kombinację przesłuchania i rozkazów, dobiegła końca. – PIN to 2764.

Nick sięga po kubek z kawą, nadal pełny, ale już nie parujący, po czym zmienia zdanie. Zostawia go na stoliku i wstaje z krzesła.

– Założę się, że często do tego dochodzi.

– Do czego?

– Do tego, że ludzie cię nie doceniają. Że myślą, że jesteś bardziej naiwna niż w rzeczywistości. Zanim znowu przewrócisz lekceważąco oczami, powinnaś wiedzieć, że to nic złego. Jeśli sprawy przybiorą niepomyślny obrót, możesz obrócić to na swoją korzyść.

W końcu udaje mu się przywołać uśmiech na moją twarz.

– Taki mam plan.

JEFFREY

Budzę się gwałtownie na kanapie, a kryształowa szklanka kołysząca się niebezpiecznie na moim brzuchu przechyla się, rozlewając swoją zawartość. Odsuwam się, chcąc uniknąć oblania, ale jest już za późno. Płyn zdążył wsiąknąć w materiał dzinsów i poduszki. Zmarnowałem sporo drogiego bourbona. Z przeciągłym jękiem zawodu odstawiam szklankę na podłogę, siadam na kanapie i próbuję wziąć się w garść.

Do połowy zjedzona pizza, którą zamówiłem na kolację, leży zimna i zastygnięta na stoliku kawowym. Zamykam pokrywę pudełka. Na ekranie wiszącego na ścianie telewizora migają obrazy palącego się domu i garstki osób w żółtych uniformach pod strumieniami lejącej się wody. Sięgam po pilota i wciskam guzik od programu telewizyjnego. Cyferki na górze ekranu pokazują, że jest już siedemnaście minut po jedenastej wieczorem.

Cholera. Gdy wyciągnąłem się na kanapie, była za kwadrans dziewiąta. Cztery dni w podróży i całodniowe konferencje wymęczyły mnie bardziej, niż sądziłem.

– Sabine?

Cisza. Możliwe, że śpi. Wyobrażam ją sobie w łóżku na piętrze, z długimi, jedwabistymi włosami rozsypnymi na poduszce, a w mojej piersi odzywa się znajomy palący ból. Dlaczego nie przyszła się przywitać? Dlaczego mnie nie obudziła?

Wyłączam telewizor i wstaję z kanapy.

Na dole panuje cisza, a w korytarzu nadal palą się światła. Wyłączam je w drodze do schodów, przystając na moment w drzwiach kuchni. Blat jest nieskazitelnie czysty, a trzy identyczne lampy wiszące nad wyspą rozświetlają wszystko złotym blaskiem. Sabine jest fleją, ale tak samo jak ja nienawidzi wyrzucać pieniędzy w błoto. Gdyby tu była i prześlizgnęła się obok mnie w drodze na piętro, wyłączyłaby światła.

Niepokój sprawia, że czuję ściskanie w klatce piersiowej.

Idę szybkim krokiem po chłodnych podłogowych płytkach i szarpnięciem otwieram drzwi do garażu, wyczuwając w powietrzu wyraźny zapach benzyny. Mój samochód stoi tam, gdzie go zaparkowałem. W miejscu auta Sabine widać tylko plamę z oleju na betonie. Moje serce przeszywa nagle ukłucie bólu.

Pokonuję schody po dwa i trzy stopnie naraz, pędzę korytarzem i wpadam do sypialni, choć z góry wiem, co w niej zastanę. Nietknięta kołdra nadal leży na swoim miejscu, tak jak ją poprawiłem. Poduszki jedna na drugiej, nieruszone.

Łóżko jest puste.

BETH

Stoję przy umywalce pokoju numer 17 w obskurnym motelu na przedmieściach Tulsy i przeglądam się w lustrze. Ziemista cera. Fioletowe kręgi wokół oczu. Włosy zbyt długie i za grube, by dało się je ujarzmić.

Stale powtarzasz, żebym nigdy nie obcinała włosów. Mówisz, że lubisz, kiedy są długie – ciemne, grube pasma, ozdobione lśniąco-czekoladowymi refleksami, o idealnym, delikatnym skręcie. Takie włosy widuje się w reklamach szamponów. Kobiety płacą setki dolarów miesięcznie za taki efekt. Ale dla ciebie to coś więcej niż włosy. To zabawka, podnieta, coś, w co wsuwasz palce albo w co pojękujesz w trakcie orgazmu za każdym razem, gdy uprawiamy seks.

Jednak włosy, które tak bardzo kochasz, uwielbiasz wykorzystywać jako broń. Ciągniesz mnie za nie, wlokąc z pokoju do pokoju. Przypierasz mnie nimi do podłogi. Włosy są o wiele mocniejsze, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Ich cebulki tkwią w skórze niczym uzbrojone haczyki. Prędeż pęknie skóra na czubku głowy, niż uda się komuś wyrwać kosmyk włosów. Znam to z doświadczenia.

Nabieram garść włosów, biorę do ręki nożyce i ucinam, pozostawiając nierówną linię. To o wiele łatwiejsze, niż mi się zdawało. Zdecydowanie mniej bolesne, niż kiedy łapiesz mnie za kucyk i podnosisz prosto z łóżka. Pasma staczają się po mojej piersi, przyczepiając do białej, bawełnianej koszulki. Czuję się lżejsza. Niczym nieobciążona. Wolna.

Obcinam dalej, zgarniając kosmyki do umywalki. Później je wyrzucę. Nie robię tego w przekonaniu, że wpadniesz na mój trop, ale dlatego, że wierzę w karmę. Niedługo będę potrzebowała pracy i bardzo możliwe, że wyląduję w pokoju hotelowym takim jak ten, usuwając z odpływu czyjeś włosy. Moi rodzice niezupełnie to mieli na myśli, gdy opłacali moje studia, ale podjęcie lepiej płatnej pracy, takiej, do której mam niezbędne kwalifikacje, mogłoby wzmocnić twoją czujność i sprawić, że natrafisz na mój

ślad.

Nigdy wcześniej nie obcinałam włosów, więc efekt nie powala na kolana. Zamierzałam zrobić coś na kształt pixie, ale wyglądam bardziej jak po spapranej wizycie w kiepskim salonie fryzjerskim albo jakbym obcięła sobie włosy od garnka rodem z lat 70. Naciągam pojedyncze pasma między palcami, tak jak zrobiłby to profesjonalny fryzjer, i tnę pod kątem, uzyskując asymetryczne warstwy. Na koniec roztrzepuję włosy palcami, nadając im objętości, i przeglądam się w lustrze. Z odrobiną żelu nie będą wyglądać tak źle.

Nie jesteś tą samą osobą, co wcześniej. Teraz nazywasz się Beth Murphy.

– Jestem Beth – mówię, wypróbując brzmienie nowego, fikcyjnego imienia niczym wątpliwy odcień szminki. To imię podałam Nickowi i podpisałam się nim w hotelowej rejestracji, ale dopiero po tym, jak wcisnęłam facetowi w recepcji dwa banknoty dwudziestodolarowe, by nie prosił kolejny raz o pokazanie dowodu tożsamości. – Nazywam się Beth Murphy.

Beth z beznadziejną fryzurą.

Z drogeryjnej reklamówki wyjmuję pudełko farby do włosów i wyciskam tubki, mieszając kolor. W poprzednim życiu byłam jedną z tych brunetek, która nigdy nie chciała przefarbować się na blond. Blondynki są krzykliwe, odważniejsze i bardziej rzucają się w oczy. Są wyzywające i ambitne, jak członkinie żeńskiego stowarzyszenia studentek albo cheerleaderki. Nie są to zbyt pożądane cechy dla osoby, która chce zniknąć.

Zdjęcie na pudełku reklamuje popielaty blond, najmniej rzucający się w oczy odcień blondu, jaki tylko może być. Blond dla początkujących. Rozprowadzam go liniami po czubku głowy za pomocą aplikatora, po czym nakładam rękawiczki i sprawdzam godzinę na zegarku. Wystarczy dziesięć minut, a potem dowiemy się, czy to prawda, co mówią, że blondynki lepiej się bawią.

Czekając, aż kolor się utrwali, włączam telewizję. Jest już po północy, a ja znajduję się czterysta osiemdziesiąt dwa kilometry od Pine Bluff – jest za późno na program lokalnego nadawcy i za wcześnie na to, by informacja o moim zniknięciu przedostała się do kablówki. Mimo to siedzę na skraju łóżka i przełączam między CNN a Fox News, czekając na najmniejszą wzmiankę o mnie. Pusty dom. Zaginiona kobieta. Moja twarz

ukryta za ciemnymi okularami, wypatrzona w trakcie ucieczki na zachód. Nic. Jestem rozdarta między poczuciem ulgi a strachem. Do tej pory na pewno zaczęłaś mnie szukać.

Biorę prysznic i zakładam ubrania, które kupiłam wcześniej w Walmarcie – niemodną, dzinsową spódnicę i koszulę o dwa rozmiary za dużą. Torba podróżna na łóżku jest wypchana tego typu ubraniami, z syntetycznych materiałów, w jaskrawych kolorach, tanich i takich, które już dawno wyszły z mody. Normalnie nigdy bym na nie nawet nie spojrzała. W poprzednim życiu nigdy nie spojrzałabym na Beth. Ze swoimi workowatymi ciuchami i okropnymi włosami Beth wygląda jak czupiradło.

Zostawiam klucz na stoliku nocnym, zabieram swoje rzeczy i wychodzę na zewnątrz.

Po upływie kilku godzin nadciągają chmury, niczym ciemny i złowróżbny koc rozwieszony nad dusznym, naładowanym elektrycznie powietrzem. Wiatr stoi w miejscu, ale to się wkrótce zmieni. Mieszkam w tej części kraju wystarczająco długo, by wiedzieć, jak wygląda pionowa ściana chmur i jak często przekształcają się one w tornada. Błyskawica rozrywa niebo na pół niczym cięcie noża. Pora się przycząić albo uciekać samochodem. Wybieram bramkę numer dwa.

Mój samochód stoi dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, na dalekim skraju parkingu obok śmietnika, choć „mój” to pojęcie względne, skoro oficjalnie auto nie należy do mnie, tylko do Marshy Anne Norwood z Little Rock w Arkansas. Kobiety, która chciała dokonać dyskretnej transakcji gotówkowej równie chętnie co ja. Kupiłam samochód dwa tygodnie temu, po czym przestawiałam go z parkingu na parking w sąsiednim mieście, ale nigdy nie zarejestrowałam go na swoje nazwisko.

Zaglądam do środka. Wszystkie rzeczy leżą dokładnie tak, jak je zostawiłam. Kluczyki wrzucone do uchwytu na kubki, złożony akt własności na przednim siedzeniu. Otwarte drzwi. Obrzucam wzrokiem pozostałe samochody, gruchoty takie jak mój. Moje auto nie powala wyglądem, ale to łatwy łup dla każdego złodzieja amatora. Samochód Marshy Anne nie postoi tu zbyt długo.

Odwracam się i idę w stronę warsztatu samochodowego Dill's znajdującego się po przeciwnej stronie drogi.

„Nie potrafisz kupić samochodu”, powiedziałeś mi kiedyś, gdy musiałam wymienić auto na nowe. „Nie odzywaj się, a ja wszystko załatwię”.

Dill mógłby się z tym nie zgodzić, skoro udało mi się namówić go do zejścia o ponad dziesięć procent z ceny wyjściowej buicka regala z 1996 roku. To kupa zardzewiałego żelastwa, ale silnik działa jak należy, a cena jest dobra, szczególnie kiedy odkrywam, że Dill lubi, gdy zwracam się do niego per „przystojniaku”. Przekazuje mi dokumenty i adres najbliższego wydziału komunikacji w Oklahomie, a ja obiecuję, że udam się tam z samego rana. Jeśli się pośpieszę, dotrę do innego stanu, zanim otworzą.

Dill wręcza mi kluczyki, a ja wsiadam do samochodu i włączam silnik w momencie, w którym zaczyna padać deszcz.

JEFFREY

Pierwszy numer, pod który dzwonię, należy do Sabine, choć już przed wybraniem pierwszej cyfry wiem, że to strata czasu. Jeśli Sabine jest wściekła, jeśli karze mnie za coś, to i tak nie odbierze.

A jeśli coś się stało... Czuję ściskanie w dołku, ale odpycham od siebie tę myśl.

Jej telefon dzwoni. Rozlegają się cztery niekończące się sygnały, po czym zostają przekierowany na pocztę głosową.

– Sabine, to ja. Czy zapomniałem, że gdzieś dzisiaj wychodzimy? Dostałem od ciebie wiadomość, w której mówiłaś, że będziesz w domu przed dziewiątą, ale dochodzi już północ, a ciebie nadal nie ma. Zadzwoń do mnie, dobrze? Jestem w domu i powoli zaczynam się martwić. Okej, do usłyszenia.

Rozłączam się, rozważając przez chwilę zadzwonienie pod 911, ale nie ma jej dopiero od jakichś trzech godzin. Za krótko, by zgłosić nagły wypadek. Policja wymaga odczekania dwudziestu czterech godzin, zanim zgłosi się zaginięcie. Co niby miałbym im powiedzieć? Że moja żona nie wróciła do domu na czas?

Wkładam telefon do kieszeni i wchodzę po schodach na piętro. Wiem, że miała prezentację domu. *Późną* prezentację.

Poza tym, to do niej niepodobne, żeby ignorować telefon. To jedno z jej najmniej ulubionych wymagań w pracy – by zawsze, ale to *zawsze* była dostępna i pod telefonem. Od chwili, w której się budzi, do momentu, w którym kładzie się spać, zawsze ma w dłoniach jakieś urządzenie albo zestaw słuchawkowy w uchu. Gdyby jej samochód zepsuł się po drodze, a ona siedziała na poboczu na autostradzie z przebitą oponą, nie mając bladego pojęcia, jak ją zmienić na zapasową, zadzwoniłaby po pomoc drogową, a potem do mnie.

Zakładając, że jest przytomna.

Skóra cierpnie mi na samą myśl o tym, że może wykrwawiać się na

poboczu drogi albo jeszcze gorzej, dryfować twarzą w dół po rzece Arkansas. Wyobrażam sobie, jak jej ciało kołysze się pod wpływem fal albo zaplątuje się w sitowie, które rośnie wzdłuż naszego trawnika na tyłach domu. Widzę, jak jakiś psychol wlecze ją siłą do prezentowanej nieruchomości, a ona zapiera się piętami o nową, drewnianą podłogę, krzycząc w głębi pustego domu.

Nigdy nie podobał mi się pomysł, aby pokazywała posesje na sprzedaż obcym ludziom. Gdy przyjęła tę pracę, był to jeden z punktów zapalnych między nami. Fakt, że na prezentacji mógł zjawić się dosłownie każdy i udawać potencjalnego klienta. A gdyby z Randall Williams uciekł jakiś więzień? Gdyby miał nóż albo pistolet? Równie dobrze mogłaby przykleić sobie do pleców papierową tarczę strzelniczą. Ładna agentka nieruchomości, na wyciągnięcie ręki.

Wyciągam telefon i znowu do niej dzwonię.

– Sabine, mówię serio, to nie jest zabawne. Gdzie się podziewasz? Rozumiem, że nadal jesteś na mnie wściekła, ale przynajmniej napisz do mnie, żebym wiedział, że nic ci nie jest. Cholernie się o ciebie martwię. Daję ci jeszcze jedną godzinę, a potem dzwonię na policję.

Rozłączam się i biorę głęboki, uspokajający oddech, ale to w niczym nie pomaga. Coś musiało się stać. Nie wiem jeszcze, co takiego, ale mam przeczucie, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Wybieram numer jej siostry.

Ingrid odbiera po pierwszym dzwonku, zupełnie jakby leżała z palcem uniesionym nad ekranem, czekając, aż rozjarzy się od przychodzącego połączenia. Głos ma szorstki i natarczywy.

– Halo!

Nie jest to pytanie wypowiedziane z typową dla niego intonacją wznoszącą na końcu, tak jak mówi każda normalna osoba odbierająca telefon, tylko rozkaz. Przypomina bardziej warknięcie niż faktyczne słowo. Nadal pozostaje dla mnie tajemnicą, jak to możliwe, że te dwie kobiety mają identyczne DNA.

– Ingrid, tu Jeffrey. Wybacz, że dzwonię do ciebie o tej porze, ale...

– Jeffrey, twoje imię wyświetla mi się na ekranie, więc nie musisz się przedstawiać. Daj Sabine do telefonu.

Zamykam oczy i biorę długi, uspokajający oddech.

– Właśnie dlatego dzwonię do ciebie w środku nocy. Nie wiem, gdzie ona

jest.

– Jak to nie wiesz? Nie ma jej w domu?

– Nie wróciła po prezentacji nieruchomości i nie odbiera telefonu.

– Na litość boską, Jeffrey, i dopiero teraz mi to mówisz? Do jasnej cholery, co robiłeś przez cały ten czas? – Słyszę szelest materiału i piskliwy odgłos uginających się sprężyn materaca. Ingrid mieszka sama w kawalerce oddalonej o kilka mil stąd. Nikt nie byłby w stanie znieść mieszkania z nią pod jednym dachem. – Do kogo jeszcze dzwoniłeś?

– Do nikogo. Ty jesteś pierwsza.

Momentalnie zaczynam tego żałować. Rozmowa z Ingrid jest jak żucie tłuczonego szkła. Człowiek z góry wie, że nie sprawi mu to żadnej przyjemności.

– Znasz numer do jej szefa? – pytam. – Miała prezentację późnym wieczorem, więc możliwe, że Russ będzie coś wiedział.

– Russ? – odpowiada podszytym irytacją głosem Ingrid. – Russ przeprowadził się w grudniu do Little Rock. Spróbuj zadzwonić do Lisy.

– Do kogo?

– Do Lisy O'Brien, szefowej Sabine? – Milknie, czekając na moją reakcję, ale nie mam pojęcia, co powiedzieć. Sabine ma nowego szefa? Od kiedy? – O mój Boże, czy wy dwoje w ogóle ze sobą rozmawiacie? To wydarzyło się wiele miesięcy temu.

Wzdycham do telefonu. Mam dość ignorowania beznadziejnego zachowania Ingrid.

– Masz numer do Lisy czy nie?

– Nie. – Słyszę trzask zamykanych drzwi i dźwięk odpalanego silnika. – Dzwon na policję, Jeffrey. Zaraz u ciebie będę.

Gdy w początkowej fazie naszego związku Sabine powiedziała mi, że ma siostrę bliźniaczkę, pamiętam, jak pomyślałem, że jest szczęściarą. Że *ja* jestem szczęściarzem. Gdzieś tam istniała wierna kopia Sabine, yin dla jej cudownego yang. To dopiero było coś. Dwie Sabine w cenie jednej.

A potem poznałem Ingrid. Między nami od razu rozwinęła się wzajemna niechęć. Doszło do tego mniej więcej w czasie, w którym pochowały ojca, a ich matka zaczęła w kółko powtarzać te same nużące historyjki, co siostry od razu wychwyciły jako oznakę choroby. W trakcie tych kilku

pierwszych tygodni zrzuciłem porywczość Ingrid na karb smutku i zmartwienia. Przymykałem na to oko.

Tyle że Ingrid była przyzwyczajona do tego, że jest najważniejszą osobą w życiu swojej siostry, i dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza przekazywać nikomu pałeczki pierwszeństwa. Była potwornie zaborcza i traktowała mnie jak etap przejściowy, niemile widzianego, ale tymczasowego intruza naruszającego ich wspólne życie. Oskarżyłem Ingrid o to, że za bardzo kocha siostrę, a ona o to, że nie kocham Sabine wystarczająco mocno. Sabine czuła się jak w potrzasku. Od tamtej chwili planowała wszystko tak, żebyśmy razem z Ingrid prawie nigdy nie przebywali w jednym pomieszczeniu. Stałem się mistrzem w unikaniu tej baby. Gdy jechałem samochodem, by coś załatwić, mijałem ją po drodze bez zatrzymywania się albo uciekałem do drugiego pokoju w trakcie przyjęć, gdy tylko stawała w progu.

Przyglądam się jej zza przeciwnej strony stołu, jej włosom przypominającym kłębki kurzu oraz błyszczącym od trądzikowych plam policzkom, gdy zapisuje coś na bloczku żółtego papieru. Grubymi krechami kreśli nazwę firmy Sabine, jej wzrost, kolor włosów i numer jej telefonu komórkowego. Ta kobieta w niczym nie przypomina mojej żony. Wygląda jak zły troll, który kąpie się w bagnie i ogryza kości pod mostem. Na twarzy ma odcisnięte ślady od poduszki, wściekle czerwone linie w kształcie krzyża.

Wzdycham, żałując, że to nie ja mam w dłoniach kartkę i długopis. Nie chcę siedzieć beczynn timer, tylko działać. Moje nogi podrygują nerwowo pod stołem. Siedzimy i czekamy na przyjazd policji, a moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Chcę, żeby ktoś sprowadził moją żonę do domu.

– Musi istnieć jakieś wytłumaczenie – mówię.

Ingrid mnie ucisza. Strzela palcami w moją stronę i syczy „ciiii”, ani razu nie podnosząc wzroku znad swoich bazgrołów. Do góry nogami wyglądają zupełnie jak wielkie, niechlujne wywijasy Sabine.

– Odezdziesz się czy nie? Powiedziałem, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie tego, gdzie jest Sabine. Gdzie mogła pójść. Boję się, że coś mogło się jej stać.

Ingrid prycha pod nosem, a ten dźwięk wywołuje u mnie falę negatywnych uczuć.

– Co to miało znaczyć?

– Przecież niczego nie *powiedziałam*.

– Owszem. Prychnęłaś. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, wyrzuc to z siebie. Nie pryčaj na mnie z za stołu – rzucam najbardziej jadowitym głosem, na jaki mnie stać, odzwierciedlającym aktualny stan moich emocji.

Jest środek nocy, moja żona zniknęła, a brzydsza wersja Sabine siedzi naprzeciwko mnie i wygląda, jakby szukała zaczepki. Nie wiem, co takiego mają w sobie te siostry, ale obie doskonale wiedzą, jak zagrać mi na nerwach.

– Jeffrey, ja niczego nie *powiedziałam*.

– Nie, ale chciałaś. Śmiało. To twoja wielka szansa. Mów, o co ci chodzi.

– Dobrze. Chcesz, żebym *powiedziała* to na głos? – Odkłada długopis z trzaskiem, dociskając palcami do blatu. – Gdzie jest Sabine?

– To ja do ciebie zadzwoniłem, pamiętasz? Dlaczego mnie o to pytasz?

Ingrid przewraca tymi swoimi paciorkowatymi oczami jak u węża.

– Daj spokój, Jeffrey. Moja siostra i ja codziennie ze sobą rozmawiamy. Mówimy sobie *wszystko*.

Żadna mi nowość. Gdy mają dobry dzień, Ingrid i Sabine potrafią rozmawiać przez telefon godzinami, rozprawiając o drobnostkach takich jak rodzaj taco, które jadły na lunch, albo ulubiona marka tamponów. W zeszły weekend przegadały całe popołudnie, dumając nad konsystencją odchodów swojej matki i nad tym, czy zmiana diety może spowolnić demencję, która wyżera jej mózg. *Wiem*, że gadają po dziesięć razy dziennie. Przez większość czasu jestem tego świadkiem.

– Cóż, najwyraźniej nie *powiedziała* ci, dokąd się wybiera.

– A może nie była w stanie.

Przez ułamek sekundy nie rozumiem, o co jej chodzi. Przez jedną ulotną chwilę wydaje mi się, że ona też uważa, że mogło jej się stać coś złego, a potem nagle zastygam w bezruchu. Nie mam problemu z tym, że Ingrid myśli, że Sabine stała się jakaś krzywda, ale potem dociera do mnie, że jest przekonana, że miałem z tym coś wspólnego.

– Lepiej uważaj – mówię ostrym tonem. Moje słowa przypominają rozkaz. – Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że mnie o coś oskarżasz.

– A co, czujesz się winny?

– Nie.

– Wiem o waszych kłótniach. Sabine dzwoni do mnie po każdej awanturze.

To oczywiste. Obie są zawsze tego samego zdania, *zawsze* się ze sobą zgadzają. Są dla siebie nawzajem niczym głos rozsądku i najlepsza doradczyni. Jeśli druga siostra zgadza się z pierwszą, ich opinie wzajemnie się potwierdzają. Dwie podobnie myślące siostry bliźniaczki nie mogą się mylić.

Do tego dochodzi łącząca je dziwna, bliźniacza telepatia. Przyprawiająca o gęsią skórkę umiejętność, dzięki której jedna wie, co chce powiedzieć ta druga, jeszcze zanim to zrobi. W zeszłe Boże Narodzenie podarowały sobie identyczny prezent, okropną beżową portmonetkę w kształcie torby z jedzeniem na wynos. Piszczwały przy tym z radości, jakby wygrały na loterii. Nie mam pojęcia, jak rywalizować z czymś takim.

– I co z tego? Wszystkie pary się kłócą, o czym na pewno byś wiedziała, gdybyś umiała zatrzymać przy sobie faceta na tyle długo, żeby tworzyć związek. To, gdzie przebywa Sabine, nie ma nic wspólnego z naszymi kłótniami.

Ingrid unosi niewyskubaną brew.

– Nie wiedziałeś, że ma nowego szefa, a to wydarzyło się wieki temu. Kiedy po raz ostatni szczerze ze sobą porozmawialiście? Kiedy ostatnio uprawialiście seks?

– To nie twój zasrany interes. *Nigdy* więcej nie zadawaj mi tego pytania. Nie, kiedy jesteś w *moim* domu.

Składa dłonie na bloczku. Gdyby nie zbiegające kłykie, pomyślałbym, że się uspokoiła.

– Serio? Jestem całkiem pewna, że dom należy do Sabine.

To najbardziej przykra rzecz, którą mogła mi powiedzieć, i choć nienawidzę jej za to, osobą, którą obwiniam za ten stan rzeczy, jest Sabine. Sabine wie, że nazwisko wymienione w dokumentach hipoteki jest jak pijany krewny próbujący rozmawiać o polityce na proszonej kolacji. Zwyczajnie lepiej go ignorować. Ten drażliwy temat od zawsze powodował między nami napięcia, ale jak już wspomniała Ingrid, Sabine mówi swojej siostrze o *wszystkim*.

– Moja żona powinna trzymać język za zębami. Nasze prywatne sprawy takie właśnie są – prywatne. Nie powinna dzielić się z tobą każdym najmniejszym szczegółem z naszego życia, tak jak ja nie powinienem ci

teraz mówić, że gdziekolwiek ona się znajduje, *ja nie miałem z tym nic wspólnego*.

Ingrid milknie, choć gołym okiem widać, że ma jeszcze dużo do powiedzenia. Gapi się na mnie, żując dolną wargę i rozważając wszystkie opcje. Widzę dokładnie, w której sekundzie podjęła decyzję, bo jej oczy – oczy Sabine – robią się zimne jak lód.

– Powiedziała mi, co jej zrobiłeś.

Mówi to od niechcienia niskim, zwodniczo spokojnym głosem, jakbym doskonale wiedział, co ma na myśli.

Wiem, a wściekłość eksplodująca w moim wnętrzu jest równie znajoma, co siedząca po drugiej stronie stołu kobieta. Sabine powiedziała Ingrid, co zrobiłem, a ja mam ochotę przeskoczyć przez blat, owinać dłonie wokół jej gardła i ścisnąć tak długo, aż wymaże te okropne słowa ze swoich myśli.

– A powiedziała ci, co sama zrobiła?

– Już o tym wspominałam. Sabine zwierza mi się ze wszystkiego.

– W takim razie wiesz, że to ona mnie sprowokowała.

– To żadna wymówka! Mężczyzna nigdy nie powinien tknąć kobiety palcem, Jeffrey. Chyba nie muszę ci tego mówić.

Pogardliwy ton głosu Ingrid wgryza się w moją skórę niczym kleszcz. Sabine powiedziała, że mi wybacza. *Obiecała*, że nigdy nie będziemy do tego wracać, a potem wypaplała wszystko siostrze. To oczywiste, że Ingrid uważa mnie za drania. Usłyszała tylko jedną wersję całej historii.

– Sabine oskarżyła mnie o to, że przestałem angażować się w nasze małżeństwo. Powiedziała, że jestem nieczuły i obojętny, zarówno pod względem emocjonalnym, jak i fizycznym. Bez przerwy narzekała, że jej miłosny zbiornik jest pusty, cokolwiek to miało znaczyć. Wiesz co? Nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Sęk w tym, że się pokłóciliśmy, i to bardzo, a potem przeprosiliśmy i puściliśmy to w niepamięć. Tak robią udane małżeństwa – wybaczają sobie nawzajem i skupiają na przyszłości.

Słyszę wychodzące z moich ust słowa i zastanawiam się, czy są prawdziwe. Nie chodzi o narzekania Sabine – nigdy się z nimi nie kryła – ale o nas jako małżeństwo. O wybaczenie sobie nawzajem. O bycie udaną parą.

Czy Sabine i ja jesteśmy udaną parą? Byliśmy, dawno, dawno temu. Przez kilka pierwszych lat byliśmy tą parą. Wszyscy chcieli być tacy jak my. Szczęśliwi. Zakochani i namiętni jednocześnie. Para, która potrafi

przetrwać razem największe życiowe zawieruchy. Nagłe zapominalstwo i roztargnienie jej matki. Moją niską liczbę plemników i ich nieumiejętność dotarcia do osłabionej macicy Sabine. „Zapewnimy twojej matce najlepszą możliwą opiekę”, szeptałem na ucho szlochającej Sabine. „Adoptujemy”. To działo się w czasach, kiedy wszystko, nawet to, co niemożliwe, wydawało się możliwe. Byłem bohaterem, wspierającym mężem, specem od naprawiania. Mogłem naprawić wszystko.

A potem wydarzyło się coś, czego nie byłem w stanie naprawić: moja kariera zwolniła, a ja utknąłem w połowie drogi na szczyt w PDK Workforce Solutions. Specjalista ds. klientów brzmi imponująco, ale w rzeczywistości to stanowisko średniego szczebla, które wiąże się z podlizywaniem nachalnym, zręcznym klientom i urabianiem ich tak, by kupili szajs, którego wcale nie potrzebują.

Jeszcze bardziej ogranicza mnie fakt, że nie mam przed sobą żadnych perspektyw rozwoju. Kolejnym szczeblem w korporacyjnej drabinie jest stanowisko mojego szefa, a on blokuje je niczym pies ogrodnika, nie mając w planach ani odejścia na emeryturę, ani zmiany branży, ani przeprowadzki do Toledo. Poprzytałem trochę wkoło, a nawet skontaktowałem z paroma agentami, ale jedyne firmy, które zatrudniają teraz nowych pracowników, znajdują się kawał drogi stąd w Little Rock, a Sabine nie będzie chciała słyszeć o przeprowadzce.

Jestem nieco zgorzkniały, ale nie ślepy. Mam pełną świadomość tego, jak bardzo niesprawiedliwe jest obwinianie Sabine, ale jej sukcesy bardzo temu sprzyjają. Mam czterdziestkę na karku i jestem wypalony, a ona dopiero się rozkręca. Wracam do domu pokonany i przybity uczuciem odrzucenia, i zastaję radosną Sabine, cieszącą się kolejną sprzedaną nieruchomością. Ostatnio zacząłem jeść kolację w swojej samotni, głównie dlatego, że nie mogę znieść jej pełnego satysfakcji nucenia pod nosem.

I w ten oto sposób, po wyjątkowo parszywym dniu w pracy, gdy wróciłem do domu, a Sabine bez przerwy zrzędziła mi nad uchem, czepiając się dosłownie o wszystko, gdy oskarżyła mnie o brak zaangażowania w nasze małżeństwo, o brak inicjatywy i pozwalanie, by urabiała się po łokcie dla naszego domu, dbała o konto w banku i nasze *pożycie małżeńskie*, jej słowa napęłniły mnie czystą, niewysłowioną furią. Popchnęła mnie, a ja ją uderzyłem. Nie planowałem tego. Nie chciałem, by do tego doszło. Po prostu tak wyszło.

Wierzcie mi, wiem, jak to wygląda. Puściły mi nerwy, uderzyłem żonę, a teraz ona zniknęła. Może chce ukarać mnie za to, co zrobiłem, a może moje wcześniejsze przeczucie jest prawdziwe. Może faktycznie stało się coś złego. Tak czy inaczej, nie musicie nic mówić. Jestem mężem ze skłonnością do przemocy, facetem mieszkającym za darmo w domu, którego właścicielką jest jego żona, człowiekiem, który ma najwięcej do stracenia lub do zyskania.

Nie wygląda to za dobrze.

BETH

Burza kieruje się na północ, więc zjeżdżam buickiem na południe, w stronę Dallas. Nie jest to najlepsza trasa prowadząca na Wschodnie Wybrzeże, ale nigdzie się nie śpieszę, a droga usiana rondami jest z reguły prosta i całkowicie omija mój rodzinny stan Arkansas. Mam nadzieję, że jesteś kilka godzin, a może nawet dni za mną. Choć będziesz szukał brunetki w czarnym sedanie Marshy Anne, a nie blondynki w zżerającym paliwo regalu, który zdążył już spalić jedną czwartą benzyny, to nie pora na podejmowanie ryzyka. Wyłączam klimatyzację i opuszczam szyby, wpuszczając do środka wilgotne powietrze. Jedyną zaletą tej nowej głupiej fryzury jest to, że włosy nie wpadają mi do oczu.

Powieki ciążą mi niebezpiecznie, więc często robię przystanki, by wypić kolejną kawę i wrzucić coś na ząb, opryskać twarz zimną wodą, zatankować i zjeść śniadanie w restauracji IHOP. Jajka, gofry, kiełbaska. To nie jest typowy dla mnie posiłek – lubisz, kiedy jestem szczupła i wychudzona – ale odkąd wyjechałam z Pine Bluff, mam wilczy apetyt. Może to skutek wyrwania się w końcu na wolność, a może chodzi o to, że nie jestem już taka jak dawniej. Jestem Beth, a Beth je wszystko, na co ma ochotę.

Zbliżam się do Atlanty wraz ze wschodem słońca zabarwiającym niebo spektakularnym odcieniem pomarańczowego i różowego. Promienie są tak psychodelicznie jaskrawe, że muszę sięgnąć po okulary przeciwsłoneczne. Moje serce drży w oczekiwaniu na dotarcie do tymczasowego miejsca docelowego. Do miasta, które odwiedziłam z tobą po raz pierwszy i ostatni całe wieki temu, gdy przyjechaliśmy na zakrapiane wesele twojego dawnego kumpla ze szkoły. Przyjęcie było głośne i gwarne i odbywało się w obrotowej restauracji na ostatnim piętrze hotelu Westin w centrum miasta, na którym obracałeś mnie w tańcu tak długo, aż obojgu nam zakręciło się w głowach – mnie od wirującego horyzontu, a tobie od taniej rosyjskiej wódki. Gdy potykając

się, poczłapaliśmy do naszego pokoju, spytałam, czy jesteś pijany, a ty w odpowiedzi popchnąłeś mnie na ścianę. To właśnie w Atlancie po raz pierwszy skrzywdziłeś mnie w ten sposób. Na pewno będzie ostatnim miejscem, w którym będziesz mnie szukał.

Wiem, że jestem już blisko, gdy olbrzymi odrzutowiec Deltę przelatuje ponad moją głową, z białym, lśniącem podbrzuszem i wysuniętym podwoziem przygotowanym do lądowania. Czuję w powietrzu zapach paliwa lotniczego i przygotowuję się na ryk silników, który przypomina huk eksplozji połączony z wizgiem samochodu wyścigowego. Powoduje drżenie mojej kierownicy, szyb i zębów. Ludzie wokół mnie wciskają hamulce, a samochody zatrzymują się w miejscu. Przede mną rozciąga się sześć pasów upakowanych autami jadących zderzak w zderzak, z włączonymi czerwonymi tylnymi światłami.

Przestudiowałam dokładnie mapę, więc wiem, dokąd jadę. Muszę wjechać na objazdówkę, pojechać nią aż do autostrady międzystanowej numer 20 na wschodzie, a potem skrócić w lewo w Boulevard prowadzącą do Cabbagetown. „Eklektyczna” i „modna”. Właśnie tak opisują w Internecie wschodnią dzielnicę Atlanty, ale najbardziej spodobała mi się jej przystępność cenowa, a szczególnie zajazd Wylie Street Lodge. Można w nim wynająć mały, ale w pełni umeblowany pokój za dwadzieścia dwa dolary. Co prawda będę musiała współdzielić kuchnię i łazienkę, ale to nic. Zapłaciłam już za pierwszy tydzień z góry.

Mija cała wieczność, nim zatrzymuję się przy Wylie Street i wysiadam z samochodu. Asfalt pode mną jest rozgrzany do białości i paruje, przyklejając się do opon i podeszew moich adidasów, ale to widok budynku sprawia, że żołądek zaciska mi się w supeł. Trawnik przed domem to brzydki skrawek ziemi usłany lichymi badyłami, które nie widziały nawozu ani kosiarki od co najmniej stu lat. Frontowe schody, rozchwiane i przegniłe, prowadzą na werandę zawałoną śmieciami, na której stoi poszarpana brązowa kanapa okupowana przez trzech niechlujnie wyglądających mężczyzn, popijających z butelek zawiniętych w papierowe torby. Gdyby nie oni i prostytutki reklamujące swoje usługi z balkonu na drugim piętrze, uznałabym, że to miejsce jest opuszczone.

Staję na chodniku, rozważając w myślach możliwości.

Mogłabym się w porę wycofać i odjechać.

Mogłabym podejść do recepcji i domagać się zwrotu pieniędzy.

Mogłabym stawić czoła sytuacji i zostać.

Mężczyźni z werandy przyglądają mi się podejrzliwie, a ja wiem, jak mnie postrzegają. Widzą zdezelowanego buicka na tablicach z Oklahomy, rozciągniętą koszulkę, spalone farbą włosy. Jestem dla nich naiwniaczką z prowincji, która przyjechała do wielkiego miasta. Jestem łatwym celem.

Woła do mnie jakaś prostytutka.

– Hej, blondyneczko. Tego szukasz?

Podwija do góry krótki top bez ramiączek i odsłania cycki tak wielkie jak zwały tłuszczu, które je otaczają. Potrząsa nimi w tę i z powrotem, jak miseczkami z karmelowym puddingiem.

– Eee, nie, dzięki – mówię. – Mam wszystko, czego mi trzeba.

Nie bez powodu wybucha chrapliwym śmiechem. Beth będzie musiała popracować nad ripostami.

Wsiadam do samochodu i odjeżdżam.

Za rogiem udaje mi się wcisnąć auto na skraju zatłoczonego parkingu. Po opłaceniu samochodu, hoteli, jedzenia i wynagrodzenia Nicka zostało mi niewiele ponad dwa tysiące dolarów w gotówce, głównie w banknotach dziesięcio- i dwudziestodolarowych, uszczkniętych z pieniędzy na zakupy spożywcze, z urodzin i kasy na święta, zapomnianych drobniaków wyjętych z twoich kieszeni, gdy spałeś nieprzytomny. Oszczędzanie było długim, mozolnym procesem. Robienie tego w taki sposób, żebyś niczego nie zauważył, zajęło mi rok. Przerzuciłam się na tańszy papier toaletowy, kawę i proszek do prania. Jak na ironię, przestałam też obcinać włosy. Mój zapas gotówki rósł powoli, nieśpiesznie. Najmniejszy błąd mógł kosztować mnie życie.

Mimo to dwa tysiące dolarów to zdecydowanie za mało, nawet przy dyscyplinie budżetowej. Hotele są drogie, a większość z nich wymaga okazania dowodu tożsamości. Nawet gdyby jutro udało mi się znaleźć pracę, zatrzymanie się w jednym z nich znacznie uszczupliłoby moje finanse.

Jak na miasto zamieszkane przez sześć milionów ludzi, Atlanta praktycznie nie dysponuje żadnymi schroniskami dla maltretowanych lub bezdomnych kobiet, a ja zaliczam się do obu tych kategorii. Mogłabym spać w samochodzie, ale to mało bezpieczne, a ja pewnie i tak nie umiałabym zasnąć. Lepszym wyjściem byłoby znalezienie kolejnego taniego zajazdu, w którym nie będą prosić o dowód tożsamości. Jednego

z tych, które znalazłam, zanim wybrałam Wylie – pensjonaty, hostele, jakieś wyjątkowo podejrzane motele – szkoda, że nie potrafię sobie przypomnieć ich nazw.

Nie zapisałam żadnej. Nie mogłam. Gdybyś znalazł coś budzącego nawet najmniejsze podejrzenia – ustawienia wyszukiwarki na moim laptopie, nowy numer telefonu w spisie kontaktów, adres jakiegoś odległego miejsca zapisany na odwrocie paragonu – doszłoby do konfrontacji. Bycie zawsze o krok przed tobą stanowiło najtrudniejszą część całego planu.

Sięgam po jednorazowy telefon, by wyszukać coś w Internecie, gdy w dalekim krańcu parkingu zauważam szyld Best Buy. To oznacza komputery i bazy danych. Internet dostępny od zaraz, za darmo i bez namierzania, w odróżnieniu od limitowanego dostępu do neta na tym gównianym, przedpłaconym szmelcu. Przekręcam kluczyk w stacyjce i jadę przez parking.

Jak na czwartkowy poranek, w sklepie jest tłoczono. Ludzie są wszędzie, tarasując alejki i tworząc kilkunastoosobowe kolejki przy stanowiskach z macBookami. Przeciskam się obok nich w stronę samotnego della na końcu kontuaru.

Uruchamiam przeglądarkę i zatrzymuję się w pół ruchu, wpatrując w migający kursor. Oglądam się przez ramię, by mieć pewność, że nikt nie patrzy. Stare nawyki trudno wyplenić.

Dwie sekundy później wpisuję adres strony internetowej serwisu informacyjnego Pine Bluff. Wstrzymuję oddech i przewijam nagłówki. *Mieszkaniec Arkansas oskarżony o zabicie żony za to, że zmieniła kanał telewizyjny. Policja stanowa prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa w Monticello. Policjant z Pine Bluff postrzelony w ataku pułapce. Żadnych wieści o zaginionej kobiecie. Żadnej wzmianki o mnie.*

Nie ma mnie już od ponad dwudziestu czterech godzin. Dlaczego w sieci nie ma żadnych informacji? Czy policja wszczęła śledztwo? Może trzymają je w tajemnicy przed prasą? A może dziennikarze nie zdążyli jeszcze niczego wywęszyć?

Strona internetowa posterunku policji w Pine Bluff wcale nie czyni mnie mądrzejszą. Ich strona główna nie wyróżnia się absolutnie niczym. Jej aktualizowanie to chyba ostatnia rzecz na długiej liście spraw do załatwienia posterunku. Ostatni wpis pochodzi z 2016 roku.

Pod wpływem impulsu wchodzę na Facebooka. Mam fart. Gary Minoff, facet w średnim wieku z Conyers w Georgii, zapomniał się wylogować. Nikt nie uzna za podejrzanego, że grzebał na profilu posterunku policji z Pine Bluff, który jest bardziej aktualny niż ich strona internetowa. Przewijam posty o napadach rabunkowych, zabójstwach, śmiertelnych potrąceniach i ucieczkach z miejsca wypadku, a mięśnie między moimi łopatkami tężeją. Może coś się stało, a ty jeszcze nie domyśliłeś się, że zniknęłam. Może mam większe fory, niż sądziłam. Nie umiem zdecydować, czy do mojej sytuacji pasuje stare przysłowie „Brak wiadomości to dobra wiadomość”.

– To najtańszy laptop w sklepie – odzywa się zza moich pleców czyjś głos. Należy do rudzielca z zarostem, noszącego koszulkę polo z logiem Best Buy. Wskazuje ręką na della. – Procesor Intel Pentium Dual Core, dwa megabajty pamięci podręcznej, wydajność aż do 2,3 gigaherców na sekundę. To wszystko i wiele więcej za jedyne 349 dolarów.

Nie mam pojęcia, co to właściwie znaczy. Posyłam mu uprzejmy, ale zdawkowy uśmiech.

– Dzięki, ale tylko się rozglądam.

– Może go pani ulepszyć za parę dodatkowych dolarów. Dołożyć trochę pamięci albo zapasowej przestrzeni dysku w chmurze.

– Ja tylko sprawdzam kilka rzeczy. Może jeśli wróci pan za jakieś dziesięć minut, będę skłonna podjąć decyzję.

A raczej wyjdę stąd, zanim zdążysz wrócić.

Zostawia mnie w spokoju, by zawracać głowę innemu klientowi, a ja wylogowuję się z Facebooka. Pora wziąć się do pracy.

Gugluję „najtańsze pensjonaty w Atlancie” i pstrykam zdjęcie jednorazowym telefonem, po czym robię to samo z hotelami. Na wszelki wypadek wyszukuję pięć hoteli oferujących pokoje poniżej pięćdziesięciu dolarów za noc i im również robię zdjęcie. Resztę czasu wykorzystuję na poszperanie w serwisie Craigslist.

Większość zakwaterowań jest albo za droga, albo zbyt podejrzana. Dolar dziennie za bycie czyjąś mieszkającą na miejscu gosposią? Odpada. Klikam na jedną z najtańszych ofert, umeblowaną sypialnię w piwnicy w domu w Collier Heights, ale opuszczam stronę, gdy widzę pole z wymaganym numerem prawa jazdy. Klikam na kolejną ofertę, „wyłącznie dla profesjonalnych pań”.

– Moja dziewczyna dała się zrobić w bambuko na Craigsliście. – To znowu ten rudowłosy sprzedawca. Sterczy nade mną, choć nie minęło nawet dziesięć minut. – Zabukowała pokój u ludzi, którzy reklamowali się jako miła rodzina, a okazało się, że to przekręt. Dojechała na miejsce, a wtedy jakiś wariat zaczął machać jej przed nosem spluwą i zanim się zorientowała, została bez kasy, portfela, samochodu, no dosłownie niczego.

– To... straszne.

Chowa ręce do kieszeni i uśmiecha się, odsłaniając rząd białych, zadbanych zębów.

– No raczej. Trzy miesiące później musiała stawić się w sądzie i ogłosić bankructwo. Drań ukradł jej tożsamość, a potem zaciągnął na jej nazwisko całą masę kredytów i pożyczek. Zanim odkryła, co się dzieje, facet zgarnął ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Odzyskanie zdolności kredytowej zajmie jej całe lata. Tak czy inaczej, proszę uważać.

Zerka na obrazek na ekranie laptopa i ma rację. To miejsce to rudera. Klikam na krzyżyk, by wyłączyć ekran.

Facet znowu zaczyna przynudzać o podświetlanym ledowo ekranie i kamerze HD, a ja już mam zwrócić mu uwagę, by się odczepił, gdy nagle wpada mi do głowy pewien pomysł. Jego dziewczynie skradziono portfel. Jakiś dupek ukradł jej karty kredytowe, prawo jazdy i wszystko inne. Nawet gdyby poszła do wydziału komunikacji jeszcze tego samego dnia, wyrobienie nowego dokumentu zajęłoby jej od kilku dni do tygodnia.

Gdy odwracam się w stronę sprzedawcy, mój głos jest o wiele bardziej przyjazny.

– Gdzie w takim razie zatrzymała się pańska dziewczyna? Po tym, jak tamten facet zabrał jej portfel?

– Och, przez jakiś czas spała u mnie na kanapie, aż w końcu znalazła fajny pensjonat na Westside. W większości takich przybytków chcą numeru karty kredytowej w ramach gwarancji, ale oni nie mieli problemu z przyjęciem gotówki, szczególnie po tym, jak opowiedziała im swoją smutną historię.

Dociera do mnie, że to pierwsza z wielu przeszkód. Nie mam domu, dowodu tożsamości i nie więcej jak dwa tysiące dolarów w kieszeni. Ale mam w zanadrzu łzawą historię, o wiele smutniejszą od historii jego dziewczyny, oraz coś znacznie lepszego, a mianowicie determinację.

Moje usta wyginają się w autentycznym uśmiechu.
– Pamięta pan nazwę tego pensjonatu?

JEFFREY

Mężczyzna stojący po drugiej stronie drzwi nie ma na sobie munduru, ale na pierwszy rzut oka widać, że jest policjantem – ma ciemne spodnie, wyprasowaną, zapinaną na guziki koszulę, żołnierską postawę i pistolet w przypinanej do biodra kaburze. Na podjeździe za jego plecami stoi nieoznakowany sedan. Pokazuje odznakę.

– Detektyw Marcus Durand z posterunku policji w Pine Bluff. Rozumiem, że martwi się pan o żonę?

Mówi niskim, rzeczowym głosem. Wpatruję się w niego, próbując doszukać się choćby najmniejszej oznaki zainteresowania, ale znajduję wyłącznie zmęczenie.

Otwieram szeroko drzwi i odsuwam się na bok.

– Dziękuję za przyjście.

W moim głosie słychać sarkazm, bo czekałem na niego całą wieczność. Co najmniej sześć godzin. W międzyczasie próbowałem odpocząć nieco na kanapie, pomimo faktu, że Ingrid sterczała nade mną i posapywała jak wściekły smok. Im dłużej kazał nam na siebie czekać, tym głośniej maszerowała w tę i z powrotem, co pół godziny szturchając mnie w ramię, by spytać, jak to możliwe, że jestem w stanie spać. „Po prostu kładę się i zamykam oczy”, odparłem. „Może powinnaś spróbować”.

Jeśli detektyw wyczuwa sarkazm w moim głosie, nie daje tego po sobie poznać. Jest ode mnie młodszy, wygląda na jakieś trzydzieści kilka lat, i o trzydzieści centymetrów wyższy. Góruje nade mną w korytarzu, przytłaczając pomieszczenie swoją obecnością i posturą. W dzinsach i na boso, przy nim czuję się mały i niepozorny. Szkoda, że nie przebrałem się w coś bardziej odpowiedniego. Wolałbym założyć buty. Szczeka detektywa Duranda jest zaciśnięta, jakby zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Zaginiona kobieta. Wizyta domowa po godzinach pracy oznacza, że bierze ją na poważnie.

Jednak nie na tyle poważnie, by zjawić się na czas.

Rozgląda się wkoło. Jego wzrok zatrzymuje się na robionych na zamówienie krętych schodach z pionowymi listwami i zabytkowym tureckim dywanem pod stopami, na które nigdy nie mógłby sobie pozwolić ze swoją pensją. Gdyby nie Sabine, mnie też nie byłoby na nie stać. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie powiedzieć mu, że moja żona od czterech lat wszystkich przebija, i że jeśli chodzi o urządzenie wnętrz, doskonale wie, jak zdobyć najlepsze rzeczy za najniższą cenę, ale spojrzenie zatrzymuje się na stojącej w drzwiach kuchni Ingrid.

– Stało się coś złego – mówi wysokim, pełnym napięcia głosem. W świetle dnia zauważam, że jej tenisówki różnią się kolorem. Jeden but jest czarny, a drugi niebieski. Oba są niezwiązane. – Coś naprawdę strasznego. Po prostu tu wiem.

– A pani to kto?

– Ingrid Stanfield. Siostra Sabine. – Wskazuje kciukiem na sąsiednie pomieszczenie. – Zrobiłam notatki. Są w kuchni.

Detektyw Durand przestępuje z nogi na nogę, ale nie odrywa ich od podłogi. Odwraca się w moją stronę, a z przedniej kieszeni spodni wyciąga notes.

– Z tego, co zrozumiałem, pańska żona nie wróciła wczoraj do domu.

Kiwam zdawkowo głową.

– Sabine prezentowała nową nieruchomość późnym wieczorem. Ostatnimi czasy często się to zdarzało. Jest agentką nieruchomości, i to bardzo dobrą. Wcześniej wysłała mi wiadomość, w której pisała, że wróci przed dziewiątą, ale nie zrobiła tego. Dzwoniłem do niej wiele razy. Jest sygnał, ale bez przerwy włącza się poczta głosowa.

– Ja też do niej dzwoniłam – wtrąca Ingrid, przytakując. – Wydzwaniałam do niej przez całą noc. Czy mógłby pan namierzyć jej telefon? Boję się, że miała wypadek, jest ranna i potrzebuje pomocy.

Detektyw Marcus sprawdza czas. Dochodzi dziewiąta rano. Wygląda na równie wyczerpanego co ja. Ma przygarbione ramiona i bladą, poprzecinaną zmarszczkami twarz. Zgaduję, że to koniec jego zmiany, a nie początek.

– Czy istnieje szansa, że mogła dokądś pójść? – pyta ociupinę zbyt spokojnym głosem. Brzmi tak, jakby tłumił westchnięcie albo ziewnięcie. A może obie te rzeczy naraz. – Na przykład do przyjaciela albo jakiegoś członka rodziny, albo wyskoczyła z kimś na drinka i zapomniała wam

powiedzieć?

Otwieram usta, by zaprzeczyć, ale Ingrid znowu mnie wyprzedza.

– Sabine jest zbyt odpowiedzialna, by wyjść na całą noc bez telefonu, i zawsze do mnie dzwoni. Zawsze. Właśnie stąd wiem, że coś się jej stało. Coś złego.

Odwracam się do detektywa ze zbolałym uśmiechem.

– Ingrid ma prawo się martwić. To niepodobne do Sabine, żeby nie powiadomić kogoś z nas, gdzie jest. Ich ojciec nie żyje, a matka mieszka w domu opieki w Oakmont. Jedynym miejscem, do którego mogłaby się udać, jest dom jej siostry.

– Czy któreś z was dzwoniło do Oakmont, tak dla pewności?

– Ja – mówi Ingrid. – Jedna z pielęgniarek rozmawiała z nią wczoraj przez telefon, ale pozostali członkowie personelu nie widzieli jej od tygodni.

Detektyw odwraca kartkę i dużymi literami zapisuje na następnej stronie OAKMONT. Wskazuje na kuchnię, w której nadal palą się światła, pomimo faktu, że jest wczesny ranek.

– Może usiadzimy?

– Oczywiście. – Robię zamaszty ruch ręką w stronę drzwi, zupełnie jak Vanna White, prezenterka telewizyjna z *Koła fortuny*. Zapraszamy do kuchni.

Ingrid od razu podchodzi do stołu i siada na tym samym krześle co poprzednio, plecami do ściany, z dłońmi złożonymi na bloczku papieru. Detektyw Durand wybiera moje krzesło u szczytu stołu. To mężczyzna nawykły do dowodzenia.

– Napije się pan czegoś, detektywie? Chyba mam w lodówce puszkę coli. Jeśli pan woli, mogę zaparzyć świeżej kawy.

Przyznaję, że moja propozycja nie jest całkiem bezinteresowna. Pizza zjedzona zeszłego wieczora sprawiła, że potwornie chce mi się pić, a pokazanie, że jestem zarówno pomocny, jak i otwarty, wcale nie jest złym pomysłem. Jak na razie nie wspomniał ani słowem, że mnie podejrzewa, ale z drugiej strony nie odzywał się zbyt często.

– Napiję się wody – mówi Ingrid, a ja piorunuję ją wzrokiem ponad głową detektywa.

– Czy zanim wezwaliście policję, któreś z was dzwoniło do przyjaciół pana żony? Albo kolegów z pracy?

Wijmuję trzy szklanki z szafki obok zlewu.

– Był środek nocy. Nie chciałem nikogo budzić. Jestem pewien, że moja żona nie pojechała do żadnego z nich. Prędzej udałaby się do siostry.

– Jeffrey i ja nieczęsto się zgadzamy, ale tym razem ma rację. Sabine i ja rozmawiamy wiele razy w ciągu dnia. Znam jej rozkład zajęć. Przyjechałaby do mnie i powiedziała, gdyby miała zamiar wybrać się gdzieś indziej. Dlatego to takie pilne.

Detektyw przygląda się jej z zainteresowaniem. Wyczuwam, że nie chodzi wcale o jej pewność, że jej siostrę spotkał jakiś tragiczny los, ale o pierwsze zdanie. Że ona i ja zwyczajnie się nie dogadujemy.

Ingrid wyrywa kilka pierwszych kartek z bloczku i przesuwa je po stole.

– To nazwiska i numery telefonów wszystkich osób, które według mnie mogły znać wczorajszy plan zajęć Sabine. Zostawiłam wiadomość każdemu, do kogo zdołałam się dodzwonić. Dołączyłam również rysopis Sabine, markę i model jej samochodu, adres e-mail i numer telefonu komórkowego. Jeśli poda mi pan swój numer, wyślę panu jej zdjęcie.

Detektyw Durand przegląda notatki przez kilka sekund, po czym unosi wzrok i kiwa głową.

– To bardzo pomocne, proszę pani. Świetny początek.

Jego głos jest równie szczery co wyraz twarzy, a mnie opanowuje nagłe i nieprzyjemne uczucie, że Ingrid popisuje się przede mną, sprawiając, że wyglądam na nieprzygotowanego. A nawet obojętnego i nieczułego, choć jest wręcz odwrotnie. To ja pierwszy wszcząłem alarm. Ingrid ma wprawę w tym, że bym czuł się źle we własnym domu – choć uprzejmie wytknęła, że w rzeczywistości należy do Sabine. Przez nią wychodzę na nieroba i pasożyta.

To zawsze wina męża. Szczególnie takiego jak ja – sfrustrowanego seksualnie i uzależnionego finansowo. Nie trzeba długo szperać, by odkryć nasze małżeńskie problemy. Ingrid o wszystkim wie. Ile czasu minie, zanim powie o nich detektywowi Durandowi?

Napełniam szklanki wodą z kranu, czując nagłą chęć wydania się skorym do współpracy.

– I co teraz? Jaki jest następny krok?

– Wspomniał pan, że żona miała prezentację nieruchomości. Gdzie się odbywała? O której godzinie?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że napisała, że wróci przed dziewiątą.

Ingrid wpatruje się we mnie o sekundę za długo.

– Prezentacja odbyła się o siódmej trzydzieści wieczorem. – Odwraca się w stronę detektywa. – Sabine jest główną agentką nieruchomości zajmującą się sprzedażą mieszkań w nowym kompleksie przy Linden Street. Wie pan, tym z kamiennymi kolumnami przy wejściu i wielkim, kolorowym banerem. Nie posiadam adresu domu, który prezentowała, ale znajdował się w obrębie tego kompleksu. Jej szefowa, Lisa, udzielił panu tej informacji. Jej nazwisko znajduje się na górze drugiej strony, ale będzie pan musiał namierzyć jej komórkę. Niestety, nie mam jej numeru.

Rozdaję szklanki z wodą. Detektyw Durand nie patrzy na mnie, ale podskórnie wyczuwam jego osąd. Mąż i siostra nie są przyjaciółmi. Siostra jest lepiej poinformowana od męża. Żadna z tych rzeczy nie rzuca dobrego światła na nasze małżeństwo.

– Kiedy rozmawialiście z Sabine po raz ostatni? – pyta.

– Dziś rano, dwa razy – mówi Ingrid. – Ostatnią rozmowę odbyliśmy tuż przed jedenastą. Jechała do biura. Jeffrey rozmawiał z nią po południu.

W ułamku sekundy przypominam sobie o wcześniejszym kłamstwie i przenika mnie lodowate zimno. Ingrid przerwała mi bieg, prosząc, bym dał Sabine do telefonu. Powiedziałem jej, że rozmawiałem z nią niecałą godzinę temu, żeby móc wrócić do biegania. Jeśli teraz powtórzę to kłamstwo, przyłapanie mnie na nim zajmie detektywowi Durandowi jakieś dwie sekundy. Wystarczy sprawdzić spis połączeń w moim telefonie.

Siadam na krześle naprzeciwko Ingrid i kręcę przecząco głową.

– Nie. Powiedziałem, że rozmawiałem z Sabine dziś *rano*, tuż przed wejściem na pokład samolotu lecącego do Atlanty. – Odwracam się do detektywa, chcąc wszystko wyjaśnić. – Przez cały tydzień byłem na Florydzie na konferencji sprzedawców.

Sabine błyskawicznie odwraca głowę w moją stronę, miażdżąc mnie wzrokiem.

– Kiedy zadzwoniłam do ciebie tuż przed piątą, powiedziałaś, że rozmawiałaś z nią godzinę temu, czyli w okolicach czwartej.

– Chyba źle mnie zrozumiałaś.

Ingrid przyciska roztrzęsione dłonie do drewnianego blatu.

– Słyszałam cię głośno i wyraźnie, Jeffrey. Spytałam, kiedy rozmawiałaś

z nią po raz ostatni, a ty powiedziałaś, że godzinę temu.

– Chcesz zobaczyć mój spis połączeń? Wcale tak nie powiedziałem i wcale z nią nie rozmawiałem.

Detektyw Durand unosi brwi ze zdziwienia, po czym bierze głęboki wdech przez nos, zupełnie jak rodzic mający po dziurki w nosie kłótni dwójki dzieci.

– Okej, zatrzymajmy się na chwilę. Mam rozumieć, że żadne z was nie rozmawiało z nią od wczorajszego poranka?

Kiwam głową.

– Tak. Zgadza się.

– Najwyraźniej – mamrocze pod nosem Ingrid.

– A kiedy z nią rozmawialiście, czy wspominała o jakimś niecodziennym zdarzeniu? Może jej auto szwankowało albo miała jakąś sprawę do załatwienia w innym mieście?

Ingrid i ja kręcimy głowami. W końcu mamy coś, z czym oboje się zgadzamy.

– Co do tej wieczornej prezentacji, czy któreś z was wie, kto był oprowadzanym klientem?

Ingrid czeka, aż znów pokręcę głową, po czym wysuwa triumfalnie podbródek.

– Nie znam jego nazwiska, ale był spoza miasta. To jakiś dyrektor wykonawczy, który właśnie rozpoczął pracę w fabryce Tysona. Sabine znalazła dla niego tymczasową kwatere, kiedy szukał własnego lokum – mieszkania tuż przy drodze numer 530, ale potem okazało się, że do miasta miała przyjechać jego żona. Prezentacja nieruchomości została zorganizowana bardziej z myślą o niej, niż o nim. On zakochał się w domu od pierwszego wejrzenia.

Siedzę w milczeniu, lekko zszokowany jej znajomością szczegółowych danych dotyczących pracy swojej siostry. Sabine nigdy mi o tym nie mówiła – a może mówiła. Może po prostu nie słuchałem. Co jeszcze przeoczyłem?

Detektyw Durand przegląda notatki Ingrid i stuka w kartkę długopisem.

– Czy ta Lisa O'Brien będzie w stanie podać mi jego nazwisko?

Nie kieruje już pytań w moją stronę.

– Jestem pewna, że tak – mówi Ingrid. – W rzeczywistości, gdybym

miała jej numer, sama mogłabym zadzwonić i spytać. Czy mógłby pan wyszukać ją w waszym systemie czy czymś w tym stylu?

– Oczywiście, skontaktuję się z panią O'Brien. Przejadę się również obok kompleksu, by sprawdzić, czy nie dzieje się tam nic dziwnego. Nie twierdzę, że coś może być nie tak – po prostu chcę się upewnić. Jeśli zauważę jakiegokolwiek ślady przestępstwa... – jego słowa przyprawiają mnie o dreszcz – ...każę namierzyć jej telefon i od razu się z wami skontaktuję.

– Czy może pan zająć się tym już teraz? Chodzi mi o namierzenie jej telefonu. Jeśli coś jej się stało, jeśli jest ranna albo... – Ingrid potrząsa głową, głośno przelękając ślinę. – Po prostu jestem zdania, że nie powinniśmy marnować więcej czasu.

– Zapewniam panią, że nie będę marnował więcej czasu. Zgłoszenie czyjegoś zaginięcia to sprawa priorytetowa. Przepraszam, że o to pytam, ale czy pańska żona otrzymywała jakieś groźby? Czy jest ktoś, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić?

– Nie! – wykrzykuję, tym razem ubiegając Ingrid, ale nie jestem w stanie na nią spojrzeć. Nie spuszcza wzroku z detektywa. – Oczywiście, że nie. Wszyscy kochają Sabine. Bardzo się stara być dla wszystkich miła i przyjacielska. Po części dlatego, że to jej praca, ale głównie dlatego, że już taki ma charakter. Jest uprzejma i pomocna. Zawsze była pozytywnie nastawiona do obcych.

Ingrid chrząka dyskretnie.

– To prawda. Sabine jest wspaniałą osobą.

Detektyw się uśmiecha, ale ten uśmiech ani nie jest przyjacielski, ani nie podnosi nas na duchu.

– No dobrze. Zacznę od sprawdzenia standardowych miejsc – szpitali, centrów medycznych i więzień. Chciałbym, żebyście sprawdzili wszystko, co może dostarczyć nam jakichkolwiek informacji dotyczących jej wczorajszych zajęć. E-maile, esemesy, profile w mediach społecznościowych, wspólne konta bankowe i wyciągi z kart kredytowych, i tym podobne. Zbierzcie całą listę i prześlijcie ją do mnie.

Detektyw Durand kładzie na stole wizytówkę i wskazuje na numer widoczny na dole.

– Zadzwońcie, jak tylko Sabine wróci do domu lub jeśli przypomnicie sobie o jakichś istotnych informacjach dotyczących tego, gdzie może się

znajdować. Spotkamy się później, w ciągu dnia.

Przytakuje, głównie dlatego, że nie wiem, co innego zrobić. To koniec. Przesłuchanie dobiegło końca. Detektyw wychodzi, a my siedzimy, kompletnie oszołomieni, gapiąc się na siebie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

Siedząca naprzeciwko mnie Ingrid wybucha płaczem.

Wkrótce po wyjściu detektywa wyrzucam Ingrid za drzwi i zaparzam dzbanek kawy. Ekstra mocnej i gęstej jak melasa, na powierzchni której pojawiają się mętne bąble. Nie sądzę jednak, bym potrzebował zastrzyku kofeiny. Pomimo bezsennej nocy, nie czuję się ospały, a w moich żyłach buzuje adrenalina i determinacja. Jeśli Sabine wkrótce się nie zjawi, jeśli ktoś nie odkryje, gdzie poszła i co się z nią stało, Ingrid nie będzie jedyną osobą, która pomyśli, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem swojej żony.

Detektyw Durand kazał mi przeczesać profile Sabine w mediach społecznościowych oraz konta bankowe, ale wyprzedziłem go o krok, zastanawiając się, gdzie Sabine posiała swój laptop. To wiekowy acer, gruby kawał plastiku i metalu, równie zgrabny i poręczny co żużlobetonowy pustak, i tak samo ciężki. To właśnie rozmiar tego grata jest częściowym powodem, dla którego Sabine zazwyczaj nie taszczy go do pracy. Drugim powodem jest fakt, że ma w biurze nowiutki, elegancki komputer, a w rękę bez przerwy trzyma iPhone'a.

Jednak żeby przekonać się, co knuła, potrzebuję jej danych do logowania, które trzyma w niechronionym pliku Excela na pulpicie. Nazwy użytkowników i hasła do wszystkiego, do czego są potrzebne. Adresy e-mail. Zapisy operacji bankowych. Wyciągi z karty kredytowej. Rzeczy, które pomogą mi utworzyć mapę do miejsca, w którym jest lub przynajmniej dokąd się udała.

Zaczynam od piętra i stopniowo schodzę na dół, z jednego pokoju do drugiego w poszukiwaniu jej komputera, sprawdzając po dwa, a nawet trzy razy wszędzie tam, gdzie może być. Sęk w tym, że Sabine rzadko kiedy kieruje się logiką. Traktuje swój laptop jak stary sweter albo parę butów, jak przedmiot, który rzuca, gdzie popadnie. Koncentruję swoje poszukiwania na miejscach, w których Sabine lubi przesiadywać. Na

przykład na naszym łóżku, z laptopem leżącym na jej udach. Na lewym brzegu kanapy, na którym siedzi z podkurczonymi nogami jak kot. Przy biurku w gabinecie i na szezlongu przy oknie w salonie. Zaglądam na półki i pod stoły, sprawdzam sterty papierów i książek, unoszę rąbki narzut i koców. Żadnego śladu laptopa.

Typowe.

Zanim przejdę do następnego, staję na środku każdego przeszukanego pokoju i dzwonię na jej komórkę. Gdziekolwiek jest, istnieje szansa, że ma telefon przy sobie i że nie zostawiła go w domu. Wybieram jej numer i wstrzymuję oddech, nasłuchując znajomej melodyjki, a jeśli telefon jest wyciszony, to stłumionego buczenia albo wibracji dobiegających spod sterty poduszek albo ubrań. Jednak jedynym dźwiękiem są cztery długie sygnały, po których od razu zostaję przekierowany na pocztę głosową. Rozłączam się i przechodzę do następnego pomieszczenia.

Po godzinie wracam z pustymi rękami do miejsca, od którego zacząłem, czyli do kuchni.

Nalewam sobie kubek gęstej, czarnej mazi i siadam z klapnięciem na stołku barowym.

Może się pomyliłem. Może wczoraj był jeden z tych rzadkich dni, kiedy Sabine potrzebowała komputera w pracy, żeby wyszukać czegoś w systemie wymiany ofert między pośrednikami nieruchomości albo stworzyć wzór umowy w jakiejś kawiarni w trakcie przerwy między prezentacjami. W takim wypadku będę musiał pojechać do jej biura i go odebrać. Oczywiście pod warunkiem, że zostawiła go właśnie tam, a nie wrzuciła luzem do bagażnika ani nie zostawiła na podłodze auta. Często widziałem go, jak wystawał z płóciennej torby, którą wszędzie ze sobą nosiła. Wiecznie się o nią potykam, gdy ciska ją obok drzwi do garażu, zajęta szukaniem kluczy.

Zeskakuję ze stołka, pędzę do garażu i *voilà!* Torba leży na zimnej, betonowej podłodze. Podnoszę ją za rączki i zabieram do środka.

Laptop jest kompletnie rozładowany. Żadna niespodzianka. Sabine od dawna powinna była wymienić baterię, choć w rzeczywistości potrzebuje nowego komputera. Takiego, który nie wymaga niemalże nieustannego ładowania.

Podłączam go do gniazdka pod wyspą kuchenną i włączam, dolewając sobie kawy i czekając, aż się uruchomi. Trwa to całe wieki. Moje myśli

szybują ku znajdującej się po drugiej stronie miasta Ingrid, która pewnie robi dokładnie to samo – siedzi skulona nad laptopem, sama w swojej kuchni, przeczesując pliki w poszukiwaniu siostry bliźniaczki. Oczami wyobraźni widzę jej czerwony, spuchnięty nos, włosy nastroszone od poduszki, zezowate oczy, gdy mówiła tamte ohydne słowa – *Wiem, co zrobiłeś Sabine* – i przenika mnie chwilowa furia. Ingrid myśli, że mam z tym coś wspólnego, że jakimś cudem stoję za zniknięciem własnej żony. Ta myśl sprawia, że mam ochotę ją udusić.

Acer wydaje z siebie metaliczny pisk, a ekran rozjarza się od okienka do logowania. Widzę migający kursor, ale hasłem może być cokolwiek. Data urodzin Sabine albo moich. Rocznica naszego ślubu. Kombinacje tych dat i naszych imion. Wraz z każdą próbą okienko do logowania mruga, ale nie pozwala mi przejść dalej.

Sabine wybrałaby coś łatwego do zapamiętania. Nie posiada żadnego hobby, a my nie mamy zwierząt ani dzieci. Wpisuję pozostałe osoby w jej życiu, najpierw matkę, a potem zmarłego ojca. Nadal nic. Wzdycham i wpisuję w okienko imię Ingrid wraz z jej datą urodzenia – od której w ogóle powinienem był zacząć – i bingo. Okno logowania znika i pojawia się pulpit.

Z programu do maili Sabine, który jest jednym wielkim bałaganem, wysyłam sobie jej plik z hasłami. Ma na poczcie ponad dwadzieścia tysięcy nieodczytanych wiadomości, począwszy do reklam sklepów, spamu, próśb o możliwość obejrzenia nieruchomości, automatycznie wygenerowanych z systemu MLS oraz Re/Max. Przedarcie się przez ten chaos w poszukiwaniu czegoś istotnego potrwa całe wieki, szczególnie że nie bardzo wiem, czego dokładnie mam szukać. Zamiast tego przechodzę do wysłanych wiadomości i zaczynam od góry. Umowy, strategie pozyskiwania klientów i inne tego typu rzeczy. Po wiadomości, którą przed chwilą wysłałem, najnowsza jest z wtorku, czyli sprzed dwóch dni.

Zamykam pocztę i wchodzę na Facebooka.

Sabine ma jakieś trzy tysiące znajomych, z których większość wcale nimi nie jest. Klienci, koledzy z pracy, ludzie z klubu rotariańskiego i biznesowego. Wchodzę na jej profil, przewijając post za postem, w których chwali się wynikami sprzedaży oraz zdjęciami sprzedanych domów. Nic dziwnego, że stale wisi na telefonie, stukając kciukami w klawiaturę jak nastolatka. Jej profil na fejsie to chodząca reklama jej

usług i sukcesów.

W połowie przewijania zatrzymuję się na filmiku z zeszłego tygodnia, transmisji na żywo z nowo wybudowanego domu przy Longmeadow Street. Jestem zszokowany widoczną pod nim liczbą, czyli 758 odsłonami. Rozumiem, że Sabine jest liderką wśród pośredników sprzedaży, ale żeby było ich aż tyle? Klikam na filmik, a licznik zmienia się na 759.

Nagranie ładuje się, a po chwili już ją widzę. Moją nieobecną żonę. Ma na sobie ulubioną letnią sukienkę, żółtą z falbankami wokół rąbka, i złoty wisiołek, który podarowałem jej w zeszłe święta, wiszący na łańcuszku. Jej związane w wysoki kucyk włosy podskakują radośnie, gdy mówi, muskając opalone ramię.

– Cześć wszystkim. Mówi do was Sabine Hardison, prosto sprzed najbardziej bajecznego domu w okolicy. – Parska śmiechem. – No dobra, wiem, że mówię tak przy każdej okazji, ale ten naprawdę jest najbardziej wyjątkowym domem, jaki kiedykolwiek widziałam. Posiada cztery olbrzymie sypialnie, pięć łazienek – tak, zgadza się, dobrze usłyszeliście, na każdą z sypialni przypada w pełni wyposażona łazienka – oraz główną sypialnię, którą koniecznie musicie zobaczyć. Zajrzyjmy do środka, dobrze?

Wygląda na szczęśliwą. Jej skóra wręcz lśni, a policzki są zaróżowione z podniecenia, gdy objeżdża kamerą wnętrze domu, zatrzymując się na najbardziej okazałych elementach wyposażenia. Gdy zapisała się na kurs pośrednika nieruchomości w Little Rock, narzekałem na ilość poświęconego mu czasu i wcale nie kryłem się z pretensjami o to, jak bardzo ucierpi na tym nasze małżeństwo i życie towarzyskie. Wiedziałem jednak, że będzie w tym świetna. Prawdę mówiąc, to był główny powód moich zmartwień. Pochyliam się na krześle, przypominając sobie, jak uśmiechała się do mnie w ten sposób. Kiedy to ja byłem tą osobą, dzięki której promieniała ze szczęścia.

Komputer wydaje z siebie piknięcie, a na dole ekranu otwiera się nowe okno dialogowe. To wiadomość od jakiejś kobiety o imieniu Bella.

Cześć. Wczoraj wieczorem spotkałam w sklepie Trevora. Wypytywał o ciebie. Bez przerwy. Czy widziałam się z tobą ostatnio, czy rozmawialiśmy, o czym rozmawialiśmy. Nie chciał powiedzieć dlaczego, tylko uśmiechnął się do mnie od ucha do ucha, zupełnie jak kot, który właśnie napił się śmietanki. Czy to ty jesteś śmietanką? Wiesz, że jestem tu, w razie gdybyś chciała pogadać. XO

Odchylam się na stołku.

Trevor. Kim, do kurwy nędzy, jest Trevor?

Klikam na listę znajomych Sabine i wpisuję imię w pasek wyszukiwania, ale nie pojawia się żaden wynik. Powtarzam to samo w jej poczcie i tym razem się udaje. Natrafiam na całe mnóstwo wiadomości, wysłanych i otrzymanych, od doktora Trevora McAdamsa, ginekologa położnika ze szpitala Jefferson Regional. Najwyraźniej Sabine sprzedała mu zeszłej jesieni dom.

Najnowsze wiadomości to nudna wymiana zdań z listopada. Ustalanie terminu spotkania w celu podpisania umowy, oficjalne przekazanie kluczy. Przeglądam ich rozmowę, ale nie znajduję niczego szczególnego. Żadnych kokieteryjnych podtekstów, absolutnie nic, co by sugerowało jakiegokolwiek „spijanie śmietanki”. Jedyna rzecz, która choćby w przybliżeniu jest osobista, to fakt, że życzy jej spokojnego Święta Dziękczynienia. Sabine dziękuje mu i pisze, że ma nadzieję, że on i jego rodzina będą szczęśliwi w nowym domu.

Jego rodzina.

Chyba przesadzam. Trevor to ginekolog położnik, więc istnieje prawdopodobieństwo, że może być lekarzem Sabine. Nie dlatego, że jest w ciąży, bo to niemożliwe, kiedy nie uprawia się seksu od pięciu – o tak, policzyłem – miesięcy. Tyle że kobiety chodzą do ginekologa z różnych powodów. Może Sabine chodzi właśnie do niego.

Przewijam w dół do jego nazwiska, klikam i wchodzę w opis jego osoby na stronie internetowej szpitala. Trevor McAdams to przystojny facet po czterdziestce. Ma nieskazitelną skórę, przenikliwe oczy i gęstą grzywę włosów zaczesanych do tyłu, odsłaniających szerokie czoło. Wiele kobiet nie miałoby nic przeciwko temu, żeby jego twarz znalazła się między ich nogami.

Czy moja żona do nich należy?

Wracam do maili i otwieram jeden z załączników. Osiem miesięcy temu Trevor wydał nieco ponad trzysta tysięcy dolarów na nowo wyremontowany dom o powierzchni tysiąca czterystu metrów kwadratowych, znajdujący się przy cichej ulicy wychodzącej na Pine Bluff Country Club. To naprawdę imponujący metraż, a dom mieści się w najelegantszej części miasta. Żadnego kredytu, co oznacza, że facet

zarabia od cholery pieniędzy, więcej niż Sabine i ja razem wzięci. Zapisuję jego adres na karteczce samoprzylepnej: 1600 Country Club Lane.

Otwieram kalendarz Sabine w poszukiwaniu adresu wczorajszej prezentacji, ale jest pusty. Nie aktualizowała go od wieków, może nawet nigdy. Zamiast tego klikam ikonkę przeglądarki internetowej i przechodzę do Google, gdzie Sabine jest już zalogowana. Zastygam w bezruchu, przytrzymując kursor nad symbolem Gmaila.

Sabine ma konto Gmail?

Nieruchomieję kompletnie, gapiąc się w ekran pustym wzrokiem. Oddycham szybko przez nos. Moje palce spoczywają na myszce. Jeśli kliknę, doskonale *wiem*, co tam znajdę.

Setki rozmów w komunikatorze internetowym, wszystkie z Trevorem McPieprzonymAdamsem.

Muszę się z tobą zobaczyć. Choćby na chwilę.

Siedzę obok niego i myślę o tobie.

Spotkajmy się za pół godziny w naszym miejscu.

Powiedziałeś, że wcale się w sobie nie zakochamy. Skłamałeś. (Cieszy mnie to).

Jestem gotów im o wszystkim powiedzieć, Sabine. Jestem gotów zrobić ten krok pod warunkiem, że ty też będziesz.

O mój Boże, czy naprawdę się na to odważymy? Czy damy radę?

Tak, do cholery. Wystarczy, że powiesz jedno słowo.

Kocham cię. Powiedzmy im w ten weekend.

Kawa w moim żołądku zmienia się w olej. Odsuwam od siebie kubek. Ślizga się po blacie i wpada do zlewu. Dobrze, że Sabine tu nie ma, bo gdyby była, to chyba bym ją zabił. Nie. Najpierw zrobiłbym jej krzywdę, a potem skrzywdziłbym Trevora, i *dopiero* potem zabiłbym ich oboje. Nic dziwnego, że uśmiechał się jak spijający śmietankę kot. Przez Bóg jeden wie ile miesięcy on i moja żona udawali się na sekretne eskapady, a ja odgrywałem rolę naiwnego, głupiego, nieświadomego niczego męża. Gdzieś po drugiej stronie miasta jakaś suka o imieniu Bella śmieje się do rozpuku. Ze *mnie*.

Czy to właśnie tam jest Sabine? W łóżku, z *nim*?

Mój wzrok pada na karteczkę z adresem. 1600 Country Club Lane.

Dziesięć minut później siedzę już w samochodzie, zaciskając dłonie na

kierownicy i wbijając gaz do dechy.

MARCUS

Tę sprawę załatwiam zgodnie z procedurą.

Zaczynam od domu pokazowego. Obchodzę przyległe tereny i szukam na ziemi śladów – butów i opon. Przyciskam twarz do szyb i zaglądam do wszystkich pokoi. Dom faktycznie zasługuje na miano „pokazowego” – każde pomieszczenie jest zawałone ekstrawaganckimi, nowoczesnymi meblami, a każda płaska powierzchnia zastawiona ozdobnymi miseczkami, świecami i innym szajsem. Próbuję otworzyć drzwi i zasuwę w oknach, ale budynek jest zamknięty na cztery spusty. Nie widać, by oprócz dekoratora wewnątrz przebywał w nim ktokolwiek inny.

Potem udaję się do biura na spotkanie z szefową Sabine, Lisą, wyperfumowaną blondynką w rubinowoczerwonym garniturze i ustami w tym samym kolorze. Według niej Sabine nie tylko nie pojawiła się na wieczornej prezentacji, ale także opuściła wczorajsze popołudniowe szkolenie w firmie, na którym miała omawiać budowanie platformy w mediach społecznościowych.

– Pan chyba nie rozumie – mówi Lisa, marszcząc ostrzyknięte botoksem brwi. – Sabine to moja najciężej pracująca pośredniczka. Zawsze jest na czas, zwłaszcza jeśli chodzi o prezentacje nieruchomości. Jeśli mam być szczerą, detektywie, to bardzo niepokojące. I *w ogóle* do niej niepodobne.

Pozostali agenci mówią mniej więcej to samo. Sabine jest odpowiedzialna, rozważna i punktualna. Podobnie jak Lisa, martwią się, że coś mogło się jej stać. Wypadek albo coś znacznie gorszego.

– Czy mogła wybrać się na jakieś wakacje last minute? – pytam każdego z nich. – Może potrzebowała wyjechać stąd na dzień lub dwa.

Wszyscy zgodnie kręcą głowami.

Jadę na posterunek, by napisać raport, gdy dzwoni mój telefon. To Bryn. Moja reakcja jest natychmiastowa i fizyczna. Twarz wykrzywia mi grymas, a płuca zapadają się w sobie jak przekłuty balon. Od śmierci jej męża – mojego byłego partnera – minęły trzy lata – a telefony od niej

nadal są dla mnie jak ciosy prosto w brzuch.

Tłumiąc jęk, zakładam zestaw słuchawkowy.

– Hej, Bryn.

– Cześć, Marcus. Masz chwilę?

Pociąga nosem, a ja wiem, że to wcale nie będzie chwila. Nie mam na to czasu. Muszę wrócić jak najszybciej na posterunek, przepuścić nazwisko Sabine przez wszystkie dostępne bazy danych, upewnić się, że komendant Eubanks zobaczy, jak ciężko pracuję, zadbać o to, by wszyscy w wydziale wiedzieli, że spotkałem tę zaginioną kobietę raz, kiedy pokazywała mojej żonie i mnie dom. Wszystko po to, by nikt nie zadawał po drodze niewygodnych pytań. Muszę powiadomić wszystkich policjantów na patrolach, by wypatrywali jej wozu.

Dawno, dawno temu złożyłem Bogu i Brianowi obietnicę – że będę opiekował się jego synami, że będę przyjeżdżał na ich urodziny i rozdania dyplomów, upewniał się, że chodzą do kościoła i trzymają z dala od kłopotów. To dwa małe czorty, ale kocham ich, jakby byli moimi dziećmi. Problem w tym, że nie przepadam za wdową po Brianie, Bryn.

Wróc. Nie chodzi o to, że jej nie *lubię*, ale nie zawsze zgadzam się z jej metodami wychowawczymi. Rozpieszcza chłopców, pozwala im na zdecydowanie zbyt wiele, a bez mężczyzny w domu, który mógłby temu zapobiec, całkiem wejdą jej na głowę. Bez przerwy dzwoni do mnie, żeby ponarzekać – o tym, że rządzą nią, jak chcą, że przydałaby im się mała reprimenda. Moja żona, Emma, twierdzi, że to rozpaczliwa próba nawiązania relacji z innym dorosłym mężczyzną – w tym przypadku ze mną. Emma nie jest najlepszą psycholożką, ale tu chyba ma rację.

Bryn wzdycha do telefonu.

– Właśnie sprzątałam pokój Timmy’ego i znalazłam całą stertę zabawek, których nigdy wcześniej nie widziałam. Jakieś spinnery, no wiesz, te obrotowe zabawki, którymi dzisiaj bawią się dzieciaki, oraz całą masę rzeczy, która do niego nie należy. Problem w tym, że ja ich nie kupiłam i nie ma opcji, żeby kupił je samodzielnie. Po pierwsze, potrzebowałby mnie, żebym zawiozła go do sklepu, czego oczywiście nie zrobiłam. Zabawki są drogie. Jakim cudem udałoby mu się je kupić za kieszonkowe w postaci dolara tygodniowo?

– Myślisz, że je ukradł?

– Z przykrością myślę tak o własnym synu, ale nie wiem, jak inaczej

byłby w stanie je zdobyć. Nie dostał ich ode mnie, tego jestem pewna. – Urywa, dając mi czas na złożenie propozycji. Na powiedzenie, że już do niej jadę. – Umiesz do niego trafić, Marcus. Timmy mówi ci rzeczy, którymi nie dzieli się ze mną.

Nie mam na to czasu. Jestem już prawie na posterunku, a powrót do jej domu zajmie co najmniej pół godziny, a może więcej, samej jazdy. Wizyty u Bryn nigdy nie są krótkie. Wiążą się z nimi płaczliwe rozmowy, niezręczne uściski, niekończące się gadki motywujące i litry mrożonej herbaty. Nie mam na to czasu.

Moje myśli wędrują ku Brianowi i już wiem, że nie mogę odmówić.

Uderzam pięścią w kierownicę, po czym skręcam gwałtownie w lewo, robiąc na środku drogi zakręt o sto osiemdziesiąt stopni.

– Zaraz u ciebie będę.

Dwanaście minut później zatrzymuję się z piskiem opon przed domem, zaniedbanym ranczem, które pamięta lepsze czasy. Trawnik wymaga skoszenia, okiennicom przydałaby się warstwa nowej farby, a na dachu brakuje co najmniej kilkunastu dachówek. Kręcę głową, otrząsając się z zamyślenia. To nie mój obowiązek. Nie mam czasu na takie rzeczy.

Idę podjazdem, gdy nagle otwierają się drzwi frontowe, a na zewnątrz wychodzi Bryn. Schudła jeszcze bardziej, od kiedy wzywała mnie do siebie po raz ostatni, czyli niecały miesiąc temu, i wygląda, jakby sypiała jeszcze mniej niż ja. Błada skóra, worki pod oczami. Lubi żartować, że dzieciaki próbują ją wykończyć, a ja nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy to faktycznie prawda.

– Dzięki, że przyjechałeś – mówi. – Nie wiedziałam, co robić ani do kogo zadzwonić.

Może do jej ojca, który mieszka kawałek dalej? Do brata Briana, który mieszka w sąsiednim mieście, albo któregoś z piętnastu innych policjantów, którzy stali przy niej w trakcie pogrzebu jej męża? Z tego, co widzę, nie jestem jej ostatnią deską ratunku, tylko w ogóle jedyną. Złożyłem obietnicę Brianowi i zamierzam jej dotrzymać, ale w chwilach takich jak ta chciałbym, żeby Bryn przyjęła pomoc od innych ludzi.

Całuję ją w policzek, który jest zimny i blady.

– Jak on się czuje?

– Dąsa się. Siedzi na górze w swoim pokoju.

Klepię ją po ramieniu i wchodzę do środka, pokonując po dwa stopnie

naraz. Drzwi pokoju Timmy'ego, ostatnie na końcu korytarza, są zamknięte, ale jestem całkiem pewien, że wcale się nie dąsa. Zza drewnianych drzwi dolatują odgłosy gry komputerowej, chyba jakiegoś pościgu. Stukam w nie palcem.

– Hej, Timmy. To ja, Marcus.

Timmy jest starszym bratem, chudym i żyłastym dzieciakiem z niesfornymi włosami po ojcu, wykonującym całkiem niezły rzut w wyskoku. Miał tylko cztery lata, gdy zmarł jego ojciec. Oberwał kulkę prosto w klatkę piersiową w trakcie rutynowej kontroli drogowej. Usłyszałem huk, uniosłem wzrok, Brian leżał na ziemi, a dzieciak, który go postrzelił, zaczął uciekać. Obecnie odsiaduje karę dożywocia, ale sęk w tym, że Timmy ledwie pamięta swojego ojca. Pamięta jedynie mnie, zastępującego mu ojca.

Gdy nie odpowiada, otwieram drzwi i wsuwam głowę do środka.

– Chyba się domyślasz, dlaczego tu jestem.

Timmy leży na łóżku w spodniach od dresu. Patrzy na mnie z zawstydzonym wyrazem twarzy. Kolejna porażka wychowawcza Bryn. Dzwoni do mnie tylko wtedy, gdy jedno z jej dzieci potrzebuje dyscypliny, czyli przez cały cholerny czas. Skoro ona jest popychadłem, to ja robię za czarny charakter – nie jestem rodzicem, tylko zwolennikiem dyscypliny, choć widziałbym się raczej w roli fajnego ojca chrzestnego.

– Tak, wiem. – Wzrok Timmy'ego pada na monitor. Wraca do gry, manipulując kciukiem przy joysticku. Jego widoczny na ekranie samochód, jaskrawozielony mustang, pruje po piaszczystej drodze.

Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi.

– Wytłumaczysz mi, o co chodzi?

Kręci przecząco głową.

– Nie-e.

– Daj spokój, Timmy. Albo wyłączysz grę, albo ja to zrobię.

Timmy wzdycha, ale wciska pauzę. Gdy w pokoju zapada cisza, wbija wzrok w kolana. Siadam na brzegu jego łóżka.

– Słuchaj, jest taka sprawa. Zaginęła kobieta. Nie ma jej od jakichś... – zerkam na zegarek, licząc w myślach – ...dwudziestu czterech godzin. To najważniejsze godziny śledztwa, a im bardziej oddalamy się w czasie od momentu jej zniknięcia, tym mniejsza istnieje szansa na to, że w porę ją znajdę. W ogóle nie powinno mnie tu być, ale jestem, bo ty też jesteś dla

mnie ważny.

Obrzuca mnie ukradkowym spojrzeniem.

– Myślisz, że ta kobieta żyje?

Powinienem był wiedzieć, że uczepi się tego fragmentu. Tak to już jest, kiedy w bardzo młodym wieku traci się rodzica. Zaczyna się żywić nienaturalne zainteresowanie śmiercią i umieraniem.

Jednak Timmy jest bystry i wie, kiedy ktoś go okłamuje.

– Stary, nie wygląda to za dobrze.

– Och.

– No właśnie, och. – Kładę dłoń na jego chudej nodze i potrząsam nią lekko. – A teraz pomóż mi i powiedz, skąd wzięłeś te zabawki.

Timmy rzuca joystick na łóżko i schyla się, by wyjąć ze stolika nocnego jakiś zeszyt. Przewraca kartki i zatrzymuje się na stronie zapisanej wielkimi, koślawymi literami oraz cyframi w krzywych kolumnach. Wpatruję się w kartkę, odczytując listę nazwisk i zabawek. To przypomina rejestr albo stronę z dziennika pokładowego.

– Wymieniałeś się swoimi zabawkami i gramami?

– Tak, ale na krótko. Mieliśmy pooddawać sobie nasze rzeczy, gdy już nam się znudzą, tyle że mama wszystko zabrała, więc nie mogę tego zrobić. Dlatego trzymałem listę, żeby nie zapomnieć, kto ma moje rzeczy.

Rzucam zeszyt na łóżko, tłumiąc uśmiech. Ten dzieciak to diabeł wcielony, ale nie złodziej. W rzeczywistości jego pomysł jest genialny. Bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, właśnie stworzył coś na zasadzie wypożyczalni.

– No dobrze, ale chyba wiesz, że gdybyś powiedział wszystko mamie, nie musiałbym się tu fatygować.

Timmy marszczy brwi i krzyżuje chude ramiona na piersi, jakbym powiedział coś złego. Próbuję domyślić się, o co może chodzić, gdy dzwoni mój telefon. Spoglądam na ekran. To wiadomość od Ricka, drugiego detektywa.

Żadnego śladu zaginionej w szpitalach, ośrodkach zdrowia, więzieniach i kostnicach. Brak śladów samochodu i aktywności telefonu.

Odpisuję „Już jadę, będę za 15 minut” i wsuwam telefon do kieszeni.

– Posłuchaj. Musisz mi obiecać dwie rzeczy. Timmy, spójrz na mnie. –

Czekam, aż napotka moje spojrzenie, po czym unoszę kciuk do góry. – Po pierwsze, powiesz mamie prawdę o wymienianiu się zabawkami. Wytłumaczysz jej to tak jak mnie. Pokażesz jej listę. Twoja mama to mądra kobieta i bardzo cię kocha. Pomyśli to samo co ja, że jesteś bystry i wpadłeś na genialny plan. Dasz radę to zrobić?

Kiwa niechętnie głową.

Prostuję drugi palec, przytrzymując go przy kciuku.

– Po drugie, kiedy następnym razem będziesz chciał się ze mną zobaczyć, weź telefon i zadzwoń. To o wiele prostsze dla wszystkich zainteresowanych. I o wiele lepsze niż pakowanie się w kłopoty tylko po to, żebym do was przyjechał.

Spojrzenie, którym mnie obrzuca, mówi mi, że miałem rację. Jego matka nie jest jedyną osobą w rodzinie, której trzeba odrobiny męskiego wsparcia. Chłopcy również go potrzebują. Postanawiam być lepszym człowiekiem i lepiej postępować.

Mierzwię mu włosy i wstaję z łóżka.

– Jak tylko rozwiążę tę sprawę, zrobimy coś fajnego, tylko ty i ja. Pójdziemy do kina albo na mecz. Ty wybierasz. Co ty na to?

Timmy spogląda na mnie ze swojego miejsca na łóżku i uśmiecha się.

– Brzmi świetnie.

– A teraz chodź tu i przytul mnie, bo muszę już iść.

To chyba najszybszy przytulas w dziejach, podobnie jak tempo, w jakim zbiegam na dół po schodach. Bryn czeka na mnie u ich stóp, a na jej twarzy odmalowuje się jednocześnie nadzieja i rozczarowanie. Nie zostanę ani sekundy dłużej. Widać to wyraźnie po sposobie, w jaki uderzam stopami w podłogę. Nie zatrzymuję się, zmiierzam prosto w stronę drzwi.

– Pogadaj z Timmym. Obiecał, że wszystko ci wyjaśni. – Mój telefon wibruje. To znowu Rick. Píše, że prawdopodobnie widziano gdzieś samochód Sabine. *Cholera*.

– Na pewno nie możesz zostać? – pyta Bryn.

– Zadzwoń później – mówię i już mnie nie ma. Biegnę przez trawnik w stronę samochodu.

BETH

Zatrzymuję się przy dwupiętrowym domu w Westside i sprawdzam adres dwa razy – 1071 English Street. Ogarniam wzrokiem łososiowo-różowe ściany, biały płot, idealnie przycięty trawnik ozdobiony na krawędziach barwnymi niecierpkami. Z zewnątrz Mogran House prezentuje się wybornie. Sto razy lepiej niż rudera przy Wylie Street, nie wspominając już nawet o zamieszkujących ją kurwach.

Parkuję przy krawężniku, zarzucam torbę na ramię i idę w stronę drzwi.

Kobieta, która je otwiera, jest naprawdę słusznego wzrostu. Ze smukłym ciałem jak u pantery i nogami po samą szyję wygląda jak amazonka. To najwyższa kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam. Mój wzrok zatrzymuje się na jej gardle, ale nie dostrzegam jabłka Adama.

Wychodzi na werandę w dziesięciocentymetrowych obcasach, a ja muszę zadrzeć głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Mogę w czymś pomóc?

Głos ma donośny i wibrujący, zupełnie jakby mówiła do pustego dzbanka.

Chrząkam i uśmiecham się.

– Tak. Szukam właściciela domu.

– Cóż, w takim razie masz szczęście, bo właśnie go znalazłaś. – Wyciąga w moją stronę dłoń wielkości patelni. Paznokcie ma długie i ostro zakończone, pomalowane na lśniący róż. – Nazywam się panna Sally. A ty jesteś...?

Ma idealny, choć odrobinę zbyt ciężki makijaż. Usta w kolorze fuksji, obrysowane kredką i ozdobione cieniami powieki oraz różowawy bronzer podkreślający kości policzkowe. Przyglądam się jej brodzie w poszukiwaniu malutkich, ledwie widocznych włosków świadczących o wąsach – jest zbyt wcześnie, by pojawił się na niej jakikolwiek cień zarostu – ale nic nie widzę. Jej podkład wygląda jak namalowany

sprejem. Niezła tapeta, ale idealnie dopracowana.

– Beth Murphy – mówię, ściskając jej dłoń. – Znajomy dał mi ten adres, bo szukam...

– Nie wyglądasz jak Beth. – Odchyła się nieznacznie i świdruje wzrokiem moją twarz, włosy, podejrzenie ciemne brwi, które zapomniałam ufarbować, aż w końcu było na to za późno. – Wyglądasz bardziej jak Haley albo Madeline.

Czuję, jak na zmianę oblewa mnie zimno i gorąco. Nie wyglądam jak Beth. Najgorsze, że wcale się nią nie czuję. Workowate ubrania i ufarbowane drogeryjną farbą włosy to kiepska przykrywka. Jestem Beth dopiero jeden dzień, a już czuję, jak mi się wymyka.

Panna Sally parska śmiechem, klepiąc mnie żartobliwie po ramieniu.

– Złotko, nabijam się z ciebie. W moim domu możesz być, kim tylko chcesz. Wchodź do środka, to cię oprowadzę.

Przekraczam próg mikroskopijnego hallu, a ona zamyka za mną drzwi. Z pokoju po mojej lewej dobiega ryk telewizora; kwadratowe pomieszczenie zastawione jest kanapami i krzesłami nie od kompletu, stołem i półkami na książki. Jediną osobą, która w nim siedzi, jest mężczyzna w przybrudzonych dżinsach i żółtym kasku ochronnym. Patrzy na mnie ze swojej miejscówki na kanapie i unosi podbródek na powitanie.

– To salon, pokój telewizyjny i gabinet w jednym – mówi panna Sally. – Książki na półkach są wypożyczone, więc nie zostawiaj ich po całym mieście ani nie sprzedawaj w sklepach charytatywnych. W szafce są karty, rzutki i gry planszowe. Wi-Fi jest darmowe, ale automaty z przekąskami już nie. Parking znajduje się na tyłach budynku.

– Wygląda świetnie – mówię, ale moje słowa wpadają w próżnię.

Panna Sally jest już w połowie długiego wąskiego korytarza. Przyśpieszam kroku, by za nią nadążyć, zaglądając po drodze do mijanych sypialni. Każda jest mała, ale schludna – stoi w niej pojedyncze łóżko, komoda i praktycznie nic więcej.

– Dopiero co przyjechałaś do miasta, Beth? – pyta, zatrzymując się na wąskim dywanie w korytarzu i odwracając w moją stronę.

– Tak. Tak się złożyło, że akurat dzisiaj.

– Jak ci się podoba Atlanta?

– Jest w porządku. Macie tu mnóstwo korków.

Parska śmiechem, w którym nie ma nawet cienia wesołości.

– W dodatku jest tu gorąco jak w piekle, sąsiadujemy z Tennessee i mieszka tu zdecydowanie zbyt wielu republikanów. Ale nie jest tak źle, jak się wydaje, sama się przekonasz. Przyjechałaś sama?

– Tak.

– Skąd dokładnie?

– Z zachodu.

Unosi brew, sugerując, że chciałyby poznać więcej szczegółów.

Jesteś świetnym kłamcą. Przez lata przyglądałam się, jak mówisz prawdę, ilekroć jest to możliwe, i nie ubarwiasz jej zbyt wieloma detalami, o których mógłbyś później zapomnieć. Kłamstwa nawarstwiają się, mnożą, a czasem zaprzeczają same sobie. Trzymanie się czegoś, co jest możliwie jak najbliższe prawdy, to jedyny sposób, byś mógł pamiętać o wszystkich swoich kłamstwach, nie dopuścić, by zaczęły się piętrzyć, oraz uchronić się przed ewentualną wpadką przy najprostszym pytaniu.

Idę za twoim przykładem.

– Nie przyjechałam tu z żadnego konkretnego miejsca. Dużo podróżuję i stale się przeprowadzam.

Ta odpowiedź zdaje się satysfakcjonować pannę Sally, która odwraca się na pięcie i stuka palcem w drzwi.

– Mamy tu trzy łazienki – ciągnie i naciska kłamkę. – Na cztery pokoje przypada jedna łazienka, a wszystkie wyglądają praktycznie tak samo jak ta.

Odsuwa się na bok, bym mogła zajrzeć do środka. Stoją tu dwie umywalki, sedes, a w kącie znajduje się przeszklona kabina prysznicowa, praktyczna i oślepiająco biała. W pomieszczeniu unosi się zapach świeżości, coś jak mieszanka Old Spice i wybielacza.

– Czas trwania prysznicowa wynosi trzy minuty. Wiem, wydaje się, że to krótko, ale jeśli się nie guzdrzesz, jesteś w stanie ogarnąć wszystko w tym czasie. Jeśli nie... cóż, dobrze wiemy, co tam robisz. Lepiej, żebyś *nie* przekraczała dozwolonego czasu. Ludzie zaczynają walić w drzwi, gdy mijają dwie minuty i pięćdziesiąt dziewięć sekund, i raczej nie liczyłabym, że będą przyjaźnie nastawieni. Suki, które zużywają całą gorącą wodę, nie są tu mile widziane. Tyle ci mogę powiedzieć.

– Jest bardzo czysto.

Żadnych szczoteczek do zębów, lepiących się tubek z kremem albo pastą

czy rzuconych na podłogę ręczników. Łazienka jest nieskazitelnie czysta.

Panna Sally przytakuje, zadowolona, że zwróciłam na to uwagę.

– To dlatego, że wszystko, co po sobie zostawisz, zostaje skonfiskowane. Jeśli nie przeze mnie, to przez następną osobę, która wchodzi po tobie. Nie zostawiaj swoich gratów na widoku – to jedna z zasad tego domu.

– A jakie są pozostałe?

Odhacza je na długich jak strączki fasoli palcach.

– Żadnego palenia, narkotyków i wpuszczania na noc innych osób. Jeśli do północy nie zjawisz się przed drzwiami, będziesz spać na trawniku. A poza tym, postaraj się być dla wszystkich miła, a nic ci nie będzie.

– Czy to oznacza, że mogę się wprowadzić?

Zamiast udzielić odpowiedzi, panna Sally odwraca się i idzie dalej korytarzem.

– Kuchnia jest tutaj, a pralnia znajduje się w piwnicy. Jedno pranie kosztuje dolara, monetę wrzucasz do skrzynki zamontowanej na ścianie. Przestrzegamy tu zasad i kierujemy się kodeksem honorowym, więc niech ci się nie zdaje, że zdołasz mnie wykiwać. Nie twierdzę, że wszędzie mam kamery, ale lepiej zakładać, że tak jest.

Wzdrygam się na dźwięk słowa „kamery”, a mój wzrok automatycznie wędruje w stronę sufitu.

Panna Sally wybuchą grzmiącym śmiechem, który wypełnia korytarz jak solówka na wiolonczeli.

– Przecież nie powiem ci od razu, gdzie są, prawda?

Nie umiem stwierdzić, czy pogrywa ze mną, czy nie.

– Jaka jest cena wynajmu?

– Koszt wynajmu pokoju jednoosobowego to dwadzieścia cztery dolary za noc. Czynnysz w gotówce jest płatny co niedzielę, w południe. Żadnych wyjątków. Jeśli przyjdiesz do mnie z niewystarczającą ilością pieniędzy albo się spóźnisz, wylatujesz.

To o kilka dolców więcej niż na Wylie Street, ale standard nieporównywalnie lepszy. Kiwam głową, zgadzając się.

Patrzy na mnie z góry, a cisza zalegająca w korytarzu sprawia, że czuję ściskanie w dołku. Czeka na coś, tak samo jak ja – na pytanie, którego obawiałam się od momentu, odkąd przekroczyłam próg. *Czy możesz udowodnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz?*

Panna Sally otwiera usta, a moje serce zaczyna szybciej bić.

– Kim jest ten znajomy, o którym wcześniej wspominałaś?

Potrząsam głową, zdezorientowana.

– Słucham?

– Kiedy zapukałaś do moich drzwi, powiedziałaś, że adres podał ci znajomy. Kto to taki? Jak się nazywa?

Myślę o tym, co odpowiedziałaby Beth. Czy jest osobą, która skłamałaby równie gładko i bez mrugnięcia okiem co ty. Całkowitym przeciwieństwem Dawnej Mnie, która nigdy nie miała wrodzonej skłonności do kłamstwa, choć udało mi się nieco podszkolić swoje umiejętności. Nie zmieniaj tonu głosu. Nie wierć się i nie stój jak słup. Patrz prosto przed siebie pewnym wzrokiem. Cokolwiek robisz, nie zerkaj co chwilę do góry ani w lewo.

Za długo czekałam z odpowiedzią, robiąc zbyt wiele zdradzającą pauzę. Już za późno, by rzucić jakimś nazwiskiem i być dobrej myśli. Instykt podpowiada mi, że to jakiś test. Że panna Sally ze swoim głębokim tembrem głosu i zezującym okiem przejrzy mnie na wylot.

– „Znajomy” to chyba zbyt mocne określenie – mówię, wzruszając przeprasząco ramieniem. – Miałam na myśli przypadkowo spotkaną osobę w Best Buy.

Lśniące usta panny Sally rozciągają się w uśmiechu.

– Mała, witamy w Morgan House.

Wynajęcie nowego pokoju świętuję w ten sposób, że kładę się w ubraniu na łóżku i śpię jak kamień przez pięć bitych godzin. Gdy się budzę, na zewnątrz nadal jest jasno, ale słońce wisi już nisko na horyzoncie, zahaczając o czubki gigantycznych sosen, które kołyszą się na wietrze ponad moim oknem. Cały mój dobytek mieści się w szufladzie po prawej, do której łatwo mogę sięgnąć od strony łóżka. Gdy panna Sally otworzyła drzwi mojego pokoju, wręczyła mi dwa klucze – jeden do drzwi i drugi do szuflady – ale jeśli jest typem osoby, która szpieguje innych za pomocą ukrytych kamer, to na pewno zaopatrzyła się w zapasowy klucz uniwersalny. Kurczący się zwitek banknotów przypięłam do paska pod koszulą.

Gdzieś pode mną dobiegają odgłosy wchodzących do budynku ludzi. Drzwi frontowe otwierają się i zamykają, a głosy rozchodzą się po piętrze

niczym rozbijające się w oddali fale. Jestem ciekawa obowiązującej tu etykiety. Czy mam zejść na dół i się przywitać? Zostać w pokoju? Słyszę nagły wybuch śmiechu i dopada mnie niepewność. Zejście na dół oznacza rozmawianie z innymi ludźmi. Przedstawienie się jako Beth. Odpowiadanie na pytania podobne do tych, które zadała panna Sally. Siedząc na górze, w czterech ścianach, za zamkniętymi drzwiami, jestem niewidzialna.

Burczy mi w brzuchu, więc otwieram szufladę i wyciągam ostatnią paczuszkę orzeszków ziemnych. Odrywam róg. W rzeczywistości mam ochotę na burgera – ociekającego tłuszczem, z plastrami chrupkiego bekonu, polanego majonezem i ketchupem oraz z solidną garścią marynowanych korniszonów. Ślinka napływa mi do ust, gdy przypominam sobie te wszystkie razy, kiedy jadłam pikle na festynach. Gigantyczne, owinięte folią marynowane ogórki, które razem z siostrą musiałyśmy trzymać obiema rękami. Przechadzałyśmy się pośród samochodzików i stoisk, objadając się nimi tak bardzo, aż rozboleły nas brzuchy. Twierdzisz, że przez pikle mam brzydki oddech. Jutro zamierzam kupić cały słoik korniszonów i pożreć je wszystkie.

Jak na kogoś, kto próbuje zapomnieć o mężu, całkiem sporo o tobie myślę. Po części to nawyk – całe lata obchodzenia się z tobą jak z jajkiem i zaspokajanie wszystkich twoich zachcianek są trudne do oduczenia się, tak jak pranie mózgu przez Charlesa Mansona. Potrzebuję tego, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Muszę o tobie myśleć, wyobrażać sobie kroki, które podejmujesz, by mnie znaleźć, aby zawsze być o jeden krok przed tobą.

Nie mogę tu zostać i wiecznie ukrywać się w pokoju.

Sięgam po telefon i uruchamiam kalkulator. Przy kwocie dwudziestu czterech dolarów za noc, mój zapas gotówki w postaci dwóch tysięcy dolarów starczy na zaledwie dwa miesiące, oczywiście pod warunkiem, że stary gruchot, który sprzedał mi Dill, nie złapie kapcia ani nie zatrze silnika. W dodatku trzeba coś jeść, co oznacza, że Beth musi zacząć poważnie główkować. Nawet w pracy polegającej na wydawaniu burgerów wymagany jest dowód tożsamości.

Odwracam paczkę z orzeszkami do góry nogami, ale zostały już tylko same okruchy. Rzucam opakowanie na łóżko. Zakupy i praca, taki jest plan na jutro.

Zastanawiam się, co teraz robisz, jakieś trzydzieści godzin po moim zniknięciu. Ciekawe, czy znalazłeś mój samochód, komórkę, wskazówki, które zaprowadzą cię do Tulsy – w kierunku przeciwnym do mojego. Oczami wyobraźni widzę, jak przeszukujesz moje rzeczy, dzwonisz do mojej siostry i przyjaciół, przeczesujesz pliki na moim komputerze, a moje zmysły wskakują na najwyższe obroty. Nasłuchuję ryku silnika twojego samochodu, zgrzytu klucza w zamku, odgłosów twoich ciężkich butów w korytarzu. Zerkam w stronę okna, prawie spodziewając się ujrzeć w nim twoją bladą twarz i pełen satysfakcji uśmiech, zanim przyłożysz mi do głowy pistolet. Serce bije mi jak szalone. Biorę kilka głębokich oddechów i próbuję uspokoić zszargane nerwy. Stres pourazowy to nie przelewki – przebłyski wspomnień, koszmary i ataki paniki takie jak ten są skutkiem wieloletniego znęcania się. Potrzeba czegoś więcej niż paru dni wolności, by moje ciało zaczęło się rozluźniać.

Wolność.

Jeszcze mi do niej daleko. Jestem teraz w większym niebezpieczeństwie niż wtedy, gdy kelner przypadkowo musnął palce mojej dłoni w trakcie nalewania wody albo kiedy wracałeś do domu po wyjątkowo paskudnym dniu w pracy. Odejście nie oznacza końca przemocy i wcale nie gwarantuje wolności. Pytanie „Dlaczego od niego nie odeszła?” pada w salonach i na salach sądowych w całym kraju, choć tak naprawdę powinno się zapytać: „Dlaczego nie zostawił jej w spokoju?”.

Trochę to trwało, ale w końcu znalazłam odpowiedź.

Prędzej byś mnie zabił, niż pozwolił mi odejść.

JEFFREY

Dom przy 1600 Country Club Lane znajduje się przy prostej drodze, schowany za gęstą zasłoną drzew i krzewów. Zauważam go dopiero, gdy przejeżdżam obok. Wciskam hamulec i zatrzymuję się z piskiem opon na środku drogi. Czemu nie, do cholery? Nie ma tu nikogo prócz mnie, a przy odrobinie szczęścia usłyszą hałas i będą wiedzieli, że nadciągam.

Wrzucam wsteczny i wjeżdżam na podjazd. Moje spojrzenie wędruje w stronę okien na piętrze. Wyobrażam sobie, jak zrywają się z łóżka, schowani za lśniącym szkłem, przyciskając prześcieradła do nagich, zdyszanych piersi. *Mam was, dziwki.* Na wszelki wypadek naciskam klakson.

Dom to świeżo wyremontowany bungalow o rozmiarach rezydencji, utrzymany w tonacji beżu i kości słoniowej. Sabine ma bzika na punkcie takich domów. Prezentowałyby się lepiej na tle falujących wzgórz Toskanii, a nie wyblakłej zieleni Pine Bluff Country Club. Sabine zakochałaby się w nim, jeszcze zanim Trevor zdążyłby przekroczyć próg.

Wysiadam z samochodu i zamykam drzwi z głośnym trzaskiem, który niesie się echem po ulicy. Gdzieś w głębi domu rozlega się piskliwe szczekanie małego psa. Świetnie. Przynajmniej ktoś wie, że tu jestem.

Przechodzę przez podjazd i walę pięścią w drzwi.

– Sabine! Wiem, że tam jesteś, więc otwieraj. Otwieraj natychmiast te cholerne drzwi!

Wściekłość pali mnie od środka jak ogień, pokrywając moje ciało cienką warstwą potu. Gdzieś w głębi tego kretyńskiego, pretensjonalnego domu moja żona obściskuje się ze swoim kochankiem. Jeśli żadne z nich nie otworzy zaraz tych drzwi, przysięgam, że wyważę je gołymi rękami. Przykładam dłoń do twarzy i nachylam się w stronę szyby, próbując wypatrzeć jakiś ruch, ale widzę jedynie pusty hol. Robię szeroki zamach i uderzam pięścią jeszcze raz. Po obu stronach mnie zapalają się dwa zasilane gazowo kinkiety.

Na szczycie schodów pojawiają się stopy – męskie stopy, wystające spod niebieskich spodni od lekarskiego uniformu. Schodzi jakiś mężczyzna, a w ślad za nim biegnie malutki biały piesek, któremu całkiem odbiło. Przy każdym szczeknięciu podskakuje do góry jak spadająca ze schodów puchata fasolka.

Od razu rozpoznaję Trevora. Jest bez koszuli. Wygląda jak na zdjęciu – gęsta grzywa włosów, silne ramiona przechodzące w umięśniony sześciopak gwiazdora filmowego. Nie ma na sobie ani grama tłuszczu. Zwykle nie zwróciłbym na takie rzeczy uwagi, ale Sabine już tak. Zauważyłaby, a potem chciałaby błądzić po tych rzeźbionych mięśniach palcami. Albo językiem.

– To ty – mówi, przyglądając mi się przez szklany panel w drzwiach.

Całe lata pracy w szpitalu, na dyżurach i przy porodach w środku nocy podziały na niego jak xanax, sprawiając, że wygląda na niemal znudzonego faktem, że mąż kochanki dobija się do jego drzwi.

Łomoczę w drzwi z taką siłą, że z łatwością mógłbym je rozwalić.

– Gdzie jest Sabine? Powiedz tej suce, żeby przestała się ukrywać i natychmiast tu przysła!

Pies po drugiej stronie szklanych drzwi wpada w szal. Trevor podnosi go z podłogi i przytula do piersi niczym piłkę futbolową. Jego usta poruszają się, ale nie słyszę, co mówi, bo zagłusza go przeraźliwe ujadanie i dzwonek do drzwi, który wciskam raz po raz kciukiem.

Trevor otwiera drzwi przy akompaniamencie świstu chłodnego powietrza i otaczającej go aury męskości typowej dla bogacza.

– Przykro mi, Jeffrey, ale Sabine tu nie ma.

Jeffrey. Wiem o istnieniu tego skurwysyna od niecałej półgodziny, a on zwraca się do mnie po imieniu. Czy Sabine pokazała mu moje zdjęcie? Czy śmiali się z biednego, naiwnego Jeffrey'a i rozmawiali o tym, co zrobić, by wyszedł na jak największego głupca?

Odpycham go na bok, podchodzę do schodów i zaczynam wrzeszczeć z dołu.

– Sabine! Możesz już wyjść. Widziałem maile. Wiem o wszystkim.

– Jeffrey. – Trevor kładzie dłoń na moim ramieniu. – Uspokój się. Nie ma jej tutaj.

Strącam jego dłoń, robiąc zamach w powietrzu.

– Dotknij mnie jeszcze raz, *Trevor*, a wepchnę ci pięść do gardła tak

głęboko, że wyjdzie z drugiej strony. Rozumiesz, co mówię?

Pies zaczyna szczekać na cały regulator, rzucając się tak mocno, że z pyska leci mu piana. Trevor unosi dłoń w moją stronę, po czym nakrywa palcami pysk psa, tak jakby zakładał mu kaganiec. Mały potwór w końcu przestaje ujadać.

– Gdzie ona jest?

Nie patrzę na niego, ale zaglądam za jego plecami w głąb holu. Rodzinnego holu. Leżą tu buty dzieci, piłka, rzucone na podłogę kurtki i tornistry. Ciekawe, czy Sabine zdążyła je poznać. Czy nienawidzą jej za to, że rozniosła ich szczęśliwy dom w strzępy.

Trevor zamyka drzwi.

– Powiedziałem już, że nie ma jej tu.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Nie musisz. Ale to najprawdziwsza prawda. Nie ma jej na górze. Pozwoliłbym ci sprawdzić, ale są tam moje dzieci. – Jego twarz wykrzywia grymas. – Jezu Chryste, będę musiał im to jakoś wytłumaczyć. Mają dopiero sześć i cztery lata. Nigdy nie zrozumieją.

Jeśli to miała być próba wzbudzenia we mnie współczucia, to kiepsko mu poszło. Gównu mnie obchodzą jego dzieci i pokrzywdzona rodzina. Dbam wyłącznie o swoją.

– Pieprzyłeś moją żonę.

Normalna osoba od razu by zaprzeczyła, szczególnie po tym, gdy grożono jej wepchnięciem pięści do gardła, ale nie Trevor. Garbi się i wzdycha, a język jego ciała zdradza wszystko. *Tak, tak. Skoro już o tym wspomniałeś, faktycznie pieprzę twoją żonę.* Jeszcze ma czelność, by wyglądać na skruszonego.

– Słuchaj, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, wiedz, że nie chcieliśmy, żebyś odkrył prawdę w ten sposób. Sabine zamierzała wyznać ci wszystko w ten weekend. Wystarczy, że ją spytasz. Powie, że mieliśmy to dokładnie zaplanowane. Chciała przekazać ci tę wiadomość we właściwy sposób.

– We właściwy sposób. Do kurwy nędzy, jaki sposób miałby być właściwy?

Pies zdążył się uspokoić, więc Trevor odkłada go na podłogę.

– Zamierzała powiedzieć ci, że się kochamy. Że chcemy być razem. Wiem, że słuchanie tego boli, i wierz mi, że próbowaliśmy do tego nie dopuścić, ale...

Odrzucam głowę do tyłu i krzyczę tak donośnym głosem, że aż czuję palenie w gardle.

– Ty dupku, to moja żona!

Słowa odbijają się echem od ścian, po czym zapada cisza tak głęboka, że słyszę, jak dzwoni mi w uszach.

– Rozumiem to, Jeffrey, i bardzo mi przykro. Naprawdę. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo mi przykro. Ale przysięgam na Boga, że Sabine i ja nie zamierzaliśmy niszczyć dwóch rodzin. Po prostu się stało. To nie jest żaden przygodny romans. Nigdy nie czułem czegoś tak szczerego i prawdziwego. Sabine to moja bratnia dusza. *Kocham* ją. Uwielbiam. Jest najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła.

Jego przemowa z pewnością zmiękczyłaby niejednego faceta, a słowa byłyby jak balsam na zbolełe, złamane serce. Sabine będzie kochana, wielbiona, otoczona opieką. Nie wykrada jej z chciwości ani mściwości, ale dlatego, że nie ma wyboru. Dlatego, że łącząca ich więź jest zbyt głęboka, by ją zignorować. Tylko skończony dupek stanąłby na drodze dwóm bratnim duszom.

Tyle że zdążyliśmy już ustalić, że jestem wyjątkowo zgorzkniałym człowiekiem.

– No cóż, *Trevor*, w takim razie czuję się w obowiązku powiedzieć ci, że kobieta, którą tak uwielbiasz, twoja bratnia dusza... – Futrzak obwąchuje mój but, więc odpycham go stopą. – Zniknęła.

Trevor robi taką minę, jakbym walnął go prosto w idealnie wyrzeźbiony sześciopak.

– Jak to zniknęła? W sensie *zaginęła*?

Przytakuję.

– Wczoraj miała prezentację nieruchomości...

– Wiem, z Coreyem Porterem i jego rodziną.

Lekarz urywa, czekając, aż coś dodam, ale nadal jestem zajęty przetwarzaniem faktu, że wie o pracy mojej żony o wiele więcej ode mnie, więcej nawet niż Ingrid. Choć z rozkoszą potrzy małbym go w niepewności, muszę wiedzieć, co wie. Rzucam mu wyzywające spojrzenie.

– Nie wróciła do domu.

– Nie... – Przęłyka resztę pytania, a na jego twarzy maluje się szok.

– ...wróciła do domu. Sabine nie wróciła do domu. Nie pokazała się. Jej samochód też zniknął.

– Dobrze, pomyślmy logicznie. Była prawie pewna, że Corey podpisze umowę kupna domu. Może faktycznie to zrobił. Może gdzieś wyszli, żeby to uczcić.

– Może. Ale to było wczoraj.

– Dzwoniłeś do niej?

Wzdycham, przewracając oczami.

– Nie no, jasne, że dzwoniłeś. Ale... ale... – Trevor przeczesuje dłonią włosy. – A co z Ingrid? Dzwoniłeś do niej? Na policję?

– Tak i tak. Ingrid była u mnie, kiedy przyjechał detektyw. Miał później sprawdzić tamten pokazowy dom i zobaczyć, czy nie wydarzyło się tam nic dziwnego. To było całe godziny temu.

Oczy Trevora robią się okrągłe ze strachu.

– O mój Boże. O mój *Boże*.

Wchodzi do kuchni chwiejnym krokiem, a ja idę za nim. Nadeptuję na jedną z piszczących zabawek psa, a ta mała bestia przybiega za nami. Trevor opiera się o blat, stukając kciukiem w klawiaturę bezprzewodowego telefonu. Przyciska go do ucha i mamrocze przyciszonym głosem:

– No dalej, dalej, odbierz. – Nagle jego ramiona opadają bezradnie, a on klnie pod nosem. – Skarbie, to ja. Jest tu Jeffrey, powiedział, że nie wróciłaś wczoraj do domu. Gdziekolwiek jesteś, proszę, zadzwoń do mnie, dobrze? Zrób to od razu, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Muszę wiedzieć, czy nic ci nie jest, że jesteś... Cholernie się boję. Kocham cię. Zadzwoń do mnie.

Rozłącza się, a mnie prawie jest żal tego drania.

Zaczyna chodzić w kółko, uderzając bosymi stopami w drewnianą podłogę.

– Co teraz? – W świetle kuchennych halogenów jego twarz jest zielona i błyszcząca. I spocona, pomimo włączonej klimatyzacji. – Co my teraz zrobimy?

Kręcę głową, walcząc z falą napływającego obrzydzenia, że użył słowa „my”.

– Ty i ja nie gramy w tym samym zespole. Nie dzielimy się Sabine. To *moja* żona. Dla ciebie jest nikim.

Trevor zatrzymuje się i bierze powolny, długi oddech.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś ze swoją żoną?

– Wczoraj rano. Później wysłała mi wiadomość, że ma prezentację i że wróci do domu przed dziewiątą wieczorem. Kiedy *ty* po raz ostatni rozmawiałeś z moją żoną?

– Czy ktokolwiek jest w stanie potwierdzić, że w ogóle dotarła pod wskazany adres? Czy spotkała się z Coreym i jego żoną w tamtym domu?

Wzruszam ramionami.

– Jak już wspominałem, detektyw niczego nie powiedział, więc zgaduję, że tak. O której godzinie...

– Czy ktokolwiek zadzwonił do Coreya, żeby go o to zapytać?

– Jesteś pierwszą osobą, która orientuje się, kto miał być obecny podczas prezentacji. Ja byłem w stanie powiedzieć detektywowi jedynie o szefowej Sabine.

Odwraca się i wybiega z kuchni. Na schodach słychać dudnienie jego kroków. Rozglądam się dokoła, próbując zobaczyć dom oczami Sabine. Tak jak *robiła* to, gdy pokazywała go swojemu przyszłemu kochankowi. Wyobrażam sobie, jak oprowadzała go po pustych pokojach, pokazując wszystkie najważniejsze elementy wyposażenia. Przestronne pokoje z przeszklonymi drzwiami i wielkie okna. Pojemna kuchnia z nowymi sprzętami ze stali nierdzewnej. Listwy i drewniane podłogi w każdym pomieszczeniu. Czy do ich pierwszego pocałunku doszło pod łukowatymi drzwiami? Czy przyciskał ją do tych granitowych blatów? Oczy zaczynają mnie boleć od tych wizji, więc przecieram je odruchowo.

Podłoga nad moją głową trzeszczy.

Otwieram lodówkę i przeglądam jej zawartość. Na pierwszy rzut oka widać, że należy do lekarza. Mleko, owoce, jogurty, warzyw tyle, że starczyłoby dla całego sklepu. Nic nawet w najmniejszym stopniu niezdrowego, nie licząc samotnego jasnego piwa, wciśniętego na sam tył półki, stojącego za pojemnikiem z organicznym ananasem. Wyciągam je w momencie, w którym wraca Trevor, ubrany w koszulę, dzięki Bogu, i z telefonem w ręce.

– Corey nie odbiera telefonu, tak samo jak Lisa.

Zamykam lodówkę i macham butelką piwa obok głowy.

– Gdzie trzymasz otwieracz?

Trevor ignoruje mnie, gapiąc się na trzymany w dłoni telefon.

Pierwsza szuflada jest pełna kredek i karteczek samoprzylepnych, więc zamykam ją i szukam dalej. W końcu w trzeciej udaje mi się znaleźć

plastikowy otwieracz z piłką golfową, który wydaje z siebie radosny okrzyk, gdy zdejmuję kapsel. Wrzucam go z powrotem do szuflady w połowie dźwięku.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – mówię. – Kiedy rozmawiałeś z Sabine po raz ostatni?

Unosi wzrok, a oczy mu błyszczą.

– Wpadła do szpitala wczoraj po południu. Nie została długo, spędziła tam może kwadrans. Wyszła około wpół do drugiej.

Patrzę na niego znad kuchennej wyspy. Wczoraj o wpół do drugiej byłem w Little Rock, martwiąc się wyrwą w samym środku mojego małżeństwa i obmyślając strategię, która pomogłaby mi odzyskać żonę, całkiem nieświadomy faktu, że w tym samym czasie pieprzyła się ze swoim kochankiem w szpitalnym schowku.

– Czy mógłbyś przestać tak na mnie patrzeć? – prosi. – Sabine *zaginęła*.

– Po prostu ciężko mi wymazać z pamięci to, że udało jej się wygospodarować trochę czasu na odwiedzenie cię w szpitalu, skoro nigdy nie jest w stanie umówić się ze mną na lunch w ciągu dnia. Już prawie wcale nie wraca do domu na kolację!

Trevor siada na stołku przy ladzie, odsuwając na bok kolorowanekę i czerwony, plastikowy kubek pełen pisaków.

– Co z jej autem? Czy ktoś je widział?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ingrid podała detektywowi numer tablic rejestracyjnych, więc zakładam, że jest w trakcie poszukiwań. – Pociągam długi łyk piwa, krzywiąc się ze wstrętem. To jedno z tych jasnych piw dla snobów, gorzkie i mocno chmielone. Sprawdzam etykietę. Na dodatek organiczne. – Masz jakieś normalne piwo?

Trevor wyjmuję z kubka niebieski marker.

– Jak on się nazywa?

– Kto znowu?

– Detektyw. Jak się nazywa?

– Durand. Mike albo Mark, czy jakoś tak.

Wylewam resztę piwa do zlewu, a Trevor dzwoni pod 911 i żąda, by połączono go bezpośrednio z detektywem. Używa do tego swojego oficjalnego tonu głosu, uprzejmego, lecz świadczącego o zbyt wysokim mniemaniu o sobie samym. Każde słowo wypowiada w przykuwający uwagę sposób. Przedstawia się – doktor Trevor McAdams, ordynator

oddziału położniczego szpitala Jefferson Regional, od pięciu miesięcy będący w romantycznym związku z Sabine – po czym podaje nazwisko i numer Coreya i streszcza plan dnia Sabine do momentu, w którym opuściła szpital około wpół do drugiej po południu. Podaje również numer jej telefonu i jeszcze jeden, o którego istnieniu nie miałem pojęcia. Nie wiedziałem nawet, że ma drugi telefon. Cała rozmowa trwa nie dłużej niż pięć minut. Dziękuje swojemu rozmówcy i się rozłącza.

Odstawiam z trzaskiem butelkę na blat, a pies, który spał zwinięty w kłębek na swoim posłaniu przy stole, podnosi łeb, zaskoczony.

– Pięć miesięcy?

Trevor marszczy brwi.

– Przed chwilą powiedziałaś detektywowi, że od pięciu pierdolonych miesięcy jesteś w romantycznym związku z Sabine.

Dokładnie tak powiedział. „W romantycznym związku”. Mam wrażenie, jakbym zamiast piwa miał w ustach kwas.

– Mówiłem ci już, że nie chcieliśmy, żebyś dowiedział się o wszystkim w taki sposób. Możemy na chwilę porzucić wyrzuty sumienia? Przynajmniej do czasu, aż znajdzie się Sabine?

Zaciskam dłonie na granitowym blacie.

– Pięć miesięcy temu Sabine zaczęła się krzywić za każdym razem, gdy jej dotykałem. Odwracała głowę, gdy ją całowałem, i narzekała na bóle głowy, gdy próbowałem dobrać się do niej w łóżku. Myślałem, że to przeze mnie, ale chodziło o *ciebie*, prawda?

Trevor wzdycha, unosząc dłoń znad blatu.

– Jeffrey, nie wiem, co ci powiedzieć.

– Numer telefonu, który przed chwilą podałeś. Niech zgadnę. Gdy zaczęła się z tobą spotykać, załatwiła sobie nowy numer, prawda?

Milczy, ale wyraz jego twarzy mówi mi, że mam rację. Sabine ma drugi telefon. Kupiła drugi aparat, żeby móc rozmawiać z Trevorem bez mojej wiedzy. Gorąca linia z Trevorem.

Otwiera kolorowanekę i pisze coś na uśmiechniętym słoniu Dumbo pomalowanym jaskrawofioletowym markerem.

– Corey mieszka na osiedlu strzeżonym przy Old Warren Road. Na pewno coś wie. Muszę wiedzieć co. – Wyrywa kartkę i przesuwa ją po blacie w moją stronę. Czeka, aż ją wezmę. – Proszę, Jeffrey. Na górze są moje dzieci. Nie mogę ich zostawić. Moja żona... – Kręci głową. – Chce

mnie puścić z torbami. Nie mogę pozwolić, żeby odebrała mi również dzieci. *Proszę.*

Wzdycham ciężko z powodu rozgoryczenia i czegoś jeszcze bardziej dojmującego, co zżera mnie od środka, a mianowicie żądy zemsty. Gdy wrócę do domu, znajdę numer do żony tego faceta i zaoferuję się jako świadek w sprawie rozwodowej.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że Sabine roznosi swoje graty po całym domu? Gdybyś z nią mieszkał, gdybyś spędzał z nią czas, wiedziałbyś, że jest roszczeniowa, zapominalska i samolubna. Że sika przy otwartych drzwiach, godzinami zalega na kanapie i nigdy nie myje po sobie naczyń. Nie pragniesz jej dla siebie dlatego, że jest twoją bratnią duszą. Chcesz ją mieć tylko dlatego, że nie należy do ciebie.

Trevor potrząsa kartką.

– Proszę, porozmawiaj z Coreyem. Nie rób tego dla mnie, ale dla Sabine. Dla naszego... – Urywa w samą porę, ale jest już za późno. Domyśliłem się, co chciał powiedzieć. Usłyszałem w głowie słowa, których nie zamierzał powiedzieć na głos.

– Ty jebany skurwysynu. – Zastygam w bezruchu, gdy świadomość tego faktu rozpala mnie od środka niczym rozgrzane do czerwoności, dymiące węgle, których żar przenika do mojego brzucha i rozlewa się w kończynach. Mam wrażenie, że stoją w ogniu. Wystarczy jedna iskra, a eksploduję. – Ona jest w ciąży, prawda?

Nie przytakuje, ale jego oczy lśnią jak szkło w przytłumionym świetle.

W końcu, po tych wszystkich latach planowania, żywienia nadziei, i w końcu ostatecznego zrezygnowania z dalszych prób, okazuje się, że Sabine jest w ciąży. Nosi dziecko *Trevora*.

Trevor spogląda na kartkę.

– Proszę – mówi łamiącym się głosem.

Biorę kartkę, po czym obchodzę kuchenną wyspę i uderzam go prosto w twarz.

BETH

Tej nocy przychodzisz do mnie we śnie. Jesteś jak miotająca przekleństwa rozmyta smuga wymachująca rękami, przedzierająca się przez dom jak burza. Otwierająca i trzaskająca drzwiami, zrywająca z łóżek poduszki i kołdry, przewracająca kanapy i stoły, zdzierająca obrazy ze ścian. Szukasz czegoś. Mnie.

Jestem o krok od wybudzenia się ze snu.

Widzę, jak nabierasz prędkości, jak się zbliżasz, i żołądek zaciska mi się w supeł. Wypinasz szeroką pierś i krzyczysz, a ten kosmyk włosów, który tak lubiłam przeczesywać palcami, przykleja ci się do spoconego czoła. Odgarniasz go grzbietem ręki i właśnie wtedy dostrzegam broń.

Obudź się! Szczypię się w ramiona i uderzam się z otwartej dłoni w policzki. Moje zaplątane w pościel nogi są ciężkie jak z ołowiu. Ani drgną.

Jesteś tu. Słyszę twoje kroki w korytarzu Morgan House. Dudnienie wprawia w drżenie podłogę, ściany i mur wokół mojego serca. Hałas cichnie tuż pod moimi drzwiami, a ja siedzę w bezruchu, sparalizowana strachem.

Ktoś szarpie za klamkę, po czym zapada cisza.

Wstrzymuję oddech, czekając na wystrzał.

Drzwi eksplodują, a odłamki drewna obsypują mnie jak deszcz zabójczych drzazg. Kinkiety podświetlają od tyłu twoją postać, lśniąc pod powierzchnią twojej skóry niczym krew.

Z moich ust wyrywa się krzyk.

Uśmiechasz się i unosisz broń.

Zrywam się jak oparzona i siadam na łóżku. W uszach nadal dzwoni mi echo wrzasku.

Zakrywam ręką usta i wpatruję się w pogrążony w ciemności pokój,

próbując zorientować się w sytuacji. Jestem w swoim pokoju w Morgan House. Jestem bezpieczna. Ciebie tu nie ma. To był tylko sen.

Czy aby na pewno? Palenie w gardle podpowiada mi, że krzyk był prawdziwy, ale ból mógł wziąć się od szlochu. Policzki mam mokre, a włosy na skroniach wilgotne od potu albo łez.

Wycieram twarz prześcieradłem i biorę kilka głębokich wdechów, uspokajając bijące dziko serce. Sprawdzam godzinę w telefonie. Jest czwarta rano.

Gdzieś nad moją głową jakiś facet chrapie tak głośno, że prawie drży podłoga. Ciekawe, jak to świadczy o moich współlokatorach. Albo są głusi, albo śpią jak zabici... Albo nie rusza ich wrzask obcej osoby wdzierający się w ich sen. Panna Sally prowadzi dom żelazną ręką, ale to miejsce jest prawdziwą oazą w podejrzanym sąsiedztwie, w którym domy mają w oknach kraty. Jeśli mój koszmar zmieni się w rzeczywistość, to nie wróży dobrze. Co zrobią, jeśli mnie znajdziesz? Nie usłyszą moich wrzasków, pogrążeni w kamiennym śnie? Skryją się za zamkniętymi drzwiami swoich pokoi?

Mam wrażenie, że w pokoju jest zbyt duszno, a ściany zamykają się wokół mnie. Odgarniam skopaną pościel i schylam się po spodenki leżące w splątanej stercie ubrań na podłodze. Muszę napić się wody. Albo herbaty, o ile uda mi się zwędzić komuś z szafki jedną torebkę. Najbardziej zależy mi na tym, by wyrwać się z pokoju. Zawijam pasek z saszetką z pieniędzmi wokół talii, zabieram klucze i telefon ze stolika nocnego i wychodzę na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Korytarz jest pogrążony w mroku, oświetlony jedynie na samym końcu przez blask ulicznej latarni wpadający przez okno. Na palcach i bez tchu, idę w stronę złocistej plamy światła. Moje bose stopy nie wydają żadnego dźwięku na poliestrowym dywanie. Schody są nieco trudniejsze. Uginają się i skrzypią na środku. Idę bokiem, przesuważąc palcami po ścianach, aż do kuchni.

Pojedyncza żarówka nad kuchenką rzuca słabe światło na wytarte linoleum. Nie licząc niej, w pomieszczeniu jest ciemno, że oko wykol. Włączam telefon i wykorzystuję podświetlony ekran, by znaleźć drogę do szafek wiszących na przeciwległej ścianie.

W pierwszej znajduje się zastawa stołowa, schludnie poukładane stosiki talerzy, miseczek i plastikowych kubków. Zamykam ją i przechodzę do

następnej. Środki czyszczące, garnki, patelnie i żadnego śladu jedzenia czy pudełka zakurzonych torebek herbaty.

– Ty pewnie jesteś ta nowa – odzywa się zza moich pleców damski głos.

W mojej piersi eksploduje granat. Odwracam się na pięcie, szukając w mroku kobiecej twarzy. Coś porusza się w głębokim cieniu, a po chwili zapala się lampa na suficie, oślepiając mnie swoim światłem. Zakrywam oczy i spoglądam przez palce na kobietę, która siedzi po turecku na kuchennym stole. Ma złocistobrązową skórę, oczy w kształcie migdałów oraz ciało gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych. Jest szczuplutka, ale ma krągłości tam, gdzie trzeba.

Obserwuje mnie w nieukrywaną ciekawością.

– Czego szukasz? Może pomogę ci to znaleźć.

Jest równie śliczna co jej charakterystyczny dla południowych stanów akcent. Z jej szyi zwisają dwa srebrne dyski na cienkich łańcuszkach, z grawerunkiem, którego nie widzę z tej odległości. To chyba czyjeś imiona.

Nie spodziewałam się tu nikogo zastać. Nie wtedy, gdy saszetka z pieniędzmi dyndająca przy moim pasku jest równie subtelna co trzecia pierś. Obciążam zbyt obcisłą koszulkę i obejmuję się rękami w pasie.

– Przez ciebie prawie wyskoczyłam ze skóry ze strachu.

– To byłaś ty? Słyszałam, jak ktoś krzyczy na piętrze. To ty?

Cholera. A więc to nie był sen.

Moja twarz robi się czerwona z gorąca, gdy pomyślę o wszystkich śpiących w domu ludziach.

– Wybacz. Obudziłam cię?

Ciekawe, ilu jeszcze współlokatorów wybudziłam ze snu.

– Nie. Mam pokój obok Neda. – Wskazuje na sufit. Deski nad naszymi głowami wibrują tak, jakby obok przejeżdżał pociąg. To chyba sprawka wspomnianego Neda. – No dobrze, a teraz powiedz mi, po co tu przysłaś, a ja ci powiem, gdzie możesz to znaleźć. Od razu ostrzegam, że panna Sally trzyma wszystkie dobre rzeczy pod kluczem w spiżarni.

– Och. – Ostrzeżenie panny Sally dotyczące kodeksu honorowego i ukrytych wszędzie kamer pobrzmiwa w moich uszach. Jednak z pewnością jedna mała torebka herbaty to nie kradzież, zwłaszcza jeśli oddam ją jutro z samego rana. – Miałam nadzieję, że uda mi się pożyczyć torebkę herbaty.

– To całkiem łatwe. – Zeskakuje ze stołu i przechodzi na bosaka przez pokój. Ma na sobie szorty, które założyłaby cheerleaderka. Obcisłe, w typie Daisy Duke. – Mam pudełko Liptona. Pasuje ci?

Kiedyś rzuciłeś w moją głowę pełnym kubkiem parującej herbaty tylko dlatego, że to był Lipton. Powiedziałeś, że gdybyś chciał napić się gorących szczyń, tobyś o nie poprosił.

Uśmiecham się.

– Jak najbardziej. Dzięki.

Wyciąga żółte pudełko z szafki obok mikrofalówki, włącza elektryczny czajnik i wrzuca dwie torebki do kubków, które znalazła w szafce.

– Co tu właściwie robiłaś? – pytam, wskazując na stół. – Dlaczego siedziałaś po ciemku w kuchni?

– Medytowałam.

– Serio? – Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Nie wygląda na typ medytującej dziewczyny – jest zbyt niespokojna, zbyt *seksowna*, żeby być aż tak stabilna emocjonalnie. – W samym środku nocy?

– Czemu nie? Medytacja pomaga zmniejszyć stres, zwiększa koncentrację, oczyszcza umysł i uspokaja. – Zamyka oczy i unosi ręce w powietrze, odwracając je wewnętrzną stroną w kierunku nieba. Klasyczna pozycja do medytacji. Zauważam tatuaż, który wyłania się spod kołnierzyka jej białej koszulki, oplatając jedno ramię. Drugie zdobią skórzane bransoletki z wielobarwnymi koralikami. – Ommmmmm. – Otwiera szeroko oczy, napotyka moje spojrzenie. – Kiedyś się nauczę. Mówiąc szczerze, cieszę się, że trafiła tu jedna z nas. To znaczy kobieta. Jesteśmy tu jedyne, jeśli nie liczyć panny Sally. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale w tym miejscu aż kipi od nadmiaru testosteronu.

Jej gwałtowne zmiany tematu to zbyt wiele dla mojego pozbawionego snu mózgu. Siadam na krześle przy stole. Zastanawiam się, który wątek jej monologu pociągnąć – medytację, propozycję przyjaźni czy brak parytetu płci – ale ona już przechodzi do kolejnego tematu.

– Jak rozumiem, jesteś tu nowa.

– Dopiero co przyjechałam. Od dawna tu mieszkasz?

– W Atlancie czy Morgan House?

Wzruszam ramionami.

– W obu.

– Urodziłam się i wychowałam w Grady. – Opiera się biodrem o blat,

zauważając moje zmarszczone brwi. – Wybacz. Grady to szpital w centrum miasta, w którym przyjmują wszystkich pacjentów z ranami postrzałowymi i matki tak naćpane, że nie mają pojęcia, że zaraz urodzą. Spędziłam sześć tygodni w inkubatorze, pozbywając się z organizmu cracku i Bóg jeden wie czego jeszcze. Gdy wyzdrowiałam, mojej matki już dawno nie było. Oddali mnie do rodziny zastępczej.

W jej historii jest kilka luk, jak chociażby akcent. Nawet gdyby jej rodzice zastępczy byli Latynosami, a ona dorastała, mówiąc w domu po hiszpańsku, to czy jej akcent byłby aż tak silny? I dlaczego ktoś urodzony i wychowany w tym mieście miałby wylądować w tym miejscu, w pensjonacie obsługującym przejezdnych? Nie zamierzam jednak o to pytać. Im mniej opowie mi o swoim życiu, tym mniej będzie się spodziewała usłyszeć ode mnie.

– Przykro mi – mówię zamiast tego. – Opieka zastępcza to ciężki temat.

Wzrusza ramionami w geście bezradności.

– Najgorsze jest to, że nikt cię nie chce. To potrafi strasznie namieszać w głowie. Człowiek czuje się przez to całkiem bezwartościowy. – Z szafki przy lodówce wyjmuję butelkę w kształcie niedźwiedzia i macha nią przy twarzy. – Miodu?

Przytakuję, choć zwykle nie pijam słodzonej herbaty. Żołądek boli mnie z głodu, więc miód na pewno pomoże.

Nieznajoma wkłada do kubków sporą porcję miodu i sięga do szuflady po łyżeczkę.

– Tak przy okazji, jestem Martina.

Tylko imię, nic poza tym. Idę w jej ślady.

– Beth.

– Miło cię poznać, Beth. – Uśmiecha się do mnie znad ramienia. – Jak ci się podoba w Morgan House?

– Nie spędziłam tu zbyt dużo czasu, by się tego dowiedzieć. Nie licząc panny Sally, jesteś jedyną osobą, którą tu poznałam. – Zniżam głos do szeptu. – Trochę się jej boję.

Martina odwraca się, machając dłonią i potrząsając bransoletkami.

– Panną Sally się nie przejmuj. Jeśli będziesz spoko, ona też będzie spoko. To samo tyczy się pozostałych mieszkańców. Mogą potrzebować więcej niż trzech minut pod prysznicem, ale trzymają się na uboczu i w nic nie wtrącają. Nie będą próbować łapać cię za tyłek ani kraść twoich

rzeczy, bo wiedzą, że panna Sally od razu by po nich pojechała. Nie wychylaj się i nie działaj nikomu na nerwy, a nic ci nie będzie. Jak długo zamierzasz tu zostać?

– Nie wiem. To zależy od tego, jak szybko uda mi się znaleźć pracę.

Elektryczny czajnik wyłącza się. Woda w środku bulgocze. Martina nalewa jej do kubków.

– W miejscu, w którym pracuję, zawsze szukają nowych osób. Nic specjalnego, mycie podłóg i czyszczenie umywalk, ale praca jest stała i płacą mi tyle, że jestem w stanie opłacić czynsz.

Słyszę w głowie twój głos. Jest tak wyraźny, jakbyś siedział obok mnie. *Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch. Jeśli ktoś ci coś proponuje, od razu zacznij się zastanawiać, czego chce w zamian, bo taka osoba zawsze czegoś chce.* Wpatruję się w plecy Martiny, gdy zaparza herbatę, podrzucając torebkami, i zastanawiam się, czego może ode mnie chcieć. Prawdopodobnie pieniędzy schowanych za paskiem.

Zerka ponad ramieniem.

– Nie lubisz sprzątać kibli, co?

Odpycham od siebie twoje słowa i odwracam role. Wmawiam sobie, że nie chodzi o to, czego chce ode mnie ta dziewczyna, tylko o to, czego *ja* chcę od *niej*. Sęk w tym, że już wiem, że przyjęcie tożsamości Beth Murphy stało się cholernym utrapieniem, praktycznie niemożliwym do wykonania. Potrzebuję prawa jazdy wydanego przez stan Georgia, a żeby je mieć, muszę posiadać dokumenty, których zdobycie jest równie nierealne co wyhodowanie skrzydeł albo znalezienie latającego jednoroźca. Akt urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego oraz dwa dokumenty potwierdzające miejsce stałego zamieszkania, na przykład rachunek albo potwierdzenie transakcji dokonanej kartą kredytową. Panna Sally nie wygląda mi na typ osoby, którą za parę szeleszczących banknotów można przekonać do wpisania mojego nazwiska w druk umowy najmu. Jestem pewna, że wyrzuciłaby mnie na bruk, gdybym w ogóle o to spytała. A co z resztą papierów? Co z rachunkami, aktem urodzenia i numerem ubezpieczenia? Moje umiejętności operowania Photoshopem są niewystarczająco dobre, a podrabianie wydawanego przez rząd dokumentu na pewno kwalifikuje się jako poważne przestępstwo.

– Sprzątanie kibli wcale mi nie przeszkadza – mówię. – Po prostu

zgubiłam dowód tożsamości.

Martina rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Zgubiłaś, tak? Tutaj często do tego dochodzi. – Zanosi kubki do stołu i podaje mi jeden. – Nie masz niczego? Nawet starego dokumentu, który stracił ważność?

Nie. Moje prawo jazdy z Arkansas to osmalona, stopiona kulka leżąca na dnie hotelowego kosza na śmieci, oddalonego o cztery stany stąd. Biorę herbatę i kręcę głową. Jeśli wierzyć Internetowi, Atlantę zamieszkuje ponad trzysta tysięcy niezarejestrowanych nigdzie pracowników. Pytanie nie brzmi zatem, czy są tu miejsca pracy, tylko gdzie je znaleźć.

– Ale mogę znaleźć pracę bez ważnego dokumentu, prawda?

Martina siada na stole ze skrzyżowanymi nogami, przyjmując wcześniejszą pozę.

– Jasne, o ile nie masz nic przeciwko pracy na budowie albo sprzątanii domów bogatych panius. Znasz jakieś bogate paniusie?

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale zbywa mnie machnięciem ręki.

– Nieważne. Wierz mi, że nie chcesz pracować u żadnej z tych wrednych suk. Chciałam przez to powiedzieć, że potrzebowałabyś grona stałych klientów, ludzi z wielkimi domami, którzy nie przejmują się, że pracujesz u nich na czarno.

Czuję ściskanie w żołądku.

– Ty i panna Sally jesteście jedynymi osobami, które znam w tym mieście.

– Panna Sally mogłaby ci pomóc, ale na mnie nie licz. Staram się trzymać z dala od północnych przedmieść. – Dmucha na swoją herbatę, przyglądając mi się z zamyślnym wyrazem twarzy. – Ile masz pieniędzy w tej saszetce przy pasku?

Odruchowo przyciskam do niej dłoń, a na mojej twarzy odmalowuje się mieszanina podejrzliwości i uporu. *Tylko, kurwa, spróbuj.*

Martina parska śmiechem.

– Daj spokój, chica. Powiedziałam ci już, że tutejsi mieszkańcy, w tym ja, nie kradną nikomu jego rzeczy, choć noszenie kasy przy sobie przez cały czas wcale nie jest głupim pomysłem. Pytam, czy będziesz skłonna rozstać się z jej częścią. Bo jeśli tak, to chyba wiem, gdzie możesz wyrobić sobie nowy dowód.

Odchylam się na krześle i taksuję ją podejrzliwym wzrokiem. Nadal

trzymam rękę na gotówce. W każdej chwili jestem gotowa do ataku. Jestem większa od Martiny, a dzięki tobie wiem, w które punkty na ciele najlepiej przyłożyć. Rzepka, twarz, splot słoneczny, gardło, skroń. Zanim przestałaby się miotać na podłodze, już dawno uciekłabym na górę i zabarykadowała się w swoim pokoju.

Jednak dowód tożsamości rozwiązałby wiele problemów.

– Ile? – pytam nieufnym głosem.

– Z tego, co ostatnio słyszałam, Jorge liczy sobie jakieś trzysta dolarów. Mogłabyś go nieco urobić, żeby spuścił z ceny, o ile będzie w dobrym humorze. To jest właśnie najtrudniejsze – znalezienie go w dobrym humorze.

– Dobry jest?

– Najlepszy. Prawdziwy król podrabianych dokumentów. Właśnie dlatego jego usługi tyle kosztują.

Upijam łyk herbaty, licząc w myślach. Trzysta dolarów to mnóstwo pieniędzy, równowartość prawie dwutygodniowego czynszu i piętnaście procent mojego gwałtownie kurczącego się zapasu gotówki. Ale skoro Jorge jest tak dobry, jak twierdzi Martina, może być wart takiej sumy. Znalezienie pracy będzie o wiele szybsze i łatwiejsze, jeśli Beth stanie się wiarygodną osobą.

– A ty?

Martina patrzy na mnie znad kubka, marszcząc brwi.

– Co ja?

– Ile policzysz sobie za wyjawienie mi, gdzie mogę znaleźć tego Jorge?

Martina przygląda mi się przez chwilę w przedłużającej się ciszy. Sądząc po wyrazie jej twarzy, jest w trakcie podejmowania trudnej decyzji. Dobrze wiem, o czym myśli. Ile warta jest dla mnie ta informacja? Jak dużo to zbyt dużo? Znów słyszę w głowie twój głos – *nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch* – i nienawidzę cię jeszcze bardziej za to, że masz rację.

– Las Tortas Locas przy Jimmy Carter Boulevard – mówi w końcu, rozplątując nogi i schodząc ze stołu. Podchodzi z kubkiem do drzwi. – Uznaj to za prezent z okazji przeprowadzki.

JEFFREY

Walenie do drzwi frontowych wyrywa mnie z głębokiego snu. Siadam na kanapie i pocieram twarz rękami, mrugając. Jedynym źródłem światła jest poranny blask słońca widoczny w miejscu, w którym zasłony nie do końca się ze sobą stykają, podświetlający wąski pasek na dywanie. Patrzą na zegarek. Jedenasta rano. Spałem zaledwie dwie godziny.

Ostatnie dwa dni to był bajzel na kółkach. Zniknięcie Sabine, odkrycie jej zdrady, moje nieoczekiwane spotkanie z jej kochankiem, przypadkowe wyznanie Trevora dotyczące jej ciąży... Zanim przejechałem całe miasto w poszukiwaniu klienta Sabine i spotkałem się z jej szefową, każdy miesiąc w moim ciele stał się napięty jak postronek, a tuż pod powierzchnią skóry tliła się furia. Corey i Lisa powiedzieli mi, co dokładnie przekazali detektywowi: że Sabine nigdy nie dotarła na prezentację.

Znów rozlega się walenie do drzwi, po którym ktoś trzy razy wciska szybko dzwonek. Gramolę się z kanapy i wlokę w stronę drzwi.

Ingrid też wygląda, jakby prawie nie spała, ale przynajmniej zdążyła się odświeżyć. Musiała niedawno wyjść spod prysznicy, bo jej włosy nadal są mokre, a końcówki pozlepiane od wody kapiącej na ohydną niebiesko-białą sukienkę. Wparowuje do mojego holu, a ja wyczuwam zapach jej perfum, słodki i dławiący.

Zauważa mój T-shirt i wygniecione spodnie od dresu, strój, który miałem na sobie poprzedniego wieczoru, kiedy tu była, i marszczy brwi.

– Dlaczego się nie przebrałeś? Nie dostałeś żadnej z moich wiadomości?

Krzywię się, przyciskając kciuk i palec wskazujący do pulsujących skroni. Głos Ingrid, głośniejszy niż zwykle, nie pomaga w walce z czymś, co przypomina świdrujący ból głowy na kacu. Do tego dochodzi stale obecne zdenerwowanie w jej tonie. Ledwo znoszę Ingrid, gdy mam dobry dzień, więc po dwóch paskudnych dniach z rzędu nadweręża ostatnie resztki mojej uprzejmości.

– Najwyraźniej nie.

– Idź na górę i się przebierz. Za pół godziny mamy być na posterunku. Detektyw ma dla nas nowe wieści.

Serce bije mi powoli w piersi. Nowe wieści mogą oznaczać dosłownie wszystko. Jej samochód wbity w drzewo. Jej martwe ciało znalezione na polu soi. Jej zabójcę, na wolności albo za kratami.

– Jakie wieści?

– Nie *wiem*, Jeffrey. Nie chciał zdradzić nic więcej oprócz tego, że ma dla nas wiadomości. – Żuje kącik ust, które są już zaczerwienione i spierzchnięte. Jej oczy są tak spuchnięte, że wyglądają jak różowe piłki.

– A co, jeśli on...

Urywa, nie kończąc zdania, a ja nie ciągnę tematu. Detektyw dzwoniący, by przekazać wieści, którymi nie może podzielić się przez telefon, nie wróży niczego dobrego. Idę na górę, by wziąć szybki prysznic.

Dziewięć i pół minut później siedzę ściśnięty na siedzeniu pasażera acury, prującej na południe w kierunku komendy. Ruch uliczny jest mały, ale sądząc po temperaturze za szybami, zanoszą się na kolejny upalny dzień. Włączam klimatyzację na najwyższe obroty i ustawiam otwory wentylacyjne tak, by czuć na twarzy podmuchy zimnego powietrza. Rewelacje Trevora z poprzedniej nocy sprawiły, że od tamtej pory cały czas gotuję się z wściekłości.

– Założę się, że wiedziałaś o dziecku.

Ingrid wpatruje się przed siebie, trzymając kierownicę zgodnie z przepisami, ale kiwa głową.

– Sabine i ja...

– Mówimy sobie o wszystkim. Tak, wiem. – Spoglądam przez boczną szybę na migające mi przed oczami witryny sklepów i żałuję, że nie wziąłem okularów. – Co jeszcze trzymałyście przede mną w tajemnicy?

– Sabine konsultowała się z prawnikiem. W ten weekend zamierzała poprosić cię o rozwód.

Ta wiadomość jest jak cios obuchem. Nie fakt, że Sabine chciała ode mnie odejść – Trevor zdążył mi już o tym powiedzieć – ale świadomość, że spotkała się z prawnikiem. Łatwo będzie można to potwierdzić. Nie muszę być detektywem, żeby wiedzieć, w jakim to stawia mnie świetle – zupełnie jakbym miał motyw.

Prycham pod nosem.

– Jakie to wygodne.

– Co takiego?

– Wycucie czasu. Sabine znika, będąc w ciąży z innym mężczyzną, na chwilę przed wniesieniem o rozwód z mężem, któremu raz – Bóg mi świadkiem, że tylko raz – puściły nerwy. Gdybym był detektywem, sam wezwałbym się na przesłuchanie. – Odwracam się na siedzeniu w stronę Ingrid. – Czy to właśnie o to tu chodzi? To dlatego do mnie przyjechałaś, żeby zawieźć mnie na przesłuchanie? Przysłał cię, żebyś zaciągnęła mnie na posterunek?

– Jestem pewna, że detektyw sam może zaciągnąć cię na posterunek. – Zerka na mnie z ukosa z poczuciem winy w identyczny sposób co Sabine tuż przed przyznaniem się, że zniszczyła w praniu mój ulubiony sweter. – Jeśli mam być stuprocentowo szczerą, przyjechałam po ciebie dlatego, że nie dam rady zrobić tego sama. Nie zniosę czekania w jakimś sterylnym pomieszczeniu i słuchania, jak detektyw mówi, że moją siostrę spotkało coś strasznego. Jestem przerażona. Nie mogłam zabrać ze sobą mamy. Nie zrozumiałaby, a nawet gdyby, nie byłabym w stanie zająć się nią i jednocześnie przetrwać złych wieści. Choć z niechęcią to przyznaję, jesteś mi potrzebny.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś po Trevora?

Zaciska usta w wąską kreskę.

– Zadzwoniłaś, a on nie chciał przyjść.

– Jest w rozsypce. – Wciska gaz do dechy, by przejechać na światłach, po czym włącza się do ruchu na lewym pasie. – I miał rację. Jego obecność tylko pogorszyłaby sytuację. Tobie nie muszę już niczego tłumaczyć ani cię pocieszać.

Nie bardzo wiem, jak mam to odebrać. Jej matka jest zbyt oderwana od rzeczywistości, Trevor zachowywałby się zbyt emocjonalnie, a ja w typowy dla siebie, wredny sposób. Skupiam się na słowach, których nie wypowiada: że jestem silny, konkretny i rozsądny. Bez względu na to, co ma nam do powiedzenia detektyw, jedno jest pewne – nie odbije mi szajba.

Tylko czy Ingrid ma rację? Myślę o tym, co bym zrobił, gdyby detektyw oznajmił mi, że Sabine nie żyje, albo poprosił o pobranie wymazu z wewnętrznej strony policzka. Jak bym wtedy zareagował? Patrząc z ukosa na Ingrid, na jej ostre rysy twarzy i błyszczące policzki,

i dochodzę do wniosku, że też nie chcę robić tego w pojedynkę.

– Czy to nie ironia losu? – mówię, odwracając głowę w stronę jadących samochodów.

– Co takiego?

– Że dopiero zniknięcie Sabine sprawiło, że oboje chcemy znajdować się w jednym pomieszczeniu.

BETH

Jak na bulwar nazwany po farmerze uprawiającym orzeszki ziemne, który został później prezydentem, zupełnie nie tego się spodziewałam. Bardziej pasowałaby tu aleja obsadzona magnoliami albo kręta wiejska droga, przecinająca falujące zielone pola. Zamiast tego jest sześciopasmowa arteria, na której samochody prawie stykają się zderzakami. Jadę pierwszym pasem z prawej strony, utrzymując bezpieczną odległość między swoim autem a facetem namiętnie wciskającym hamulec przede mną, szukając witryny Las Tortas Locas.

Zauważam ją z przodu przed sobą – gigantyczny kieliszek margarity wystający ponad dachami jak klejnot w koronie. Zjeżdżam na pas skrętu i jadę w stronę budynku ozdobionego chmarą błyskających, neonowych świateł, wciśniętego pomiędzy centrum handlowe i bank. Zatrzymuję się na parkingu. Przyciemniane szyby buicka drgają od grającej na cały regulator muzyki mariachi.

W środku jest jeszcze gorzej. Muzyka ryczy z podwieszonych pod sufitem głośników, mieszając się z gwarem rozmów na sali pełnej klientów oraz głośnym szcękaniem porcelany i szkła. Kelnerka musi zwinąć dłoń w trąbkę i przyłożyć ją do ucha, żeby usłyszeć, co do niej krzyczę. Gdy mówię, z kim mam się spotkać, wskazuje na stolik w dalekim końcu restauracji.

– Jesteś pewna? – krzyczę, patrząc spod zmrużonych oczu na mężczyznę po drugiej stronie sali. Nawet stąd widać, że imię do niego nie pasuje. – Szukam Jorge. *Jorge*.

Dziewczyna opiera się łokciem o swoje stanowisko, a ja zauważam, jak nieznacznie przewraca oczami.

– To on. Usłyszałam cię za pierwszym razem.

Idę pomiędzy stolikami w stronę „Jorge”, stuosiemdziesięciokilowego białego faceta jedzącego burrito przypominające rozmiarami ludzkie przedramię. Zatrzymuję się przy krawędzi jego stolika, czekając, aż

przestanie opychać się jedzeniem i mnie zauważy. Jorge nie wygląda na Latynosa, ale na bank wie, co to churros.

Unosi wzrok. Jego oczy przypominają dwie wąskie szparki, co częściowo jest zasługą genetyki, a częściowo tego, że napierają na nie masywne policzki. Wygląda to tak, jakby obrzucał mnie morderczym spojrzeniem – i może faktycznie to robi. Martina powiedziała, że bez przerwy jest w złym humorze. Bierze do ręki taco wypełnione mięsem i serem i zanurza je w salsie.

– Martina podała mi twoje imię – mówię w końcu. Przysuwam się bliżej, stojąc nad czymś, co wygląda mi na wiaderko odsmażanej fasoli obficie posypanej serem. – Powiedziała, że możesz mi pomóc w zdobyciu dokumentu tożsamości.

– Jakiego rodzaju? – pyta z azjatyckim akcentem.

– Chodzi o prawo jazdy, najlepiej z Georgii. I kartę ubezpieczenia społecznego, o ile dasz radę.

Posyła mi wymowne spojrzenie, a ja nie wiem, czy to ma oznaczać, że da radę, czy nie.

– Czteryście dolarów.

Wkłada taco – całe taco – do ust.

– Za oba? – dopytuję.

– Uhm – mamrocze z ustami pełnymi mięsa.

– Martina mówiła, że trzysta.

Szparki jego oczu prawie znikają. Daję mu chwilę na połknięcie części jedzenia zgromadzonego w wybrzuszonych policzkach.

– Trzysta za samo prawko. Czteryście za wszystko.

„Targuj się”, odzywasz się w mojej głowie. Targowanie się jest dla ciebie jak sport albo zawody. Potrafisz wstrzymać kolejkę przy kasie tylko po to, by wyklócać się o cenę wgniecionych puszek lub podartych na brzegach pudełek. „Powiedz to z przekonaniem”, mówisz. „Zawsze jest jakieś pole manewru. Zawsze”.

– Trzysta pięćdziesiąt – proponuję.

– Trzysta siedemdziesiąt pięć.

Kawałek mielonej wołowiny wypada z ust Jorge i odbija się rykoszetem od mojej nogi. Już nigdy nie zjem meksykańskiego zarcia.

Przytakuję.

– Umowa stoi.

Jorge każe mi się spotkać z nim za godzinę w centrum handlowym oddalonym o kilka mil stąd. Podsuwa pod nos miskę fasoli i podaje adres, który notuję sobie w pamięci. To wszystko. Spotkanie dobiegło końca. Kieruję się zygzakiem do drzwi, zanim zdąży zmienić zdanie.

Przez następne czterdzieści pięć minut siedzę w samochodzie na restauracyjnym parkingu i słucham muzyki dla zabicia czasu. Ludzie bez przerwy wchodzą i wychodzą. Robotnicy budowlani, faceci w strojach biznesowych, matki z włosami sterczącymi na wszystkie strony, wyłaniające się z minivana pełnego dzieci. To najdziwniejsza kombinacja klientów, jaką kiedykolwiek widziałam. Wracam myślami do Jorge, który wypychał taco do ust szybciej, niż był w stanie je pogryźć. Tutejsze jedzenie musi być naprawdę dobre.

Mój wzrok wędruje w stronę postaci w dalekim krańcu parkingu. Jest uosobieniem wszystkiego, czym nie powinna być kobieta w dzielnicy takiej jak ta: samotna, na wpół schowana za krzakiem ostrokrzewu, kompletnie niepomna na to, co dzieje się dookoła. Ma pochyloną głowę i wystukuje coś kciukami na klawiaturze telefonu. Nawet stąd widzę, że stanowi idealny cel. Na jej ramieniu zwisa droga torebka od projektanta, a na palcu lśni okazały diament. Kamień migocze w popołudniowym słońcu, tak samo jak dwa pozostałe, osadzone w kolczykach.

Obok niej zwalnia jakiś samochód, a włoski na karku stają mi dęba jeden po drugim.

– Podnieś wzrok, kobieto. Podnieś, podnieś, podnieś – mówię sama do siebie w pustym aucie, choć wiem, że mnie nie słyszy.

Mówię to głośno i z autorytetem, jak każdy, kto kiedykolwiek wziął udział w zajęciach z samoobrony. Cios w gardło, kopniak z kolana w pachwinę, uderzenie łokciem w nos. Podstawowe i proste ruchy, które każda kobieta powinna mieć w swoim arsenale. Zabójcze i wyjątkowo skuteczne.

Jednak nieznajoma wcale nie patrzy w górę, nie zerka nawet w stronę samochodu. Najwyraźniej Las Tortas Locas to siedlisko przestępczej działalności, a ona równie dobrze mogła wywiesić nad głową znak reklamujący ją jako łatwą ofiarę.

– Do cholery, dziewczyno. Ogarnij się.

Samochód zatrzymuje się, a ja dostrzegam dwie sylwetki ukryte za przyciemnianymi szybami, które na bank nie przyjechały tu na tacos.

Lekkie mdłości, gęsia skórka i głębokie przecucie podpowiadają mi, że coś się zaraz stanie. *Coś złego.*

Przesuwam palce na kierownicę, trzymając kant dłoni nad klaksonem i odgrywając w myślach różne scenariusze. Naciśnięcie klaksonu może odstraszyć rabusiów i uratować drogą biżuterię kobiety, ale równie dobrze mogę zwrócić tym na siebie czyjąś uwagę. Kobieta może potem wypytywać o moje nazwisko, zapamiętać numer tablicy rejestracyjnej, uznać za bohaterkę albo, co gorsza, za świadka zdarzenia. Życie Beth Murphy skończyłoby się, jeszcze zanim by się zaczęło. Ta kobieta potrzebuje ratunku, ale ja też, do cholery.

Drzwi od strony pasażera otwierają się, a z samochodu wysiada mężczyzna. Ma jasną karnację, jest ubrany w workowate dzinsy oraz wyblakłą, porwaną szarą bluzę. To nie facet, tylko dzieciak, wysoki i chuderlawy, z tłustą cerą i długimi, chudymi rękami. Wygląda na nie więcej niż czternaście lat. Zostawia otwarte drzwi. Jeśli to nie jest zachęta do uciezki, to nie wiem, co nią jest.

Idzie prosto do niej.

– Zostaw ten głupi telefon! – wrzeszczę za kierownicą.

Choć bardzo się staram, nie mogę się zmusić, by wcisnąć klakson.

Siedzę w samochodzie i patrzę z odległości piętnastu metrów, jak dzieciak wyciąga spluwę i dokonuje napaści rabunkowej w biały dzień. Każe oddać kobiecie torebkę, telefon, diamentową biżuterię, zegarek i bransoletki – oddaje mu wszystko rozdygotanymi rękami. Zmusza ją do położenia się na ziemi, nakazując się jej pośpieszyć. Nieznajoma jąka się i zalewa łzami, ale posłusznie wykonuje polecenie, kładąc się na płask i osłaniając rękami głowę. Samochód za plecami dzieciaka rusza z piskiem opon, a on wskakuje do środka ze swoim łupem przez otwarte drzwi. Całe zajście trwało najwyżej sześćdziesiąt sekund.

Gdy tylko na parkingu ponownie zapada cisza, kobieta zrywa się na równe nogi.

– Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Mówię sobie, że nic się nie stało, że *jej* nic się nie stało. Jest wstrząśnięta i przerażona, a jej białe dzinsy ubrudziły się, gdy dotknęły brudnego asfaltu, ale poza tym nikomu nic się nie stało. Nikomu prócz mnie, uwięzionej na parkingu jak w klatce. Kobieta stoi mi na drodze do jedyne go wyjścia.

Restaurację opuszcza grupka studentek. Wychodzą przez podwójne drzwi, śmiejąc się i rozmawiając. Słyszą krzyki kobiety i zatrzymują się na chodniku, a radość na ich twarzach zmienia się w zaskoczenie.

– Zostałam okradziona! – krzyczy do nich kobieta. – Jakiś facet przystawił mi pistolet do głowy i zabrał obrączkę. Zabrał *wszystko*, co przy sobie miałam. Na litość boską, nie stójcie tak! Niech ktoś wezwie policję!

Wysoka blondynka wyjmuje telefon, a ja oceniam z daleka wysokość krawężnika w stosunku do ulicy, próbując ustalić, czy buick da radę po nim przejechać bez złapania gumy. Czy te kobiety zwróciłyby na mnie uwagę? Czy zapisałyby numer moich tablic i przekazały policji, czyniąc ze mnie potencjalnego świadka?

Co będzie, jeśli nie odjadę? Co powiem, gdy policja znajdzie mnie ukrywającą się w samochodzie? Sprawdzam czas na tablicy rozdzielczej. Do spotkania z Jorge zostało mniej niż dziesięć minut. Nawet gdybym porzuciła auto i pobiegła, nigdy nie dotrę tam na czas.

Kobiety trajkoczą jak najęte, gestykulując i przekrzykując się nawzajem, zszokowane zaistniałą sytuacją, a ja czuję, jak głęboko w moim wnętrzu rozpycha się poczucie winy. Przez całe życie wierzyłam w dobrą i złą karmę, wyznając uniwersalną zasadę przyczyny i skutku. Zrób dobry uczynek, a spotka cię dobro. Zrób coś złego, a wtedy... lepiej na siebie uważaj.

Dziś siedziałam beczynnym i byłam świadkiem, jak ktoś okrada tamtą kobietę.

Ciekawe, co nowego zaplanował dla mnie wszechświat.

Kobiety wparowują do lokalu, a ja uruchamiam silnik i odjeżdżam stamtąd najszybciej, jak się da, prując z piskiem opon w kierunku centrum handlowego, do którego Jorge skierował mnie całe sześć minut temu. Modlę się, by nie miał hopla na punkcie punktualności i nie okazał się gościem, który nie toleruje spóźnialskich klientów. Z drugiej strony, to ja jestem klientem, i domyślam się, że czarny rynek fałszywych dowodów tożsamości z definicji musi pozostać elastyczny. Ostatecznie sześć minut to wcale nie długo.

Wysiadam z samochodu i przeczesuję wzrokiem witryny. Jorge nie

podał mi nic prócz adresu, więc skąd mam wiedzieć, o którą chodzi? Sklep wielobranżowy, sklepy mięsne, sklep z telefonami komórkowymi, wybite okno zasłonięte papierem pakowym. Mój wzrok przykuwa widoczne na samym końcu słowo – *fotográfico*. Zatrząskuję drzwi i idę szybkim krokiem w jego stronę.

Salon fotograficzny jest mały – wielkością przypomina pudełko na buty. W środku znajduje się aparat na statywie, kasa i nic poza tym. Jorge czeka na mnie przy kasie, tuż obok mężczyzny, którego przedstawia jako Emmanuel. Bez nazwiska. Emmanuel liczy sobie sześć dolarów w gotówce, po czym wskazuje miejsce pod brudną białą ścianą.

– Stań tam. Żadnych uśmiechów.

Emmanuel jest małym człowiekiem, ale robi to, co do niego należy. Światło aparatu oślepiła mnie, a dwa zdjęcia paszportowe wyskakują z jego drukarki, jeszcze zanim sprzed oczu znikają mi jaskrawe rozkłaski.

Podczas gdy Emmanuel jest zajęty przycinaniem ich do odpowiednich rozmiarów, Jorge wręcza mi skrawek papieru i długopis.

– Napisz swoje nazwisko, datę urodzenia, wzrost, wagę i adres. Jeśli chcesz, możesz posłużyć się fałszywymi danymi.

– A czy twoi klienci używają prawdziwych danych?

Wzrusza masywnymi ramionami futbolisty.

– Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

Zapisuję pełne imię i nazwisko Beth. Dodaję drugie imię – Louise, zapożyczone od bohaterki z niedawno przeczytanej książki. Postarzam Beth o dwa lata. Data jej urodzin to 20 lutego 1983 roku. Jest mojego wzrostu, ma 172 centymetry, ale dorzucam jej parę kilo. Doszłam do wniosku, że najlepszym sposobem na ukrycie się na widoku jest nabranie nieco ciała dzięki ścisłej diecie składającej się z pizzy, pączków, hamburgerów i frytek. Adres Beth jest identyczny jak adres Morgan House.

Oddaję świstek Jorge, który wyciąga w moją stronę swoją wielką łapę.

– Trzysta pięćdziesiąt, tak? – upewniam się.

Chrząka pod nosem.

– Zabawna jesteś.

Zastanawiam się, czy to dobry pomysł, żeby dać pieniądze już teraz, jeszcze przed otrzymaniem wyrobionych dokumentów, ale to nie ja

rozdaję tutaj karty. Podaję mu do ręki trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów odliczonych od reszty gotówki. Jorge podlicza pieniądze, po czym robi to ponownie.

– Jaki jest numer twojego telefonu? – pyta, wyciągając komórkę.

Otwieram usta, ale w ostatniej chwili udaje mi się powstrzymać. Jedyne numer, jaki znam na pamięć, to mój prawdziwy numer, zapisany w telefonie leżącym na dnie kosza na śmieci w Arkansas. Nie zdążyłam jeszcze zapamiętać nowego numeru zapisanego w pamięci telefonu spoczywającego w tylnej kieszeni moich spodni.

– Ja... nie pamiętam.

Jorge wydaje z siebie głośne westchnięcie cuchnące serem i jalapeño, a spojrzenie, które mi posyła, zdaje się mówić jedno: „Co za amatorka”. Podaje ciąg cyfr, a ja poniewczasie uświadamiam sobie, że to numer jego komórki.

– Poczekaj.

Wyjmuję telefon, a on powtarza numer, tym razem wolniej, bym mogła go sobie zapisać. Wciskam „zadzwoń”, a ekran komórki w jego dłoni rozświecła się.

Odwraca go, żebym mogła zobaczyć.

– Twój numer. Zadzwonię, kiedy wszystko będzie gotowe.

– Ile to potrwa?

Wzrusza mięsistym ramieniem.

– Trzydzieści minut, może więcej. Czekaj przy drodze obok restauracji Sonic.

Naliczyłam siedemdziesiąt trzy nieskończenie długie minuty, zanim moim oczom okazał się lśniący, czarny SUV wjeżdżający na parking przed restauracją. Ze stolika pod oknem obserwuję, jak mężczyzna, który na pewno nie jest Jorge – ma zbyt ciemną karnację i jest zbyt chudy – wyłania się z auta. Rozgląda się po parkingu jak jakiś przestępca z odcinka *Gliniarzy*, po czym wsuwa brązową kopertę za wycieraczkę buicka i wraca szybko do swojego samochodu. Gdy wychodzę na zewnątrz, po nieznanym już dawno nie ma śladu.

Wyjmuję kopertę z wycieraczki i wsiadam do auta. Palce mi drżą, gdy przesuwam paznokciem pod papierem. Odwracam kopertę i wytrząsam z niej zawartość. Na moje kolana wypadają dwa małe prostokąciki. Pierwszym jest papierowy druczek z kartą ubezpieczenia społecznego

z dołączoną jaskrawożółtą nalepką „podpisz tutaj”. Drugim jest prawo jazdy, które wygląda równie autentycznie, co inne. Przyglądam mu się uważnie, obracając je na wszystkie strony w promieniach słońca. Hologramowa pieczęć stanu Georgia rozjaśnia się i znika. Podpis nie jest mój, ale jest na tyle uniwersalny, że przy odrobinie praktyki będę w stanie go skopiować. Poza tym, jest idealne. Beth Louise Murphy jest wiarygodna i autentyczna.

Dzwoni mój telefon. Rozpoznaję numer Jorge. Odbieram, a do mojego ucha dolatują odgłosy zucia.

– Masz dokumenty?

– Tak, dziękuję. – Rzucam je na siedzenie pasażera i odpalam silnik. – Wyglądają naprawdę dobrze. Zupełnie jak prawdziwe.

Chrząka wymownie, jakby chciał powiedzieć „nie ma za co”.

– Słuchaj, gdybyś miała znajomych, którzy potrzebują dokumentów, przyślij ich do Jorge. Daję pięćdziesiąt baksów za każde polecenie.

Więc o to chodziło, myślę, włączając się do ruchu. Właśnie tego chciała ode mnie Martina.

MARCUS

Posterunek policji w Pine Bluff mieści się w niskim jednopiętrowym budynku przy East Eighth Avenue. Jego oślepiająco białe ściany odcinają się wyraźnie od rozłożystego, zielonego trawnika. To zwykła nora z obskurnymi pomieszczeniami i wytartą podłogą z linoleum. Na plus można uznać fakt, że borykamy się z tak poważnymi brakami kadrowymi, iż każdy śledczy ma własny gabinet. Ciasny i duszny, ale to i tak o sto razy lepsza alternatywa niż biurko w zbiorowej przestrzeni biurowej, którą nasze gabinety otaczają.

Jeffrey i Ingrid przybywają spóźnieni o całe dwanaście minut. Podobnie jak wczoraj, praktycznie iskrzy między nimi od wzajemnej niechęci. Otwiera przed nią drzwi, ale tylko dlatego, że patrzę, zmuszając ją tym samym do rzucenia krótkiego „dzięki”, którego wcale nie miała ochoty mówić. Ta dwójka się nienawidzi, a ja chcę wiedzieć dlaczego.

Przyzywam ich do siebie machnięciem ręki.

– Tędy.

Prowadzę ich przez hałaśliwą przestrzeń biurową w stronę otwartych drzwi mojego biura.

– Usiądźcie – mówię, wskazując na dwa krzesła po przeciwnej stronie mojego biurka, ale tylko Ingrid zajmuje jedno z nich. Jeffrey zamiera w bezruchu tuż przed przekroczeniem progu. Zagląda do środka, a kiedy orientuje się, że zaprosiłem go do gabinetu, ogarnia go widoczna ulga. Sukinsyn myślał, że trafi do pokoju przesłuchań. Unoszę pytająco brew, a on niechętnie wchodzi do środka i siada na drugim krześle. Obchodzę biurko i zajmuję swoje. – Znaleźliśmy auto Sabine.

– Że co? – mówią jednocześnie podniesionymi głosami, w których słychać zdenerwowanie.

– O mój Boże, gdzie? – pyta Ingrid. – Kiedy? To dobra wiadomość, prawda? Znaczy, że macie jakieś pojęcie na temat tego, dokąd mogła się udać.

Nie kręcę głową ani nie potakuję. Odnaleziony samochód to niekoniecznie dobry znak, szczególnie taki jak w przypadku Sabine – nietknięty i nieuszkodzony. Jak na razie jedyne ślady DNA, jakie znaleźliśmy, należą do niej.

– Samochód stał na samym końcu parkingu sklepu Super1 w East Harding. Według nagrań kamer ochrony Sabine weszła do niego wczoraj o 13:49. Dziesięć minut później kupiła bochenek chleba, trochę indyka w plastrach, ser i lemoniadę. Zapłaciła kartą i wyszła o 14:03. Niestety, kamery nie obejmują swoim zasięgiem całego parkingu, więc wkrótce potem ślad się urwał.

Ingrid siada na brzeżku krzesła.

– Nie rozumiem. Twierdzi pan, że nigdy nie dotarła do samochodu?

– Na to wygląda. Przeszukaliśmy parking oraz pojemniki na śmieci w poszukiwaniu zakupów, ale niczego nie znaleźliśmy. Ktoś mógł je zabrać albo po prostu wzięła je ze sobą.

– Gdzie? – Ingrid kręci głową. – Co pan chce powiedzieć?

– Oboje wspominaliście, że rozmawialiście z Sabine... – przewracam kartki notesu, zatrzymując się na odpowiedniej stronie – ...Ingrid o 10:45, a Jeffrey... – Unoszę wzrok, napotykając jego spojrzenie. – Nie powiedziałeś mi dokładnego czasu.

– Byłem na lotnisku w Atlancie, przygotowując się do wejścia na pokład.

– Tak, wiem, rejs numer DL 2088.

Jeffrey powiedział, że rozmawiał z Sabine w trakcie odprawy, ale nie powiedział o której. Nie wspomniał nawet nazwy linii lotniczych. Poszperałem trochę na własną rękę.

– Samolot wyleciał z Atlanty o 11:30, więc odprawa odbyła się jakieś pół godziny wcześniej – mówię.

Kiwa głową, wierząc się na swoim krześle.

– Tak, jedenasta wydaje się całkiem prawdopodobna. Mogę pokazać panu spis połączeń, jeśli potrzebuje pan znać dokładny czas i długość trwania rozmowy.

Ignoruję jego propozycję, odwracając się w stronę Ingrid.

– Czy w trakcie którejś z tych rozmów Sabine wspominała, dokąd zamierza pojechać?

Jeffrey kręci przecząco głową, ale Ingrid przytakuje.

– Jechała do pracy.

Marszczę brwi. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

– Ten parking przed Super1 nie znajduje się w pobliżu jej miejsca pracy. Dzwoniłem do jej agencji, gdzie potwierdzili, że tamtego ranka nie miała żadnych prezentacji. Dopiero po południu miała wziąć udział w firmowym szkoleniu, na które nie przyszła.

– Zapewniam, że miała prezentację, i to jaką – wtrąca Jeffrey głosem ociekającym sarkazmem i czymś jeszcze. Wściekłością. I obrzydzeniem. I bólem.

Ingrid patrzy na niego spod zmarszczonych brwi.

– Sabine wracała ze szpitala. – Jego usta wykrzywiają się w paskudnym grymasie. – Jej kochanek powiedział mi, że wpadła do niego na chwilę, by wypełnić małżeńskie obowiązki.

Odchylam się na krzesło. Niedawno dowiedziałem się o romansie. Doktor McAdams o wszystkim mi powiedział, niemal potykając się o własne nogi z pośpiechu. Zadawał milion pytań pod przykrywką składania zeznań. Biedak rozpaczliwie potrzebuje odpowiedzi, niemal zbyt rozpaczliwie, by ujść za wiarygodnego.

– Cóż, jeśli wracała ze szpitala, to tamta trasa wydaje się całkiem prawdopodobna. Mogła zatrzymać się w sklepie i kupić późny lunch.

– A co potem? – Ingrid wije się na krzesło, zaciskając dłonie. – Dokąd mogła potem pójść?

– Bardzo możliwe, że Sabine odeszła z własnej woli, że odjechała z jakimś znajomym z pracy albo kolegą, ale przeczucie mówi mi, że tak nie było. Po pierwsze, nie zostawiłaby telefonu. Znaleźliśmy go w samochodzie. Ładował się z uchwycie. Miałem nadzieję, że któreś z was może go rozpoznać.

Wyciągam z szuflady torebkę z dowodami i unoszę w górę, by pokazać znajdującego się w środku samsunga.

Ingrid wypuszcza z siebie przeciągłe, pełne ulgi westchnięcie.

– To nie jest telefon Sabine. Jest pan pewien, że znaleźliście właściwy samochód? Może popełniliście błąd.

Tej odpowiedzi też się nie spodziewałem. Telefon znaleziono w zamkniętym aucie Sabine. Do kogo mógł należeć?

– Jesteś pewna? Nie byliśmy w stanie go sprawdzić. Nie mieliśmy kodu.

– Stuprocentowo pewna – mówi Ingrid. – Sabine ma iPhone'a. Białego. Jeden z najnowszych modeli.

Patrzę na Jeffrey'a, szukając potwierdzenia.

– Zgadza się, ma iPhone'a. – Wskazuje palcem na Samsunga. – To prawdopodobnie jej jednorazowy telefon.

Ingrid błyskawicznie odwraca głowę w jego stronę.

– O czym ty, do diabła, mówisz? Sabine nie ma innego telefonu. Nie wygłupiaj się.

– Owszem, Ingrid. Ma. Używała go przez ostatnie pięć miesięcy, by rozmawiać ze swoim kochankiem. – Ingrid wzdryga się, a na twarzy Jeffrey'a pojawia się wredny i protekcyjny uśmiech. – Wygląda na to, że jednak nie mówi ci wszystkiego, co?

Ingrid garbi się na krześle, a Jeffrey odwraca się w moją stronę.

– Doktor Trevor McAdams, ordynator oddziału położniczego w szpitalu Jefferson Regional. Rozumiem, że rozmawiał pan z nim wczoraj. Jestem pewien, że jak już rozgryziecie kod do telefonu, w spisie połączeń znajdziecie wyłącznie jego numer.

– Proszę spróbować wpisać 8-2-6-6-3-7 – mamrocze pod nosem Ingrid. – Używa tej kombinacji do odblokowania swojego smartfona.

Z pudełka na parapecie wyjmuję lateksową rękawiczkę, wsuwam w nią dłoń, po czym wkładam do plastikowej torebki i wpisuję kod. Na kolorowym ekranie głównym pojawiają się schludne rzędy aplikacji. Ikonka od telefonu w prawym górnym rogu jest oznaczona czerwonym numerkiem. Dwadzieścia trzy nieodebrane połączenia. Stukam w nią palcem. Wszystkie zostały wykonane z tego samego numeru, który pasuje do numeru w moim notesie.

– Miałaś rację. To numer komórki doktora McAdamsa.

Ingrid poprawia się na krześle z pełnym irytacji sapnięciem.

Otwieram torebkę, ściągam rękawiczkę i wkładam obie rzeczy do szuflady.

– To nie tłumaczy, gdzie znajduje się iPhone. Namierzamy numer, ale nie wpadliśmy na żaden ślad. Wygląda na to, że gdziekolwiek jest, Sabine go wyłączyła. Według banku transakcja w Super1 była ostatnią, którą wykonała. Od tamtej pory ani razu nie użyła karty kredytowej i nie skorzystała z bankomatu. W poprzedzających zdarzenie tygodniach nie wyjęła z konta żadnej dużej sumy, co każe mi myśleć, że wcale nie planowała uciec.

– Oczywiście, że nie – mówi Ingrid. – Sabine nie uciekłyby bez słowa.

Powiedziałyby mi o tym. – W którymś momencie zaczęła płakać. Jej twarz wygląda okropnie – zaczerwienione oczy, plamy na policzkach, spuchnięty, zakatarzony nos. Pociąga nim i wyciera go o rękaw. – I co teraz? Gdzie teraz będziemy szukać?

– Zaczęliśmy przesłuchiwać pracowników Super1, którzy pracowali na środowowej zmianie. Mamy nadzieję, że jeden z nich zauważył coś albo kogoś niezwykłego. Rozesłałem też list gończy z rysopisem Sabine, co oznacza, że nie tylko my jej szukamy. Sprawdzamy jej wyciągi z banku, transakcje dokonane kartą kredytową, wszystko, co pozwoli nam ustalić jej ruchy. Będziemy przesłuchiwać jej znajomych, kolegów z pracy, wszystkich ludzi, których znała – i zanim zapytacie, owszem, zalicza się do nich doktor McAdams – i będziemy im zadawać to same pytania co wam – gdzie byliście w środowe popołudnie od trzynastej?

Alibi. Pytam ich o alibi.

Wymieniają się spojrzeniami.

Ingrid składa ramiona na piersi, a na jej twarzy odmalowuje się mieszanina urazy i zmartwienia.

– Pracuję w domu. Jestem asystentką wirtualną. Ludzie płacą mi za organizowanie ich grafików, pisanie raportów, obsługiwanie ich mediów społecznościowych i tym podobnych.

– Czy tego dnia ktoś ci towarzyszył?

– Mieszkam sama.

– W porządku. Czy ktoś będzie mógł potwierdzić miejsce twojego przebywania? Jakiś sąsiad albo klient, który zadzwonił na telefon stacjonarny?

– Nie – mówi, po czym rozchmurza się nieco. – Cały dzień siedziałam przy komputerze. Mogę to udowodnić, podając adresy IP stron, które odwiedziłam, i pokazując e-maile w folderze „wysłane”.

– Wiesz, jak to zrobić? – pyta Jeffrey, jakby miał wątpliwości, że czy jest na to wystarczająco rozgarnięta.

– Tak – odpowiada Ingrid, powoli i pełnym satysfakcji głosem. – Mam magistra z informatyki.

W myślach spycham siostrę na sam dół mojej listy podejrzanych. Ingrid to stara panna. Należy do kobiet, które mieszkają, pracują i żyją same, i jak na razie wszystko, co zdążyłem u niej zaobserwować, wydaje się szczere i prawdziwe. Jeśli chodzi o bycie podejrzaną, to niespecjalnie się

na to nadaje.

Za to Jeffrey idealnie pasuje do moich kryteriów.

Chrząka i kładzie splecione dłonie na kolanach.

– Jeśli chodzi o mnie, wylądowałem chwilę po południu...

Przytakuję.

– O 12:05.

Na jego twarzy odmalowuje się zaskoczenie, choć nie powinno. Poinformowałem go już, że sprawdziłem numer jego lotu, co oznacza, że będę wiedział, o której dokładnie wylądował. Nie jestem jakimś małomiasteczkowym gliną. Odrobiłem pracę domową, jak należało.

– Według tablicy odlotów twój samolot podjechał pod bramkę o 12:11 – mówię bez konieczności sprawdzania notatek. – O 12:24 wszyscy pasażerowie, oprócz załogi, opuścili pokład.

– Okej – mówi, zastanawiając się. – Tyle że ja siedziałem na samym końcu, więc wysiadłem jako jeden z ostatnich, a odebranie bagażu trwało całą wieczność. Na lotnisku w Little Rock bez przerwy są opóźnienia. Gdy uporałem się ze wszystkim, poszedłem na lunch.

– Na lotnisku?

– Nie. Do włoskiej knajpki, która znajdowała się obok. Nie pamiętam nazwy.

Ingrid wydaje z siebie odgłos, jakby chciała powiedzieć „jakie to wygodne”.

– O której to było godzinie? – pytam.

– Nie wiem. Chyba po trzynastej. Może nawet o trzynastej trzydzieści.

– Zapłaciłeś kartą?

– Nie, gotówką.

Ingrid porzuca wszelkie pozory. Wzdycha głośno i przeciągle, prostując się na krześle. Chyba nie może się doczekać, aż go aresztuję, zakuję w kajdanki i odprowadzę na dół do celi.

– O której wróciłeś do Pine Bluff?

Jeffrey wzrusza ramionami.

– W okolicach szesnastej.

– Twoja sąsiadka, pani Ashby, potwierdziła, że wróciłeś o około 16:10. Zapamiętała czas, bo oglądała właśnie powtórkę *The Ellen DeGeneres Show*, gdzie Ellen akurat skończyła tańczyć. Pani Ashby poszła do kuchni w przerwie na reklamy, żeby przygotować sobie przekąskę.

Jeffrey wydaje z siebie gardłowy pomruk.

– Prędzej zrobiła sobie drinka. Rita Ashby to wścibska, stara jędza, która bez przerwy przesiaduje w kuchni z twarzą przyciśniętą do okna. W dodatku jest alkoholiczką. Przez te wszystkie lata, odkąd tam mieszkamy, nie pamiętam, żebym choć raz widział ją trzeźwą.

Próbuje odwrócić moją uwagę i zyskać na czasie. Dobrze wie, jakie będzie następne pytanie.

– Czemu tak późno? – Gdy nie udziela natychmiastowej odpowiedzi, dodaję: – Chodzi mi o to, że według moich obliczeń, nawet biorąc pod uwagę opóźnienie w odbiorze bagażu, lunch i popołudniowe korki, co do których wszyscy wiemy, że są cholernym utrapieniem, powinieneś wrócić do domu najpóźniej o 14:30. Dlaczego wróciłeś jeszcze później? Co robiłeś przez te półtorej godziny?

Jego wzruszenie ramion jest zbyt wystudiowane, a ton głosu zbyt wysoki i gładki.

– Był piękny dzień, a ja przez cały tydzień kisilem się na konferencji. Proszę nie mówić tego mojemu szefowi, ale nie miałem ochoty wracać do biura. Zatrzymałem się w parku przy rzece, żeby poczytać.

– W którym parku?

– Tar Camp.

To zalesiony teren rekreacyjny popularny wśród rodzin i wędkarzy, znajdujący się mniej więcej w połowie drogi między Little Rock a Pine Bluff. Emma i ja jeździliśmy tam pod namiot w czasach, gdy byliśmy świeżo po ślubie.

Zapisuję nazwę parku w notesie.

– Jak długo tam byłeś?

– Półtorej godziny, może dłużej.

– Co czytałeś?

– Prezes firmy będącej jednym z naszych największych rywali wydał niedawno książkę. *Jak podsyć ogień w pracy* czy tym podobna bzdura. Mój szef zmusza wszystkich w biurze, żeby ją czytali. Szczerze powiedziawszy, daleko temu do wybitności.

– Widziałeś tam kogoś?

– To publiczny park – mówi, przyjmując postawę obronną. – Widziałem mnóstwo ludzi.

– Chodziło mi o to, czy jakaś osoba zwróciła na ciebie uwagę. Mężczyzna

w garniturze siedzący samotnie na ławce w parku...

– Przy stole piknikowym. Na brzegu rzeki stoi ich całkiem sporo. – Urywa, by spojrzeć na Ingrid, która marszczy sceptycznie brwi. – Miałem na sobie dzinsy i koszulkę polo. Strój na podróż.

– Mimo wszystko, mężczyzna siedzący samotnie przy stole piknikowym i czytający książkę na pewno się wyróżniał.

– Na pewno, ale proszę mi powiedzieć, panie detektywie – jak miałbym znaleźć kogoś, kto mi się przyglądał?

Przytakuję, przyznając mu słuszność. Nie żeby mu to w czymkolwiek pomogło. Nawet gdyby przebywał na terenie Tar Camp, niekoniecznie ktoś musiał go zapamiętać, a już z pewnością nikt nie podszedłby się przedstawić i wymienić numerem telefonu.

Najważniejszym problemem jest to, że kłamię. Wskazują na to wszystkie oznaki. Spojrzenie, które wbija w moje biurko, przyśpieszony oddech, mikroskopijne ślady paniki, które stale wyłapuję na jego twarzy. Coś w jego historii się nie zgadza.

– Pomóż mi, Jeffrey. Chcę mieć pewność, że niczego nie przeoczę. – Pochyliam się w jego stronę, opierając dłonie o niechlujną stertę papierów. – Według tego, co przed chwilą powiedziałeś, przez całe wczorajsze popołudnie byłeś sam, albo w samochodzie, albo w jakiejś restauracji, której nazwy nie pamiętasz, albo w parku, od 12:30 aż do 16, kiedy sąsiadka potwierdziła, że widziała, jak zatrzymujesz się na podjeździe.

Przytakuje.

– Zgadza się.

Do tego dochodzi pocenie się. Jego twarz pokrywa lśniąca warstewka potu.

– I ani razu w ciągu tych trzech i pół godziny, w tym samym czasie, w którym twoja żona wyszła z Super1 na East Harding i zniknęła, nikt nie jest w stanie potwierdzić miejsca twojego przebywania.

Milczy tak długo, że prawie mu współczuję. Bierze głęboki oddech, potem dwa kolejne. Mija trzynaście otepiających sekund, po których jest w stanie wydukać jedynie:

– Dokładnie tak.

Próbuję zachować kamienny wyraz twarzy, ale i tak nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Mam cię.

BETH

Zatrzymuję się na środku dwupasmowej drogi i ponownie sprawdzam adres zapisany na karteczce, którą rano wręczyła mi Martina, gapiąc się na stojący przede mną budynek.

Kościół. Martina pracuje w kościele. Neogotyckim okropieństwem z beżowej cegły. Z witrażami, ze szkarłatnymi szczytami, ozdobnymi muszlami i wąskimi, ostro zakończonymi łukami. W samym środku głównej wieży znajduje się rozeta, która wygląda jak oko cyclopa. Nad nią, z najbardziej stromego punktu na dachu, wyrasta drewniany krzyż, wyciągając długie ramiona w stronę jasnego nieba.

Kościół Dwunastu Apostołów Jezusa Chrystusa.

Do diabła, tylko nie to.

Zaciskam dłoń na dźwigni skrzyni biegów, wrzucając wsteczny. Kościół i ja nie jesteśmy w zbyt dobrych stosunkach, a konkretnie od momentu, w którym poszłam do głowy swojego kościoła po poradę, a on odmówił uwolnienia mnie od potwora.

– Kłócenie się jest zupełnie normalne – powiedział mi ojciec Ian. – Wszystkie pary to robią. Jednak odnoszące sukces pary uczą się sobie wybaczać. Zostawiają urazy za sobą i żyją dalej.

Kiwnęłam wtedy głową, jak na pobożną parafiankę przystało.

– Rozumiem to, ojczu, ale on... robi mi krzywdę.

– W jaki sposób?

Przez sekundę zastanawiałam się nad tym, czy nie podwinąć bluzki i nie pokazać mu pękniętych żeber, ale zadowoliliam się czym innym.

– Rękami.

– Otwartymi czy zamkniętymi?

– Że co proszę?

– Jego ręce, wtedy kiedy robi ci krzywdę. Jakie są, otwarte czy zamknięte?

Logiczna część mnie rozumie niechęć ojca Iana. Nie chce uwierzyć w to,

że byłbyś zdolny do takiego okrucieństwa. Znał cię niemal przez całe życie, przeprowadził przez wiele sakramentów. Spotykaliśmy się od dwóch lat, zanim rzuciłeś mną o ścianę w tamtym hotelu. Minęły kolejne dwa lata i znowu mnie uderzyłeś, i kolejny rok, po którym znowu to zrobiłeś. Przemoc pojawiała się stopniowo, a potem poszło już z górki. Dla ojca Iana, dla wszystkich oprócz ciebie i mnie, moje skargi brały się kompletnie znikąd.

Koniec końców, osiągnęliśmy kompromis: ojciec Ian miał doradzić ci lepsze sposoby na unikanie kłótni, a ja miałam się modlić, by być lepszą żoną.

Za plecami słyszę dźwięk klaksonu, dwa szybkie, przyjacielskie piknięcia. Unoszę wzrok i zauważam we wstecznym lusterku ładną blondynkę. Macha do mnie. Na jej nadgarstkach połyskują diamenty. Próbuję przypomnieć sobie, jak Martina nazywała te zamożne kobiety z północnych dzielnic. Bogate paniusie czy coś z tym stylu. Pokazuję jej, żeby jechała dalej, ale ona nie rusza się z miejsca, a droga jest zbyt wąska, żebym mogła zawrócić. Wzdycham, wrzucając bieg.

Dwupasmowa droga przecina starannie utrzymany trawnik upstrzony hortensjami dębolistnymi i krzewami bukszpanu, którym nadano idealnie okrągły kształt. Zanim udaje mi się znaleźć miejsce do zaparkowania, docieram do parkingu, pięciopiętrowego kolosa z betonu. Zostawiam buicka na miejscu dla gości, w końcu pozbywając się jadącej na ogonie blondynki.

Zmowa milczenia. Tak nazywa się zamykanie zarzutów takich jak moje pod dywan, choć powinnam dać ojcu Ianowi mały kredyt zaufania. Dotrzymał swojej części umowy i porozmawiał z tobą. Jednak to, co ci powiedział, tylko pogorszyło sprawę. Wróciłeś do domu, szukając zaczepki, która skończyła się dla mnie wstrząsem mózgu i dzwonieniem w uszach, dokuczającym mi przez następny tydzień. Tamtej niedzieli ojciec Ian wsunął do moich rozbitych ust opłatek, tak jakby nic się nie stało. Gdy tylko się odwrócił, wyplułam go do ręki.

Uświadamiam sobie, że nie każdy kościół działa w ten sposób. Że przepełnieni ignorancją i świadomie przymykający oko na występki księży tacy jak ojciec Ian są na wymarciu. Przeczytałam kiedyś artykuł o maltretowanej kobiecie, która twierdziła, że kościół był jedyną rzeczą, która pozwoliła jej przetrwać. Ta jedna godzina tygodniowo, w trakcie

której pozwalała sobie mieć cień nadziei. Spoglądałam przez przednią szybę na stojący przede mną kościół i jedyne, co czuję, to strach.

Martina zapewniała, że zostanę z miejsca zatrudniona. Powiedziała im, że umiem sprzątać zupełnie jak ona, że sprzątam sześć toalet w czasie, w którym inni sprzątajają jedną, choć w rzeczywistości nigdy nie widziała, jak to robię. Nie mam pojęcia, dlaczego wzięła na siebie rolę mojej opiekunki, ale obecna sytuacja nie pozwala mi na odrzucenie jej pomocy. Przeliczam w myślach banknoty spoczywające w saszetce przypiętej do paska. Po wizycie u Jorge i zakupach jest znacznie lżejsza niż wczoraj. Znalezienie kolejnej pracy zajmie mi wiele dni, co oznacza, że bez względu na to, czy to kościół, czy nie, nie mogę odrzucić tej oferty. Biorę się w garść i wysiadam z auta.

Na końcu schodów znajduje się boczne wejście, a ja wychodzę na korytarz, w którym unosi się zapach sosny i kadzidła. Po drodze mijam długi rząd podwójnych drzwi, po czym zatrzymuję się przy otwartych i zaglądam do przepastnej sali wysokiej na trzy piętra. Setki podzielonych na sekcje ławek wyściełanych miękkim, czerwonym aksamitem, stojących na łagodnym wzniesieniu, otaczają podium ze scenicznym reflektorem i dwoma gigantycznymi telewizorami LED. Co to właściwie jest – miejsce dla orkiestry?

Zza moich pleców dobiegają czyjeś głosy, więc idę dalej korytarzem, kierując się strzałkami prowadzącymi do biura administracji. Z witraży wysoko nad moją głową przesącza się kolorowe światło, kreśląc wzory na dopiero co odkurzonym dywanie. Nie pojmuję, po co im kolejna osoba do sprzątania. Jak na razie wszystko, co widziałam, jest nieskazitelnie czyste.

Gabinety są jasne i przestronne, i z tego, co zdążyłam zaobserwować, ciągną się przez całą długość kościoła. Z przodu znajduje się recepcja oraz korytarze z drzwiami po obu stronach. Za biurkiem siedzi kobieta, którą od razu poznaję. Elegancka biała bluzka, dyskretny sznur pereł, diamentowe bransoletki na nadgarstkach, blond włosy ułożone w hełm na czubku głowy. Z bliska nie prezentuje się równie pięknie, co wtedy w moim wstecznym lusterku.

Wita mnie tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała.

– Witamy w kościele Dwunastu Apostołów Jezusa Chrystusa. Co panią do nas sprowadza?

– Przyszłam na spotkanie z ojcem Andrewsem.

– *Z wielebnym Andrewsem* – poprawia, odwracając się w stronę komputera. Wciska kilka klawiszy paznokciem pomalowanym na jasny róż. – Ma pani umówione spotkanie z wielebnym?

– Tak, o dziesiątej. – Przybieram neutralny wyraz twarzy. – Nazywam się Beth Murphy.

Informuje mnie, że wielebny miał drobną awarię w pokoju muzycznym i prosił, bym poszła tam na spotkanie, po czym przekazuje mi serię zagmatwanych wskazówek, które mają zaprowadzić mnie do ni mniej, ni więcej, jak piwnicy. Dziękuję jej, po czym wyruszam na poszukiwanie schodów.

Kilka minut później wchodzę do w pełni wyposażonego studia nagrań. Współczesne i przestronne, umeblowane wytwornymi, czarnymi krzesłami oraz skórzanymi kanapami, ustawionymi grupkami wokół sceny. Pod ścianą znajdują się sale prób, z których każda wyposażona jest w osobny stół mikserski, a naprzeciwko nich stoi dźwiękoszczelna kabina nagraniowa. Za jej przyciemnianym szkłem widać zwisający z sufitu, przypominający statek kosmiczny mikrofon z gąbką.

– Halo, jest tu kto?

Gdzieś za mną rozlega się głuchy odgłos uderzenia, po którym słychać stłumione przekleństwo. Odwracam się, a moim oczom ukazują się dwie nogi w granatowych dżinsach zakończone pomarańczowymi butami sportowymi Nike, wystające spod jednego ze stołów mikserskich. Wielebny gramoli się spod stołu i wstaje, wyciągając dłoń na powitanie.

– Erwin Andrews – przedstawia się, uśmiechając spod krótko ostrzyżonej, białej brody. – A ty pewnie jesteś Beth.

Potrząsam jego dłonią, uspokajając rozszalałe nerwy. Minęły całe lata, odkąd po raz ostatni brałam udział w rozmowie kwalifikacyjnej, szczególnie do pracy, co do której nie mam absolutnie żadnych kwalifikacji. Wiem, jak się czyści toaletę, ale co będzie, jeśli spyta mnie o doświadczenie albo poprosi o referencje?

– Może usiądziemy? – proponuje.

Pomimo wieku, wielebny jest w formie. Porusza się z zaskakującą szybkością i zwinnością. Długimi, zwawymi krokami prowadzi mnie w stronę dwóch identycznych kanap po prawej stronie sceny. Sądząc po butach i sylwetce, na pewno jest zapalonym biegaczem.

Ruchem ręki pokazuje, bym usiadła, po czym zabiera ze sceny jedno krzesło i odwraca je tak, że niemal stykamy się kolanami. Niezbyt blisko, ale i niespecjalnie daleko. Nieformalnie i na luzie.

– Wiem, co sobie myślisz – mówi, składając dłonie. – Czemu pastor tak wielkiej świątyni miałby rozmawiać osobiście z każdym potencjalnym pracownikiem? Dlaczego nie zrobi tego ktoś inny? Kierownik biura albo przełożony personelu sprzątającego?

Dokładnie o to samo zapytałam wczoraj wieczorem Martine, kiedy powiedziała, że załatwiła mi rozmowę o pracę. Ona też nie знаła odpowiedzi.

– Martina mówi, że przeprowadza ksiądz rozmowę z każdym.

Nakazuję nerwom, by się wyciszyły, ale one nie słuchają, tak samo jak ciało. Mam spocone dłonie, a serce wali mi jak młot. Chrząkam, z trudem nad sobą panując.

– Zgadza się, Beth, i zaraz ci powiem dlaczego. W naszym kościele tworzymy społeczność, a na mnie jako jej duchowym przywódcy spoczywa odpowiedzialność chronienia jej przed złem. Każdy, kto przekracza próg tych drzwi, musi wiedzieć, że będzie bezpieczny. Bez względu na to, skąd pochodzi albo co go tu sprowadziło. To obietnica, którą złożyłem – stworzenie bezpiecznego, przyjaznego, zdrowego środowiska, w którym każdy, począwszy od parafian, a skończywszy na wolontariuszach i woźnych, ma poczucie, że jest bezpieczny.

Innymi słowy, musi mieć pewność, że nie jestem przestępczynią. Mówi to bez cienia złośliwości. Wielebny Andrews to bardziej pobożna wersja panny Sally. Raczej nie mam ochoty zależeć mu za skórę.

Przytakuję, przybierając swój najbardziej praworządny wyraz twarzy.

– To ma sens.

– Dobrze. Wspaniale. – Klepie się po udach. – Zakładam, że wiesz, jak posługiwać się mopem, więc możemy pominąć tę nudną część rozmowy kwalifikacyjnej i przejść od razu do tej, w której pytam cię, czy umiesz śpiewać.

– Ja... – Mrugam, marszcząc brwi. – Słucham?

Wskazuje na sprzęt ustawiony na skraju sceny, na gitary, mikrofony i perkusję godną Charliego Wattsa, perkusisty The Rolling Stones.

– Muzyka jest integralną częścią nabożeństwa naszego kościoła i ważną częścią naszej kultury. Bóg pobłogosławił mnie parafianami o anielskich

głosach, którzy nadrabiają za innych... jakby to powiedzieć... pozbawionych tego daru. Czasami Pan działa w tajemniczy sposób, a niekiedy bywa nader oczywisty. – Wkłada palec do ucha i potrząsa nim energicznie. – Chciałbym wiedzieć, do której kategorii należysz.

– Obawiam się, że do tej drugiej.

Kolejne kłamstwo. *Umiem* śpiewać i potrafię czytać nuty, ale przyznanie się do którejkolwiek z tych umiejętności będzie oznaczało stanięcie na scenie albo jeszcze gorzej, tam na górze, w katedrze, w której mieszczą się tysiące wiernych. Światła reflektorów mogą się wydawać zbyt gorące i jaskrawe, nawet gdybym wcale się nie ukrywała. Nie ma mowy, żebym stanęła w blasku ich światła.

– A może jakiś instrument? Grasz na czymś?

Na pianinie – a przynajmniej grywałam, dopóki nie złamałeś mi małego palca u ręki.

– Nie. – Kręcę przecząco głową. – Przykro mi.

Wielebny wygląda na lekko zawiedzionego.

– A co z twoim poczuciem rytmu? Masz je?

Stuka stopą i pstryka rytmicznie palcami. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Tyle jestem w stanie zrobić.

– Doskonale! W takim razie możesz grać na tamburynie. Zawsze znajdzie się u nas miejsce dla kolejnego gracza na tamburynie.

Zaczyna się. Zaproszenie na udział w niedzielnym nabożeństwie. Wielebny Andrews chce ocalić moją duszę i chce, bym grała na tamburynie, kiedy będzie się tym zajmował. Oczami wyobraźni widzę siebie, jak stoję w rozkołysanym, rozśpiewanym tłumie, unoszącym ku niebiosom rozradowane twarze, i jego, jak unosi nad nami swoje dłonie o uzdrawiającym dotyku. Nie zamierzam grać na tamburynie w najbliższej przyszłości. Ani chodzić na mszę.

Opiera kostkę o kolano i odchyła się na krześle.

– Masz *ulubioną drużynę*?

Unoszę brew. *Ulubioną drużynę*?

– No wiesz, chodzi mi o sport. Piłka nożna, baseball, koszykówka. Nie patrz na mnie tak, jakbym zadawał ci głupie pytanie. Większość zagorzałych fanów Atlanta United, jakich znam, to kobiety. Nasz pierwszy sezon skończył się wynikiem piętnaście do dziewięciu. Lubisz

piłkę nożną?

– Nie jestem fanką sportu.

Przez następne dwadzieścia minut wielebny Andrews zmienia tematy z szybkością karabinu maszynowego. Rozmawiamy o filmach (od wieków żadnego nie widziałam), książkach (przeczytam wszystko prócz horroru) i czy uważam, że serial *Opowieść podręcznej* oddał sprawiedliwość książkowemu pierwowzorowi (absolutnie tak). Pyta o mój ulubiony kolor (Co ja jestem, dwunastolatka? Niech będzie, żółty) oraz jakie myśli zaprzatają mi głowę, gdy siedzę sama w samochodzie (jak *nie* zostać zatrzymaną przez policję). Przeskakujemy do ulubionego jedzenia (moje to frytki, jego pizza) i miejsca, które koniecznie muszę odwiedzić, czyli BeltLine – szlak spacerowo-rowerowy, łączący całe tuziny osiedli. Radzi, bym wybrała się kiedyś na przyprawione truflami frytki w Biltong Bar (i poprosiła o dodatkową porcję majonezu). Nasza wymiana zdań pasuje bardziej do spotkania w knajpce albo czatu na stronie internetowej randka.com. Nie wiem, czemu ma służyć, ale z pewnością nie można jej nazwać rozmową kwalifikacyjną.

– No cóż, Beth – mówi, wyczerpawszy już wszystkie tematy. – Wygląda na to, że będziesz tu świetnie pasować.

Mrugam, wyraźnie zaskoczona. *To wszystko? Koniec rozmowy?*

– Wyglądasz na zdziwioną.

– Nie chcę być nieuprzejma, ale czy nie chce ksiądz spytać o moje doświadczenie? O to, czy umiem sprzątać, albo... sama nie wiem, o relację łączącą mnie z Bogiem?

– Twoja relacja z Bogiem właśnie taka jest – twoja. To nie moja sprawa, chyba że zdecydujesz inaczej. Martina poręczyła już za twoje umiejętności. Wszystko, co dotychczas od ciebie usłyszałem i co zobaczyłem, pokrywa się z tym, co mi powiedziała.

Nie pytam, co właściwie mu powiedziała, bo nie jestem pewna, czy udałoby mi się zachować kamienny wyraz twarzy, gdyby zasypał mnie serią kłamstw i wymysłów. Znam Martinę dopiero od dwóch dni, a najdłuższa rozmowa, jaką przeprowadziłyśmy, miała miejsce tamtego pierwszego wieczora, gdy wpadłam na nią w kuchni. Nie wie o mnie nic prócz tego, co zdążyła zauważyć, a ja zadbałam o to, by nie zobaczyła zbyt wiele. Mimo to opowiedziała o mnie wielebnemu Andrewsowi – kolejna przysługa z jej strony, kolejny powód do kwestionowania kierującej nią

motywacji. Czego chce ode mnie ta dziewczyna?

– Idź na górę, żeby wypełnić odpowiednie dokumenty – mówi, wstając z miejsca. – Oficjalny wniosek o przyjęcie do pracy, żebyśmy mogli przetworzyć dane i wiedzieć, jak przesłać wypłatę, i jeszcze jeden druk, dzięki któremu Biuro Usług Obywatelskich i Urząd Imigracyjny nie będzie nas ścigać i grozić karą finansową. Rozumiem, że Martina kazała ci zabrać ze sobą jakiś dokument tożsamości?

Demonstrowanie nowego dowodu tożsamości wydaje się równie niebezpieczne co stąpienie po krawędzi klifu, ale kiwam głową i poklepuję torbę.

– Żaden kłopot.

– W takim razie witamy w kościele Dwunastu Apostołów Jezusa Chrystusa, Beth. – Wymieniamy uścisk ręki. Ścisła moją dłoń w swoich ciepłych rękach. – Cieszymy się, że do nas dołączyłaś.

– Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. – Ku mojemu całkowitemu przerażeniu czuję, jak łzy napływają mi do oczu tak szybko, że nie sposób je odpędzić mruganiem. Z mojego gardła wyrywa się cichy, ale słyszalny szloch. – Nie ma ksiądz pojęcia, jak wiele.

Wielebny przygląda mi się z dobrotliwym wyrazem twarzy.

– Dobrze się czujesz, dziecko?

Wycieram policzki palcami, ale świeże łzy spływają po nich, zanim udaje mi się obetrzeć stare.

– Dziękuję, nic mi nie jest. Nie wiem nawet, dlaczego płaczę. – Zmuszam się do gardłowego śmiechu. – Obiecuję, że nie będę tego robić na co dzień.

Nienawidzę płakać. Przez ostatnie siedem lat moje łzy brały się stąd, że byłam policzkowana, uderzana z otwartej ręki, bita, szarpana, kopana, boleśnie ściszana, a raz nawet poparzona. Łzy to oznaka słabości, po której zawsze następuje kara. Tylko przegrani płaczą.

Jednak ten człowiek nie kpi ze mnie z ich powodu i nie odwraca wzroku.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała ze mną porozmawiać – mówi ciepłym, cierpliwym głosem – to wiedz, że dobry ze mnie słuchacz. Zapytaj pierwszą lepszą osobę. Powie ci, że dbam o swoje stadko.

Mamrocze pod nosem kolejne podziękowania, choć jedyną rzeczą, na której potrafię się skupić, jest wydostanie się stąd i znalezienie w łazience po drugiej stronie korytarza, gdzie będę mogła opryskać zimną wodą

czerwone plamy na twarzy i nałożyć świeżą warstwę tuszu na rzęsy, który z pewnością spłynął po moich policzkach razem ze łzami. Wielebny pozwala mi odejść. Jestem już prawie przy drzwiach, kiedy mnie zatrzymuje.

– Beth? – Jego usta wyginają się w łagodnym uśmiechu, a ja zaczynam rozumieć, że jest nim w stanie roztopić serca wszystkich parafian, którzy spijają z jego ust każde słowo. – To, co powiedziałem wcześniej, o dbaniu o swoje stadko... To dotyczy również ciebie. Cokolwiek cię tu przywiodło, bez względu na ciężar, który wydaje ci się, że dźwigasz, możesz się tego pozbyć. Jesteś teraz jedną z nas.

Czterdzieści pięć minut później znowu stoję w kościelnej piwnicy, a Martina zakłada mi na plecy odkurzacz na baterie.

– Poprosił cię, żebyś dołączyła do zespołu? – pyta, przytrzymując paski, bym mogła założyć je na ramiona.

Stoimy na środku pomieszczenia, które robi za kuchnię, pokój socjalny i schowek na środki czyszczące. Pod ścianą, naprzeciwko niepasujących do siebie segmentów, stoi stary telewizor, a po prawej stanowisko robocze ze zlewami do płukania wiader i ścierek. Dwie ściany są zastawione półkami od sufitu do podłogi, rodem z alejki ze środkami czystości w sklepie wielobranżowym albo odcinka *Lowcy promocji*. Są tu gąbki, mopy, schludnie poukładane wiadra i chyba każdy możliwy detergent, jaki tylko istnieje.

Mój strój pracowniczy znajdował się w gigantycznym, plastikowym kontenerze na dolnej półce. Składają się na niego spodnie khaki i biały T-shirt z logiem kościoła i napisem „Tutaj pracuje Bóg”, wyhaftowanym granatowymi, pochyłymi literami. Ciuchy wyglądają idiotycznie w zestawieniu z czółenkami z paskiem przy kostce ze skaju, które założyłam do sukienki specjalnie na rozmowę, bo nie pomyślałam, żeby zabrać tenisówki na zmianę.

– Spytał mnie, czy potrafię śpiewać albo grać na instrumencie.

Przekładałam jedno ramię przez pętlę, potem drugie. Jak na taki kawał ustrojstwa, odkurzacz okazuje się całkiem lekki.

– Wiedziałam, że to robi. *Każdego* pyta, czy nie chce wstąpić do zespołu. – Wyciąga ręce przede mnie, by zapiąć uprząż wokół mojego

pasa, a ja momentalnie sztywnieję. Jej palce prześlizgują się po saszetce z pieniędzmi, ale suną dalej. Pachnie wybielaczem i miętową gumą do żucia. – O czym jeszcze rozmawialiście?

– Sama nie wiem, o wielu rzeczach. Programach telewizyjnych, książkach i frytkach z truflami. To była najdziwniejsza rozmowa kwalifikacyjna w całym moim życiu.

Łapie mnie za ramię i odwraca twarzą do siebie.

– Opowiedział ci kawał? – Kręcę głową, a ona się uśmiecha. – Puk, puk.

– Kto tam?

– Jezu.

– Jaki znowu Jezu?

– Jezu Chryste, otwórz te drzwi.

Wybucham śmiechem, ale nie dlatego, że żart był śmieszny, a dlatego, że opowiedział go sługa boży. Co się stało z niewzywaniem imienia Pana Boga nadaremno? Ojciec Ian wpadłby w szal.

Martina podaje mi rurę odkurzacza i pokazuje, jak operować przyciskiem włączającym i wyłączającym widocznym z boku. Wciskam go, a dysza przysysa się do dywanu.

– Dobry sprzęt to połowa sukcesu – mówię, zanim udaje mi się ugryźć w język. To jedna z twoich ulubionych ripost. Wyłączam guzik, zarówno na odkurzaczu, jak i w myślach, i odwracam się do Martiny. – Nadal czegoś nie rozumiem. Nie padło ani jedno pytanie związane z pracą. Nie licząc bzdur w stylu, czy zakładam obie skarpetki przed butami, czy osobno, nie zadał żadnych osobistych pytań. Przez cały czas siedziałam i czekałam, aż zarzuci mnie jakimiś trudnymi kwestiami.

– Wielebny twierdzi, że przeszłość określa nas wyłącznie wtedy, gdy jej na to pozwolimy. Mówi, że możemy pozwolić, by nas zniewoliła, albo się od niej wyzwolić.

Na twarzy Martiny pojawia się ten pobożny wyraz twarzy, który zdążyłam tak dobrze poznać. Połączenie wywyższania się, satysfakcji i bezbrzeżnej radości. Właśnie tego ojciec Ian nigdy nie był w stanie wytłumaczyć w odniesieniu do zorganizowanego ruchu religijnego. Zostajesz zaproszony do grona parafian tylko dlatego, że jesteś wybrakowany, a potem oczekuje się od ciebie, że przemienisz się w cnotliwego wyznawcę. Że odrzucisz wątpliwości razem z grzechami i zaczniesz po prostu *wierzyć*. W ostatecznym rozrachunku, po wszystkim

co wydarzyło się w trakcie uczęszczania do tamtego kościoła, nie mogłam się do tego zmusić.

Schylam się i zniżam głos, choć w pomieszczeniu jesteście tylko my.

– Powiedział też, że potrzebują mojego dowodu tożsamości, żeby nie dostać kary finansowej od BUOiUI. To skrót od Biura Usług Obywatelskich i Urzędu Imigracyjnego, Martino.

Martina mruży powieki.

– A co ty niby wiesz o Biurze Usług Obywatelskich i Urzędzie Imigracyjnym?

Oskarżenie w jej słowach rozbudza moje wątpliwości dotyczące historii jej pochodzenia. Co z tym hiszpańskim akcentem, który usilnie stara się ukryć pod zaciągiem rodem z Południa? Gdyby Martina się tu urodziła, w szpitalu w stanie Georgia, jak sama mówiła, to niby co mogłaby wiedzieć o tym biurze?

– Wiem, co to za skrót – mówię. – Zakładam, że mają tam przedmioty zwane komputerami, które zapalają się jak lampki ostrzegawcze, gdy tylko wykryją mój fałszywy dowód tożsamości i numer karty ubezpieczenia społecznego.

Przygryza dolną wargę.

– Nie dojdzie do tego – mamrocze pod nosem, ale ostrzegam w jej oczach przebłysk paniki. – Jorge recyklinguje numery. Używa wyłącznie tych, które są autentyczne. Nikt nie wykryje, że nasze dokumenty są fałszywe.

Wszelkie wątpliwości, które żywiłam, znikają ot tak. Martina też jest klientką Jorge. Uciekinierką posługującą się nazwiskiem, które nie zostało jej nadane przy urodzeniu. Może mam rację, że strzegę gotówki przypiętej do paska pod ubraniem.

Nagle pomieszczenie wydaje mi się zbyt tłoczne i duszne. Muszę się z niego wydostać. Byle dalej od *niej*. Wskazuję palcem na odkurzacz przypięty do pleców.

– Gdzie mam zacząć?

– Od piętra – mówi, podchodząc do półki po swój odkurzacz. – Zaczynamy od góry i schodzimy w dół. Jak zespół.

Nie jestem ślepa ani głupia. Przyłapuję ją na tym, jak zerka z ukosa na moją talię. Obojętnie czego chce Martina, jestem całkiem pewna, że nie chodzi jej o grę zespołową.

JEFFREY

Gdy budzę się w sobotni poranek, wysyłam szefowi wiadomość, w której tłumaczę, dlaczego przez ostatnie dwa dni byłem nieobecny, po czym nakrywam głowę poduszką. Pachnie jak Sabine. Jak te butelki przesadnie drogich słodko-korzennych płynów do kąpieli stojących na półeczce pod naszym prysznicem. Zrzucam ją na podłogę.

Gapię się w sufit i nakazuję sobie wstać, ale moje ręce i nogi są jak w ołowiu albo jak te worki z piaskiem, które ludzie układają, gdy Narodowy Instytut Meteorologii podaje komunikat o zagrożeniu powodzią. Dzięki nieustannemu rykowi łodzi ratunkowych przeczesujących wody za domem prawie nie zmrużyłem oka. Na zmianę targają mną zmartwienie i wściekłość.

Za kogo oni mnie uważają? Za skończonego idiotę? Przecież nie zachowałbym się jak ostatni kretyn i nie porzucił ciała żony we własnym ogródku. Nie byłbym aż tak lekkomyślny. W końcu oglądam *Dateline*. Doskonale wiem, że nie zanieczyszcza się dowodami własnej posesji. Mogliby dać mi mały kredyt zaufania i szukać bardziej w dole rzeki.

Z drugiej strony, nie dałem im zbyt wielu powodów, by mnie nie podejrzewali. Nie po moim godnym pożałowania występie w gabinecie detektywa Duranda i ogólnikowych odpowiedziach odnośnie do miejsca mojego przebywania w środowe popołudnie. Składałem to na karb szoku wywołanego świadomością, że mnie sprawdzał, który tak bardzo wytrącił mnie z równowagi, że nie umiałem sklecić żadnej sensownej wypowiedzi.

Jednak prawda jest taka, że to wszystko wina Ingrid. Gdyby jej tam nie było, gdyby nie zasmradzała powietrza poirytowanymi sapnięciami i tanimi perfumami, mógłbym wyznać mu prawdę. Detektyw jest facetem, mógłby mnie zrozumieć... ale nie Ingrid. Nie ma, kurwa, mowy, żebym cokolwiek przy niej powiedział.

To tak, jakbyś dostał pytanie w quizie, na które znasz odpowiedź. Chodzi o ten przyprawiający o palpacje ułamek sekundy, po którym

słowa same wychodzą ci z ust. Wzięłem kilka głębszych oddechów, powoli wypuściłem powietrze z płuc, ale nie potrafiłem zmusić się do udzielenia odpowiedzi.

A teraz detektyw Durand i jego banda gliniarzy są zdeterminowani, by obarczyć mnie winą za zniknięcie Sabine, zamiast skupić się na znalezieniu osoby, która faktycznie jest za to odpowiedzialna. Nie trzeba być geniuszem, by domyślić się, że mimo iż mówią, że szukają Sabine, tak naprawdę szukają jej ciała.

Gdy znów się budzę, jest już po południu, a hałas motorówek został zagłuszony przez niski warkot dochodzący z trawnika przed domem. Dziennikarze obsiedli dom jak stado wygłodniałych sępów, łypiących na mnie przez szyby. Nie wystarczy im, że swoimi wozami transmisyjnymi kompletnie zniszczyli mój trawnik. Gdy tylko podejść do któregoś z okien, od razu zarzucają mnie pytaniami. Wczoraj zaciągnąłem wszystkie rolety i zasłony, ale nadal czuję ich obecność, tak samo jak wyczuwa się nadciągające tornado, złowieszcze i zabójcze.

To dzięki ich rzucanym w moją stronę pytaniom wiem, że policja i jej wesoła zgraja ochotników przeszukała wszystko, co tylko mogła. Pola, obszary zalesione, miejskie parki, wzgórza i brzegi rzeki. Nie poszczyściło im się jednak. Nie znaleźli nawet skrawka materiału z ubrania Sabine, ani żadnego pasma jej brązowych włosów zaczepionych o gałąź drzewa. Jeśli Sabine jest gdzieś w pobliżu, na terenie Pine Bluff albo na błotnistych wodach rzeki, istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo, że nie żyje.

Gniew, smutek, wyrzuty sumienia i żal – emocje kotłują się na dnie mojego pustego żołądka. Chciałbym powiedzieć Sabine milion różnych rzeczy, a wszystko wskazuje na to, że już nigdy nie będę miał ku temu okazji.

Światło w pokojach przesunęło się. Popołudniowe słońce w końcu wspięło się wystarczająco wysoko na niebie i przeniknęło przez okna sypialni. Gapię się w sufit, nasłuchując ekip telewizyjnych zgromadzonych na trawniku przed domem. Przyływ niepokoju zmusza mnie do wstania z łóżka. Muszę pobiegać. Przebierać nogami tak szybko, że serce o mało nie eksploduje mi w piersi, a płuca palą z braku tlenu. Mam ochotę sponiewierać swoje ciało na tyle, by móc zapomnieć o wydarzeniach z kilku ostatnich dni.

Zakładam spodenki trekkingowe i koszulkę z krótkim rękawem. Zabieram telefon ze stolika nocnego. Sto dwadzieścia siedem nieprzeczytanych wiadomości. Przewijam esemesy i e-maile, z których większość to wariacje tych samych pytań.

OMG, co za szok. Czy mogę ci jakoś pomóc? Myślami jesteśmy z tobą. Modlimy się za was.

Jestem mile połączony, że nikt się ode mnie nie odwrócił, ale nie jestem aż taki naiwny, by sądzić, że tak się nie stanie. Ingrid jest nie wiadomo gdzie, informując świat o dwugodzinnej przerwie w rozkładzie mojego dnia. Nie minie dużo czasu, a powie o tym prasie.

Odsuwam roletę z okna na piętrze i wyglądam na zewnątrz. Dziennikarze stoją w grupkach na trawniku, popijając kawę i pieprząc jakieś farmazony, jakby moje życie było cholernym happy hour. Ostre słońce Arkansas pali ich w głowy, a jego promienie odbijają się od chodnika za ich plecami, lśniąc niczym woda. Świetnie. Mam nadzieję, że się tam usmażą.

Schodzę na dół do kuchni i sprawdzam zawartość lodówki, chcąc przygotować śniadanie. Resztki pizzy, pół opakowania jajek, oślizgły kawałek sera i prawie cztery litry skwaśniałego mleka. W trakcie mojej nieobecności Sabine nie marnowała czasu na robienie zakupów spożywczych. Po co miałyby to robić? Mój wyjazd na Florydę był dla niej jak prezent urodzinowy, rocznica ślubu i gwiazdka w jednym. Całe cztery dni, które mogła spędzić z kochankiem, nie będąc przez nikogo kontrolowana. Pewnie spędzili każdą sekundę razem, szczególnie że jego żona zdążyła się wyprowadzić. Nie mieli na głowie żadnych upierdliwych małżonków, wypytyujących, co na kolację.

Biorę jajka i zatraskuję drzwi lodówki.

Jeśli mam się tu ukrywać przez cały weekend, będę musiał pojechać na zakupy. Mięśnie ramion napinają mi się mimowolnie na samą myśl o przedarciu się autem przez tłum reporterów. Chyba powinienem porozmawiać z prawnikiem i poprosić go, by przegonił ich pod groźbą pozwu sądowego, a przy okazji zapytać, jakie konsekwencje mogą wyniknąć z faktu, że detektyw Durand wie o brakujących dwóch godzinach w moim środowym rozkładzie dnia. Z drugiej strony, co taki

detektyw może zrobić? Aresztuje mnie? Nie może tego zrobić, nie mając dowodów ani ciała. Dwugodzinne okienko nie czyni mnie mordercą.

Wbijam ostatnie jajka na patelnię, gdy nagle rozlega się dzwonek do drzwi. Wyglądam przez okno obok garażu. Jakimś cudem mojemu bratu Derrickowi udało się wyminąć horde dziennikarzy swoim camaro. Wsiadł z auta i teraz wdzięczy się do kamer.

Niech to szlag.

Opuszczam żaluzje i wracam do patelni, obserwując skwierczące jajka. Otworzyć czy nie otworzyć. Oto jest pytanie.

Znów słyhać dzwonek do drzwi. Derrick wciska guzik cztery razy, po czym wali pięścią w drzwi.

– Daj spokój, Jeffrey. Wiem, że tam jesteś. To ja, Derrick. Wpuść mnie do środka.

Mieszam jajka widelcem.

Wpuszczenie go do domu będzie się wiązało z odkopaniem ostrego, owiniętego drutem kolczastym topora wojennego, złożonego z odwiecznych pretensji i pasywno-agresywnej wściekłości. Derrick ma do mnie żal z powodu mojej pracy, domu, żony – ha! co za kpina! – samochodu, ubrań i niecałych czterech centymetrów wzrostu, którymi go przewyższam, choć to on jest moim starszym bratem. Ja chowam do niego urazę za to, że pastwił się nade mną w szkole i ośmieszał przed innymi, a któregoś razu dla żartu naciągnął mi gacie na plecy w obecności całej drużyny piłki nożnej. Jesteśmy jak mentos i coca-cola – jeśli umieści się nas razem w jednym pojemniku, wybuch gwarantowany.

Słyszę, jak wbiega po schodkach prowadzących do tylnych drzwi. Znajduje zapasowy klucz, który Sabine trzyma pod doniczką, i wkłada do zamka. Słyhać świst przesuwającego się szkła i ryk odkręcanej wody, a kilka sekund później wchodzi do mojej kuchni.

– Nie słyzałeś mnie? – pyta, rzucając klucze na blat. – Dobijałem się do ciebie.

Mój brat wygląda jak niechluj, co jest u niego typowe. Ma na sobie wyblakły i porwany T-shirt, dżinsowe spodnie z poszarpanymi nogawkami i japonki. Derrick to licealny gwiazdor baseballu, który w college’u wiecznie grzał ławę. Został wywalony ze studiów na ostatnim roku i od tamtej pory jego życie zamieniło się w nieprzerwane pasmo porażek.

– Słyszałem. Co tu robisz?

Niezbyt miłe powitanie, ale biorąc pod uwagę łączącą nas relację, niekoniecznie najgorsze.

– Uznałem, że przyda ci się wsparcie moralne, ale równie dobrze mogę wrócić do siebie. – Pokazuje palcem w stronę wyjścia, ale to tylko pokazówka. Jego adidasy zdążyły już wrosnąć w podłogę. – Wygląda na to, że twoja żona w końcu miała cię dość, co?

– Wredny z ciebie kutas, wiesz?

– Jezu, wyluzuj. Tylko żartuję. – Przechodzi w głąb pomieszczenia i rozgląda się dokoła, zupełnie jak tamten detektyw. Jakby katalogował wszystkie przedmioty, na które go nie stać, i oceniał mnie w milczeniu przez ich pryzmat. Ściąga okulary przeciwsłoneczne i wiesza je na przodzie koszulki. – Stary, mówię serio. Jak mogę ci pomóc?

– Wcale. – Odwracam się do kuchenki. – I choć naprawdę doceniam fakt, że przyszedłeś tu napawać się moim nieszczęściem, to w zasadzie możesz już iść.

Derrick podchodzi bliżej, klekocząc japonkami o zrogowaciałe pięty.

– Ja tylko chcę pomóc. Rany boskie, dlaczego zawsze musisz zachowywać się jak ostatni fiut?

– Nie wiem. To chyba dziedziczne.

– Pomyślałem, że możemy trochę pojeździć po okolicy i jej poszukać.

Wrzucam widelec na patelnię i wyłączam gaz. Jajka zdążyły się przypalić. Są suche jak papier i brązowe na krawędziach. Ciskam je razem z patelnią do zlewu.

– Myślisz, że ona szwenda się gdzieś po ulicy, czekając, aż ktoś ją podwiezie?

– Nie, ale może wjechała tym swoim szpanerskim wozem do rowu albo złapała gumę.

– Derrick, czy ty w ogóle oglądasz wiadomości? Przecież znaleźli jej samochód na parkingu przed Super1. Został porzucony.

Jego oczy rozszerzają się ze zdumienia. Opiera się biodrem o granitowy blat.

– Jasna cholera, stary. To brzmi strasznie. Co o tym myśli policja? Że ktoś ją porwał?

Szarpnięciem otwieram drzwi lodówki i wyciągam pudełko z pizzą, którą jadłem w noc zaginięcia Sabine. Brzegi są zaschnięte na kamień,

a ser wygląda jak pomarańczowy, gumowy glut. Biorę kawałek i wgrzynam się w niego. Smakuje równie ohydnie, jak wygląda.

– Jestem całkiem pewny, że myślą, że to *ja* ją porwałem – mówię z ustami pełnymi pizzy.

– Ty? Czy im już całkiem odbiło? Dlaczego mieliby uważać, że to ty ją porwałeś?

Zamiast odpowiedzieć, wpycham do ust kolejny kawałek. Udzielenie odpowiedzi będzie równoznaczne z przyznaniem się do spoliczkowania Sabine, jej romansu z lekarzem, brakujących dwóch godzin w rozkładzie mojego dnia – a ja nie zamierzam dzielić się z bratem tymi szczegółami. Nigdy. Derrick lubi kolekcjonować moje niepowodzenia i porażki, a potem przechowywać w specjalnej skrytce w głowie, zupełnie jak uśpione koktajle Mołotowa. Mogą minąć tygodnie, miesiące albo lata, reszta świata i ja możemy ruszyć dalej ze swoim życiem, a on ni stąd, ni zowąd wspomni o którejś z nich w rozmowie, tylko po to, by doprowadzić mnie do szału.

– Co z Ingrid? – Częstuje się kawałkiem pizzy, który wkłada na minutę do mikrofalówki, i wyciąga z lodówki piwo.

– A co ma być?

– Daj spokój, brachu. Nie utrudniaj sytuacji. Co według niej się stało?

Wzdycham, siadając na wysokim stołku. Uczucie ociężałości powróciło, razem z ostrym, przenikliwym bólem pulsującym za oczami.

– Jestem pewien, że podziela zdanie policji.

Otwiera butelkę piwa i rzuca kapsel na blat.

– Kogo obchodzi, co myśli ta stara prukwa? To policjantów musisz przekonać, nie ją.

Przewracam oczami, wrzucam kapsel i obgryziony kawałek pizzy do śmieci.

– Derrick, jesteś pieprzonym geniuszem. Serio. Przekonać policję, że tego nie zrobiłem. Dlaczego sam na to nie wpadłem?

– Mówię poważnie, J. Znam gościa, który pracuje w studiu filmowym 21 Century Fox. Stale opowiada o szaleńcach, którzy zjawiają się na jego imprezach. Ludzie przychodzą głównie ze względu na darmowe przekąski albo zafajdać toaletę dla gości, ale w zeszłym miesiącu jakiś kolo wyciągnął spluwę. Ukradł mu portfel, zegarek i klucze do auta. Sabine jest naprawdę seksowna. To całkiem prawdopodobne, że ktoś ją zobaczył

i odniósł mylne wrażenie.

– Wiem. Od dawna jej o tym mówiłem.

Mikrofalówka brzdąka, a on wyciąga z niej pizzę, po czym błyskawicznie zabiera rękę z sykiem. Odrywa kawałek ręcznika papierowego z rolki i próbuje jeszcze raz.

– A co z gangami w południowo-wschodniej części miasta? Te wszystkie włamania na Cherry Street nie wzięły się znikąd. Banda gówniarzy próbuje przejąć kontrolę nad miastem. To kwestia czasu, kiedy rozszerzą swoje terytorium na naszą dzielnicę. Może to ich sprawka.

– Może – kwituję, bo choć raz mój brat może mieć rację.

Gangi faktycznie *przejmują* kontrolę nad miastem, a dzięki rosnącemu bezrobociu, biedzie, niedouczonym półgłówkom z gównianych szkół, nieposiadającym ani jednej dobrej, rynkowej umiejętności, jest w nim coraz mniej ludzi będących w stanie je powstrzymać. To, co było kiedyś metropolią zamieszkaną przez ciężko pracujących Amerykanów, dostąpiło wątpliwego zaszczytu stania się jednym z najbardziej niebezpiecznych miast w Ameryce, zaraz po Detroit. Inteligentni ludzie już dawno się stąd wyprowadzili. Może powinienem pójść w ich ślady.

Derrick składa kawałek pizzy na pół. Zabarwiony na pomarańczowo tłuszcz pryska mu na dłoń i ścieka po palcach na podłogę.

– Mówię tylko, że mogło to zrobić całe mnóstwo ludzi. Na moje oko, policja po prostu poszła na łatwiznę i skupiła się na tobie. Nie pozwól zrobić z siebie łatwego celu. Udowodnij im, że nie zawsze winny jest mąż.

Za jednym gryzem wsuwa połowę złożonego kawałka pizzy do ust. Długie pasmo rozpuszczonego sera zwisa mu z brody, przypominając dżdżownicę, ale po raz pierwszy od *wieków* nie narzekam na bałagan, którego narobił. Mój głupkowaty brat ma rację. *Pozwoliłem* zrobić z siebie łatwy cel.

Biorę leżący na blacie telefon i wyszukuję numer, który znałem kiedyś na pamięć. Po dwóch sygnałach rozlega się znajomy głos.

– Najwyższy czas – mówi. – Bez przerwy próbowałam się do ciebie dodzwonić.

Amanda Shephard przekracza próg mojego domu, wyglądając zupełnie tak samo jak w szkole średniej. Szczupła blondynka o dość

skomplikowanej urodzie – wielkie rzęsy, akrylowe paznokcie i długie, zakręcone na lokówce włosy. Twarz ma pokrytą grubą warstwą makijażu, bez którego nigdy jej nie widziałem, nawet w lecie przed rozpoczęciem ostatniego roku college’u, gdy cała nasza klasa spędzała dni na dmuchanych materacach na rzece. Reszta dziewczyn miała świecące się, czerwone od słońca policzki, a makijaż Amandy był jak maska, nieskazitelny i nie do zdarcia.

Zamyka mnie w uścisku wyperfumowanych ramion.

– Och, Jeffrey, biedaczku.

Jej głos odbija się echem w holu. Zamiast pocieszać, osiąga efekt odwrotny do zamierzonego. To jej telewizyjny głos, ten, który pielęgnowała do swojego programu *Mandy in the Morning*, lokalnej śniadaniówki, w której porusza różne tematy, od poważnych po humorystyczne.

Uwalniam się z jej uścisku i uśmiecham się przez zaciśnięte zęby.

– Co u ciebie słychać? Jak się czujesz? Czy ty w ogóle coś jesz?

Myślę o spalonych jajkach w zlewie i pizzy, którą wyrzuciłem za drzwi razem z bratem, na krótko przed jej przyjazdem.

– Trochę.

– Gdybym wiedziała, zrobiłabym ci zapiekankę. – Macha w powietrzu wymanikiowaną dłonią i parska śmiechem. – Zresztą, kogo ja próbuję oszukać? Oboje dobrze wiemy, że nie umiem gotować. Prędzej zamówiłabym ci chińszczyznę na wynos czy coś w tym stylu. Tak czy inaczej, cieszę się, że zadzwoniłaś.

– Dzięki. Proszę, wejdz – mówię, wskazując ręką na salon. – Czuj się jak u siebie.

W trakcie sześćdziesięciu minut, które zajęło jej dotarcie do mojego domu, zdążyłem posprzątać. Odkurzyłem i poprawiłem poduszki. Zmieniłem spodenki do biegania na beżowe spodnie, granatową polówkę i mokasyny. Nic szczególnie wyrafinowanego. Nie chcę, żeby pomyślała, że za bardzo się staram.

Wchodzi do salonu, a z jej ust wyrywa się głośne westchnięcie. Podchodzi do ściany złożonej z okien. Zatrzymuje się zaraz za biurkiem, stojąc przed ścianą szkła oświetloną przez słońce. Blask sprawia, że jej blond włosy opalizują, a materiał sukienki przypomina delikatny obłok otulający ciało – i to bardziej niż przezroczysty. No, no, no. Amanda

Shephard ma na sobie czerwone, koronkowe stringi.

– Mieszkasz bardzo blisko rzeki – mówi, nie odwracając się. – Zupełnie jakby dom unosił się na jej powierzchni.

– Wiem.

– Widok zapiera dech w piersiach.

O tak, masz rację.

Przyciska dłoń do szkła, a promienie słońca sprawiają, że wygląda, jakby stała w płomieniach. Amanda reprezentuje konwencjonalny typ urody, ale aż do teraz nigdy nie uważałem jej za szczególnie atrakcyjną. Jest za bardzo zrobiona i zbyt trudna w utrzymaniu. Jednak stojąc w salonie domu należącego do mojej zdradzieckiej żony, zaczynam dostrzegać inną stronę Amandy. Stronę, dzięki której mogłoby dojść między nami do spektakularnego rżnięcia dla zemsty.

Chrząkam dyskretnie.

– Dom rozkochał nas w sobie właśnie dzięki widokom. Dzięki nim każde okno zamienia się w dzieło sztuki. Wiedziałaś, że wody rzeki zmieniają kolor w zależności od pogody i pory dnia? Nie miałem o tym pojęcia, dopóki nie zacząłem codziennie się jej przyglądać.

Uśmiecha się ponad ramieniem.

– Jeffreyu Hardisonie, ty wrażliwy stary draniu. Jeszcze chwila, a zaczniesz mi deklamować poezję.

Na południowym końcu widać prującą w górę rzeki czarną motorówkę ekipy poszukiwawczej. Ludzie wychylają się za burtę, próbując wypatrzeć coś w wodzie.

– Masz coś przeciwko, żebyśmy zaczęli? – pytam, chcąc, by usiadła na kanapie, zanim spostrzeże łódź. – Kiedy skończymy, muszę pojechać na posterunek i sprawdzić, czy nie ma jakichś wieści w sprawie Sabine.

– Właśnie stamtąd przyjechałam. – Marszczy nos, odsuwając się od okna. – Nie chcieli powiedzieć nic oprócz tego, że samochód Sabine znaleziono na parkingu przed Super1, co, jeśli mam być kompletnie szczerą, absolutnie nic mi nie mówi. Są już jacyś podejrzeni? Albo poszlaki? Mieszkańcy Pine Bluff zasługują na to, by poznać prawdę, Jeffrey.

– Zgadzam się z tobą w stu procentach.

Siada na jednej z bliźniaczych trzyosobowych kanap, a ja zajmuję miejsce naprzeciwko niej. Łódź ratunkowa zatrzymała się na środku

rzeki, z reflektorami wycelowanymi w jedno miejsce. Przyglądam się, jak nurek w pełnym ekwipunku ześlizguje się do wody po burcie.

– Wielka szkoda, że nie pozwoliłeś mi zabrać ze sobą kamery – mówi Amanda, wyciągając z torebki dyktafon.

Kręcę głową. Na stoliku między nami stoi orchidea. Odsuwam ją na drugi koniec blatu.

– Mówiłem już, że nie mogę powiedzieć ani zrobić niczego, co może mieć jakikolwiek wpływ na śledztwo.

Amanda zastyga w bezruchu, z jednym ramieniem wyciągniętym w stronę stolika.

– A więc ta rozmowa jest nieoficjalna, tak? – Prostuje się, unosząc dyktafon. – Czy w ogóle wolno mi go użyć?

Odchylam się na fotelu i udaję, że zastanawiam się nad odpowiedzią.

Amanda już po sekundzie traci cierpliwość.

– Jeffrey, wezwalesz mnie z konkretnego powodu. Przestań się wygłupiać i mów, o co chodzi.

– W porządku. Zadzwoiłem do ciebie, bo chcę, byś pomogła mi postawić sprawę jasno. Rzecz w tym, że znam scenariusz tego filmu i wiem, jak się kończy. Mąż idzie do więzienia na dwadzieścia lat albo dostaje dożywocie.

– Tylko wtedy, jeśli jest winny – rzuca żartobliwym, kokieteryjnym tonem, pozwalając, by jej słowa zawisły między nami, podszyte aluzjami.

– Amando, daj spokój. Od jak dawna się znamy? Od piętnastu lat? Dwudziestu?

Wydyma pomalowane błyszczkiem usta.

– Nie powiem ci, jeśli ty tego nie zrobisz.

Trzyma dłonie za skrzyżowanymi w kolanach nogami. Zwinnym kciukiem dyskretnie wciska guzik włączający dyktafon. Udaję, że tego nie widzę.

– Wystarczająco długo, by wiedzieć, do czego jestem i do czego nie jestem zdolny. Czasami zachowuję się jak skończony kutas, ale nie jestem typem faceta, który doprowadza do zaginięcia skłóconej z nim żony. Nie jestem mordercą.

Amanda cmoka z dezaprobatą na dźwięk słowa „skłócony”.

– Shelley McAdams to moja przyjaciółka. Powiem tylko, że nie najlepiej znosi tę sytuację.

Żona lekarza. Wygląda na to, że nie jestem tu jedynym sukinsynem.

– No cóż, nie obrażając Shelley, ale jest powodem, dla którego do ciebie zadzwoniłem. Policja zakłada, że to była zbrodnia w afekcie, ale nie tylko ja miałem motyw. Skąd możemy mieć pewność, że Shelley nie... sam nie wiem... nie szukała zemsty?

– Dlatego, że Shelley jest w Chicago i prowadzi rozmowy z prawnikami od rozwodów. – Amanda posyła mi uśmiech w stylu wybacz-ale-jestem-po-jej-stronie. – Nie zdziw się, jeśli otrzyma prawo do pełnej opieki nad dziećmi.

– No dobra, więc mówimy o osobach trzecich. Znasz statystyki dotyczące przestępstw w tym mieście. Sabine ma pieniądze, jest piękna i często przebywa sama w wielkim, pustym domu. Na zewnątrz grasuje cała masa świrów. Skąd możemy wiedzieć, że to nie był któryś z nich?

– Jestem pewna, że policja się tym zajmuje.

– Wcale nie – i właśnie w tym tkwi problem. Z tego, co wiem, jestem jedyną osobą, wokół której wężą.

– W takim razie dlaczego nie spojrzysz w kamerę i nie powiesz całemu światu, że jesteś niewinny? – Gdy nie odpowiadam, dorzuca: – Jeśli się denerwujesz albo potrzebujesz małego treningu medialnego, mogę ci w tym pomóc. To nie jest takie trudne.

– Nie denerwuję się. Po prostu wiem, że to, co mam do powiedzenia, zabrmi o wiele lepiej, jeśli wyjdzie z ust kogoś innego.

– A co konkretnie masz do powiedzenia?

– Jestem... w posiadaniu pewnych informacji na temat swojej żony. Jeśli jednak wyszłyby one ode mnie, ludzie uznałyby je za... podejrzone. Ale gdybyś to ty ich udzieliła, to już byłaby informacja prasowa.

Amanda prostuje się, słysząc ostatnie dwa słowa, tak jak przewidziałem. Pragnie być postrzegana jako dziennikarka z prawdziwego zdarzenia. Spędza mnóstwo czasu w sieci na promowaniu wiarygodności jej programu telewizyjnego w mediach społecznościowych oraz broni go przed ludźmi zarzucającymi jej, że to stek bzdur. Nazwanie jej dziennikarką jest jak wręczenie jej Pulitzera. Przydaje wiarygodności i potwierdza status.

– Zrobimy tak. – Opieram nogę w kostce o kolano, zapadając się głębiej w kanapę. – Postawisz swój dyktafon na stole, a ja powiem ci, co wiem. Gdy skończymy, a tobie spodoba się to, co miałem do powiedzenia, i będziesz chciała, żebym powtórzył to jeszcze raz przed kamerą, to

porozmawiamy również o tym.

Teraz Amanda jest jak pies, który dorwał się do kości. Dałem jej taką, na której jest wystarczająco dużo mięsa, więc nie ma opcji, by chciała ją oddać. Z drugiej strony, zawsze była królową dramatyzmu, więc nie śpieszy się, udając, że podejmuje decyzję. Krzyżuje ramiona na piersi, mruży oczy i przygryza dolną, umalowaną błyszczącym wargę. Rozsiadam się wygodnie, podziwiając jej teatralne zagranie. Po kilku sekundach kładzie na stole dyktafon.

Czas na show.

Opowiadam jej wszystko, co wiem. Że Sabine była na parkingu przed Super1 w dniu zniknięcia. Że odeszła, zostawiając samochód i jednorazowy telefon, ale zabrała iPhone'a, którego policja nie była w stanie namierzyć. Że to ja wszcząłem alarm po upływie kilku godzin od jej spodziewanego powrotu do domu. Że od tamtej pory praktycznie nie zmrużyłem oka.

– Co się stało? Myślisz, że ktoś ją porwał?

Wzruszam ramionami.

– Istnieje taka możliwość. Jednak w pobliżu auta nie wykryto żadnych śladów walki. Na ziemi nie było krwi ani śladów opon. Jeśli wsiadła do czyjegoś samochodu, domyślam się, że to dlatego, że знаła tę osobę. Jednak, z drugiej strony, bardziej prawdopodobne wydaje się, że... – Po mojej twarzy przemyka grymas. Wbijam wzrok w szalowy dywanik.

Amanda przesuwa się na sam brzeg kanapy i pochyla w moją stronę.

– Co wydaje ci się bardziej prawdopodobne?

Wzdycham przeciągle.

– Mam wrażenie, że poruszając ten temat, zdradzam Sabine, ale jestem zdania, że gdyby tu była, zrozumiałaby mnie. Sęk w tym – jesteś pierwszą osobą, której to mówię, więc wybaczone, jeśli będę mówił bez ładu i składu – że nieco ponad dwa lata temu Sabine przechodziła w życiu trudny okres. U jej matki wykryto alzheimera. Przestała ją poznawać. Nie za każdym razem, ale ten pierwszy był dla niej szczególnie druzgocący. Do tego dowiedzieliśmy się, że u dziecka, z którym Sabine była w ciąży, na którego poczęcie wydaliśmy niemały majątek, nie było akcji serca. Przez te wszystkie problemy sytuacja zrobiła się naprawdę niewesoła.

Amanda wzdycha ze współczuciem, ale czeka, aż podejmę przerwany wątek.

– Po tym, jak straciła dziecko, stała się... sam nie wiem, jak to ująć... popadła w stan, którego nie rozumiałem. Przestała jeść. Całymi dniami leżała w łóżku. Faszerowała się środkami przeciwbólowymi i innymi rzeczami, które wpadły jej w ręce, popijając je alkoholem, do momentu kiedy nie spuściłem wszystkiego w toalecie. Aż pewnego dnia jej przeszło. Wstała, ubrała się i pojechała do pracy jak gdyby nigdy nic. Tego tygodnia sprzedała trzy domy i wystawiła na sprzedaż dwa kolejne. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że moja żona musi być naprawdę niesamowitą agentką nieruchomości, skoro zakończyła trzy tygodnie spędzone jak w śpiączce podpisaniem umów sprzedaży nieruchomości wartych łącznie ponad milion dolarów.

– Jak jej się to udało? – pyta Amanda.

– Nie mam zielonego pojęcia. To mógł być łut szczęścia, a może umowy, nad którymi pracowała na długo przed poronieniem, nagle udało się sfinalizować. Naprawdę nie wiem. Chodzi o to, że w końcu się uspokoiłem. Myślałem, że sprawy mają się lepiej, że *ona* czuje się lepiej, więc przestałem jej pilnować. – Robię pauzę, odliczając w myślach do trzech. – Nie powinienem był tego robić.

Pomiędzy idealnie wyskubanymi brwiami Amandy pojawia się pionowo zmarszczka.

– Nadal czegoś nie rozumiem. Co to ma wspólnego z tym, co przydarzyło się Sabine? Albo z tym, gdzie jest?

– Może nic, a może wszystko. – Biorę głęboki wdech, po czym powoli wypuszczam powietrze z płuc. Bezдушna Amanda wstrzymuje swój. – Chcę przez to powiedzieć, że Sabine już to kiedyś zrobiła.

Oczy Amandy rozszerzają się ze zdumienia.

– Chyba nie sugerujesz, że...

Przytakuję.

– Dwa lata temu w listopadzie, dzień po Święcie Dziękczynienia, Sabine wsiadła w autobus i zniknęła.

BETH

Martina zjawia się pod moimi drzwiami wczesnym rankiem, świeżo po wyjściu spod prysznic.

– Dzień dobry! Ładnie wyglądasz. Chodź, pojedziemy razem do pracy.

Jej zaróżowiona, czysta twarz jest bez grama makijażu. Ma tak gęste rzęsy, że nie potrzebują żadnego tuszu. Za jej uszami widać ciasno zaplecione, francuskie warkocze, których końce zostawiają dwa mokre ślady na jej koszulce z napisem „Tutaj pracuje Bóg”. W efekcie wygląda świeżo, młodzieńczo i uroczo.

Uśmiecham się i sięgam po kluczyki.

– Świetny pomysł. Ja prowadzę.

– Ale ja już wzięłam swoje. – Unosi je do góry i potrząsa nimi przy twarzy.

– Jestem świetnym kierowcą – mówię, odpychając ją lekko na bok, by móc wyjść na korytarz. – Uwierz, że nie chcesz, żebym siedziała na fotelu pasażera. Doprowadzę cię do szafu, a poza tym uwielbiam siedzieć za kółkiem.

Tak naprawdę lubię mieć nad wszystkim kontrolę. Nie ma mowy, żebym przypięła się pasami do fotela w czyimś aucie i pozwoliła zawieźć się Bóg wie gdzie, szczególnie ze wszystkimi pieniędzmi, jakie mam, przypiętymi do paska. Nie mam zamiaru pozbywać się samochodu ani rezygnować tak łatwo z nowo odkrytej władzy nad własnym życiem. Siedząc za kółkiem własnego samochodu, mam poczucie, że to ja tu rządę.

Pod warunkiem że zrobimy wszystko na moich warunkach, nie mam nic przeciwko czyjemuś towarzystwu.

Martina otwiera usta, by zaprotestować, ale rozpraszają ją otwierające się na końcu korytarza drzwi. Tom, wiecznie pocący się koleś o czerwonej twarzy mieszkający w pokoju naprzeciwko mnie, wyłania się z łazienki w obłokach pary. Jest cały mokry po trzyminutowej sesji pod prysznicem.

Woda spływa po nim strumyczkami i wsiąka w dywan. Jego włosy, zwykle misternie ułożone w zaczeskę na czubku głowy, pod którą i tak wszyscy wiedzą, co się kryje, zwisają w cienkich, mokrych strąkach, sięgając jego nagich ramion.

– Dzień dobry, drogie panie – mówi. – Wyglądacie dzisiaj naprawdę stylowo. Identyczne stroje. Bardzo fajne.

To lepsze niż jego strój, na który składa się mikroskopijny, wiekowy frotowy ręcznik, zawiązany nisko pod obwisłym brzuchem. Rozchyła się w trakcie chodzenia, przez co od czasu do czasu widać spod niego rzeczy, które z całych sił staram się ignorować.

Martina robi krzywą minę.

– Lepiej byś się ubrał, Tom.

– Najpierw muszę wyschnąć.

– Myślałam, że po to masz ręcznik.

Wydaję z siebie gardłowy pomruk. „Ręcznik” to zbyt duże słowo.

– Nie. Ręcznik jest dla przyzwoitości. – Zatrzymuje się pod swoimi drzwiami, zapewniając nam widok na swoje owłosione plecy i jednocześnie majstrując kluczem w zamku. – Poszczególne części mojego ciała funkcjonują lepiej, jeśli wyschną na powietrzu. Miłego dnia. – Wchodzi do pokoju i zatrzaskuje drzwi.

Martina odwraca się w moją stronę z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– To prawda? Ja też powinnam suszyć je na powietrzu?

Parskam śmiechem i idę w kierunku schodów.

– Chodź. Nie chcę się spóźnić.

W korytarzu piętro niżej wpadamy na pannę Sally. Włosy ma nawinięte na grube wałki, które są w tym samym odcieniu jaskrawego różu co jej jedwabny szlafrok – kwieciste kimono, zawiązane luźno w pasie. Jego poły rozchylają się na boki, odsłaniając podskakujące na wysokości wzroku piersi. O co chodzi z tymi łażeniem półnago?

– Wyglądacie jak te bliźniaczki z reklamy gumy do żucia – stwierdza, taksując nas wzrokiem od stóp do głów. – Widzę, że Martina załatwiła ci pracę.

Spoglądam na Martinę z uśmiechem.

– Owszem. Jestem jej za to dożgonnie wdzięczna.

Martina szczerzy zęby w uśmiechu i szturcha mnie ramieniem.

– Słyszałam o tym miejscu wiele dobrego. Mój znajomy chodzi tam co

niedziela. Siada na przedzie albo na środku, naprzeciwko wielkiego krzyża. Próbował namówić mnie do przyścia, ale stale mu powtarzam, żeby nie zwracał sobie tym głowy. – Wzrok panny Sally pada na moją klatkę piersiową i napis widniejący na koszulce. – W odróżnieniu od waszych dusz, jestem całkiem pewna, że moja już dawno została skazana na potępienie.

– Proszę nie dać się zwieść – mówię, śmiejąc się. – Do zbawienia duszy będę potrzebować czegoś więcej niż koszulki.

Panna Sally parska śmiechem, jakbyśmy grały w jednej drużynie, choć wszystkie te rzeczy, w które wierzyłam odnośnie do własnej wrodzonej przyzwoitości, już dawno nie są prawdziwe. Kłamałam i oszukiwałam. Nim to wszystko się skończy, posunę się do jeszcze gorszych rzeczy.

Niektórzy pewnie powiedzą, że to czyni ze mnie tak samo złego człowieka jak ciebie, ale ja w to nie wierzę. Nic nie przebije tych momentów, kiedy przyciskałeś mnie do ziemi i pluć mi w twarz, uderzałeś w brzuch tak mocno, że traciłam oddech, albo ścisnąłeś za kark i zmuszałeś do wypicia całej butelki środka nasennego. „To nie tak, że ja *chcę* robić te rzeczy”, tłumaczyłeś mi po każdym takim incydencie. „To przez ciebie. To ty je we mnie wyzwalasz. Nie zachowywałbym się tak, gdybyś była inną kobietą”. Ja to nazywam samoobroną. Dla mnie to kwestia przetrwania.

Żegnamy się z panną Sally i wychodzimy. W ciągu nocy nadciągnęły chmury, przynosząc ze sobą wilgoć, przez co ma się wrażenie, jakby chodziło się w wodzie. Powietrze jest tak gęste, że można je kroić nożem. W środku buicka jest jeszcze gorzej. Wilgoć przedostała się przez szczeliny między szybami i pokryła tapicerkę cienką, lepłącą się warstewką. Siadamy na fotelach, które eksplodują bukietem woni. Żadna z nich nie jest przyjemna. Papierosy, odór ciała i coś kwaśnego, jak zepsute mleko. Włączam silnik i opuszczam szyby, żeby wywietrzyć smród.

– Niezła bryka – mówi Martina, przesuwając dłonią w górę i w dół po podłokietniku, a ja zastanawiam się, czy się ze mnie przypadkiem nie nabija. Tak czy inaczej, nie jestem przez to ani trochę zainteresowana jazdą w jej samochodzie.

Włączam nawigację w telefonie, ale Martina zbywa mnie machnięciem ręki, mówiąc, jak wyjechać z osiedla. Trajkocze jak najęta, gdy suniemy

ulicami, na których jest już pełno ludzi takich jak my, idących do pracy albo szkoły. Ciekawe, co widzą, gdy na nas patrzą. Pewnie wydajemy im się całkiem normalne. Jak jedni z nich.

Gdy wyjeżdżamy na autostradę – trasę, którą znam – Martina rozsiada się wygodnie na swoim fotelu, ściąga adidasy i zarzuca stopy na deskę rozdzielczą. Paznokcie ma pomalowane lakierem w kolorze jaskrawego, metalicznego błękitu.

– No więc jak to z tobą jest?

Pytanie jest na tyle ogólne, że może odnosić się do wielu rzeczy. Zerkam na nią z ukosa, próbując ustalić, o którą może chodzić, ale profil Martiny niczego nie zdradza. Wskazuje na sygnalizację świetlną i mówi:

– Zielone.

Rozglądam się na boki i ostrożnie wciskam pedał gazu.

– A co ma ze mną być?

– Upierasz się, żeby prowadzić, choć – bez obrazy – wcale nie jesteś w tym dobra. Prawie co noc miewasz koszmary. I to takie, przez które krzyczysz. Tak, wszyscy w Morgan House cię słyszą. Wszyscy o tym gadają. Za każdym razem, kiedy ktoś zada ci pytanie, które choćby w najmniejszym stopniu jest osobiste, mamrociesz pod nosem jakąś wymijającą wymówkę i zmieniasz temat. Nie powiedziałaś mi nawet, skąd jesteś.

– Z Oklahomy.

To kłamstwo, ale pasuje do tablic rejestracyjnych, więc co mi tam.

– Skąd dokładnie w Oklahomie?

– Z miasta, o którym nikt nigdy nie słyszał. – To przynajmniej jest prawda. Nie licząc wskaźnika przestępczości, Pine Bluff nikogo nie interesuje. – Z miasta, o którym z całych sił próbuję zapomnieć – dodaję, usiłując uciąć dalszą rozmowę na ten temat.

Martina wzrusza ramionami.

– Wszyscy przed czymś uciekamy, ale jeśli mamy być przyjaciółkami, musisz mi coś o sobie opowiedzieć. Tak to już działa, wiesz? Ty mówisz mi coś o sobie, a ja rewanżuję się tym samym.

Ma rację. Tak wygląda przyjaźń, choć nie jestem pewna, czy to ona jest tu celem – dla którejkolwiek z nas. Na pewno nie był to główny cel Martiny, kiedy zainkasowała prowizję od Jorge, nie mówiąc mi o niej ani słowa.

A mimo to...

Jakby to było znaleźć przyjaciółkę w tym miejscu? W tym mieście? Kogoś, z kim mogłabym się pośmiać, kto skoczyłby za mną w ogień, tak jak przyjaciele, których wcześniej miałam, zanim wbiłam klin w każdą z moich relacji. Lubię Martinę. Prawdę mówiąc, przydałby mi się przyjaciel.

– Powiedziałaś ci, skąd jestem – przypomina mi. – Powiedziałaś nawet o mojej ćpającej crack matce, a ja nigdy *nikomu* o niej nie mówię. Mogłabyś przynajmniej podzielić się ze mną prawdą o swoim życiu.

Prawda. To słowo wydaje mi się bardzo zabawne. Tłumię śmiech. Głośny, gardłowy śmiech. Jaka znowu prawda? Jak na razie, żadna z nas nie była skłonna do zrobienia pierwszego kroku i podzielenia się czymś naprawdę szczerym. Ja na pewno nie zrobię tego pierwsza. To nowe życie, bez względu na to, ile potrwa, zależy od tego, czy będę zdradzać obcym ludziom szczegóły ze swojej przeszłości.

Skrećam w lewo na wjazd na autostradę I-75, która wygląda jak parking. Jak morze stojących zderzak przy zderzaku samochodów na czerwonych światłach postoju. Spaliny migoczą, unosząc się do góry i falując jak ściana nagrzanego powietrza. Zatrzymuję się za podrasowanym pickupem i odwracam się na fotelu, twarzą w twarz do Martiny.

– Powiedziałaś, że urodziłaś się w Grady Hospital, ale masz akcent, który wskazuje na to, że pochodzisz z Meksyku. Poza tym, praktycznie przyznałaś się, że jesteś klientką Jorge. Jeśli mam być z tobą zupełnie szczerą, nie jestem pewna, czy wierzę choćby w połowę tego, co mówisz. Czego potrzebuje urodzona w Ameryce obywatelka od faceta takiego jak Jorge, jeśli nie prowizji?

Martina marszczy brwi.

– Co to w ogóle znaczy „prowizja”?

– Jorge zapłacił ci prowizję za to, że przysłałaś mnie do niego jako klientkę. A skoro już o niej mowa, prawdziwa przyjaciółka powiedziałaaby mi o tym, a może nawet podzieliła się kasą. Przyjaciele nie wykorzystują się wzajemnie, żeby zarobić trochę grosza.

– O czym ty mówisz? Nie dostałam od Jorge żadnej prowizji. Kto ci to powiedział?

Stojący przed nami pickup przesuwa się o kilka metrów naprzód, więc

robię to samo, wciskając się głębiej w sznur pojazdów.

– Jorge. Powiedział, że zapłaci mi pięćdziesiąt dolarów od każdego przysłanego klienta.

– Że co...? Pięćdziesiąt dolarów... – Na policzkach Martiny wykwitają rumieńce. Zaciska mocno powieki. – Od osoby?

Przytakuje.

– No nie. – Kręci głową, opierając dłoń na biodrze. – Niewiarygodne.

Wyrzucając z siebie potok wściekłych zdań po hiszpańsku, wyciąga z kieszeni telefon i stuka palcem w ekran. Wyłapuję kilka słów – *puta, cajones, mierda* – podczas gdy z głośnika lecą rytmiczne dźwięki. Kilka sekund później Jorge odbiera połączenie krótkim:

– Czego?

Martina przechodzi na angielski. Mówi wysokim głosem, zwięźle i konkretnie.

– Jorge, tu Martina. O co chodzi z tą prowizją?

Z głośnika daje się słyszeć głos Jorge.

– Kto ci to powiedział?

– Beth. Zapropnowałaś jej prowizję, podczas gdy ja przyprowadziłam ci chyba z dziesięciu klientów. Rozumiem, że wszystkie moje czeki zaginęły gdzieś na poczcie, prawda?

Jorge milczy o dwie sekundy za długo.

– Prowizja jest całkiem nowa. Dopiero ją wprowadziłem.

– Uhm, akurat. – Martina patrzy na mnie i przewraca oczami. Przetacza się przeze mnie fala poczucia winy, torując sobie drogę do brzucha. – Jorge, przestań mi wciskać ten kit. Wisisz mi jakieś trzysta dolarów.

– Dobra, dobra. Zapłacę ci następnym razem.

– Nie. Posłuchaj mnie. Nie będzie następnego razu, dopóki nie dostanę pieniędzy, które jesteś mi winien. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie dostaniesz nowych klientów, dopóki nie zapłacisz.

Kolejna długa pauza, po której słychać głębokie westchnięcie.

– W porządku.

– W porządku – odwarkuje Martina, po czym się rozłącza. Rzuca telefon na kolana z pełnym wściekłości piskiem. – Nie wierzę, że mi to zrobił. Co za drań. Co za parszywy, śmierdzący drań.

Ogarnia mnie poczucie winy, rozpalając od środka. Jeśli ktoś tu jest

draniem, to tylko ja. Krzywiąc się, zaciskam dłonie na kierownicy.

– Myślałam, że zaproponował mi to samo co tobie. Nigdy nie sądziłam...

– Kręcę głową, zerkając na nią z ukosa. – Czuję się jak ostatni śmieć.

Martina zbywa moje przeprosiny machnięciem ręki.

– To nie ty jesteś śmieciem. To Jorge nim jest. To na niego jestem wściekła, nie na ciebie.

– Mimo wszystko... Naprawdę bardzo cię przepraszam.

Po przeprosinach jej wściekłość wyparowuje równie szybko, jak się pojawiła. Odwraca się w moją stronę, a uśmiech na jej twarzy jest szeroki i autentyczny.

– Widzisz? Tak zachowują się przyjaciele. Przepraszają, wybaczą, a następnym razem bardziej się starają. Jeśli masz problem, przyjdź do mnie i porozmawiaj o nim, okej?

Kiwam głową.

– Okej.

– Świetnie. Teraz moja kolej. – Bierze głęboki wdech przez nos, po czym wypuszcza powietrze przez usta. – No dobra. Słuchaj, nie podoba mi się, jak czasami na mnie patrzysz.

– A niby jak na ciebie patrzę?

– Jakbyś myślała, że za chwilę się na ciebie rzucę. Jakbyś myślała, że chcę ci ukraść wszystkie pieniądze, które chowasz za paskiem. Nie zrobiłabym ci tego. – Pokazuje palcem na moją twarz i macha nim pomiędzy nami. – Beth, ty i ja jesteśmy przyjaciółkami, a ja nigdy nie skrzywdziłabym tak własnej przyjaciółki. *Nigdy*.

Mówi to w taki sposób, jakby stwierdzała fakt. Oczywistą oczywistość. Sugeruje, że można jej zaufać. Że mamy zostać najlepszymi przyjaciółkami. Patrzy na mnie swoimi brązowymi oczami przez kilka sekund, a ja nie mogę zaprzeczyć, że jej przekaz poruszył we mnie jakąś strunę. Sęk w tym, że lubię Martine. Choć niespecjalnie wierzyłam we wszystko, co mi dotychczas mówiła, wydaje mi się, że to było ziarno prawdy, którego szukałam. Myliłam się w kwestii jej układu z Jorge. Możliwe, że od samego początku niepotrzebnie byłam wobec niej podejrzliwa.

– Wierzę ci – mówię.

Bóg mi świadkiem, że mówię serio. Wierzę Martinie, kiedy mówi, że nie ukradłaby mi pieniędzy. Mam tylko nadzieję, że nie popełniam błędu.

Kierowca samochodu stojącego za mną wciska klakson, więc dodaję gazu i ruszam przed siebie, uśmiechając się pod nosem.

Prawda jest taka, że posiadanie przyjaciółki jest całkiem miłe.

Zaskakujące, ale miłe.

Gdy późnym rankiem chodzimy między ławkami wzdłuż głównej nawy kościoła, wkładając Biblie i śpiewniki do szafek pomiędzy siedzeniami oraz wrzucając biuletyny z porządkiem dzisiejszej mszy, Martina mówi, że ma dwadzieścia osiem lat. Członkowie jej rodziny albo już nie żyją, albo się przeprowadzili, nie licząc jej młodszego przyrodniego brata, Carlosa, chłopaka o połowę od niej młodszego, który za chwilę zaczyna naukę w liceum w Grady – które, jak się domyślam, jest zupełnie innym miejscem niż szpital, w którym Martina, jak utrzymuje, się urodziła. Mają wspólnego ojca, obiboka i włóczęgę, który według ostatnich wieści, jakie o nim miała, grywał na perkusji w melinach rozsianych wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Matka Carlosa jest wredną suką, ale przynajmniej nie pije i pamięta o robieniu zakupów, co w oczach Martiny znacznie rekompensuje opryskliwe komentarze.

Martina bez przerwy mówi i mówi. Buzia nie zamyka jej się nawet na chwilę, a ja nie przerywam. Dopóki to ona mówi, nie muszę robić nic, tylko słuchać.

Gdy zbliżamy się do ostatniego rzędu ławek w sektorze, nadeptuję na coś twardego i nierównego. Schylam się i podnoszę z podłogi dziecięcy smoczek. Jest brudny i popękany, a z różowej tarczy odpadło kółeczko.

– Mam to wyrzucić? – pytam, trzymając go w powietrzu.

Martina wyjmuje go z moich palców i wrzuca do pustego pudełka.

– Nigdy niczego nie wyrzucamy. *Nigdy*. Wkładamy do pudła z rzeczami zgubionymi. Nie żeby ktokolwiek tu przyszedł i szukał kawałka starego plastiku, ale to nie zależy od nas. Nigdy nie wiesz, co znajdziesz. Telefony, klucze, papierki od gum do żucia i Bóg jeden wie, co jeszcze. Raz znalazłam diamentowy kolczyk. Z prawdziwym diamentem.

– Skąd wiesz, że był prawdziwy?

– Widziałaś ludzi, którzy tutaj przychodzą? – Prycha pod nosem. – Na bank był prawdziwy.

Myślę o Charlene, blond recepcjonistce, którą poznałam pierwszego

dnia, ubraną w jedwabną sukienkę i obwieszoną biżuterią. Martina ma rację. Nie będę się z nią spierać.

– Poczekaj, aż zobaczysz to miejsce jutro rano, po tym jak wielebny Andrews wypełni całą salę. Kościół może pomieścić osiem tysięcy osób, a co najmniej połowie z nich zawsze wypadną z kieszeni jakieś rzeczy, które potem znajdujemy.

Wyciągam z pudełka nową porcję biuletynów.

– To miejsce w niczym nie przypomina kościoła, do którego chodziłam.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, żałuję, że nie mogę ich cofnąć. Nie żeby Martina zwróciła uwagę na moje przypadkowe zwierzenie. Podnosi z podłogi jakieś śmieci, wrzuca je do pudła i idzie dalej.

– Byłaś kiedyś na którejś z mszy prowadzonych przez wielebneho Andrewsa?

Przytakuje.

– Jakie one są?

– Nabożeństwa są super. Takie w stylu „weselcie się i klaszczcie”, jeśli wiesz, co mam na myśli, ale to muzyka kradnie całe show. Przypomina to bardziej pójście na koncert. Dzięki niej godzina mija, jak z bicza strzelił. Jeśli chcesz, możemy zostać dziś wieczorem, ale radzę ci poczekać do środy.

– A co jest w środy?

– Po mszy wielebny Andrews przygotowuje bufet. Smażony kurczak, lazanie, tłuczone ziemniaki, po prostu całe góry jedzenia. Powinnaś zobaczyć tych zadzierających nosa bubków, jak atakują stoły, jakby nie jedli co najmniej od tygodnia. Kręcą się wokół nich z talerzami, gdy wielebny błogosławi pokarmy, a jego końcowe „Amen” jest jak wystrzał z pistoletu startowego. Rzucają się na jedzenie jak... jak nazywa się ten lud opisany w Biblii, na który spadła klęska głodu?

– Kananejczycy.

– Dokładnie. Więc jeśli zostaniemy na mszy, a potem pomożemy w sprzątaniu, będziemy mogły najeść się do syta. Poza tym wielebny Andrews płaci za nadgodziny.

Nadgodziny i darmowe żarcie, trzy magiczne słowa.

Podjąwszy decyzję, kiwam głową.

– W takim razie zaczekajmy do środy.

Spoglądam na Martinę, czekając na potwierdzenie, ale ona patrzy

gdzieś ponad moim ramieniem. Prostuje plecy i marszczy brwi.

– Co ty tu, do diabła, robisz?

Odwracam się i widzę kobietę – nie, *dziewczynę* – idącą wzdłuż nawy w naszą stronę. Wygląda na jakieś szesnaście, siedemnaście lat, choć w sprawianiu wrażenia bardziej dorosłej niż w rzeczywistości pomaga jej wzrost. Ma jakieś metr osiemdziesiąt z hakiem. Jej skóra jest mocno opalona, a włosy to naturalne, gęste afro z kręconych sprężynek, spod których widać wysokie kości policzkowe i wielkie, zielone oczy. Jest ubrana tak samo jak my, w identyczne spodnie khaki i T-shirt z napisem „Tutaj pracuje Bóg”, tyle że jej są obcisłe, a koszulka jest zawiązana w supeł na boku, odsłaniając zmysłowy fragment złocistej skóry. Podchodzi bliżej, a ja zauważam majaczący na jej twarzy krzywy uśmiezek.

– Pracuję. A co ty tu robisz?

Martina kręci głową, a jej dłonie zaciskają się w pięści.

– Nie możesz tu pracować. *Ja* tu pracuję.

– Ale pracuję – mówi dziewczyna rzeczowym tonem. – I oto jestem.

– Gdzie jest wielebny? – Martina rzuca się naprzód, prawie zwalając mnie z nóg w swoim pośpiechu, by dotrzeć do przeciwnej nawy. – Muszę znaleźć wielebnego.

Dziewczyna przewraca oczami.

– I co mu powiesz? Że ukradłaś moje pieniądze?

Słyszając to, Martina robi w tył zwrot, wymachując wściekle rękami. Przywieram do krzeseł i schodzę jej z drogi.

– Już ci mówiłam! – krzyczy. – Nie wzięłam twojej cholерnej kasy. Nie wiedziałam nawet, że ją masz, dopóki nie oskarżyłaś mnie o jej kradzież. Te pieniądze w ogóle nie należały do ciebie. Tamta prostytutka, którą okradłaś, po prostu przyszła odzyskać swoją własność.

Robią mnóstwo hałasu. Oglądam się do tyłu, przeczesując wzrokiem rzędy pustych ławek, ale z tego, co widzę, nikogo tu nie ma. Mimo to wolałabym, żeby przestały wrzeszczeć i przeklinać.

Dziewczyna zaciska usta w wąską kreskę.

– Tamta prostytutka *faktycznie* wróciła, tak jak jej alfons. Wiesz, co tacy robią ludziom, którzy kradną im pieniądze? Masz szczęście, że mnie nie zabili.

– Co to ma znaczyć? Grozisz mi? Nie wzięłam twojej głupiej kasy, a jeśli

masz choć trochę oleju w głowie, nie będziesz mnie prowokować, żebym powiedziała to po raz kolejny.

Akcent Martiny jest teraz wyraźny jak nigdy. Mnóstwo „r” i krótkich, melodyjnych zdań. Dziewczyna unosi kpiąco brew.

– Słyszać twój meksykański akcent.

Martina robi wymach zaciśniętą w pięść dłońią, a ja łapię ją za łokieć na sekundę przed tym, zanim walnie dziewczynę w twarz. Moje działanie nie do końca jest podyktowane bezinteresownością. Generalnie lubię trzymać się z dala od bójek, ale wydaje mi się, że lepiej jest ją przerwać, nim dojdzie do rozlewu krwi. Jestem tu za krótko, by wyrobić sobie dobrą reputację. To, co świadczy źle o Martinie, będzie źle świadczyć o mnie.

Ustawiam się między nimi, rozkładając dłonie w stronę każdej z nich.

– Hej, widzicie ten krzyż? Zamknijcie jadaczki albo wyjdźcie na zewnątrz. – Martina otwiera usta, by zaprotestować, ale udaje mi się ją ubiec. – To ani miejsce, ani czas.

Martina zamyka buzię. Dziewczyna również. Piorunują się wzrokiem nad moją głową, a Martina skutecznia technikę głębokiego oddychania, która polega bardziej na powstrzymaniu się przed wybuchem niż na medytacji. Otwieram usta, ale w tym momencie rozlega się głos wielebnego Andrews.

– Tu jesteście – mówi, a my zastygamy w bezruchu.

Po swojej lewej słyszę kroki. Wielebny idzie środkiem sceny. Zatrzymuje się pod reflektorem. Skóra jego przedramion lśni jak mokre szkło. Drobinki kurzu tańczą w powietrzu nad jego głową, zawieszony w słupie światła.

– Świetnie. Widzę, że zdążyliście już poznać Ayanę.

Martina posyła mi spanikowane spojrzenie. *Jak dużo usłyszał?*

Wielebny stoi jednak dobre piętnaście metrów od nas i musi podnieść głos, żebyśmy go usłyszały.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałbym, żebyście pracowały dzisiaj na piętrze, w biurze administracji – mówi, a ja nie wiem, którą z nas ma konkretnie na myśli.

Przytakuję, ale Martina marszczy brwi.

– A co z Oscarem?

Oscar to nieoficjalny szef ekipy sprzątającej. Wiekowy, przypominający z wyglądu gнома mężczyzna, który sądzić po przygarbionych plecach

i guzowatych, artretycznych palcach, ma jakieś osiemdziesiąt do stu pięćdziesięciu lat. Z tego, co wiem, jego jedynym obowiązkiem jest ścieranie kurzu z biurek w pomieszczeniach administracji i gadanie o pierdołach z każdym, kto akurat tamtędy przechodzi. Każda inna osoba wykonałaby jego pracę w o połowie krótszym czasie, ale w tym miejscu długi staż pracy wiąże się z bardziej uprzywilejowaną, wygodną posadką.

– Oscar musiał polecieć na Florydę, by odwiedzić swoją schorowaną matkę. Prosił, byśmy się za nią modlili.

Wyrażam współczucie, ale w mojej głowie kołacze jedna myśl: „Matka Oscara nadal żyje???”.

– Mogłybyście go zastąpić, dopóki nie wróci z podróży?

– Oczywiście – mówi Martina, posługując się swoją najlepszą imitacją południowego akcentu. – Beth i ja z radością pomożemy.

Wielebny odchyła się na piętach, spoglądając na Ayaną jak na dziecko, które jest zbyt młode na taką pracę.

– Może weźmiecie ze sobą Ayaną, oprowadzicie ją i wszystko jej pokażecie.

Martina milknie, a na jej szyję wypływa wściekły rumieniec.

Uśmiecham się do stojącego na scenie wielebnego.

– Nie ma problemu. Z przyjemnością to zrobimy.

– Doskonale. Zatem... do zobaczenia na górze. I dziękuję. Bardzo się cieszę, że Bóg przyprowadził do mnie waszą trójkę. Zostałem pobłogosławiony ponad wszelką miarę.

Chowa ręce do kieszeni i odchodzi, zostawiając nas w głównej nawie.

Gdy tylko znika nam z oczu, Martina odwraca się na pięcie w stronę Ayany.

– Przysięgam na Boga, że jeśli choćby krzywo na mnie spojrzysz, powiem wielebnemu, co zrobiłaś.

– Co takiego zrobiła? – pytam. Nie mogę się powstrzymać. Też chcę wiedzieć.

Ayana krzyżuje ramiona na piersi, przenosząc wzrok na obojczyki Martiny.

– Ładne wisiorki. Jak za nie zapłaciłaś?

Twarz Martiny oblewa się purpurą. Na jej policzkach wykwitają dwie jaskrawe plamy. Mamrocze pod nosem coś, przez co nawet Jezus nie wiedziałby, gdzie oczy podziać, po czym odwraca się i ostentacyjnie

wychodzi z sali.

Spoglądam na Ayane. Uśmiecha się szeroko.

JEFFREY

Siedziba PDK Workforce Solutions mieści się w zapyziałym centrum sklepowo-usługowym przy Sheridan Road, wciśnięta pomiędzy komisem i samoobsługową budką z jogurtami stojącą na skraju bankructwa. Parking jest prawie pusty. Jestem jedną z pierwszych osób, które się na nim pojawiają. Wszystko to dzięki zrywającym się skoro świt reporterom, którzy wyrwali mnie z głębokiego snu podjeżdżającymi furgonetkami i wykrzykiwanymi powitaniem, które przypominały uderzenia górniczych kilofów w kamieniołomie. Jak na razie żaden z nich nie pojechał za mną do pracy, choć podejrzewam, że został mi tylko dzień lub dwa, zanim ustawią się w kolejce na chodniku. Ericowi, mojemu szefowi, już całkiem odbije.

Za szklanymi drzwiami wejściowymi widać siedzącą w recepcji Florence, siorbiącą dietetyczną colę z piankowego kubka, który uzupełnia kilka razy dziennie w sklepiku z pączkami. Nie mam zielonego pojęcia, co tu robi. Jeszcze kilka lat temu w zupełności wystarczało jej bycie gospodynią domową, ale potem jej mąż zmarł, a ona „potrzebowała jakiegoś zajęcia”. W zasadzie użyła tych słów w swoim podaniu o pracę. Wiem to, bo je widziałem. Eric jest takim głąbem, że faktycznie ją zatrudnił.

Dostrzega mnie i otwiera szeroko oczy.

– Och, Jeffrey, moje biedactwo. Słyszałam reportaż o Sabine w wieczornych wiadomościach.

W pośpiechu wychodzi z za biurka, by mnie uściskać.

Ile czasu powinienem stać w bezruchu i pozwalać, by koleżanka z pracy obejmowała mnie swoimi zwiotczalnymi ramionami? Liczę do trzech i uwalniam się z uścisku.

– Dziękuję, Florence. – Śmierdzi papierosami i kremem Olay, a dzięki niej ja również. – Jestem ci wdzięczny za troskę.

– To po prostu nie do wiary. Naprawdę zniknęła? Czy policja wpadła już

na jakiś ślad?

Przez cały weekend próbowałem zignorować to pytanie – rzucające przez dziennikarzy tłoczących się pod moimi oknami, przyjaciół i sąsiadów, którzy bez przerwy wydzwaniali, i szefa, który wczoraj późnym wieczorem wysłał mi wiadomość, w której sugerował, że powinienem wziąć tydzień wolnego. Za każdym razem, gdy padało to pytanie, czuję się, jakbym dostał obuchem w brzuch. Czy policja wpadła na jakiś ślad? Nie mam, kurwa, pojęcia.

Poszukiwania Sabine zakończyły się fiaskiem. Ochotnicy zmyli błoto z butów, wrócili do swoich rodzin i życia. W oczach policji śledztwo zmieniło status ze „znajdźmy ją” na „rozwiążmy sprawę”, choć jakiegokolwiek postępy w śledztwie funkcjonariusze zachowują wyłącznie dla siebie. Jeśli znaleziono jakieś poszlaki, jeśli nawet detektyw Durand znalazł dowód w postaci włosa z głowy Sabine, nie podzielił się ze mną tą informacją. Nie rozmawiałem z nim od czasu tamtego sobotniego popołudnia, gdy wpadł z wizytą, by zabrać komputer Sabine.

Jedną część mnie zastanawia się, czy trzyma mnie w niewiedzy dlatego, że jestem podejrzany, a druga zna już odpowiedź na to pytanie.

Spędziłem weekend na kanapie, monitorując na bieżąco wiadomości dotyczące akcji poszukiwawczej na swoim laptopie, podczas gdy w tle bez przerwy leciały jakieś programy na Netfliksie. Większość informacji, na które się natknąłem, składała się z przypomnienia o starych faktach, a resztę stanowiły plotki rozsiewane przez pismaków z brukowców, dające podstawę do wymyślania różnych spekulacji i motywów. Na przykład takie, że Sabine została porwana. Zamordowana w przypływie szaleńczej zazdrości przez nieznanego sprawcę, kochanka albo mnie. Albo zwyczajnie wzięła nogi za pas i celowo uciekła z miasta.

Ostatnia plotka była rezultatem mojego telefonu do Amandy i jej wizyty w moim domu, gdzie przeprowadziła nieocenzurowany wywiad, w którym publicznie prałem brudy Sabine. Ucieczka sprzed dwóch lat była nieco mniej dramatyczna, niż ją opisałem. Sabine naprawdę wsiadła do autobusu – który jak się później dowiedziałem, jechał na zachód – ale nie ujechała daleko. W połowie drogi do granicy z Oklahomą otrzymała telefon z domu opieki, w którym poinformowano ją, że jej matka nieszczęśliwie upadła. Wróciła, zanim ktokolwiek z nas zdążył się zorientować.

Chodzi jednak o to, że *zamierzała* odejść. *Próbowwała* uciec, i to bez mówienia o czymkolwiek siostrze. Gdyby jej matka nie potknęła się o własne nogi i się nie wywróciła, kto wie, na jak długo by zwała.

Ziarno wątpliwości zostało zasiane. Sabine jest niestabilna emocjonalnie. Ma za sobą incydent z ucieczką. Mąż jest niewinny. Jedyne, co muszę teraz zrobić, to usiąść wygodnie i obserwować rozwój wydarzeń.

Zerkam z ukosa na zegarek. *Mandy in the Morning* zaczyna się za niecałą godzinę.

– Powoli zaczynam myśleć, że policja niespecjalnie przykłada się do swojej pracy – mówię do Florence, kręcąc głową z dezaprobatą.

Florence robi minę, po czym klepie mnie po ramieniu swoją chudą dłonią.

– Masz absolutną rację. W zeszłym roku ktoś włamał się do mojego domu, a policja nic nie zrobiła. Żaden z funkcjonariuszy nie przyszedł, by zobaczyć wyważone drzwi albo zdjąć odciski palców. Musiałam jechać kawał drogi na posterunek tylko po to, żeby zgłosić zawiadomienie o włamaniu. Wymówili się tym, że przez gangi działające po wschodniej stronie rzeki mają ręce pełne roboty i brak im czasu na zajęcie się zwykłym złodziejaskiem, a ja im wtedy powiedziałam: „A jak wam się wydaje, kto to mógł zrobić?”. Oczywiście, że to była sprawka gangu.

Wzdycham ze współczuciem, choć Florence wygaduje bzdury. Owszem, gangi to poważny problem, którym należy się zająć, ale oni handlują narkotykami i nie włamują się do domów podstarzałych paniuś, żeby ukraść im parę pierdół. Florence zawsze była mistrzynią w odwracaniu kota ogonem i nakierowywaniu rozmowy na swoje błahe problemy.

Rzucam jakąś wymówkę o telekonferencji i ruszam dalej korytarzem.

Jak na poniedziałkowy poranek, w biurze panują cisza i spokój. Do otwarcia zostało kilka minut. Nie dzwonią telefony, nikt nie stuka na klawiaturze, z boksów i zza ścian nie słychać niczyich stłumionych głosów. Erica jeszcze nie ma, bo w przeciwnym razie już dawno wykrzykiwałby rozkazy ze swojego gabinetu na końcu korytarza. „Wykonajcie parę telefonów!”, krzyczy za każdym razem, gdy w biurze robi się za cicho. „Wyślijcie trochę maili!” Tak jakby sprzedawanie jego głównianego oprogramowania było równie łatwe, co nawiązanie pierwszego kontaktu z obcą osobą, ale chyba ma prawo narzekać. Pograżone w ciszy biuro sprzedaży jest bezproduktywne.

Wchodzę do swojego gabinetu, zamykam drzwi i zaczynam poranną rutynę. Włączam komputer, przeglądam skrzynkę odbiorczą. Skasuj, skasuj, skasuj, zignoruj.

Rozlega się pukanie, a sekundę później otwierają się drzwi. Eric wsuwa do środka głowę.

– Co ty tu robisz?

Odchylam się na krzesło, taksując go wzrokiem znad krawędzi monitora. Eric jest ubrany w to, co zwykle – pastelową, zapinaną na guziki koszulę, lekko wygniecione, beżowe spodnie i zamszowe półbuty. Wygląda jak studencik z bractwa podszywający się pod szefa.

– Pracuję.

Marszczy brwi.

– Wydawało mi się, że kazałem ci nie przychodzić.

– Nie. Kazałeś mi wziąć tyle wolnego, ile potrzebuję, ale ja go nie potrzebuję. Chcę pracować. Ta wymiana e-maili, którą zacząłem miesiąc temu, w końcu przyniosła rezultaty, więc mam teraz na głowie milion spraw do załatwienia.

Firma jest urządzona na zasadzie terenowego biura sprzedaży, wyposażonego w firmowe laptopy z wirtualną siecią prywatną, do której można podpiąć się na odległość. Obaj wiemy, że mógłbym z łatwością pracować z domu. A nawet lepiej, bo wtedy nie musiałbym nawet na chwilę wychodzić z łóżka.

Wygląda na korytarz, a ja wyłapuję jakiś przebłysk na jego twarzy – zaskoczenia? irytacji? – zanim przenosi spojrzenie na mnie i wchodzi do środka. Zamyka za sobą drzwi.

– Jeffrey, ludzie zaczynają gadać...

– Jacy ludzie?

Robi minę w stylu „chyba jaja sobie robisz” i nieznacznie wzrusza ramionami.

– Sęk w tym, że...

– Kto taki, Eric? Co dokładnie mówią?

Wiem, co mówią. *Sabine zdradziła. Była zakochana w innym mężczyźnie. Jeffrey Hardison jest głupcem. Frajerem. Naiwniakiem.*

Mój telefon biurowy brzęczy, ale wciskam guzik „nie przeszkadzać”. System przekierowuje połączenie na automatyczną sekretarkę.

– Ludzie martwią się o twoją żonę, Jeffrey – mówi spokojnym głosem

Eric. – I o ciebie. – Jego słowa są jak kolejne węgle dorzucone do ognia huczącego w moim żołądku.

Uderzam pięściami w blat biurka i pochylam się do przodu.

– *Oni* się martwią? A jak myślisz, jak *ja* się czuję? Dziś mija szósty dzień. Sześć dni, odkąd zniknęła Sabine, a nadal nie ma po niej śladu. Policja myśli... – Urywam w samą porę. Powoli nabieram tchu, próbując złagodzić ton głosu i uspokoić nerwy. – Cała ta sytuacja jest bardzo napięta. Prawie nie śpię. Straciłem apetyt. Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakim jestem stresie.

– Właśnie, że sobie wyobrażam. I właśnie dlatego zaproponowałem, żebyś wziął trochę wolnego. Nikt nie oczekuje od ciebie, że będziesz przychodził do pracy, a już na pewno nie ja.

Parskam krótkim śmiechem, by rozładować napięcie.

– Muszę ci powiedzieć, że nigdy nie sądziłem, że usłyszę, jak mówisz, że wystarczająco dużo się napracowałem. Myślałem, że twoje motto to „więcej i więcej”. Nie mam pojęcia, co zrobić z tą wyluzowaną wersją ciebie.

Ani trochę nie podziela mojej jowialnej wesołości. Bolesna cisza przeciąga się. Eric opiera się ramieniem o futrynę.

– Naprawdę chcesz mnie zmusić, żebym to powiedział?

Krzyżuję ramiona na piersi i odchylam się na fotelu. Czekam.

Eric wzdycha, podchodząc do krawędzi mojego biurka.

– Słuchaj, nie przeszkadzałoby mi to, gdyby chodziło tylko o pracowników, ale klienci zaczynają zadawać pytania, i to nie tylko mnie. Rozmawiają między sobą, a plotki zdążyły się już rozprzestrzenić. Nie mogę dopuścić, by o sprawie dowiedzieli się potencjalni nabywcy. Interes już i tak średnio się kręci.

Chrząkam wymownie.

– Więc ta twoja sugestia dotycząca wzięcia przeze mnie wolnego wcale nie była sugestią, zgadza się? Raczej rozkazem.

– I jednym, i drugim.

– Zwalniasz mnie?

Wyrzuca ręce w powietrze, wyraźnie sfrustrowany.

– Daj spokój, wiesz, że nie mogę tego zrobić. Na litość boską, przecież obaj pracujemy w dziale kadr. – Rozlega się pukanie do drzwi, które ignorujemy. – Wysyłam cię na płatny urlop, żebyś mógł wrócić do domu

i martwić się o los żony we własnym zaciszu. Tylko do momentu, dopóki sprawa nie przycichnie.

Biorę głęboki wdech. Siedzę za biurkiem, pozornie spokojny, a jego słowa są jak drzazgi jątrzące się pod moją skórą. „Dopóki sprawa nie przycichnie”. Czyli co? Dopóki Sabine nie zostanie odnaleziona zdrowa i cała, a ja nie zostanę uniewinniony? A może dopóki nie wyprowadzą mnie stąd w kajdankach, dzięki czemu będzie miał sensowny powód, by mnie zwolnić?

Słysząc kolejne puknięcie, tym razem głośniejsze. Bardziej stanowcze. Przez drzwi daje się słyszeć głos Florence.

– Jeffrey? Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale twój telefon jest w trybie „nie przeszkadzać”.

Przewracam oczami, ale Eric nie odrywa ode mnie wzroku.

– Czy doszliśmy do porozumienia? – pyta niskim, znaczącym głosem.

Kiwam krótko głową. Pieprzyć to miejsce. Płatny urlop brzmi zupełnie jak coś, co przepisałby lekarz... nie, nie będę się w to zagłębiał. Pieprzyć Trevora i pieprzyć Erica.

Eric odsuwa się i otwiera drzwi, a Florence macha w powietrzu kościstą dłonią. Na jego widok ręce opadają jej po bokach ciała.

– Och. – Przenosi spojrzenie z Erica na mnie. – Nie chciałam przeszkadzać. Przepraszam.

Szczęka boli mnie od napięcia ogarniającego mięśnie mojego karku i ramion oraz od zaciskania zębów. *Oczywiście*, że chciała przeszkodzić. Przecież trzy razy dobijała się do moich drzwi i bez przerwy dzwoniła na firmowy telefon. Guzik z funkcją „Nie przeszkadzać” nie istnieje bez powodu.

– Nic się nie stało, Florence – mówi Eric. – Jeffrey i ja już skończyliśmy rozmawiać.

Spojrzenie Florence przenika mnie jak wyjęty prosto z zamrażarki nóż.

– Detektyw Durand chce się z tobą widzieć.

MARCUS

Gabinet Jeffrey'a pachnie zwietrzałą kawą i drogą wodą kolońską, które nie są jednak w stanie zamaskować woni jego strachu pojawiającej się w momencie, w którym przekraczam próg jego biura. Dziękuję recepcjonistce i jego szefowi, po czym zamykam im drzwi przed nosami. Oczami wyobraźni widzę, jak stoją po drugiej stronie i przyciskają uszy do ich drewnianej powierzchni. Detektyw zaglądnący do biura z nieoczekiwaną wizytą zawsze jest intrygującym tematem do plotek. Oboje byli jednocześnie wstrząśnięci i oczarowani.

Jeffrey przygląda się, jak zajmuję jedno z wolnych krzeseł po drugiej stronie biurka, usiłując odczytać wyraz mojej twarzy, ale niczego nie ujawniam. Niech się trochę spoci z nerwów. Rzucam torbę i klucze na krzesło obok, rozsiadając się wygodnie, jakbym planował zostać tu dłuższą chwilę.

– Dzięki, że mnie przyjąłeś. Na pewno jesteś bardzo zajęty... – Obejmuję spojrzeniem firmowy plakat PDK wiszący na ścianie, białą tablicę z zapisanymi wynikami sprzedaży i przypomnieniami, oraz naklejkę na biurko z napisem „Każdego dnia haruję jak wół” na krawędzi blatu. – Czym dokładnie się zajmujesz?

– PDK Workforce Solutions dostarcza interaktywne oprogramowanie do zarządzania zasobami ludzkimi, które pomaga w rozwijaniu własnego przedsiębiorstwa. Rekrutacja, zarządzanie efektywnością, organizacja pracy i tego typu rzeczy. Szczerze? – Zniża głos do teatralnego szeptu. – Nie kupuj go, bo jest trochę wadliwe.

Przyglądam mu się bez cienia wesołości.

– Czy będzie mi potrzebny prawnik? – wyrzuca z siebie, zanim udaje mu się utrzymać język za zębami. Zdenerwowanie sprawia, że robi się niespokojny i bezceremonialny.

– A chcesz jakiegoś?

Rozbawił mnie. Uśmiech wypełza na moje usta, zanim udaje mi się go

powstrzymać.

– To zależy, o co chce mnie pan zapytać.

– Chcesz zobaczyć moją listę pytań? – Wskazuję na notes oparty o udo. – Nie jestem tylko pewien, czy uda ci się rozczytać moje pismo. Moja żona jest jedyną osobą na całym świecie, która potrafi to zrobić. – Nie odpowiada, więc opuszczam rękę. – Może po prostu przeczytam ci je jedno po drugim, a ty mi powiesz, kiedy mam wcisnąć magiczny guzik.

Cień uśmiechu towarzyszący nabijaniu się z wadliwego oprogramowania PDK znika z twarzy Jeffreya.

– Proszę mi powiedzieć, czego pan ode mnie chce, detektywie.

Kartkuję strony swojego notatnika.

– Jak dobrze wiesz, sprawdziliśmy pliki na laptopie Sabine i znaleźliśmy kilka rzeczy, które, mam nadzieję, będziesz umiał nam przybliżyć. Na przykład jej konta bankowe.

Pod wpływem ulgi jego ramiona opadają o dobrych kilka centymetrów. Wydaje mu się, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Zakładam, że nie pyta pan o nasze wspólne konto.

Przytakuję.

– Zgadza się.

– O które konkretnie chodzi? Sabine otworzyła trzy rachunki na swoje nazwisko. Hipotekę, konto bieżące i konto Mastercard. Te dwa ostatnie to konta firmowe. Nie wiem o nich zbyt wiele, nie licząc faktu, że pomagałem jej składać deklaracje podatkowe.

– Chodzi mi raczej o jej konta oszczędnościowe. Dwa fundusze i rachunek inwestycyjny.

Jeffrey zastyga w kompletnym bezruchu. Oddał mi komputer Sabine, ale założę się, że najpierw sam w nim grzebał. Byłby idiotą, gdyby tego nie zrobił. Te konta nie były wyszczególnione w arkuszu Excela, który prowadziła. W ogóle nie było ich w komputerze. Wiem o nich tylko dlatego, że Ingrid mi powiedziała.

– Wyglądasz na zaskoczonego – mówię, starając się nie sprawiać wrażenia zbyt podekscytowanego.

– Od kiedy? – pyta przez zaciśnięte zęby.

Sprawdzam notatki.

– Chwileczkę, zaraz sprawdzę. Fundusze zostały otwarte na początku stycznia i pod koniec marca w 2013 roku. Rachunek inwestycyjny jest

bardziej aktualny, z grudnia zeszłego roku. Łącznie na wszystkich kontach znajduje się mniej więcej 379 385,29 dolarów, ale sam wiesz, jak działają te rachunki inwestycyjne. Ich wartość zmienia się szybciej, niż człowiek jest w stanie policzyć cyferki.

Nie odpowiada, ale widzę myśli przelatujące przez jego głowę tak wyraźnie, jakby były napisane w powietrzu. Sabine uciulała prawie 400 tysięcy dolarów na kontach, o których w ogóle mu nie powiedziała. Na kontach, które przed nim *ukrywała*. Latami.

– Widzę, że potrzebujesz chwili na przetrwanie tych rewelacji, więc za moment do tego wrócimy. W lutym zeszłego roku przekazałeś żonie swoje udziały własnościowe w nieruchomości przy 4538 Belmont Drive, a w ciągu następnego szesnastu miesięcy comiesięczna spłata kredytu była pobierana z jej konta, nie z twojego.

Na tyle, na ile się da, wrzusza nonszalancko ramionami.

– Sabine zarabia o wiele więcej niż ja. Skoro widział pan wyciągi z naszego konta, to widział pan, jak dużo. To wydawało się sprawiedliwe.

– Czyj to był pomysł? Jej czy twój?

– Nie pamiętam, kto pierwszy to zasugerował, ale Sabine przez większość czasu zarabiała większe pieniądze. Nie chciałem, żeby to stało się problemem.

– A czy on w ogóle istniał?

– Co istniało?

– Problem. Bo moja żona i ja wrzucamy wszystko do jednego kotła. Proszę mi wierzyć, rozumiem, że pieniądze mogą stać się problemem, bo on również zwykła otrzymywać wynagrodzenie. Gdy przestała pracować, czuła się winna, że wydaje pieniądze z naszego konta, bo to ja je tam umieszczałem. Trochę to trwało, zanim przekonałem ją, że to, co moje, jest jej i na odwrót. Ona dokłada się na inne sposoby. Jak kto lubi.

Odgrywam dobrego glinę. Bystrego, chcącego się zaprzyjaźnić glinę. Sądząc po tym, jak Jeffreyowi ciemnieją oczy, nie wierzy mi nawet przez sekundę.

– Nasze drogi się rozeszły, ale proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że nie żywiliśmy do siebie urazy. Mieszkam w naszym domu, nie płacąc za niego czynszu, ale płacę rachunki i częściej robię zakupy spożywcze, co na pewno zauważył pan w trakcie sprawdzania naszego wspólnego konta. To mój wkład.

– Całkiem wygodny układ.

– Tak – mówi, kiwając głową. – Wygodny dla nas obojga.

Zapisuję w notesie jakieś bzdury, po czym przechodzę do następnej strony.

– Gdy Sabine zniknęła, odkryłeś, że miała romans. Musiało być ci ciężko.

Jeffrey parska sarkastycznym śmiechem.

– Można to tak ująć. Odkrycie jej romansu było druzgocące i bolesne, ale czy mnie zaskoczyło? Chyba niespecjalnie. Prawda jest taka, że oddalaliśmy się od siebie od dłuższego czasu. Jestem pewien, że jej siostra, Ingrid, powiedziała panu to samo.

– Według doktora McAdamsa to nie był zwykły romans. Twierdzi, że są w sobie bardzo zakochani. Mieli zamiar przeorganizować swoje życie tak, by móc być razem.

– Ma pan na myśli to, że Sabine chciała poprosić mnie o rozwód. Zgadza się. Ingrid i doktor McAdams też mi o tym powiedzieli.

– Według słów doktora Sabine była w ciąży.

– Tak, osobiście oznajmił mi tą radosną nowinę. – Mówi to przez wykrzywione w grymasie usta, takim tonem, jakby właśnie wdepnął w psią kupę.

– Jak to zniosłeś?

– Uderzyłem go, jeśli o to pan pyta. Jednak zanim zaczęłby się za bardzo ekscytować, poradziłbym mu, żeby zajrzał do jej dokumentacji medycznej.

– Myślisz, że Sabine kłamie?

– Myślę, że powinien zajrzeć do jej akt. Nie chcę mówić nic więcej przez wzgląd na szacunek dla prywatności Sabine.

– Nie wykazałeś się wobec niej zbyt wielkim szacunkiem, kiedy uderzyłeś ją w twarz.

Twarz Jeffrey'a robi się biała jak płótno, a po chwili oblewa ją jaskrawy rumieniec wściekłości. Wie, że ta informacja wzięła się od Ingrid. Miał dokładnie taki sam wyraz twarzy, gdy siedział z nią w moim gabinecie.

Uderza czubkiem palca w biurko.

– Okej. Po pierwsze to wcale jej *nie* uderzyłem. To było dalekie od uderzenia. Wymierzyłem jej lekki policzek grzbietem dłoni, czego natychmiast pożałowałem. To wszystko.

– To musiał być naprawdę porządny policzek.

– Klóciliśmy się. Atmosfera zrobiła się bardzo napięta. Sabine popchnęła mnie, a ja ją spoliczkowałem. Po wszystkim przeprosiliśmy się wzajemnie i na tym się skończyło. Puściliśmy to w niepamięć i żyliśmy dalej.

– O co się pokłóciliście?

Rozkłada dłonie.

– Nie wiem, detektywie. A co się kłóćą pary małżeńskie? O wyniesienie śmieci, brudne ubrania rzucone na podłogę, zużycie resztki szamponu i tym podobne. Proszę sobie wybrać.

– Bywasz zazdrosny?

Jeffrey mruży oczy.

– Moja żona mnie zdradza, detektywie, więc chyba mam prawo być zazdrosny. Choć, z drugiej strony, dowiedziałem się o tym dopiero po jej zniknięciu.

Wzruszam ramionami.

– A jednak. Twoja żona z pewnością miała wiele tajemnic. Sekretne konta bankowe, sekretne kochanka. Zastanawiam się, co jeszcze mogła trzymać przed tobą w tajemnicy.

Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi, a on nie ciągnie tematu. Pewnie zastanawiał się nad tym z milion razy, odkąd dowiedział się o doktorze, ale jak to się mówi – nigdy nie zadawaj pytania, na które nie chcesz poznać odpowiedzi.

– Według Ingrid Sabine była po konsultacji z prawnikiem – mówię, sprawdzając notatki. – Zamierzała poprosić cię o...

– O rozwód. Tak, wiem. Najwyraźniej miało do tego dojść w ubiegłym tygodniu. – Odchyła się na fotelu. – Wiem o tym fakcie, bo Ingrid i Trevor mi powiedzieli.

Drapię się w policzek, obserwując jego reakcję. Czekam. Tyle czasu, ile zajmuje wzięcie trzech, może czterech oddechów.

Jeffrey jako pierwszy traci cierpliwość.

– Co znowu?

– Zastanawiam się po prostu, co by się stało, gdyby miała szansę poprosić cię o rozwód. Komu z was przypadłby w udziale dom? Jak podzielilibyście się majątkiem?

– Niech pan da spokój, detektywie. Obaj wiemy, że dostałbym same

ochłapy, ale w porządku, zagram z panem w tę grę. Gdybyśmy się rozwiedli, pewnie bym się wyprowadził. Mam głównianą pracę w mieście pozbawionym perspektyw. W innym miejscu mógłbym liczyć na lepsze możliwości.

Kiwam głową, tymczasowo usatysfakcjonowany jego odpowiedzią.

– Wróćmy zatem do waszej kłótni. Po tym, jak Sabine cię popchnęła, a ty ją uderzyłeś...

– Spoliczkowałem – wtrąca stanowczym głosem. – *Spoliczkowałem* ją, a nie uderzyłem. To duża różnica.

– Po tym, jak ją spoliczkowałeś, co dalej zrobiłeś?

– Przeprosiłem, rzecz jasna. Ona również. Zostawiliśmy to za sobą i ruszyliśmy dalej.

– Ale przedtem zdążyliście odbyć kolejną gorącą wymianę zdań za pomocą esemesów.

Jeffrey blednie, a jego ciałem wstrząsa mimowolny dreszcz, nad którym nie jest w stanie zapanować.

– Co się stało? Zamknęła się w łazience i nie chciała wpuścić cię do środka? Moja żona też tak czasami robi, co doprowadza mnie do szału. Rozumiem, że to może zmuszać cię do robienia rzeczy, których normalnie nigdy byś nie zrobił. Albo mówienia rzeczy, których w przeciwnym razie nigdy byś nie powiedział. Mądry facet nigdy nie napisałby ich w esemesie.

– Robię dwusekundową pauzę, która podkreśla znaczenie moich następnych słów. – No chyba, że mówiłeś poważnie.

Mądry facet nie napisałby czegoś takiego w esemesie, więc może faktycznie Jeffrey jest większym idiotą, niż myślałem. Oceniam jego reakcję. Mina mu zrzędła, a jego oczy nabrały dzikiego, spanikowanego wyrazu. Jestem pewien, że myśli dokładnie to samo co ja – że jednak wyszedł na idiotę.

Kartkuję notatnik, aż w końcu znajduję pojedynczą kartkę papieru, którą wsunąłem pomiędzy strony. Wyciągam ją i kładę z trzaskiem na blacie biurka. To wydruk wiadomości, które do siebie wysłali. Odwracam go, by mógł zobaczyć, ale nie robi tego. Nie musi. Dobrze wie, co tam jest napisane. Jest durniem, który wysłał tę cholerną wiadomość.

Wyłaż stamtąd albo cię, kurwa, zabiję.

– Panie Hardison, czy posiada pan broń?

Jeffrey jest właścicielem magnum 357, zarejestrowanego na swoje nazwisko. Jeśli teraz skłamię, do końca dnia będę miał w ręce nakaz aresztowania.

Wygląda, jakby go zemdliło. Jakby naprawdę miał za chwilę wymiotować. Czuję, jak napięcie rozsadza mi klatkę piersiową.

Zwycięstwo.

– Myślę, że już pora, bym zatrudnił prawnika.

BETH

Podobnie jak reszta kościoła, biuro administracji zostało zaprojektowane tak, by robić wrażenie – solidne ściany, piękne sztukaterie, rzędy lśniących okien z podwójnymi szybami – ale umeblowano je z myślą o darczyńcach. Wystrój wewnątrz jest jak wzięty rodem z katalogu Ikei. Funkcjonalna, minimalistyczna, skandynawska elegancja. Równie niepasująca do tej neogotyckiej świątyni, co prostytutka, którą, jak podejrzewam, jest Ayana. Lub przynajmniej którą *była*. Pomimo wiadra ze środkami czystości zwisającego z palca i odkurzacza przypiętego do pleców, kręci zapraszająco biodrami i bez przerwy strzela na boki oczami, jakby usiłowała zwabić do siebie klientów na Fulton Industrial Boulevard.

Dziwka, złodziejka i uciekinierka wchodzi do kościoła – z tym wyjątkiem, że ten żart nie kończy się puentą.

– Mogłabyś przestać? – syczy wściekle Martina.

Ayana prostuje plecy, rzucając jej zdziwione spojrzenie znad ramienia.

– Przestać co? Przecież ja nic nie robię.

– Akurat. Okaż temu miejscu trochę szacunku. Nie znajdziesz tu żadnych klientów.

Ayana prychna pod nosem.

– Jasne. Bo ci kościelni fanatycy wcale nie są świrami.

Martina przewraca oczami, ale nie wchodzi z nią w dyskusję, więc ja też tego nie robię. Nie licząc wielebnego, ludzie, których spotkałam w tym miejscu, równie dobrze mogliby uchodzić za świrów. Z tego, co wiem, on jako jedyny jest normalny. Przywódca Krainy Zagubionych.

Korytarz kończy się oszczędnie urządzoną, ale jasną i przestronną kuchnią, i Martina zaczyna wydawać polecenia.

– Każdy centymetr tej przestrzeni ma być sprzątnięty, starty na mokro i odkurzony. Przyłóżcie się szczególnie do miejsc, których ludzie najczęściej dotykają – telefon, myszka od komputera, klawiatura,

uchwyty szuflad – i nie oszczędzajcie na detergentach. Jeśli jedna osoba złapie gripę żołądkową, wszyscy się nią zarazimy. – Szturchnięciem popycha Ayana w stronę kuchni. – Ty zaczniesz tutaj.

Ayana próbuje przyjąć buńczuczną, arogancką pozę z rękami wspartymi na biodrach, w czym trochę przeszkadza jej rura odkurzacza. Zadowolona się spojrzeniem spod byka i wysuniętym buntowniczo biodrem.

– A co ty będziesz robić?

– Nie twój interes, ale skoro już musisz wiedzieć, to Beth i ja będziemy sprzątać w gabinecie wielebnego.

– Dlaczego wy możecie pracować we dwójkę, a ja muszę robić wszystko sama?

Ayana mówi to w taki sposób, że w myślach odejmuje jej kilka lat od tych, które początkowo jej przypisałam. Nawet jeśli jest pełnoletnia, to ledwie.

– Przestań psioczyć i bierz się do roboty, okej? – mówi Martina. – Zaczynj od końca korytarza, a potem się spotkamy.

Zostawiamy nadąsaną Ayana i cofamy się do usytuowanego po przeciwnym końcu korytarza gabinetu wielebnego, który sam w sobie jest małym kompleksem mieszkalnym. Prywatna przestrzeń biurowa wychodząca na ogród w angielskim stylu, sala konferencyjna z rzutnikiem oraz stołem mogącym pomieścić czternaście osób, salon z aneksem kuchennym oraz dwie trzyosobowe sofy ustawione po obu stronach niskiego stolika. Na wyciszonym plazmowym telewizorze wiszącym na ścianie ustawiono kanał Fox News. Na ekranie widać opalonych i przypudrowanych prezenterów, siedzących na kanapach w jaskrawych krawatach i ubraniach w kwiaty. Ich usta poruszają się bezgłośnie.

– Zaklepuję salon – oznajmia Martina, kładąc wiadro na stoliku kawowym.

– Serio? Nie wytłumaczysz mi, o co chodzi?

– Niby z czym?

Schyla się, by wyciągnąć z wiadra butelkę z rozpylaczem, a złote dyski zsuwają się po łańcuszku zapiętym na jej szyi. Kupionym za pieniądze Ayany, jeśli mam wierzyć – i chyba to zrobię. Usiłuję dostrzec litery na grawerunku, ale zawieszki bez przerwy podrygują.

– O co chodzi z tobą i Ayana. Gołym okiem widać, że się nienawidzicie.

Dlaczego?

Martina błyskawicznie się prostuje, a w jej oczach płonie wściekłość i oskarżenie.

– Nie ukradłam jej pieniędzy, jasne? Nie miałam o nich pojęcia. Kto normalny przykleja taśmą forszę do środka spłuczki klozetowej? Przecież to pierwsze miejsce, w które zajrzałyby każdy złodziej. Jeśli ktokolwiek jest tu złodziejem, to właśnie *ona*. Przyznała się do kradzieży pieniędzy tamtej dziwki. Sama słyszałaś, prawda?

Przytakuję.

– Prawda, ale nie o to...

– Wybacz, że pomogłam tej suce. – Zatacza ręką łuk w powietrzu. – Chyba każdemu zrobiłoby się szkoda dziewczyny w jej wieku, w dodatku samej jak palec. Poznałam ją, gdy miała *czternaście* lat. Dawałam jej jedzenie, znalazłam dach nad głową. Myślałam, że jestem dla niej kimś w rodzaju mentorki, ale zwyczajnie dałam się nabrać. W dodatku ani razu nie usłyszałam od niej słowa „dziękuję”. – Odwraca się na pięcie i polewa stolik płynem do czyszczenia. – Nie żebym w ogóle potrzebowała laurki z podziękowaniami, ale to byłoby o wiele miłsze niż oskarżanie mnie o bycie złodziejką. Nie jestem nią. Nie jestem złodziejką.

Patrzę, jak wyciera stolik krótkimi, wściekłymi ruchami, i zastanawiam się nad tym, co powiedzieć. Sęk w tym, że jestem pewna, że Martina *jest* złodziejką. Ayana ani słowem nie wspomniała, że pieniądze były przyklejone taśmą do wewnętrznej strony spłuczki. Jak inaczej Martina mogłaby wiedzieć o tym drobnym szczególe? To ona musiała je tam znaleźć.

Co to oznacza dla naszego dopiero co osiągniętego porozumienia? Czy myliłam się w swojej ocenie, wierząc, że moich pieniędzy też by nie ukradła?

Pukanie do drzwi wrywa mnie z zamyślenia i ratuje stolik przed nadgorliwym szorowaniem Martiny. W drzwiach stoi jakiś obcy facet, a jednak od razu zgaduję, kim jest. Ma identyczną sylwetkę biegacza co wolebny Andrews, takie same orzechowe oczy, które śmieją się nawet wtedy, kiedy się nie uśmiecha, i krótko przyciętą brodę, tyle że nie siwą, a rudawobrazową. Jest ubrany podobnie do ojca, w dzinsy i idealnie wyprasowaną koszulę, ale jego strój jest bardziej nowoczesny i młodzieżowy. Sądząc po wyglądzie jego ciuchów, mogą być markowe.

Nawet fryzurę ma identyczną jak ojciec – krótko ostrzyżone po bokach włosy i dłuższe na czubku, zaczesane gładko do tyłu.

– Czego chcesz? – pyta Martina, kładąc nacisk na słowo „chcesz”.

Stoi jak posąg na środku dywanu, trzymając w jednej ręce butelkę ze środkiem czyszczącym, a w drugiej ścierkę.

– Cześć – mówię z uśmiechem, chcąc złagodzić lekceważący ton Martiny.

Nieznajomy bierze to za zaproszenie i wchodzi do środka. Zapach jego wody kolońskiej miesza się z wonią wybielacza, cytrynowego mleczka do polerowania i drzewa sandałowego. Wyciąga dłoń w moją stronę.

– Jestem Erwin Jackson Andrews IV, znany w tym miejscu jako Erwin Czwarty. Jedyne dziecko szanownego wielbego Andrewsa i ostatni żywy przedstawiciel rodu. Presja, która na mnie ciąży, jest wręcz niewyobrażalna.

Wybucham śmiechem i ściskam jego dłoń.

– Beth Murphy, a to jest...

– Martina i ja spotkaliśmy się już. Wiele razy. Prawda, Martino? – Posyła jej dobroduszny uśmiech, którego ona nie odwzajemnia. Nie kwapi się również z odpowiedzią. Erwin wzrusza ramionami i odwraca się do mnie. – Widziałaś może...

– Twojego ojca tu nie ma – wtrąca Martina.

Rzuca jej prowokujące spojrzenie.

– A gdybym miał na myśl Oscara?

– Oscar jest na Florydzie – mówię, a w tym samym czasie Martina pyta:

– A miałeś?

Erwin uśmiecha się do mnie, a potem do niej. *Nie, nie miał.* Z jego strony to wyluzowana zaczepka, ale Martiny wcale to nie śmieszy.

Z rozmysłem odwraca się do niego plecami, atakując stojącą pod ścianą konsolę.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest wielbny. Ostatni raz widziałam go na scenie w kościele, ale to było pół godziny temu. Może być dosłownie wszędzie.

W widocznym zza Martiny telewizorze wiadomości przeskakują na reklamę leku na potencję, w której para w średnim wieku trzyma się za ręce na tle zachodzącego słońca.

Erwin wsuwa dłonie w kieszenie dzinsów, a na jego nadgarstku błyszczą

platynowy pasek od zegarka.

– Jak go spotkacie, powiedzcie mu, że naprawiłem błąd w jego skrzynce e-mailowej. Ostatnia aktualizacja namieszała w synchronizacji między komputerem a jego telefonem, ale już wszystko działa jak należy. Pracuję tu jako kierownik działu IT.

Ostatnie zdanie kieruje w moją stronę, ale nie umiem zdecydować, czy robi to dlatego, że chce poinformować mnie o tym fakcie, czy dlatego, że chce mi zaimponować.

Jego wzrok przeskakuje między nami, gdy czeka, aż któraś zareaguje. Nie wygląda, jakby zamierzał stąd wyjść. Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć synowi kapłana. Skromny strój, zegarek i szelmowski półuśmiech składają się na obraz uduchowionego człowieka. Kłopotliwa cisza przedłuża się. Martina ignoruje naszą dwójkę.

– No dobrze, w takim razie... – Erwin łapie aluzję, wycofując się w stronę wyjścia. – Miło było cię poznać, Beth. Miłego dnia, Martino. Do zobaczenia.

Z tymi słowami wychodzi na korytarz.

– Co jest? – pytam, gdy tylko zostajemy same. – Dlaczego byłaś dla niego taka wredna?

– Dlatego, że Erwin Czwarty to menda i zbok.

Spryskuje ekran telewizora płynem do mycia szyb Windex, a ja powstrzymuję się od komentarza, że nie powinna tego robić. Ma to jakiś związek z tym, że detergenty działają żrąco na delikatną powłokę ekranu i zniekształcają piksele. Poinformowałeś mnie o tym, po czym uderzyłeś kantem dłoni w skroń za to, że potraktowałam takim sprejem twój telewizor.

– To syn naszego szefa. Odrobina uprzejmości nie zaszkodzi.

Martina bierze do ręki czystą ściereczkę i zaczyna polerować ekran.

– Raz spróbowałam być dla niego miła i niespecjalnie na tym wyszłam. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, będziesz trzymać się od niego z daleka. Z bardzo daleka. Mówię serio, Beth. Z nim jest coś nie tak.

Odpowiedź Martiny zostaje zagłuszona przez dudnienie w mojej głowie i szum krwi w uszach, bo w telewizorze, na ekranie którego leżą wiadomości krajowe, pojawia się komunikat. Zostaje pokazana twarz, a ja czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła. Robię krok w bok, wychylając głowę i próbując dojrzeć coś przez zasłaniającą mi ekran Martinę zajętą

szorowaniem. W dole pojawia się napis. Białe litery odcinają się wyraźnie od czerwonego tła.

ZAGINIONA: SABINE STANFIELD HARDISON.

Zimny dreszcz przenika mój żołądek i płuca. Gapię się w ekran, a zdjęcie zmniejsza się i zmniejsza, aż w końcu zostaje przesunięte w prawy górny róg. Zastępuje je twarz reporterki. Skupiam wzrok na jej brwiach, które wyglądem przypominają dwa przecinki zmarszczone w wyrazie troski. Jej błyszczące, różowe usta poruszają się w teatralny sposób, jak u gwiazdy kina niemego. Chcę sięgnąć po pilota, ale nie mogę oderwać wzroku od ekranu.

Przez cały ten czas czaiłam się, ukrywałam i oglądałam wiadomości w poszukiwaniu materiałów o zaginionej kobiecie z Pine Bluff, i kiedy wreszcie się pojawiły, nie mogę złapać tchu. Pokój wiruje mi przed oczami, a słowa tańczą jak czarne plamy.

Martina odsuwa się od telewizora, zastygając w bezruchu na widok mojej twarzy. Zerka przez ramię na ekran, marszcząc brwi.

– Co się stało? Kto to jest?

– Ta kobieta nazywa się Sabine Hardison.

Mój głos jest wysoki i piskliwy. Brzmi prawie jak krzyk.

Martina odwraca twarz w stronę telewizora, przesuwając się tak, że stoimy obok siebie. Przechyla głowę w bok i wbija wzrok w ekran.

– Ale piękna. Znasz ją?

Czy ja ją znam? Próbuję wykrztusić z siebie odpowiedź, ale mam wrażenie, jakby moje płuca zalał beton. Mogę tylko pokręcić przecząco głową.

– To dlaczego patrzysz na jej zdjęcie w ten sposób?

Próbuję poskładać rozbiegane myśli, szukając wiarygodnej wymówki dla mojego przeciągającego się milczenia.

– W jaki sposób?

– Jakbyś miała zaraz zwymiotować czy coś takiego.

Na pasku w dole ekranu pojawiają się nowe słowa: Pine Bluff, Arkansas. Martina nie odczytuje ich na głos, ale widzi je i obrzuca mnie badawczym spojrzeniem, które prześlizguje się po moim profilu, szeroko otwartych oczach i policzkach, które płoną tak, jakbym za długo przebywała na słońcu. Martina nie jest ani głupia, ani ślepa. Nie podoba mi się sposób, w jaki świdruje mnie wzrokiem. Zupełnie jakby próbowała

rozwiązać jakąś zagadkę.

Mój oddech staje się zbyt płytki i zdyszany. Martina musi zapomnieć, że kiedykolwiek widziała twarz Sabine, jej nazwisko i słowa pokazane na pasku w dole ekranu. Jedynym sposobem, by tego dokonać, jest wzięcie się do pracy i stłumienie targających mną emocji. Odrywam się od telewizora, biorę wiadro i zanoszę je do następnego pomieszczenia, po drodze rzucając ostatecznie spojrzenie na ekran. Prezenterka przeszła do następnego tematu, a zdjęcie Sabine zastąpiła fotografia jakiegoś polityka, starszego faceta o kaprawych oczkach i wazeliniarskim uśmiechu.

To, że zdjęcie twarzy Sabine zniknęło z ekranu, nie oznacza wcale, że nie widzę jej tuż pod powiekami. Nigdy go nie zapomnę i nie jestem na tyle naiwna, by sądzić, że Martina również to zrobi. Wystarczy jeden fałszywy ruch, jedna podejrzana odpowiedź, a ona znowu zacznie zadawać pytania, które już zaczynają krążyć niebezpiecznie blisko prawdy. To tylko kwestia czasu, kiedy zada takie, które trafi w samo sedno.

Ludzie nie znikają z powierzchni ziemi ot tak. Uciekają, ukrywają się albo zostają porwani.

Powinnam to wiedzieć, bo jestem jedną z nich.

MARCUS

– Wujek Marcus!

Głos dochodzi skądś za moimi plecami, przebijając o parę oktav gwar dziesięciu innych osób stłoczonych w malutkim, ceglanym domu mojej mamy. Należy do Annabelle, mojej siostrzenicy, która obchodzi dzisiaj urodziny. To ona jest powodem dzisiejszego spotkania i to dla niej musieliśmy zebrać się w jednym miejscu o godzinie, w której normalni ludzie pracują. Jeśli Annabelle chce mieć swój urodzinowy obiad o trzeciej po południu, to tak właśnie będzie.

Podnoszę ją z ziemi, zanim zdąży powalić mnie na kolana.

– Wszystkiego najlepszego, Anna-banana-belle. Jakie to uczucie skończyć osiem lat?

Robi wielkie oczy.

– Mam *dziewięć* lat.

– Serio? – Klepię się ręką w czoło. – Ale ze mnie głupek.

Annabelle chichocze. Moja siostrzenica może i ma dziewięć lat, ale jest lekka jak piórko. To skutek ciężkiej walki z białaczką, która pozostawiła głęboki uraz w psychice mojej siostry, a przez którą Annabelle została zepchnięta w dół siatki centylowej.

Łapię ją w pasie, odwracam do góry nogami i trzymając za chudziutkie kostki, zanoszę do kuchni. Po drodze mijamy moją matkę, którą całuję w policzek.

– Nie majtaj nią tak na wszystkie strony – woła za nami. – Jeszcze chwila, a coś wyskoczy jej ze stawu.

Huśtam Annabelle w powietrzu i stawiam ją stopami na linoleum. Oczy jej błyszczą, a policzki ma zaróżowione z radości, a także od gwałtownego przepływu krwi, który wziął się z faktu, że odwróciłem ją do góry nogami. Uśmiecha się z zamkniętymi ustami. Szkoda, bo przerwa, w której tkwiły wcześniej jej dwa przednie zęby, jest najbardziej uroczą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Czy coś wyskoczyło ci ze stawu?

Kręci przecząco głową, obracając nią tak, że warkoczyki smagają ją po uszach. Włosy Annabelle były kiedyś brązowe i proste jak drut. Po chemioterapii odrosły jej sprężynki w kolorze jadowicie pomarańczowych cheetosów. Zapiera się tenisówkami o podłogę i unosi dłonie w górę.

– Jeszcze raz.

Chwytam ją za nadgarstki, a ona wspina się po mnie jak małpka, trafiając mnie kolanem w brodę w trakcie robienia salta w tył. Łapię ją, zanim zdąży dotknąć ziemi, i niosę pod pachą jak chichoczący worek ziemniaków.

– Owinęła cię sobie wokół małego palca. Wiesz o tym, prawda? – mówi moja siostra, Camille, przyglądając się nam zza baru śniadaniowego. Opiera się o kuchenny blat z stale obecnym w dłoni kieliszkiem chardonnay – kolejną pamiątką po chorobie Annabelle – choć jest dopiero środek dnia.

– Jestem jedynym członkiem rodziny, który nie obchodzi się z nią jak z jajkiem. – Odstawiam małą na ziemię i pokazuję ręką na pozostałe dzieci, jej dwóch starszych braci i ich kuzynów, zajętych demolowaniem salonu. – Dzieci muszą trochę rozrabiać, Cam. Pozwól jej być dzieckiem.

Camille wydaje z siebie gardłowy pomruk, przyglądając mi się bacznie znad kieliszka.

– Wyglądasz na zmęczonego.

Bo jestem zmęczony. A raczej kurewsko wykończony. Tydzień nieustannej pracy nad sprawą Sabine Hardison znacznie się do tego przyczynił. Podchodzę do lodówki i wyciągam butelkę piwa.

– Jest aż tak źle? – Szpera w szufladzie w poszukiwaniu otwieracza i podaje mi go. – Nadal nie wpadliście na żaden ślad?

– Nie mogę ci o niczym powiedzieć.

Nikom nie mogę o niczym powiedzieć.

Jak pozostali mieszkańcy miasta, Camille wie tylko tyle, ile zobaczyła w telewizji – że nie natrafiono na żaden ślad Sabine po tym, jak wyszła ze sklepu Super1 i rozplynęła się w powietrzu. Nie znaleźliśmy żadnych transakcji z użyciem jej karty kredytowej, nie logowała się na swoim Facebooku ani Instagramie, nie wysłała żadnego e-maila ani esemesa. Media zdążyły już znaleźć w bajeczce Jeffreya tyle dziur, że mogłyby zrobić z niej ser szwajcarski, zmieniając front opinii publicznej, w oczach

której z dotychczas budzącego sympatię męża przeistoczył się w głównego podejrzanego. Nie pomaga mu również fakt, że jest skończonym dupkiem. Mnóstwo ludzi zaczęło przedstawiać historie o tym, jak przejechał czyjś psa albo wycofał się z wcześniej zawartej umowy. Wszystkie te opowieści razem wzięte przybrały zupełnie inny wymiar, mroczny i nikczemny.

Jakby tego było mało, wyciął niezły numer, biorąc udział w programie *Mandy in the Morning*. Jaki idiota oczernia w telewizji zaginioną żonę, po czym wplątuje się w romans z reporterką? Żaden z tych ruchów nie zapewnił mu dodatkowych punktów w grupie niepracujących mam – kobiet takich jak Camille, urodzonych plotkarek, które dla zabicia czasu, w trakcie którego ich dzieci są w szkołach, przesiadują w kawiarniach i na siłowni, rozsiewając plotki i podsycając spekulacje. Gdyby Jeffrey był inteligentny – a niestety wcale mi na takiego nie wygląda – trzymałby łapy z dala od Mandy i bełkotał do kamery jak tamten chory z miłości doktorek w innych programach, błagając porywacza Sabine, by odesłał ją z powrotem do domu. Dzięki łzawym występom Trevora i nieustępliwości Ingrid w zeszłym tygodniu wiadomości krajowe podłapały temat.

Camille uzupełnia kieliszek winem z drzwi lodówki i wrzuca do niego dwie kostki lodu.

– Nadal jestem zdania, że to вина męża. Spotkałam go raz, wieki temu, na jakiejś imprezie w MaGillyCuddy's, parapetówce albo przyjęciu urodzinowym, już nie pamiętam. Chodzi o to, że weszłam do kuchni, a oni tam byli. Klócili się o coś. To znaczy *on* się o coś awanturował, a ona głównie płakała.

– Naprawdę?

Zdejmuję kapsel i pociągam spory łyk piwa.

Camille przewraca oczami, słysząc moją wymijającą odpowiedź. Jako detektyw, któremu przydzielono tę sprawę, stąpam po bardzo kruchym lodzie: przekazuję opinii publicznej wystarczająco dużo skrawków informacji, by podtrzymać jej zainteresowanie, ale nie na tyle poważnych, by straciła wszelką nadzieję. Dzięki temu śledztwo dalej jest w toku, ale bez ujawniania wszystkich najważniejszych szczegółów. Szukam poszlak, a nie mścicieli i samozwańcych detektywów.

– Och, na litość boską, Marcus. Wszyscy wiedzą, że byli o krok od rozwodu. Nie zachowuj się tak, jakbym ujawniła jakiś supertajny szczegół

z życia Sabine. Miała romans, ale kto by się na to nie zdecydował, będąc na jej miejscu? Jej mąż to straszny dupek.

Słowa Camille nie odbiegają od prawdy. To żadna tajemnica, że ich małżeństwo przechodziło poważny kryzys. Moja siostra nie jest jedyną osobą, która wysnuła teorię o tym, że Jeffrey maczał palce w zniknięciu Sabine. Nikt, łącznie ze mną, nie wierzy w jego historyjkę o czytaniu książki nad brzegiem rzeki. Sprawdzenie, co naprawdę robił w tamto popołudnie, kiedy zniknęła jego żona, pochłonęło lwią część mojej pracy nad śledztwem.

– W porządku, możesz zatrzymać dla siebie część tajemnic, ale przynajmniej zdradź swojej ulubionej siostrze, co...

– Jesteś moją jedyną siostrą.

– Nieważne. Po prostu to z siebie wyduś, mój drugi ulubiony bracie.

Z sąsiedniego pokoju dobiega czyjś głośny śmiech. Camille wychyla głowę, by sprawdzić, czy nadal jesteśmy sami. Nie chodzi jej o prywatność, tylko o odkrycie kolejnej sensacji. Camille nie cierpi pozostawać w niewiedzy.

– Co podpowiada ci twój szósty zmysł? Myślisz, że kiedykolwiek znajdziesz Sabine?

– Nie.

Jej oczy rozszerzają się ze zdumienia.

– Serio? Jak myślisz, co się z nią stało? Co ci mówi instynkt?

– Mam być z tobą szczery? – Osuszam butelkę i wrzucam ją do kosza na rzeczy wtórnego użytku. – Instynkt podpowiada mi, że ona nie żyje.

Duke, mój młodszy brat, kładzie parujący półmisek z duszonym mięsem i warzywami na stole uginającym się od jedzenia, które przygotowała nasza mama. Jak zwykle nagotowała tyle, że starczyłoby dla całej armii. Potem odeśle nas do domu z zapakowanymi do torebek strunowych resztkami, które wystarczą nam na cały następny tydzień. Nadal słyszę, jak krząta się po kuchni, mrucząc pod nosem do siebie samej. *Trzeba dodać do tego więcej sosu. Gdzie ja położyłam masło? Nie zapomnij o pieczywie czosnkowym.*

– Mamo, daj spokój! – wołam. Ślinka cieknie od smakowitych zapachów mięsa, ziemniaków i warzyw zerwanych z ogródka na tyłach domu. –

Zaraz wszyscy padniemy z głodu!

Puszczam oko do siedzącej naprzeciwko Annabelle, która zwędziła z półmiska kawałek kielbaski i schowała w zaciśniętej pięści. Tylko Annabelle ma odwagę podkraść jedzenie, ponieważ od czasu choroby jest nieoficjalna ulubienicą mamy, jedyną oprócz mnie, której łamanie domowych zasad uchodzi na sucho – zasad, które dla pozostałych są nie do podważenia, a dla nas zostają nieco napięte. Po pierwsze, żadnego przeklinania i pyskówek. Po drugie, nikt nie rusza jedzenia, dopóki wszyscy nie usiądą, a mama nie pobłogosławi posiłku. Po trzecie, zawsze wyłączamy światła. Prąd nie jest za darmo.

Mama wparowuje do jadalni w kwiecistym, ozdobionym falbanką fartuchu, który nosi, odkąd tylko pamiętam.

– Czy wszyscy mają coś do picia?

Kiwamy głowami, mówiąc, że tak, w tym ja, choć opróżniłem już moją butelkę z piwem. Mama opóźniłaby obiad tylko po to, żeby przynieść mi nową, a klan Durandów to wygłodniała banda. Lepiej nie wchodzić im w drogę.

Siada, po chwili zauważając puste nakrycie na końcu stołu, a wyraz jej twarzy zmienia się z zaskoczoności na obrażony. Omiata spojrzeniem twarze siedzących przy stole członków rodziny, odhaczając ich w myślach, jeden po drugim. Trójka jej dorosłych dzieci wraz z małżonkami. Bliźnięta Duke'a i Joanie. Dwa łobuzy Camille i Shawna, oraz Annabelle. To tylko kwestia czasu, zanim wzrok mamy spocznie na mnie.

– Marcus, gdzie jest Emma?

Moja nieobecna żona. Jej ukochana synowa. Ta sama osoba, o której w zeszłe święta Bożego Narodzenia powiedziała, że to córka, której nigdy nie miała. „Yyy, mamó, tu jestem”, odezwała się wtedy Camille. „Stoję przed tobą”. Mama tylko poklepała ją dobrodusznie po dłoni. „Wiesz, co mam na myśli”. Była tak zajęta, że nawet nie zauważyła, że przyszedłem bez Emmy. Aż do teraz.

Wyjmuję serwetkę spod swojego talerza i rozkładam ją na kolanach.

– Została w domu, w łóżku. Prosiła, bym przekazał, że strasznie jej przykro, że jej tu z nami nie ma.

Podobnie jak pozostali, mama jest w pełni świadoma kruchego zdrowia mojej żony. Emmie zawsze coś dolegało. Migrena, ból brzucha, ból ucha albo zawroty głowy, których długo nie mogła się pozbyć. Zwykle nie

przeszkadza mi fakt, że zasłania się wymówkami, rezygnując z rodzinnych obiadów i przyjęć urodzinowych dzieci, ale dziś jest inaczej. Nikt nie opuszcza urodzin członka rodziny Durand, nawet Camille, która raz odczekała, aż wszyscy zjedzą deser, i dopiero potem oznajmiła, że właśnie zaczęła rodzić.

– Była – dodaje. – Emma *była* chora. Zaraziła się jakimś wirusem powodującym zatrucie pokarmowe, który od pewnego czasu krąży w powietrzu.

– Jaki wirus? – pyta Camille, rozglądając się dokoła. – Nie słyszałam o żadnym wirusie. Od kiedy? Co to za wirus? – Patrzy ze zmarszczonymi brwiami na Duke'a, a potem na swojego męża, Shawna. – Słyszeliście coś o jakimś nowym wirusie?

Czoło mamy przecina pionowa zmarszczka.

– Cóż, skoro *była* chora, to dlaczego jej z nami nie ma?

– Dajcie jej święty spokój, dobrze? Em czuje się lepiej, ale nie doszła jeszcze do pełni sił. Chciała to odespać. Szczerze mówiąc, oboje martwiliśmy się, że nadal może zarażać. Nie chcieliśmy ryzykować, szczególnie że pełno tu dzieci.

Posyłam wymowne spojrzenie w stronę Annabelle, której układ odpornościowy nadal jest osłabiony. Mama od razu daje się na to nabrać. Przestaje drążyć temat i odsuwa krzesło.

– Chyba pójdę wyjąć z zamrażarki trochę domowego rosółu.

– Później.

Ignoruje mnie, podnosząc się z miejsca.

– Tylko go wyjmę, żeby zdążył się rozmrozić. To zajmie dosłownie sekundę.

Ktoś z przeciwległego końca stołu wydaje z siebie przeciągły jęk – to chyba starszy syn Camille. Zamrażarka mojej mamy to dziura bez dna. Jedzenie, które raz zostaje wsadzone w jej lodowe czeluści, rzadko kiedy wydostaje się na zewnątrz. Nie licząc jednego dnia w roku, kiedy mama pakuje wszystko do reklamówek i zawozi do schroniska dla bezdomnych w centrum. Jeśli faktycznie gdzieś tam jest rosół, wygrzebanie go zajmie jej całą wieczność.

Camille posyła mi wymowne spojrzenie rozszerzonych oczu, niezbyt subtelny znak, żebym powstrzymał zbliżającą się katastrofę. Po jej prawej stronie dzieciaki ściskają w dłoniach widelce i obrzucają się

spanikowanymi spojrzeniami – wszystkie prócz Annabelle, która opiera się wygodnie o swoje krzesło i żuje kielbaskę. Wygląda jak Snoopy z rudymi warkoczykami, z jednym policzkiem wypchanym kielbaską.

– Mamo. – Zatrzymuje się w drzwiach kuchni, a ja łagodzę nieco swój ton. – Emma z przyjemnością zjadłaby trochę twojego rosółu, ale na litość boską, proszę cię, przyniesiesz go później, dobrze? Dzieciaki są o krok od wszczęcia zamieszek.

– No właśnie – szepcze ktoś. Chyba Shawn, sądząc po tym, jak Camille szturcha go łokciem w żebra.

Mama patrzy na dzieci, które ochoczo kiwają głowami.

– Babciu, *umieramy* z głodu – mówi jedno z nich.

Mama przyciska dłoń do piersi, po czym wraca na swoje krzesło i odmawia krótkie błogosławieństwo, recytując słowa zupełnie jak spiker pod koniec reklamy w radiu. Na końcu wypowiada zdanie, na które wszyscy czekaliśmy.

– No dobra, ludziska. Wsuwajcie.

Wokół wybucha gwar głosów i zaczynają się pośpieszne ruchy, przekazywanie talerzy z rąk do rąk i szcęk nakładających jedzenie łyżek. Domownicy atakują kopiaste półmiski z taką werwą, jakby nie jedli od co najmniej tygodnia. To wojna na jedzenie w wersji Durandów, jak mawia Emma. Wolna amerykanka. Panuje takie zamieszanie, że prawie przegapiam brzęczenie telefonu w kieszeni na biodrze.

Gdy widzę na ekranie nazwisko, w moich żyłach eksploduje przypominająca płynny ogień adrenalina. Miałem wiele powodów, by zostać policjantem – potrzeba sprawowania porządku i kontroli typowa dla pierwszego dziecka w rodzinie, nasz ojciec kryminalista, który padł trupem w trakcie odsiadki czternastoletniego wyroku, fakt, że musiałem pracować na dwa etaty, by zapewnić nam środki utrzymania w miejsce jego nieistniejącego ubezpieczenia na życie. Ale moment, w którym dochodzi do przełomu w sprawie, towarzysząca temu energia i pulsowanie w mojej piersi, to przyczyna, dla której dalej to robię. Ten rodzaj haju uzależnia równie mocno, co sztachnięcie się fajką pełną cracku.

Wyjmuję telefon z uchwytu przy pasku, macham nim przy uchu, a mama przegania mnie pstryknięciem palców. Niektóre matki marzą, by ich synowie zostali księżmi. Dla mojej nie ma bardziej szlachetnej profesji niż bycie policjantem.

W trzech długich krokach przechodzę do kuchni.

– Znalazłem coś – mówi Charlie ochryłym głosem palacza. Brzmi tak, jakby miał się w każdej chwili przewrócić.

Całe, kurwa, szczęście.

Charlie jest byłym gliną. Niezależnym detektywem, wolnym strzelcem, który specjalizuje się w znajdowaniu niemożliwego, oraz moją tajną bronią na posyłki. Jego metody są nieco dyskusyjne i mogą budzić wątpliwości – *poważne* wątpliwości, według komendanta – ale jest dyskretny i zawsze wykonuje powierzoną mu pracę. Płacę mu na czarno i ze swojej pensji. Jak na razie, okazał się wart każdego ciężko zarobionego przeze mnie dolara.

Otwieram przesuwane szklane drzwi i znajduję się na malutkiej werandzie wychodzącej na ogródek mamy. Popołudniowe słońce przenika przez korony drzew, oświetlając grządki z pomidorami odmiany Early Girl, fasolką szparagową i innymi warzywami, które uprawia w szklarni na tyłach domu.

– Znalazłem wniosek o wynajem mieszkania w Tulsie – mówi Charlie. – W miejscu, które nazywa się... – w tle słychać szelest kartek – ...osiedle w River Bend. Sprawdziłem je. Mają tam więcej hipsterów, niż jesteś w stanie spałować kijem. A właśnie to chciałem zrobić, spałować ich kijem. Wracając do tematu, kierownik z działu wynajmu przeprowadził proces sprawdzania danych, który prowadził donikąd. Twoja dziewczyna zniknęła, jeszcze zanim zdążyła podpisać umowę najmu.

Wiadomość od Charliego jest jak cios prosto w brzuch. Zaciskam szczęki tak mocno, że coś strzela mi w skroni. Moja „dziewczyna” doskonale wiedziała, co robi, kiedy wypełniała tamten wniosek. Wiedziała, że jak tylko przekaże prawo jazdy, numer ubezpieczenia społecznego i resztę dokumentów potrzebnych do przeprowadzenia procesu sprawdzania danych, zadziałają one jak drogowskazy prowadzące do jej miejsca pobytu. Elektroniczny ślad prowadzący policję prosto do niej.

– To podpucha – mówię. – Ona ucieka.

Burknięcie, które wydaje z siebie Charlie, mówi mi, że się ze mną zgadza.

– Zadzwoń do numerów, które podała kierownikowi, w razie gdyby chciał zadzwonić do jej poprzednich pracodawców i poprosić ich o referencje. Oba należały do sieci sklepów QuikTrip. Jeden znajdował się

w budynku korporacji w Tulsie, a drugi przy stacji benzynowej w Oklahoma City. Te dwa miejsca dzieli prawie trzysta kilometrów. Uznałem, że to zabawne. Nie sądzisz, że to zabawne?

– Kurewsko zabawne.

– Oba adresy to ślepy trop, rzecz jasna.

To oczywiste. Nabieram tyle powietrza, że za chwilę pękną mi płuca, po czym wypuszczam powoli, licząc do dziesięciu. To idiotyczna technika, której nauczyłem się od policyjnego psychologa. W niczym mi nie pomaga, podobnie jak wtedy, gdy komendant Eubanks wysłał mnie do terapeuty pod groźbą przymusowego urlopu. Jestem jeszcze bardziej wkurwiony niż przed chwilą.

– Jeśli pozostawiła fałszywy ślad wiodący na zachód, to znaczy, że prawdopodobnie udała się na wschód – mówię. – Trzymałaby się południowych stanów, żeby jej akcent za bardzo się nie wyróżniał.

– Memphis?

– Nie, zbyt blisko. Jestem pewien, że zaplanowała wszystko tak, by dzieliły nas co najmniej dwa dni jazdy samochodem. Zaczynij od miast.

– Jasne.

– Charlie?

– Tak?

– Założę się, że zdążyła już popełnić kilka błędów. Nie wiem jeszcze jakich, ale znajdź je.

– Nie ma sprawy.

Rozłącza się, a ja wsuwam telefon do kieszeni spodni i stoję na werandzie przez jedną długą minutę, z całej siły zaciskając dłonie na poręczy i przyglądając się, jak jakiś ptak wyszarpuje z ziemi robaka. Robak wije się jak szalony, próbując za wszelką cenę ucześcić się ziemi, ale ptak orze ją szponami i nie puszcza.

– Wujku Marcusie?

Odwracam się, a za mną stoi Annabelle. Jej śliczną buzię wykrzywia zmartwienie. Przesuwne drzwi za jej plecami są uchylone tylko na tyle, by prześlizgnęło się przez nie jej szczuplutkie ciało.

– Hej, księżniczko.

Uśmiecham się do niej, próbując ocenić po wyrazie jej twarzy, od jak dawna tam stoi. I ile usłyszała. Odchyła głowę do tyłu, mrużąc oczy w promieniach słońca.

– Powiedziałeś brzydkie słowo.

Przewijam w myślach rozmowę telefoniczną, próbując przypomnieć sobie, co dokładnie mówiłem. *O jakie brzydkie słowo chodzi?* To może być jedno z wielu. Kucam tak, że oboje jesteśmy zwrócenii do siebie twarzami.

– Naprawdę?

Kiwa głową.

– Powiedziałeś kurw...

– Ani mi się waź. – Zakrywam jej usta dłonią. – Twoja mama powiesi nas za uszy, jeśli kiedykolwiek usłyszy, jak to mówisz. A skoro już mowa o twojej mamie, czy nie mówiła ci przypadkiem, żeby nie podsłuchiwać ważnych policyjnych rozmów?

Annabelle odsuwa moją dłoń, uśmiechając się szeroko.

– To ona kazała mi tu przyjść i sprawdzić, o czym rozmawiasz.

Wybucham śmiechem, czując, jak napięte mięśnie mojego karku i pleców rozluźniają się.

– Na stole zostało jeszcze jakieś jedzenie czy ta banda dzikusów zdążyła już wszystko pożreć?

Uśmiecha się.

– Babcia nałożyła ci pełny talerz. Naprawdę wielki.

Podrywam Annabelle z podłogi, zarzucam sobie na ramię i zanoszę moją piszczącą z uciechy siostrzenicę do środka.

– To świetnie, bo umieram z głodu.

BETH

Resztę dnia spędzam na obsesyjnym rozmyślaniu o komunikacie telewizyjnym dotyczącym zaginionej osoby, i wracam myślami do pierwszego razu, kiedy próbowałam od ciebie odejść. Byliśmy małżeństwem od kilku lat – wystarczająco długo, by wiedzieć, że twoje przeprosiny i obietnice, że się zmienisz, znów okażą się czczymi słowami, ale na tyle krótko, że nadal wydawało mi się, że mam cień kontroli nad swoim życiem. W przyływie śmiałej lekkomyślności wrzuciłam do torby kilka rzeczy, wsadziłam ją do bagażnika swojego samochodu i pojechałam na drugi koniec miasta do siostry. Tydzień wcześniej, po tym jak zobaczyła siniaki pokrywające moje plecy i żebra, wcisnęła mi do ręki klucz do swojego domu i powiedziała, że mogę z niego korzystać, kiedy tylko chcę, bez względu na porę.

Moja wolność trwała całe cztery godziny.

Już samo myślenie o siostrze wzbudza we mnie falę smutku i przyprawia o bolesne ściskanie w klatce piersiowej. Pamiętam wyraz jej twarzy, kiedy zjawiłeś się na progu, z bukietem kwiatów i diamentowym naszyjnikiem, za który do dzisiaj nie wiem jak zapłaciłeś, i pełen rozczarowania grymas, który wykrzywił jej usta, gdy szłam za tobą do samochodu. Pamiętasz, co powiedziałeś, żeby mnie do tego zmusić? Pamiętasz? Bo ja pamiętam każde słowo. Twoją dłoń zaciskającą się na moim ramieniu. Gorący oddech owiewający mi ucho. Siostrę, która wołała, żebym wróciła do środka.

– Albo wsiądziesz do tego pierdolonego samochodu – powiedziałeś ze stoickim spokojem – albo potnę twoją siostrzyczkę na milion krwawych kawałków i zmuszę cię, żebyś na to patrzyła.

Dlatego wsiadłam do tego pierdolonego samochodu.

Po tym incydencie nie rozmawialiśmy ze sobą całymi miesiącami. Nie mogłam wyjawić jej prawdy o tym, co wtedy powiedziałeś, a ona nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wróciłam do kogoś, kto łamał mi kości

i serce. Oskarżyła mnie, że jestem zbyt dumna, zbyt zaślepiona miłością, a ja nie mogłam jej wytłumaczyć, że miłość nie ma z tym nic wspólnego. Poszłam z tobą, bo uwierzyłam w to, co powiedziałeś. W odróżnieniu od twoich pozostałych obietnic – że żałujesz, że zgłosisz się po pomoc, że już nigdy nie podniesiesz na mnie ręki w ten sposób – wiedziałam, że groźba rzucona pod adresem mojej siostry nie była czcza. Pociąłbyś ją na kawałki, i zrobiłbyś to bez mrugnięcia okiem.

Wyniosłam jeszcze jedną lekcję z tamtego incydentu. Taką, która w ostatecznym rozrachunku okazała się jeszcze bardziej ponura. W moim odejściu nie chodziło wyłącznie o mnie. Skrzywdziłbyś każdego, kto spróbowałby stanąć ci na drodze.

– Witaj, Beth.

Głos wielebnego Andrewsa rozlega się tuż za moimi plecami, ale potrzeba jeszcze dwóch razy, żebym zorientowała się, że mówi do mnie. Że to ja jestem Beth.

Podrywam się, zaskoczona, uderzając głową o górną półkę szafki, w której akurat sprzątałam. Przed oczami strzelają mi gwiazdy. Przykładam rękę do pulsującego guza i wycofuję się z szafki na czworaka.

Wielebny składa dłonie jak do modlitwy i kłania się nieznacznie.

– „Cokolwiek czynicie, z serca wykonujcie, jak dla Pana, a nie dla ludzi”.
List do Kolosan, rozdział 3, werset 23^[1].

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć temu słudze bożemu, którego naraziłam na niebezpieczeństwo samym faktem, że zgodziłam się u niego pracować. Jest jedną z osób, którą skrzywdziłbyś bez żadnych skrupułów, byleby tylko mnie dopaść – przypadkową ofiarą. Próbuję skupić się na uśmiechu wielebnego Andrewsa, a nie na kolczastej kuli strachu, która zagnieździła się w moim żołądku.

– Mogę pożyczyć cię na chwilę? – pyta. – Przydałaby mi się twoja pomocna dłoń. Chodzi o biblioteczkę w moim gabinecie.

Podnoszę się i strzepuję ze spodni paprochy.

– Oczywiście. A co z nią nie tak?

– Po pierwsze, książki są odkładane na półki bez żadnego ładu i składu. Panuje tam spory bałagan, a ja nigdy nie mogę znaleźć tej, której akurat szukam. Potrzebuję kogoś, kto by je poukładał i wymyślił jakiś system katalogowania. To poważne, odpowiedzialne zajęcie. Możliwe, że zejdzie ci na nim cały dzień.

Nie rozumiem. Póki co, Martina, Ayana i ja pracowałyśmy we trójkę. Przetoczyłyśmy się przez kościół ze swoimi wiaderkami i szmatkami jak szarańcza przez pole, a nagle wielebny postanowił wyróżnić akurat mnie. Zerkam z ukosa na Martinę, która stoi jak skamieniała po drugiej stronie świetlicy dla dzieci. Marszczy brwi, a spojrzenie, które posyła w moją stronę, sprawia, że ogarnia mnie napięcie.

Macham ręką w jej kierunku.

– Mam wziąć ze sobą kogoś do pomocy?

– Doskonały pomysł, ale świetlica musi być gotowa na dziś wieczór. – Wielebny odwraca się do dziewczyn z uśmiechem. – Moje drogie panie, skończcie tutaj, a potem dołączcie do Beth. W międzyczasie zaprowadzę ją na górę i wyjaśnię, co i jak.

Zmarszczka przecinająca czoło Martiny pogłębia się jeszcze bardziej, ale nie mam wyboru. Zabieram wiaderko i idę po schodach za wielebny, usiłując zapanować nad wzmożonym uczuciem paranoi. Dlaczego wezwał na górę tylko mnie? Czy odkrył mój fałszywy dowód tożsamości, fałszywą kartę ubezpieczenia społecznego i całą resztę?

Sądząc po jego przyjacielskim tonie, chyba nie. Idziemy przez kościół, a wielebny bez przerwy opowiada o swych zbiorach – poradnikach o tworzeniu kazań objaśniających teksty biblijne, kolekcji zabytkowych wydań Biblii i całej półce *Kazań dla laików*, które jakiś żartowniś co roku wkłada mu na Gwiazdkę do skarpety.

– Problem w tym, że moi parafianie wiecznie zapominają o zwróceniu wypożyczonych książek. W zeszłym roku moja żona umieściła w każdej z nich naklejkę z napisem „Wypożyczone z biblioteki...”, ale nadal nie mam pewności, że dana książka do mnie wróci.

– Mógłby wielebny stworzyć arkusz do wypisywania – podsuwam, gdy zbliżamy się do podwójnych drzwi gabinetu. – Taki, jakie są w bibliotekach. Po dwóch tygodniach od wypożyczenia trzeba oddać książkę. Muszą ją przynieść albo ryzykują... sama nie wiem, wiecznym potępieniem czy czymś w tym stylu.

Parska śmiechem i otwiera drzwi.

– Nie wykluczam pogrozenia ogniem piekielnym raz czy dwa, o ile będzie to oznaczać, że książki przestaną znikać z mojej półki.

Charlene przycupnęła za swoim biurkiem w recepcji z telefonem przyciśniętym do ucha. Uśmiecha się na nasz widok.

– Ale ten arkusz to całkiem niezła myśl – dodaje, prowadząc mnie wzdłuż korytarza. – Myślisz, że mogłabyś stworzyć dla mnie taki arkusz?

Oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, czy mówi serio. Dlaczego prosi o to mnie, sprzątaczkę, a nie swoją sekretarkę? Wpatruję się w jego profil, próbując doszukać się kierującej nim motywacji, ale nie znajduję niczego prócz prośby o pomoc. Nakazuję sobie w myślach spokój, starając się nie pokazać po sobie żadnych emocji.

– Jasne. Potrzebuję tylko dostępu do komputera i drukarki.

– Możesz skorzystać z mojego. Hasło to ErwinGrace2. – Imiona jego dzieci. Uśmiecha się z wyraźną dumą. – Tylko nie mów Erwinowi Czwartemu, bo inaczej woda sodowa uderzy mu do głowy.

Po wejściu do gabinetu wielebnego spędzamy kilka minut przed półkami biblioteczki, na którą składają się sięgające sufitu półki z wypolerowanego na błysk drewna, zastawione książkami o tematyce religijnej i ikonami. Wielebny nie żartował, kiedy mówił, że panuje tu niezły bałagan. Biblie pomieszane ze śpiewnikami, święte teksty, książki historyczne, ewangelie, całe mnóstwo woluminów. Okropny tu bajzel. To bez sensu, że część półek jest w połowie pusta, a inne pękają w szwach.

– Spójrz na to – mówi, wyciągając wytartą książkę ze środkowej półki. – To Biblia rodziny Andrews, kupiona przez moją prapraprababkę i przekazana jej synowi, pierwszemu Erwinowi Jacksonowi Andrewsowi, w dniu jego ślubu. – Otwiera skórzaną okładkę, ostrożnie kartkując poźółkłe strony i docierając do kolorowej na końcu. Przedstawia drzewo genealogiczne z gałęziami wyciągniętymi niczym liściaste palce, zakończonymi odręcznie napisanymi imionami i datami. Narodziny, zgony, śluby. Wielebny stuka palcem w dwa imiona na samym dole. – Siostra Erwina, Grace, i Erwin Czwarty. Pewnego dnia, z Bożą pomocą, przekażą ją swoim dzieciom.

– Ma wielebny szczęście, że posiada tak wspaniałą rodzinną pamiątkę – mówię. – Zasługuje na własną półkę. Środkową. I mały reflektor, który będzie ją oświetlał.

– Widzisz? Wiedziałem, że jesteś odpowiednią osobą do tego zadania. – Z czeluści jego kieszeni daje się słyszeć stłumiona melodia. Podaje mi Biblię. – To moja żona. Przepraszam na chwilę, dobrze?

Wychodzi na korytarz, a ja zanoszę książkę na jego biurko, kładąc ją ostrożnie obok komputera. Nie jestem do końca pewna, czy wierzę

w Boga, ale chyba wierzę w jakąś wyższą siłę sprawczą, w pewien rodzaj porządku panującego nad chaosem. W to, że istnieje jakiś powód, dla którego wielebny mnie tutaj przyprowadził – do pokoju wyposażonego w komputer, gdzie nikt nie będzie mi zaglądał przez ramię. Może to wszechświat podsuwa mi do ręki rzeczy niezbędne dla mojego przetrwania, a los wskazuje właściwą drogę.

Przez cały dzień co jakiś czas zamykałam się w łazience i sprawdzałam serwisy informacyjne na ekraniku swojego telefonu, martwiąc się tym, że każde takie skorzystanie z Internetu zżera kosztujące majątek dane, na kupno których nie mogę sobie pozwolić. I tak oto trafiam do gabinetu wielebnego, znając hasło do jego komputera. Bardziej podstępna część mojego umysłu wskakuje na najwyższe obroty, a całe moje ciało przenika dreszcz.

Choć, z drugiej strony, to może być test. Może wielebny Andrews podejrzewa, że naruszę jego zaufanie, a to szansa na udowodnienie, że jestem go warta.

Jego głos ucichł. Widocznie odszedł w głąb korytarza. Sprawdzam zegarek i myślę o pracujących na dole Martinie i Ayanie, wycierając miliony bakterii z plastikowych zabawek. Będą mieć zajęcie przez najbliższą godzinę albo i dłużej, ale ile mam czasu, zanim wielebny skończy rozmawiać przez telefon? Sekundy, może minuty, o ile mi się poszczęści.

Siadam na jego fotelu. Serce wali mi jak szalone, a w środku czuję przenikające mnie drżenie. Wmawiam sobie, że nie robię nic złego, że skorzystanie z Internetu to nie zbrodnia. Wielebny Andrews to dobry, uczynny człowiek. Gdybym poprosiła go o możliwość sprawdzenia wiadomości ze swoich rodzinnych stron, jestem prawie pewna, że by mi na to pozwolił.

Potrząsam myszką, wpisuję jego hasło, a czarny ekran zmienia się w wyraźne zdjęcie kościoła Dwunastu Apostołów Jezusa Chrystusa zrobione z lotu ptaka, przez helikopter albo dron. Wieńczący świątynię złoty krzyż lśni w promieniach słońca na tle bezchmurnego, błękitnego nieba.

Wysłuchuję się w odgłosy wydawane przez ludzi przebywających na korytarzu – kroki, stukot klawiatur, głosy rozmawiających przez telefon. Ktoś kicha, ale ogólnie rzecz biorąc, panuje tu cisza. Tak jakby wszyscy

wyszli na lunch.

Otwieram przeglądarkę i wpisuję na pasku wyszukiwania słowa, które prześladowały mnie w myślach przez cały dzień: „Zaginiecie Sabine Hardison”.

W nagrodę na ekranie wyskakują setki linków. Nie powinno mnie to dziwić. Wieści w Internecie rozchodzą się w ułamku sekundy. Jeśli informacje przedostały się poza granice stanów i zawędrowały wystarczająco daleko, by trafić do wiadomości krajowych w jednej z dużych stacji telewizyjnych, to oczywiste, że w sieci znajdzie się o wiele więcej odniesień. CNN, Fox News i inne stacje szybko podchwyciły temat.

Przewijam linki, a mój wzrok przykuwa znajoma nazwa. *Mandy in the Morning*. Nagrany z wyprzedzeniem odcinek kusi zapowiedzią pikantnych szczegółów wyjawionych przez kochanka Sabine i jej siostrę. Mandy jak zwykle lubi spekulować. Podobnie jak zapowiedzi jej programu, tytuł odcinka został pomyślany tak, by zapewnić jak największą oglądalność. Mieszkańcy Pine Bluff ją uwielbiają, ale ja nigdy nie byłam jej fanką. Zamiast tego klikam na link prowadzący mnie na stronę „Pine Bluff Commercial”, lokalnej gazety. Na głównej stronie widzę tytuł artykułu: „Policja szuka wskazówek w sprawie zaginionej kobiety z Pine Bluff”.

Fala mdłości przebija się z głębi moich trzewi. Oddycham powoli i równomiernie, czekając, aż nieprzyjemne wrażenie przeminie.

Surfuję jeszcze przez chwilę, co chwila zerkając niespokojnie w stronę drzwi. Z tego, co zdążyłam się dowiedzieć, wszystkie serwisy informacyjne podają mniej więcej te same, skąpe fakty: ostatni raz widziano ją w środę, jej nietknięty samochód został porzucony, nie ma żadnych śladów, dowodów ani poszlak. Po przeczytaniu jeszcze kilku artykułów dociera do mnie, że nie dowiem się już niczego nowego. Muszę dotrzeć prosto do źródła.

Drżącymi palcami wpisuję adres internetowy Facebooka, a na ekranie pojawia się profil wielebnego. Pełno na nim inspirujących biblijnych memów, zdjęć jedzenia i fotek z wakacji, a do tego jakaś reklama drogich butów do biegania. Odchylam się na jego fotelu, przygryzając cuchnący wybielaczem kciuk i besztając się w myślach za naruszenie jego prywatności. Może powinnam wylogować się z jego profilu, stworzyć nowy, fałszywy, na nazwisko Beth. Odpycham od siebie tę myśl tak

szybko, jak się pojawiła. Nie znam hasła wielebnego, więc nie mogłabym zalogować go ponownie. Nie. Lepiej zostawić wszystko tak jak było, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

– Pójdę za to prosto do piekła – szepczę.

Będąc na facebookowym profilu wielebnego, w okienku wyszukiwania wpisuję „Posterunek policji w Pine Bluff”. Na górze strony widnieje wezwanie zachęcające każdego, kto posiada jakiekolwiek informacje związane z zaginięciem Sabine, do podzielenia się nimi z policją. W kolejnym wpisie podany jest numer specjalnej infolinii. Przeglądam post, ale nie dowiaduję się niczego nowego. Jeśli policja jest w posiadaniu jakichś dowodów albo poszlak, nie ujawniają tutaj ich istnienia.

Przewijam dalej stronę, omijając posty z ogłoszeniami dla kadr i komunikaty publiczne mówiące o niebezpieczeństwach wynikających z korzystania z telefonu w trakcie jazdy samochodem, po czym zatrzymuję się na dole strony. Zamieszczono tam kolejne wezwanie do podzielenia się informacjami na temat Sabine, do którego dołączono zdjęcie i pięć słów, które wybuchają w moim mózgu jak bomby.

Zaginiona kobieta uważana za martwą.

W korytarzu słyhać jakieś zamieszanie, kroki i odgłos uderzających o ścianę drzwi, a po chwili rozlega się wołanie wielebnego.

– Charlene, połącz mnie z księdzem Pete’em z kościoła Chrystusa Króla. Będę u siebie.

Cholera.

Łapię za myszkę i szybko opuszczam stronę. Zamykam wyszukiwarkę, przywołując na ekranie obraz pulpitu ze zdjęciem kościoła. Kroki słyhać coraz bliżej, a ja patrzę na półki z nietkniętymi książkami i uświadamiam sobie, że potrzebuję sensownej wymówki. Klikam na ikonkę Microsoft Word, a komputer pod biurkiem zaczyna szumieć i warczeć.

Cholera.

Wyskakuję z fotela jak z procy, wyciągam z wiadra ścierkę i butelkę z atomizerem, i spryskuję biurko akurat w momencie, w którym wielebny wchodzi do gabinetu.

– Zrobiłaś jakieś postępy? – pyta, rozglądając się po biurze, które wygląda identycznie jak w momencie, w którym z niego wyszedł. Półki nadal są przepełnione. Drukarka milczy. Odpowiedź jest chyba oczywista.

Wskazuję butelką na monitor.

– Chyba komputer się zawiesił. Próbowałam otworzyć Worda, odkąd wielebny wyszedł, ale... o, proszę spojrzeć, chyba w końcu zaczął działać.

Jego uśmiech sprawia, że w moim wnętrzu rozlewa się mało przyjemne uczucie.

– Świetnie, ale czy mogę cię prosić, żebyś zaczęła od półek? Chciałbym usiąść za biurkiem, bo w każdej chwili spodziewam się telefonu i muszę odszukać na komputerze pewien plik.

W tej samej chwili, jak na zawołanie, dzwoni jego telefon stacjonarny.

Przesuwam szmatką po blacie po raz ostatni i odsuwam się od biurka.

– Gotowe.

Wielebny siada na fotelu, a ja podchodzę do półek. Serce wali mi w piersi jak wojenny bęben. Gapię się na książki pustym wzrokiem, udając, że obmyślam system, jednocześnie starając się nie podsłuchiwać rozmowy wielebnego dotyczącej wspólnego nabożeństwa w jadalni w centrum. Koncentruję się na jego głosie, sposobie, w jaki unosi się i opada, żeby nie myśleć o dławiającym mnie poczuciu winy spowodowanym faktem, że zawiodłam jego zaufanie.

– Nadal mam notatki z zeszłego roku – mówi, gdy opróżniam pierwszą półkę, układając książki w schludnych, choć nieco krzywych stosach na podłodze. – Postaram się je odszukać i zaraz je do ciebie wyślę. Daj mi chwilę.

Stuka palcami w klawiaturę, a do mnie dociera okropna myśl.

Nie wyczyściłam historii przeglądarki.

[1] Przekłady z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia.

MARCUS

Wydział informatyki śledczej posterunku policji w Pine Bluff mieści się na samym końcu budynku, w pozbawionym okien pomieszczeniu, które równie dobrze mogłoby robić za schowek na szczotki. Jade, jedyna pracowniczka wydziału, ledwo może się poruszać między komputerami, ekranami i gigantycznym, przemysłowym klimatyzatorem wciśniętym w kąt, dmuchającym lodowato zimnym powietrzem na przegrzewającą się elektronikę. Nawet jeśli Jade przeszkadza ciasnota albo arktyczne temperatury, nigdy nie narzeka. Ta praca jest milion razy lepsza niż więzienie, do którego miała trafić za włamanie się do systemu bezpieczeństwa narodowego w Little Rock.

Stukam kłykciem w futrynę drzwi, a Jade obraca się na swoim krześle.

– Zabierz stąd to gówno i siadaj – mówi, wskazując na krzesło, na którym leży wysoka na niecały metr sterta teczek, nieotwartych listów i ubłocone kalosze. – Już prawie skończyłam.

Jej włosy w kolorze mysiego brązu są zebrane w ciasny kucyk, bez którego nigdy jej nie widziałem. Kędzierzawa grzywka zwisa jej smętnie nad okularami, które wyglądają, jakby były kupione w ubiegłym stuleciu. Ma na sobie charakterystyczny dla niej strój, relikw z lat osiemdziesiątych – luźne dzinsy z wysokim stanem, przyduży sweter i gigantyczne, neonowe kolczyki koła z plastiku. Gdybym zatrzymał ją na ulicy, pomyślałbym, że jest nauczycielką albo bibliotekarką, ale tylko do momentu, w którym otworzyłaby usta. Jade przeklina jak szewc, a niektóre jej odzywki są typowe dla ludzi o połowę od niej młodszych.

Odkładam stertę na podłogę i przysuwam krzesło bliżej biurka. Tuż pod ścianą stoi sześć monitorów. Próbuję połapać się w tym, co widzę. Po ekranach pełzną długie ciągi komputerowego kodu. Jade kazała mi tu przyjść, kusząc obietnicą informacji na temat Jeffreya, ale skoro już tu jestem, będę potrzebował trochę dodatkowej pomocy.

– Co to, do cholery, jest?

– Magia – mówi Jade, wciskając klawisz Enter. Gdzieś pod jej biurkiem do życia budzi się drukarka. – Odwraca się na krześle, a jej usta pomalowane nietwarzowym odcieniem koralu rozciągają się w uśmiechu. – No dobra, po pierwsze, mieliśmy kozackiego farta z tym, że Jeffrey ma abonament telefoniczny w Verizon. W porównaniu do innych firm, dostęp do ich systemu jest cholernie prosty.

– Rozumiem, że masz na myśli legalny dostęp.

– No ba. W końcu mieszkamy w Arkansas. Nakaz nie jest konieczny, szczególnie że goście z Verizon słyszeli o Sabine. Nie robili żadnych problemów.

Czekam, aż padnie słowo „ale”.

– Zanim za bardzo się nakręcisz, muszę cię ostrzec, że położenie geograficzne nie zawsze jest w stu procentach dokładne. Dla przykładu, jeśli namierzemy twojego gościa w centrum handlowym, nie będziemy wiedzieli, czy akurat siedzi w kawiarni w jednym końcu centrum, czy może w jakimś tanim sklepie na drugim końcu. Może być nawet w sąsiadującym z nim kompleksie mieszkalnym.

Myślę o bajeczce, którą Jeffrey przygotował na czas zniknięcia swojej żony. Lunch we włoskiej knajpcie w Little Rock, po którym spędził godzinę albo i więcej w samotności nad rzeką. Namierzenie lokalizacji przez Jade nie musi być aż tak dokładne. Wystarczy, że zweryfikuje, czy przebywał w miejscu, w którym twierdził, że był – czy nie. Stawiam na tę drugą opcję. Jeffrey nie jest typem lubiącego samotność introwertyka. Mogę się założyć o sto dolców, że był gdzieś zupełnie indziej.

– Jaką to ma skuteczność?

Jade wzrusza ramionami.

– To zależy od telefonu. Nie wszystkie chipy GPS działają jednakowo, o ile wiesz, co mam na myśli. Ale nawet w przypadku starszego modelu telefonu z beznadziejnej jakości chipem, jeśli twój koleś czytał książkę nad rzeką na ławce w parku, możemy znaleźć go stojącego po kolana w wodzie, ale przynajmniej będziemy wiedzieć, że faktycznie był tam, gdzie mówił.

– A był?

Jade szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Nie, nie był.

A to gnojek. Znajome ciepło rozchodzi się w mojej piersi. Zaciskam

dłonie w pięści. Ta sprawa może okazać się o wiele łatwiejsza, niż początkowo przypuszczałem.

– Wiesz, czym są mikrokomórki? – pyta, a ja kręcę przecząco głową. – Mikrokomórka to mała skrzynka, którą firmy telekomunikacyjne instalują w celu zwiększenia i polepszenia jakości usług w gęsto zaludnionych obszarach. W miejscach takich jak podziemne parkingi, centra handlowe i drapacze chmur. Jest jak miniwieża komórkowa we wnętrzu budynku, w którym nie masz najlepszego sygnału. Mikrokomórki rejestrują bardzo dokładne dane o lokalizacji. Tak długo jak masz włączony telefon, mogę sprawdzić, gdzie jesteś, czasami z dokładnością do kilku metrów.

– Chcesz powiedzieć to, co myślę, że chcesz powiedzieć?

– Bo ja wiem? Myślisz, że sugeruję, że przebywał w budynku, w którym znajdowała się taka mikrokomórka? – Posyła mi figlarny uśmiech. – Tak się składa, że to prawda.

Mam ochotę pochylić się nad biurkiem, złapać ją za uszy i dać jej całusa. Bajeczka o dwugodzinnej przerwie w rozkładzie dnia Jeffreya oficjalnie przeszła do historii.

Jade wyciąga z drukarki kartkę, kładzie ją z trzaskiem na stole i odwraca, abym mógł zobaczyć, co przedstawia. To mapa Little Rock z zaznaczonymi godzinami. Stuka palcem w jeden z punktów, umieszczony na samym środku lotniska.

– Zaczęłam o dwunastej, na chwilę przed lądowaniem jego samolotu w Little Rock, po czym śledziłam każdy jego ruch aż do osiemnastej, dwie godziny po tym, jak sąsiadka powiedziała, że widziała go zatrzymującego się na podjeździe przed swoim domem w Pine Bluff. Zaznaczone na mapie odstępy czasowe wynoszą dziesięć minut, ale jeśli chcesz, żebym je zmniejszyła, mogę to zrobić. Wydrukowanie nowej mapy zajmie mi tylko kilka minut.

– Objaśnij mi pierwszą, a potem sam zdecyduję. – Skanuję wzrokiem kartkę, chłonąc każdy znacznik. – Wygląda na to, że siedział na lotnisku do za piętnaście pierwsza.

– Zgadza się, a konkretnie do 12:48. Potem wsiadł do samochodu, pojechał na zachód drogą numer 440 i skręcił w trzydziestkę prowadzącą na północ. Tuż za rzeką zjechał do wyjścia numer 141B. – Stuka w odpowiedni punkt krótko obciętym paznokciem.

Następny znacznik znajduje się zaledwie przecznicę dalej. Mrużę oczy, by lepiej zobaczyć małe literki na mapie.

– Co znajduje się na Olive Street?

– Vinny's Little Italy. Na marginesie, to miejsce nie ma mikrokomórki. Wszystkie sygnały pochodzą z wieży komórkowej.

Kiwam głową, studiując mapę. A więc lunch we włoskiej restauracji okazał się prawdziwy.

– Vinny's Little Italy musi istnieć naprawdę, skoro poszedł aż na drugą stronę rzeki. To jakieś dwadzieścia minut drogi.

– Mniej więcej, ale to prawdziwa speluna. Zajmuje 76. miejsce na liście inspekcji sanitarnej, co oznacza, że w praktyce oddajesz swoje życie w ich ręce. To jak zaproszenie do całodobowej imprezy na kiblu połączonej z rzyganiem. Siedział tam prawie do czternastej.

– Tylko mi nie mów, że przesiedział cały ten czas z głową w kiblu.

– Bardzo możliwe.

Znajduje na mapie kropkę z oznaczeniem godziny czternastej, po czym sunie palcem na południe, z powrotem przez rzekę i na zachód. O 14:10 Jeffrey skręca w kolejny zjazd, kierując się na północ drogą University Avenue. Jade zatrzymuje palec na kolejnym skupisku znaczników. Wszystkie znajdują się w obrębie dużego kwadratu.

– Co to jest? – pytam, unosząc wzrok. – Dlaczego te kropki są tak rozproszone?

– Większy budynek. Ten kwadrat to CHI St. Vincent, szpital z własną mikrokomórką. Jeffrey wszedł do środka o 14:23 i dotarł do południowo-zachodniego rogu budynku. I teraz zaczyna się robić ryzykownie. Szpital ma dziesięć pięter, wliczając piwnicę. Wiem, gdzie on jest, ale nie na którym piętrze. Musiałam trochę pokombinować i zabawić się w detektywa.

– Kombinowałaś legalnie?

Jade przewraca oczami.

– Chcesz wiedzieć, gdzie był, czy nie?

– Mów.

– Rozłożyłam znaczniki na planach budynku, a potem posłużyłam się procesem eliminacji. Od razu mogłam skreślić cztery piętra – schowki, łazienki, kostnicę. Wykreśliłam piętra z pokojami pacjentów. Są zbyt małe, a oznaczenia czasowe rozłożone w taki sposób mogłyby sugerować,

że przemieszczał się, przechodząc przez ściany. To musiało być jakieś większe pomieszczenie. W szpitalu znajdowało tylko jedno piętro, które takie posiadało, a konkretnie drugie. Mowa o oddziale numer 203.

– Czego to oddział?

– Urologii. Głównym lekarzem jest doktor Patrick R. Lee.

– Jesteś pewna?

– W stu procentach. – Jade milknie na chwilę, przygryzając dolną wargę. – Ale może nie mów nikomu, że ci o tym powiedziałam. Po prostu uwierz mi na słowo.

Tłumię śmiech.

– Zhakowałaś kamery, prawda?

Nie odpowiada, a ja biorę jej milczenie za potwierdzenie.

Jeśli mam być szczery, to głównie mnie obchodzi, w jaki sposób zdobyła informacje. Sęk w tym, że Jeffrey ma alibi, ale nie chodzi o zatrucie pokarmowe, a o problem z hydrauliką. Dlaczego skłamał? Musiał wiedzieć, że w końcu i tak dowiem się prawdy. Nawet przez sekundę nie pomyślał, że każdą minutę spędzoną na sprawdzaniu bajeczki z czytaniem nad rzeką mogłem w rzeczywistości poświęcić na szukanie jego żony?

– Sprawdziłaś stan jego konta? – pyta Jade, zdmuchując z oczu grzywkę. – Mógł wynająć kogoś do brudnej roboty.

– Też o tym pomyślałem. Sprawdzę to jeszcze raz, ale konta należą głównie do niej. Pensja Sabine ponad dwukrotnie przewyższa jego zarobki. Udało jej się zachomikować sporą sumkę. Gdyby pozbył się Sabine, stałby się bardzo bogatym człowiekiem. Nawet dom, w którym mieszka, jest na jej nazwisko.

Jade unosi pytająco brew.

– Mam szukać dalej? Mogę wyśledzić jego ruchy od momentu zniknięcia Sabine i sprawdzić, czy nie wydarzyło się nic niespotykanego.

– Nic nie znajdziesz. Był ostrożny i prawie nie wystawiał nosa z domu.

– A co z e-mailami, esemesami i tego typu rzeczami?

– Udam, że w ogóle o tym nie wspomniałaś, bo nie mamy nakazu. Jeszcze. – Bębnię palcami w blat biurka, zastanawiając się na kolejnym posunięciu. – Tak się składa, że chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Monitoruj stronę internetową posterunku policji, profil na Facebooku i na Twitterze, logowania na wszystkim, co tylko mamy. Chcę wiedzieć

o każdym dziwnym wejściu.

– Zdefiniuj słowo „dziwny”.

– Adresy IP pochodzące skądś spoza Pine Bluff, najprawdopodobniej z któregoś miasta na południu Stanów.

Rzuca mi sceptyczne spojrzenie.

– Myślisz, że Sabine ucieka?

– Możliwe. Jeffrey powiedział parę rzeczy, przez które można odnieść wrażenie, że jest niestabilna emocjonalnie, więc...

– Weź, daj spokój. Chyba nie wierzysz w ten stek bzdur, których naopowiadał w *Mandy in the Morning*, co?

– Niekoniecznie, ale siostra Sabine potwierdziła, że już wcześniej zdarzało jej się uciekać, więc mam powód, aby przypuszczać, że ma pewne problemy natury medycznej, które mogły odegrać w tym znaczącą rolę.

Nie wspominam, że ten cynk dał mi Jeffrey, podobnie jak starannie przemyślaną sugestię, że Sabine mogła wcale nie być w ciąży. Znalazłem starą dokumentację medyczną na jej laptopie wskazującą na serię nieudanych ciąż oraz korespondencję, którą prowadziła z lokalną apteką na temat pewnych recept. Nadal zajmuję się badaniem tych tropów.

Wstaję z krzesła.

– Przypilnuj tych stron, dobrze? Daj znać, jak natkniesz się na wejścia albo logowania z tego samego miejsca. Zadzwoń, gdy tylko coś znajdziesz.

– Nie ma sprawy. – Jade zapisuje coś na karteczce samoprzylepnej, po czym odwraca się w stronę ekranów. – Spadaj już, bo muszę wracać do pracy.

Zabieram z jej biurka mapę i wychodzę na korytarz. Mój telefon wibruje. Wiadomość od Charliego. Przesuwam palcem po ekranie i odczytuję jej treść, która jest zwięzła i na temat: BINGO. Charlie to małomówny gość, ale akurat na tym słowie zależało mi najbardziej. Wychodzę na klatkę schodową i oddzwaniem.

– Znalazłem konto bankowe – mówi w ramach powitania. – W Wells Fargo. Zostało otwarte nieco ponad trzy tygodnie temu w oddziale banku w Texarkanie. Pierwsza wpłata opiewała na tysiąc dolarów. Wygląda na to, że zdeponowała ją w gotówce. Od tamtej pory na konto nie wpłynęły żadne nowe środki.

Ekscytacja sprawia, że czuję ściskanie w gardle, a zaraz po niej ogarnia mnie zgoła inne, o wiele mniej przyjemne uczucie. Tysiąc dolarów to

cholernie dużo pieniędzy. Taka kwota nie znika niezauważona w ciągu jednej nocy bez budzenia niczyich podejrzeń. Musiała gromadzić środki całymi miesiącami, żeby nikt się nie zorientował.

– A co z wypłatami z bankomatów? – pytam, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby, bo jestem, kurwa, pewny, że były jakieś wypłaty.

– Pięćset dolarów w zeszłym tygodniu, a potem jednorazowo po dwadzieścia albo trzydzieści dolarów. Wypłat dokonywano gdzie popadnie. North Platte w Nebrasce, Lexington w Kentucky, Amarillo w Teksasie, Boise w Phoenix, Charlotte w Pittsburgu, Columb...

– Próbuje nas zmylić.

– Na to wygląda – potwierdza Charlie. – Jeśli dalej będzie dokonywała ich w takim tempie, zostanie jej jakieś trzy i pół tygodnia, zanim na koncie skończą się środki. Chcesz, żebym dalej śledził postęp transakcji?

Opuszczam głowę i wbijam wzrok w podłogę, brudne linoleum, które wygląda, jakby nie czyszczono go od zeszłego stulecia, i próbuję powstrzymać się od krzyku. Tętno skacze mi jak szalone, łomocząc w skroniach. Charlie może śledzić transakcje, ale mogę się założyć, że to nie ona stała przed bankomatami i dokonywała wypłat. To podstęp mający na celu zmylić mnie i posłać w zupełnie innym kierunku.

Dobrze, że nie jestem aż tak głupi, by dać się na to złapać.

– Miej oko na to konto – mówię – ale nie ekscytuj się zbyt, dopóki nie zostanie dokonana wpłata. Chcę mieć dostęp do materiału z kamer przemysłowych. W międzyczasie skupi się na kolejnych asach, które na pewno trzyma w rękawie. Nie zobaczyliśmy jeszcze wszystkiego, to pewne. Zadzwoń, gdy coś znajdziesz.

– Przyjąłem – mówi i się rozłącza.

Resztę dnia spędzam na sprawdzaniu poszlak.

Przeszukuję bazę danych wystawionych recept. Departament Zdrowia stanu Arkansas potwierdził, że nie potrzebuję do tego nakazu sądowego, o ile posiadam numer pacjenta i sensowny powód. Kontaktuję się z lekarzami Sabine, ginekologiem położnikiem i lekarzem ogólnym, ale obaj są nieprzystępni i od razu żądają nakazu, jeszcze zanim zdążą cokolwiek powiedzieć. Dzwonię też do doktora Lee, urologa z oddziału numer 203, gdzie Jeffrey sikał do kubeczka, a w międzyczasie jego

znajdująca się osiemdziesiąt dwa kilometry dalej żona opuściła Super1 i zniknęła. On również nie chce mi udzielić żadnych informacji.

Na koniec zostawiam sobie Jeffreya. Zatrzymuję się na krawężniku i podziwiam elewację z kamienia i drewna cedrowego, starannie przystrzyżony trawnik, dekoracyjną stolarkę zdobiącą mansardowe okna na piętrze. Ile ten dom może mieć metrów? Trzysta? Siedemset? Czterysta sześćdziesiąt? Jeszcze przed zaginięciem Sabine dom był zbyt duży jak na potrzeby dwóch osób. Niedługo ten wielki, ekstrawagancki dom i wszystko, co się w nim znajduje, stanie się jego własnością.

Wciskam dzwonek do drzwi. Na mój widok jego uprzejmy wyraz twarzy ustępuje pochmurnemu.

– Dobrze, że ci dziennikarze w końcu sobie poszli. – Pokazuję kciukiem ponad ramieniem w kierunku zdeptanej trawy na skraju jego trawnika. – Detektyw z Pine Bluff przesłuchuje Jeffreya Hardisona w biały dzień. Zapraszamy na relację o dziewiątej.

– Proszę rozmawiać z moim prawnikiem.

Chce zamknąć mi drzwi przed nosem, ale niespecjalnie mu się to udaje. Wsuwam stopę pomiędzy drzwi a futrynę, zatrzymując je butem.

– Wyjaśnij mi coś – mówię, opierając się ramieniem o futrynę. – Po co mąż miałby dawać lipne alibi detektywowi prowadzącemu śledztwo w sprawie zaginięcia swojej żony, skoro już *ma* alibi – i to autentyczne, które z łatwością można zweryfikować. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. No chyba że zrobił to dlatego, że miał coś do ukrycia.

Zanim udaje mu się zapanować nad mimiką, po jego twarzy przemyka zdumienie z rodzaju „ożeż kurwa”.

– Zawsze jest pan taki tajemniczy, detektywie? – pyta, ale sarkazm opuszcza go na chwilę. – Poszłoby o wiele szybciej, gdyby powiedział pan, po co tu przyszedł.

– Chodzi o doktora Lee. – Jeffrey błędnie na dźwięk jego nazwiska, a ja wiem, że strzeliłem w dziesiątkę. – Wiem, że byłeś w jego gabinecie w Little Rock tamtego popołudnia, kiedy zniknęła Sabine. Jak to możliwe? Masz jakiś problem z hydrauliką?

Czerwony rumieniec oblewa jego twarz niczym wysypka.

– To nie pański zasrany interes.

– Wiesz, że mogę zdobyć nakaz? Wtedy będę mógł obejrzeć twoją kartę pacjenta.

– Nakaz to jedyny sposób, dzięki któremu położy pan łapy na mojej dokumentacji. O ile nie ma go pan w tylnej kieszeni spodni, z uwzględnieniem tego konkretnego adresu, sugeruję, żeby zabrał pan nogę spomiędzy drzwi i zniknął z mojej werandy. Tak w ogóle, to proszę natychmiast opuścić moją posesję.

„Bo co mi zrobisz?” Pytanie wisi między nami w powietrzu jak wyjątkowo niemiły zapach. Zaciągam się nim głęboko, przeciągając ciszę. Prawda jest taka, że gównu mnie obchodzi jego problem natury medycznej, nie licząc faktu, że potwornie go denerwuje wspomnienie o nim. Szczur zapędzony w kozi róg popełnia błędy.

– Jest mnóstwo sposobów na to, by oskórować kota. – Odsuwam się, stając na skraju werandy. – To, że nie byłeś na miejscu i nie zacisnąłeś dłoni na jej gardle, wcale nie oznacza, że jej nie zabiłeś. Komu zapłaciłeś? Ile zapłaciłeś, żeby ten ktoś zabił Sabine?

Jego twarz jest teraz fioletowa i błyszcząca, zupełnie jak dojrzała śliwka. Zatrząskuje mi drzwi przed nosem.

BETH

Praca w Kościele Dwunastu Apostołów jest ciężka, a godziny wloką się nieznośnie, głównie dlatego, że to miejsce zawsze tętni życiem. Cyklicznie powtarzające się godziny nabożeństw, spotkań, wspólne czytanie Biblii, śniadania z modlitwami, doradztwo małżeńskie, klub dla dzieci, świetlica i krótkie nabożeństwa dla dzieci w wieku dwóch i trzech lat – „Omotaj tych małych gnojków, zanim zorientują się, że to podpucha”, jak ty byś to ujął.

Do tego dochodzą ludzie, dzięki którym to miejsce działa bez zarzutu. Wielebny i jego zastęp parafianek-asystentek. Pastorzy i ministranci. Oddział wolontariuszy. Gdziekolwiek pójdą, zostawiają po sobie ślady. Odciski palców, ślady butów i klucze, które bez przerwy wypadają im z kieszeni. Spędzamy dzień na zbieraniu ich i ścieraniu całej reszty.

W krótkim czasie, który tu spędziłam, ich twarze stały się znajome, a gdy mijam ich na korytarzach, ich uśmiechy są bardziej zrelaksowane i naturalne. Wielebny miał rację. Jestem teraz jedną z nich.

Uświadomienie sobie tego faktu sprawia, że do mojej listy dochodzi kolejny problem: że za bardzo się tutaj zadomowię. Może już tak się stało. Gdy przekroczyłam próg kościoła, potwornie się bałam i byłam tak zmęczona ucieczką, że to miejsce było dla mnie jak długo oczekiwane wytchnienie i spokój po strasznej burzy.

Jednak nieubłagany spokój, który tchnie z tego miejsca, dopada mnie, usypiając czujność i otulając poczuciem bezpieczeństwa, na które nie mogę sobie pozwolić. Teraz, gdy historia Sabine przedostała się poza granice stanu, wyszła poza malutkie miasteczko w Arkansas, trafiła do Georgii i dalej, doskonale wiem, co to dla mnie oznacza.

A mianowicie to, że się zbliżasz.

Strach, który mnie obezwładnia, jest przemożny i pojawia się zupełnie znikąd. Siadam na piętach i z trudem przełykam ślinę. Biorę głęboki wdech, nakazując dziko walącemu sercu, by się uspokoiło. Nie mogę sobie

pozwolić na lenistwo tylko dlatego, że jesteś sprytny i przebiegły. Nie zobaczę, że się zbliżasz, aż do ostatniej chwili, kiedy już tu będziesz.

Wrzucam gąbkę do wiaderka i odwracam się. Stale prześladowuje mnie wrażenie, że pali mi się grunt pod nogami, choć gruby dywan wgryza się w skórę moich kolan. Przez kilka ostatnich nocy kiepsko spałam, a wyczerpanie sprawia, że umysł płata mi figle. Mam zbyt wiele problemów na głowie. Nie umiem zapanować nad rozbieganymi myślami.

Nikogo tu nie ma. Jestem sama. Biuro wielebnego to istna oaza spokoju.

Ostatnio spędzam tu całe dni, odkąd Oscar zadzwonił z Florydy i powiedział mi, że zostaje. Wielebny przekazał mi jego obowiązki. Martina przewraca oczami za każdym razem, gdy wychwala niesamowitą pracę, którą wykonałam w jego biblioteczkę – posegregowałam książki według tematyki, a także alfabetycznie według nazwisk autorów oraz stworzyłam system wypożyczania, który każdy idiota byłby w stanie monitorować. Myśli, że chodzi o coś więcej, że wielebny miał jakiś inny powód, dla którego wziął mnie pod swoje skrzydła, a ja nie zaprzeczam. Może to przez łzy, których nie mogłam powstrzymać tamtego pierwszego dnia, albo historię wyszukiwarki na jego komputerze. Może jest opiekuńczy i chce mnie mieć blisko siebie, a może po prostu jest podejrzliwy. Sama nie wiem. Kiedy myśli, że nie patrzę, obserwuję bacznie jego twarz w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, ale jedyne, co znajduję, to dobroć.

Martina oskarżyła mnie o to, że ją porzuciłam, i ma rację. Ponieważ nie ma nikogo, kto by wtrącał się w spory pomiędzy nią a Ayaną, pozostawienie tej dwójki w jednym pomieszczeniu przypomina zostawienie zapalanej zapałki obok laski dynamitu. Sprzeczka, której byłam świadkiem pierwszego dnia, okazała się jedynie czubkiem góry lodowej. Osiem godzin szorowania tych samych podłóg, dzień za dniem, ani trochę nie poprawiło sytuacji. Staram się trzymać od tego z daleka, ale Martina zachowuje się jak małolata z podstawówki, zamięczając mnie prośbami o opowiedzenie się za jedną ze stron w trakcie jazdy do Morgan House i z powrotem.

– Po twojej – powiedziałam jej dziś rano, siedząc za kierownicą buicka. – Oczywiście, że jestem po twojej stronie.

I jestem, przeważnie. Chyba. Choć nigdy nie przeprowadziłyśmy ani jednej szczerej rozmowy, nadal uważa się za osobę, która mnie wspiera.

Mogę odwdziżyć się tym samym.

Obecnie spędzam dni tak jak Oscar, wycierając biurka, które już i tak są nieskazitelnie czyste, i gawędząc z Charlene oraz szóstką pozostałych pracowniczek zajmujących gabinety pod ścianą. Przynoszę napoje i przekąski na spotkania personelu i popołudniową naradę w kuchni. Opróżniam ich kosze na śmieci i zbieram skrawki papieru, które wylatują im z kieszeni. Są bardzo gadatliwe i towarzyskie. W trakcie nudniejszych momentów w pracy, kiedy nie gadają do telefonów i nie stukają w klawiatury, zasypują mnie gradem pytań.

Skąd jesteś? *Z zachodu.*

Singielka? *O tak.*

Co sprowadza cię do Atlanty? *Wydawała się całkiem miłym miastem.*

Nie wyczuwam żadnych ukrytych motywów za ich pytaniami, nie licząc zwykłej ciekawości, ale zawsze staram się skierować rozmowę na tematy związane z nimi. Wolę wysłuchać niekończącej się tyrady o problemach finansowych siostry albo jak wybrać dobrą prywatną szkołę dla bliźniaków czterolatków. Udaję szok i niedowierzanie, kiedy opowiadają mi, że szkoły publiczne w Atlancie nie są bożymi przybytkami, tak samo jak pobożni nie są ludzie, którzy pozwalają tam chodzić swoim dzieciom. Kręcę głową z dezaprobatą, gdy mówią, że średnie wyniki egzaminów końcowych uczniów, którzy uczęszczają do szkół publicznych, ledwie wystarczają, żeby wyblagać list akceptacyjny z Uniwersytetu DeVry. Nie wspominam jednak o przyrodnim bracie Martiny chodzącym do Grady High i nie mówię im, że nawet gdyby miał oceny, które pozwoliłyby mu dostać się do prywatnej szkoły, to i tak nie byłoby go na nią stać.

Nie daję się zwieść ich przyjaznym zapytaniom i swobodnym rozmowom. Gdy nadchodzi pora lunchu, wieszają torebki na zgięciach łokci i opuszczają biura, sprzecząc się o to, kto ma prowadzić, i czy wolą kanapki albo sałatki. Żadnej z nich nie przejdzie nawet przez myśl, by zapytać, czy nie chcą do nich dołączyć. W tym miejscu panuje hierarchia, a ja nadal jestem tylko sprzątaczką.

A może po prostu zastanawiają się, czy faktycznie jestem tą, za którą się podaję.

Jest czwartkowe popołudnie, a ja stoję w drzwiach gabinetu wielebnego,

szukając czegoś, co mogłabym wyczyścić. Wyszorowałam wszystkie podłogi i uporządkowałam rzeczy na biurku. Oznaczyłam kolorami szafki na dokumenty i wypolerowałam ramki ze zdjęciami. Wyprostowałam wszystkie spinacze do papieru i wyrzuciłam zużyte długopisy. Jak Oscar był w stanie wykonywać tę pracę? W odróżnieniu od niego, nie jestem stworzona do obijania się przez cały dzień i przecierania szmatką miejsc, które są już nieskazitelnie czyste. Wolałabym, żeby ktoś wywalił na ziemię całą zawartość aktówki albo rozlał pełen dzbanek kawy na dywan wielebnego. Dopóki coś nie spadnie lub się nie rozleje, nie mam absolutnie nic do roboty.

Za plecami słyszę jakieś zamieszanie. W korytarzu rozlegają się pośpieszne kroki i przekrzykujące się nawzajem głosy. Z gorączkowo wypowiedzianych słów przebija zdenerwowanie i panika. Jedno z nich wisi w powietrzu jak gradowa chmura: *pieniądze*.

Odwracam się i prawie wpadam na grupkę pracujących w kościele parafianek. Spanikowane kobiety gromadzą się wokół zaczerwienionej na twarzy Charlene. Zauważam jej szeroko otwarte, przerażone oczy, i dwie czerwone plamy zdobiące policzki jak wysypka.

– Gdzie jest wielebny? – pyta zdyszczanym i napiętym głosem. – Muszę natychmiast porozmawiać z wielebny.

– Miał spotkanie, ale powinien zaraz wrócić. O co chodzi? Coś się stało?

– Zniknęły! – zawodzi płaczliwym głosem Charlene. – Pieniądze ze zbiórki *zniknęły!*

– Jesteś pewna? – pyta jedna z pracownic. – Może odłożyłaś je na inne miejsce.

– Oczywiście, że nie. – Charlene uderza pięścią o kościste biodro. – Były tam, w górnej szufladzie biurka, a teraz ich nie ma. Ktoś je zabrał. Ktoś je *ukradł*.

Jej słowa eksplodują w korytarzu jak brudna bomba. Przez głowę przelatują mi dwie myśli. Po pierwsze, jeszcze nigdy nie widziałam idealnej Charlene w takim stanie, z rozwianymi dziko włosami i rozmazaną szminką, nawet wtedy, kiedy do kaplicy wleciały dwa ptaki i zaczęły nurkować w stronę czytających Biblię kobiet. Charlene ze stoickim spokojem przyniosła dwie rękawice kuchenne, złapała oba ptaki i wypuściła na zewnątrz, nie mierzwiąc sobie przy tym włosów – ani ptasich piórek.

Po drugie, jestem zaskoczona, że tyle to trwało. Co za idiota trzyma plik banknotów w szufladzie biurka? Nawet w kościele, w otoczeniu pobożnych parafian, kwestią czasu było, kiedy ktoś go zwędzi. W Biblii też pisano o złodziejach.

Kobiety otaczające Charlene chwytają się za swoje naszyjniki z pereł. Nazwy ich stanowisk budzą większe wrażenie od stanowiska zajmowanego przez Charlene – kierowniczka programów dla młodzieży, koordynatorka wolontariatu, menadżerka całego zastępu doradców i wychowawców – ale to ona kieruje tym miejscem. Skoro mówi, że pieniądze zostały skradzione z szuflady jej biurka, to faktycznie tak było.

– Może osoba, która je wzięła... sama nie wiem, może przeniosła je w bezpieczniejsze miejsce.

Do banku, myślę sobie, ale nie mówię tego na głos.

Za nimi, w przeciwnym końcu korytarza, w drzwiach pojawia się wielebny Andrews. Ma na sobie garnitur i krawat we wzór paisley zawiązany tak ciasno, że dziwię się, że jest w stanie oddychać. Macha do mnie ręką, serdecznie i pogodnie jak zawsze, a ja nie mogę przeboleć, jak bardzo go to zrani.

– Moja szuflada jest całkowicie bezpieczna – mówi do mnie Charlene. Stoi plecami do wielebnego, więc nie zdążyła go jeszcze zauważyć i nie wie, że przyśpieszył kroku na widok tłumu parafianek. – Jest zamknięta na klucz, który mają tylko dwie osoby – ja i wielebny.

– Mówiłaś o mnie? – pyta, a wianuszek kobiet wciąga gwałtownie powietrze. Każdego innego dnia, w innej sytuacji, roześmiałabym się na widok ich rozszerzonych oczu i tego, jak obróciły się na pięcie w jego stronę jak jeden mąż. Wielebny zauważa ich miny, a jego ciepły uśmiech znika. – Wielkie nieba, co tu się stało?

Charlene informuje go o brakujących pieniądzech. Im bardziej się denerwuje, tym większy spokój zachowuje wielebny. Gładzi palcami podbródek i słucha jej z uwagą.

– O jakiej kwocie mowa? – pyta, gdy Charlene kończy swój wywód.

Charlene robi się zielona na twarzy, krzywiąc się tak, jakby zaraz miała zwymiotować.

– Około dwóch tysięcy dolarów. Może trochę więcej.

Wielebny znosi to po mistrzowsku, prawie nie mrugnawszy okiem.

– No dobrze. Cóż, to jest... to bardzo dużo pieniędzy, prawda? Kiedy

widziałaś je po raz ostatni?

Charlene przyciska palec do ust, zastanawiając się przez chwilę.

– Dziś rano włożyłam do torby pieniądze po wieczornej mszy, wraz z dwiema dwudziestkami, które wielebny pożyczył z drobnych. Kiedy zajrzałam po lunchu do szuflady, torba nadal w niej leżała, zasunięta na suwak. Nie sprawdziłam zawartości. Założyłam, że... Przed chwilą, kiedy poszłam przygotować pieniądze do wpłacenia do banku, okazało się, że zniknęły. Torba była pusta.

– Jeśli dobrze cię rozumiem – mówi wielebny – ostatnim momentem, kiedy możesz potwierdzić, że pieniądze nadal były na swoim miejscu, był dzisiejszy poranek, zgadza się?

– Cóż... tak. Wtedy dołożyłam dwie dwudziestki.

– I jesteś pewna, że zamknęłaś szufladę na klucz?

– *Zawsze* zamykam ją na klucz. To dla mnie nawyk, jak poranne mycie zębów. Nie myślę o tym, tylko robię, automatycznie. Nie ma mowy, żebym zapomniała zamknąć szufladę – zapewnia Charlene, ale w jej głosie pobrzmiwa niepewność.

Wielebny odwraca się w moją stronę.

– Czy klucz Charlene nadal znajduje się w szufladzie mojego biurka?

– Ja... – Patrzę na Charlene, która przez chwilę zaczęła płakać, i wzruszam ramionami. – W pańskiej szufladzie jest całe mnóstwo kluczy. O który dokładnie chodzi?

– Niebieski, na kółku, z plastikowym breloczkiem z butem do biegania ze znaczkiem Nike i pomponem.

– W takim razie tak. Sprzątałam pańskie biurko dziś rano i widziałam go tam.

Charlene patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Co teraz? – pyta wielebnego. – Może powinniśmy wezwać policję?

Przy jej ostatnim zdaniu moje serce gubi rytm, a skóra na twarzy robi się gorąca. Jeśli wielebny powie tak, wsiądę do swojego samochodu, jeszcze zanim zdąży podnieść słuchawkę. W momencie, w którym jego podbródek choćby drgnie w potwierdzeniu, od razu opuszczam to miejsce.

A co, myślałaś, że odejście ode mnie będzie takie łatwe?, odzywa się w moim uchu twój głos. *Nie uciekasz tylko przede mną. Będziesz uciekać przed policją. Jak daleko uda ci się uciec, skoro wszyscy będą na ciebie polować? Jak myślisz, kto znajdzie cię pierwszy – oni czy ja?*

I choć z przykrością to przyznaję, masz rację. Jeśli teraz ucieknę, jeśli ktokolwiek postanowi, że warto mnie ścigać, jeden problem zamieni się w dwa, a cała sytuacja nabierze zupełnie innego wymiaru. Co z pieniędzmi, które noszę w saszetce na pasku pod ubraniem? Co sobie pomyślą, kiedy je znajdą? Co pomyśli wielebny? Czekam na jego odpowiedź, czując, jak po plecach spływa mi strużka potu.

– „Nie ma hańby dla tego, kto kradnie, by napełnić swe wnętrze, gdy głodny”, Księga Przysłów, rozdział 6, wersety 30. Załóżmy, że osoba, która wzięła pieniądze, zrobiła to, ponieważ była wygłodniałą duszą.

Charlene przytakuje, po czym marszczy brwi.

– Pozwoli jej wielebny zatrzymać te pieniądze?

– Niezupełnie. Chciałbym jednak, żebyś przez następny dzień lub dwa trzymała się z dala od swojego biurka i zostawiła otwartą szufladę. To da złodziejowi czas na przemyślenie swojego uczynku oraz szansę na zwrócenie pieniędzy. Jeśli wrócą do torby przed końcem jutrzejszego dnia, zapomnimy, że w ogóle doszło do tego incydentu.

– A jeśli tak się nie stanie? – mówi Charlene, wypowiadając na głos pytanie, o którym myślą wszyscy. – Jeśli złodziej nie zwróci pieniędzy?

Wielebny rozgląda się dokoła, patrząc na zebranych w holu ludzi. Jego wzrok zatrzymuje się po kolei na twarzach kobiet. Gdy dociera do mnie, serce eksploduje mi w piersi.

– Módlmy się, aby tak było.

MARCUS

Doktor Trevor McAdams mieszka w jednym z tych domów przy Country Club Lane, które w oczywisty sposób próbują wywrzeć na ludziach zbyt wielkie wrażenie. Cztery ceglane ściany oplecione bluszczem, przestronne pokoje, łupkowe dachówki. Widok na pole golfowe, na którym mężczyźni w gogusiowatych szortach uderzają w piłeczki i poklepują się po ramionach, dyskutując o tym, gdzie przenieść kolejne miejsca pracy – do Meksyku lub Azji – pozbawiając tym samym zajęcia mieszkańców Pine Bluff. Mojej posady nigdy nie będą w stanie ruszyć. Im bardziej miasto zaczyna schodzić na psy, tym więcej przestępców mam do złapania.

Trevor McAdams z pewnością nie jest przestępcą. Z tego, co wiem, to po prostu zakochany po uszy facet, usychający z tęsknoty za zaginioną kochanką. Jeśli jego łzy były udawane, to koleś zasługuje na Oscara.

Wciskam przycisk dzwonka, jednego z tych wymuskanych, nowoczesnych urządzeń z kamerą tak czułą, że wyłapuje wszystkie pory na mojej skórze. Za drzwiami rozlega się hałaśliwe ujadanie psa.

Oprócz siostry Sabine, Trevor również zaangażował się w poszukiwania jak pełen determinacji pitbull, zamieniając historię Sabine w pierwszorzędną materiał dla telewizyjnego show. Miała wszystkie cechy, których pożądały tabloidy: bohaterkę, która jest młoda, atrakcyjna i bogata; przystojny kochanek kontra ponury i niepopularny mąż; i wystarczająco dużo suspense i tajemniczości, by stanowić pożywkę dla detektywów amatorów z Twittera. Każdy z nich jest gadatliwy i zadufany w sobie, wypełniając media społecznościowe milionem pozostawionych bez odpowiedzi pytań. Krwiożerczy Amerykanie, którzy kochają cieszyć się z cudzego nieszczęścia, śledzą to jak zahipnotyzowani.

Nie podoba mi się to, tak samo jak mojemu szefowi. Komendant uważa, że ciągle zainteresowanie mediów przeszkadza w prowadzeniu śledztwa, a ja się z nim zgadzam. Zanim Sabine zniknęła, policja w Pine Bluff była już wystarczająco przepracowana i brakowało jej ludzi. Jej sprawa nie

jest jedyną, którą się zajmuję. Mam lepsze rzeczy do robienia niż płaszczenie się przed prasą.

Drzwi się otwierają, a za nimi stoi on, bohater naszej opowieści, choć gdy tak stoi w wygniecionym szpitalnym uniformie i z bosymi stopami, nie sprawia takiego wrażenia. Wygląda mizernie, jakby nie spał od wielu dni. I chyba nie brał prysznic. Twarz ma bladą i zarośniętą, a włosy przyklejają mu się do głowy tłustymi pasmami.

– Dzień dobry, detektywie. Proszę, niech pan wejdzie. – Zaprasza mnie do środka ramieniem, którym obejmuje psa, białego, puchatego stwora obnażającego kły.

Wchodzę do środka.

– Dziękuję, że mnie pan przyjął. Wiem, że jest pan bardzo zajęty.

Zatrzaszkuje drzwi, po czym odstawia na podłogę psa, który ucieka do jasnej, nowoczesnej kuchni wychodzącej na siódmy dołek na polu golfowym. Na granitowym blacie leżą pozostałości po śniadaniu – bochenek chleba, do połowy puste opakowanie jajek, masło i dwa rodzaje organicznego dżemu. Doktor wyciąga z szafki dwie szklanki i nalewa soku pomarańczowego z ogromnego baniaka.

– Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję. To nie potrwa długo.

– Proszę, niech pan powie, że przyszedł podzielić się ze mną jakimiś wieściami.

– Owszem, mam wieści, ale nie takie, na które pan liczy, niestety.

– Minęło już osiem dni, detektywie.

Jakbym nie wiedział. Doktor McAdams codziennie do mnie wydzwaniał, wstrzymując moją pracę, węsząc w poszukiwaniu informacji. *Czy namierzacie jej telefon? Sprawdziliście, czy są jakieś odciski palców? Przesłuchaliście jej klientów i kolegów z pracy? Co on sobie wyobraża? Że jestem w tym nowy? Niekompetentny? Oczywiście, że namierzyłem telefon, sprawdziłem, czy są odciski, i przesłuchałem kogo trzeba. To nie film klasy B, a ja nie jestem żadnym tępym, małomiasteczkowym gliną.*

Bierze szklanki i pokazuje, żebym za nim poszedł.

Zatrzymujemy się w drzwiach salonu, pokoju na tyłach domu z telewizorem plazmowym wielkości ściany. Na wygodnej skórzanej kanapie leży dwójka dzieci. Chłopiec i dziewczynka o twarzy podobnej do ojca. Miniaturowe wersje nowobogackich japiszonów o sarnich oczach.

Doktor stawia napoje na stoliku kawowym.

– Dzieciaki, idę do oranżerii porozmawiać z panem detektywem. Zaczekajcie tu, dopóki nie skończymy, okej?

Oboje kiwają zgodnie głowami. Chłopiec wraca do oglądania telewizji, ale dziewczynka nadal wlepia we mnie spojrzenie, taksując od stóp do głów i skupiając je na kaburze. Jej oczy rozszerzają się, a ona sama zapada się głębiej w poduszki. Świetnie. Najwyraźniej doktor należy do *tych* rodziców, którzy uczą swoje pociechy, żeby bały się broni.

Wchodzimy do oszklonej oranżerii, w której słońce nagrzewa łupkowy dach i sprawia, że w pomieszczeniu jest gorąco jak w piekle. Doktor grzebie w ozdobnej muszli przydaczni olbrzymiej pełnej różnych pilotów, aż w końcu znajduje odpowiedni i nakierowuje go na wiklinowy wiatrak nad naszymi głowami. Co jakiś czas z zielonych pól golfowych dobiega nas dźwięk metalowego kija uderzającego w piłeczkę.

– Przepraszam za ten upał, ale to jedyne pomieszczenie, do którego dzieciaki nie zakradną się, żeby nas podsłuchać. Przechodzą naprawdę ciężki okres przez... mam na myśli separację. Na pewno słyszał pan, że ich matka i ja się rozwodzimy. Chce zabrać je do Salt Lake City, gdzie mieszkają jej rodzice. Niedługo sprawy przybiorą naprawdę paskudny obrót.

– Przykro mi to słyszeć. – Wiatrak wprawia powietrze w ruch. Lekka bryza przypomina gorący nawiew z suszarki do włosów Emmy, której używa zaraz po tym, jak wychodzi spod prysznic. Czuję, jak po plecach spływa mi strużka potu. – Pańska córka przypomina mi moją siostrzenicę, Annabelle. A przynajmniej to, jak wyglądała przed chemią, po której odrosły jej rude, kręcone włosy.

Przytakuje, siadając na krześle naprzeciwko mnie.

– To tak zwane odrosty po chemii. Zmiana koloru nie jest niczym niespotykanym, choć nigdy nie słyszałem, żeby włosy, które odrosły, były w kolorze rudym. Pigmentacja włosów często ulega zmianie w trakcie odrastania, więc przypuszczam, że to możliwe. Kim jest jej lekarz?

– Annie Capelouto.

– Annie jest najlepsza w mieście, choć Pine Bluff niekoniecznie znajduje się w centrum medycznego wszechświata, jeśli wie pan, co mam na myśli. Jeśli pańska siostrzenica będzie czegoś potrzebowała, proszę do mnie zadzwonić. Odbylem staż w Northwestern i nadal mam tam sporo

kontaktów. Chicago wcale nie jest tak daleko.

Na tym właśnie polega problem z outsiderami takimi jak doktor McAdams. Ludźmi, którzy przyjeżdżają do miasta ze swoimi pieniędzmi i wymyślnymi tytułami, zachowując się tak, jakby mieszkańcy Pine Bluff powinni być wdzięczni, że przybyli do takiego zadupia. Wcale nie prosiłem go o pomoc. Doktor Capelouto już raz uratowała Annabelle, więc skąd wiadomo, że nie zrobiłaby tego ponownie, gdyby przydarzyło się najgorsze i rak wrócił?

Wyciera dłonie o uda.

– Przeprowadzę się do Salt Lake City, jeśli będę musiał, ale jeszcze nie teraz. Nie mogę stąd wyjechać, dopóki nie znajdzie pan Sabine. – Wydaje z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy kasznięciem a szlochem.

Znajduję pustą stronę w notesie, dając mu chwilę, by wziął się w garść.

– Co z Jeffreyem? – pyta, niemal wypluwając z siebie jego imię. Głos ma zimny i pełen nienawiści.

– A co ma być?

– Proszę, niech pan powie, że to wasz główny podejrzany. Jest skłonny do przemocy, łatwo wpada we wściekłość i nie wiadomo, co robił przez dwie godziny w czasie, w którym Sabine zniknęła. *Powiedziałem* jej, żeby wymieniła zamki i postarała się o sądowy zakaz zbliżania się, ale ona nie chciała mnie słuchać. Bała się go. Wie pan o tym, prawda?

– Sprawdzamy pana Hardisona, ale obawiam się, że nie mogę ujawnić panu żadnych szczegółów. Tak naprawdę chciałbym porozmawiać o panu i Sabine.

Właśnie to miałem na myśli, kiedy powiedziałem, że McAdams jest jak pitbull. Jest tak, jakbym w ogóle się nie odezwał. Nerwowe podekscytowanie sprawia, że Trevor gada jak najęty, prawie nie robiąc pauz dla złapania oddechu.

– To po prostu nazbyt podejrzane, że Sabine zniknęła na chwilę przed złożeniem wniosku o rozwód. Teraz on mieszka w *jej* domu i wydaje *jej* pieniądze. Sprawdził pan jego maile albo przeszukał pliki w komputerze? Przejrzał pan historię jego przeglądarki? Wiem, że to banał, ale może zapomniał o jej wyczyszczeniu. Bez przerwy słyszy się o idiotach, którzy dali się złapać tylko dlatego, że skorzystali z Google, żeby dowiedzieć się, jakie jest najlepsze miejsce na zakopanie...

Przelyka ostatnie słowo, a jego twarz wykrzywia grymas.

– Czy właśnie to się jej przytrafiło? Jeśli tak, proszę mi powiedzieć, detektywie. Na litość boską, niech skróci pan moje cierpienie. Z całej siły staram się zachować nadzieję, ale ludzie nie rozplývają się w powietrzu ot tak i nie zjawiają osiem dni później cali i zdrowi. Ktoś na pewno musiał coś widzieć, prawda?

– Jeśli faktycznie ktoś coś widział, to jeszcze się do nas nie zgłosił.

Po zarośniętym policzku spływa mu łza. Zwiesza głowę i chowa twarz w dłoniach. Ramiona uginają mu się jak pod naciskiem niewidocznego ciężaru. Powinienem był się domyślić, że tak będzie. Doktor odstawia ten sam numer za każdym razem, gdy jakiś dziennikarz wyceluje w jego twarz kamerę, mazgając się na oczach całego świata. Jeśli udaje, to ma wrodzony talent. Zniknięcie Sabine trafiło do wiadomości krajowych głównie dzięki łzawym wywiadam doktora.

– Wiedział pan, że Sabine brała Lexapro?

Doktor podrywa głowę, a wyraz jego twarzy jest niemal komiczny. Wytrzeszczone oczy, rozdziawione usta.

– Lexapro to S-enancjomer citalopramu, najbardziej selektywnego inhibitoru wychwytu zwrotnego serotoniny. To lek o bardzo silnym działaniu, używany do leczenia ostrych stanów lękowych i depresji. Od kiedy go przyjmowała? Kto jej go przepisał?

– Obawiam się, że nie mogę udzielić tych informacji. Jednak według danych Programu monitorowania leków na receptę brała go od lat.

– Rozumiem. – Trevor mówi to bez przekonania, jakby przygotowywał się wewnętrznie na to, co za chwilę usłyszy. Jakby podejrzewał, że leki na receptę to nie jedyna rewelacja, którą mam zamiar go uraczyć. – Tyle że Sabine nie miała depresji. Wiedziałbym o tym. Spędzałem z nią mnóstwo czasu i nigdy nie widziałem, żeby łykała jakieś tabletki.

– Odstawiła je w zeszłym roku... – przewracam stronę albo dwie w notesie – ...a dokładnie w lutym. Była w ciąży i martwiła się, że zaszkodzi dziecku.

Doktor przytakuje.

– To uzasadniona troska. Zazywanie selektywnych inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny wiąże się ze zwiększonym ryzykiem wystąpienia trwałego nadciśnienia płucnego u noworodka. Jej lekarz pomógłby odstawić jej leki i prawdopodobnie zamienił je na atypowy lek przeciwdepresyjny, taki jak Wellbutrin.

– Mogło tak być, ale recepta nie została przepisana przez lekarza. Wystawiała ją apteka, a potem skontaktowała się z Sabine, gdy nie odebrała jej w wyznaczonym terminie.

Akurat ta informacja jest prawdziwa, przynajmniej według korespondencji, którą znalazłem na jej laptopie. Farmaceuta ostrzegł ją przez zbyt szybkim odstawieniem leków.

Lekarska strona charakteru McAdamsa daje o sobie znać, a jego brwi szybują w górę.

– Niech pan nie mówi, że od razu rzuciła leki?

– Od razu.

Na początku, kiedy wywnioskowałem to z e-maili na laptopie Sabine, nie rozumiałem idących za tym konsekwencji, ale doktor od razu wie, o co chodzi. Klnąc pod nosem, zrywa się z krzesła w ułamku sekundy i zaczyna chodzić w kółko po pokoju.

– I nikt jej nie powiedział, czego może się spodziewać? Nikt nie poradził, żeby poczytała o tym w internetowej bazie medycznej, zanim zdecyduje się na całkowite odstawienie leków? Mogła przez to umrzeć!

Nie odpowiadam. Nie bez powodu Agencja Leków i Żywności wymaga umieszczenia ostrzeżeń na etykietach leków takich jak Lexapro. Głównie dlatego, że istnieje zbyt dużo powiązań między tabletkami a podcinaniem sobie żył w łazience przez osoby takie jak Sabine.

McAdams doskonale o tym wie.

Zatrzymuje się, odwracając w moją stronę ze zmarszczonymi brwiami.

– Dlaczego mi pan o tym mówi? Co to ma wspólnego z tym, co przydarzyło się Sabine?

– Jeszcze nie wiem. Może nic, a może wszystko.

– Dla mnie wygląda to jak obwinianie ofiary. Jak próba wywarcia na innych wrażenia, że była niestabilna emocjonalnie. Wręcz stuknięta.

– Ja tylko próbuję uzyskać jasny i wyraźny obraz osoby, jaką była Sabine.

– Czy to ma jakiś związek z bzdurami, które Jeffrey wygadywał w programie *Mandy in the Morning*? Ingrid powiedziała mi, co się wtedy stało. Sabine chciała od niego odejść, ale nie zamierzała uciekać. Ingrid przez cały czas wiedziała, gdzie była jej siostra.

– Owszem, mnie powiedziała to samo.

Dwukrotnie. Najpierw w wiadomości, którą nagrała na pocztę głosową

tuż po programie Mandy, a potem kiedy zawitała na posterunek.

Doktor mruży podejrzliwie oczy.

– Dlaczego mówi to pan w taki sposób?

– W jaki sposób?

– Jakby jej pan nie wierzył. Jakby uważał pan, że Sabine faktycznie mogła być lekko stuknięta.

– Dopiero co ustaliliśmy, że zażywała Lexapro.

Równie dobrze mógłbym walnąć go obuchem w brzuch. Ramiona opadają mu bezwładnie, a on osuwa się ciężko na krzesło.

– Przechodziła trudny okres. Straciła dziecko, dostała głównianą poradę od lekarza – a może żadnej. Tyle że to wszystko wydarzyło się dawno temu, a Sabine, którą znam, wcale nie miała depresji. Nie ma huśtawki nastrojów. Jej temperament się nie zmienił. Miała regularny sen. Jedyny objaw, który zaobserwowałem, zaczął występować dopiero kilka tygodni temu.

Oczy zachodzą mu łzami, a ja wiem, że ma na myśli ciążę.

– Dobrze, że pan o tym wspomniał, bo...

– Ale mdłości nigdy nie trwają długo. Wymiotowała, a dziesięć minut później pustoszyła spizarnię. Nie tak jak moja... – Urywa w porę, krzywiąc się, a ja wiem, że mało brakowało, a porównałby ciążę kochanki do ciąży swojej żony. – Chodzi o to, że z apetytem Sabine było wszystko w porządku.

– Wie pan z całą pewnością, że Sabine była w ciąży.

Celowo nie dodaję na końcu znaku zapytania, choć w istocie to jest pytanie. Identyczne zadałem lekarzowi ogólnemu i ginekologowi, którzy prowadzili jej ostatnią ciążę. Obaj odmówili podania odpowiedzi.

McAdams sprawia wrażenie wyraźnie oburzonego.

– Co takiego? Oczywiście, że Sabine była w ciąży.

– Czy osobiście przeprowadził pan test ciążowy?

– Sabine zrobiła test z moczu. One są dokładnie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

– Czy na własne oczy zobaczył pan pozytywny wynik testu?

– Co pan insynuuje? – Zaczyna się denerwować. Podnosi głos, a jego mięśnie napinają się, gotowe do ataku. – Że Sabine skłamała? Że wcale nie była w ciąży?

– Niczego nie insynuuję – odpowiadam spokojnym, zrównoważonym

tonem. – Po prostu staram się odkryć prawdę.

– Sugerując, że Sabine nie była w ciąży.

– Według jej męża Sabine miała problem z zajściem w ciążę i podtrzymaniem jej. W trakcie ich dziewięcioletniego małżeństwa straciła co najmniej siedem ciąż, w które udało jej się zajść dopiero po zastosowaniu serii zapłodnień in vitro.

– Może problem tkwił w nim, w *jego* nasieniu.

– A może doświadczyła tyłu falstartów, że z góry wiedziała, czym skończy się ta ciąża. Jeśli Sabine jest w ciąży, istnieje bardzo wysokie ryzyko poronienia, a jeśli jej doświadczenia na przestrzeni lat mogą być dla nas jakkolwiek wskazówką, istnieje prawdopodobieństwo, że dojdzie do niego gdzieś pomiędzy dziesiątym a czternastym tygodniem ciąży.

– *Jeśli* jest w ciąży? Czemu miałyby kłamać w tak ważnej sprawie?

– Właśnie próbuję to ustalić.

Trevor pochyła się do przodu, opierając łokcie o kolana.

– Czy ja dobrze rozumiem? Nie pyta mnie pan o związek z Sabine, kiedy się zaczął, jakie mamy plany, ani o żadną z miliona wiadomości, które napisaliśmy do siebie w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. Zamiast tego chce pan zasiać w mojej głowie wątpliwość co do jej zdrowia psychicznego i płodności. To zupełnie tak, jakby próbował pan skłonić mnie do myślenia, że kobieta, którą znam i kocham, jest kimś zupełnie innym.

– Ja po prostu próbuję uzupełnić parę luk w śledztwie. Żeby kogoś znaleźć, muszę wiedzieć, jaka była dana osoba.

Doktor blednie. Z policzków odpływa mu cała krew.

– Była?

– Jest – poprawiam się, wkładając w to całe swoje przekonanie. To przejęzyczenie, którego więcej nie popełnię. – Pracuję w założeniu, że Sabine nadal żyje, ale żeby ją odnaleźć, muszę mieć pełny obraz tego, kim jest.

– Chce pan mieć pełen obraz? Dobrze. Sabine Hardison jest dobrą, kochającą, zabawną, szczerą, lojalną, troskliwą kobietą, a ja kocham ją z całego serca. Nie, nie powiedziała mi o stosowaniu Lexapro ani o poronieniach, ale to nie czyni z niej kłamcy. Jest kobietą z trudną przeszłością.

– W porządku. W takim razie porozmawiajmy o pańskiej żonie.

McAdams prostuje się na krześle.

– O Shelley? A co z nią?

– Jak rozumiem, przebywa obecnie w Chicago. Od jak dawna?

– Od zeszłej śro... – Urywa, kręcąc głową. Prostuje się jeszcze bardziej. Był o włos od powiedzenia „środa”, czyli od dnia, w którym zaginęła Sabine. – Nie. Nie zrobiłaby tego. *Nie mogłaby*. Shelley jest wściekła i zraniona, ale nie jest potworem. To matka moich dzieci. Nie ma mowy.

– Mimo to, chciałbym porozmawiać z nią osobiście i usłyszeć od niej dokładnie te same słowa. Kiedy wraca?

– Nie wiem.

– Od jakiegoś czasu wysyłam jej esemesy, ale bez odzewu. Może mógłby pan ją trochę ponaglić i poprosić, żeby do mnie oddzwoniła.

Przeszywa mnie zimnym, przenikliwym wzrokiem.

– Proszę szukać gdzie indziej, detektywie. Moja żona przeszła już wystarczająco dużo.

Moja żona. Pozwalam tym słowom wisieć w powietrzu na tyle długo, by doktor się zawstydził. Jest typem zaborczego faceta, co źle o nim świadczy. Jeśli mu się wydaje, że dam spokój jego żonie tylko dlatego, że tego chce, to chyba całkiem oszalał.

Drzwi za jego plecami otwierają się, a moją spoconą skórę owiewa podmuch chłodniejszego powietrza. To i tak za mało, ale obaj czujemy wyraźną ulgę. Doktor wygląda na niezmiernie wdzięcznego za nagłe zakłócenie naszej rozmowy.

– Tatusiu, jestem głodna – mówi jego córka, ale patrzy prosto na mnie.

McAdams wstaje i podchodzi do drzwi. Bierze dziewczynkę za rękę, ale nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Detektywie, co pan robi, żeby znaleźć Sabine? Jakie przedsięwziął pan kroki? Jakie ślady pan sprawdza?

– Przepraszam pana, ale nie mogę...

– Zdradzić żadnych szczegółów. Tak, wiem. W porządku. – Bierze córkę na rękę, podciągając ją na biodro jednym, płynnym ruchem. – W takim razie może zamiast siedzieć tu i marnować mój cenny czas swoimi bzdurnymi pytaniami, może pójdzie pan i zacznie szukać Sabine?

Kończy zdanie, ale w jego słowach i tonie głosu słychać niepodważalną groźbę.

– Mam nadzieję, że nie sugeruje pan tego, o czym myślę. Czy przed chwilą groził pan stróżowi prawa?

– Niech pan zajmie się swoją pracą, detektywie. Niech pan zrobi, co do niego należy, bo inaczej znajdę kogoś, kto się tym zajmie.

BETH

Przez resztę dnia wszyscy mówią tylko o skradzionych pieniądzach. O tym, gdzie są. Kiedy zniknęły. Czy w magiczny sposób pojawią się z powrotem w szufladzie biurka Charlene przez upływem jutrzejszego terminu. Ale wszystkich ciekawi najbardziej, kto z nas je wziął.

Nie trzeba być geniuszem, by domyślić się, że jestem główną podejrzaną. Jasne, ludzie wchodzą i wychodzą z biur administracji w ciągu dnia, ale nie licząc pracownic, tylko ja jestem tu przez cały dzień, od ósmej aż do zamknięcia, i nie wliczając wielebnego, jestem jedyną osobą mającą dostęp do kluczy w jego szufladzie. Teraz wszyscy patrzą na mnie w zupełnie inny sposób. Ich wcześniejsze przyjacielskie uśmiechy stały się mocno powściągliwe. Kobiety zwarły szyki i przestały być takie miłe. Nie spodziewały się tego po mnie.

Wszyscy trzymają się z dala od biurka Charlene, rzekomo by dać złodziejowi (mnie) szansę na odkupienie jego (moich) grzechów i zwrócenie pieniędzy do torby, ale chyba nie do końca przemyśleli swoją strategię. Przez całe popołudnie obijają się w swoich gabinetach, udając, że omawiają sprawy kościoła, podczas gdy jedno z nich bez przerwy ma na oku recepcję. Kiedy tylko ktoś znajdzie się w odległości sześciu metrów od szuflady biurka Charlene, porzucają wszelkie pozory i przybiegają pędem. To chyba najbardziej ekscytująca sytuacja, jaką to miejsce widziało od wieków, może nigdy.

Plotki rozeszły się po kościele jak zabójczy wirus, zarażając personel strachem rodem z *Igrzysk śmierci*. Przygnębiającą świadomością, że jedna osoba pograży nas wszystkich. Wiem to, bo Martina pisała do mnie przez całe popołudnie, informując, że na dole zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Reszta personelu sprzątającego wytypowała swojego podejrzanego, którym zostałam ja.

Są przekonani, że je wzięłaś. No dobra, wszyscy prócz Ayany, ale ona nigdy nie była

najbystrzejsza. Chcą, żebym ci powiedziała, że masz odłożyć pieniądze na miejsce, zanim zwolnią nas wszystkich.

Staram się nie przejmować ich przypuszczeniami o mojej winie. Wmawiam sobie, że jedyną opinią, na której mi zależy, jest opinia Martiny. Reszta mnie nie zna, nie zna mojej sytuacji ani myśli, ale oskarżenia nadal bołą.

A ty? – odpisuję. – Co ty myślisz?

Jej odpowiedź rozjaśnia ekran komórki.

Nie wiem. Nie umiem się zdecydować.

Od strony podwójnych drzwi słycać głuhestuknięcie, gdy ktoś kopie w nie stopą, próbując je otworzyć. Wielebny dźwiga wielkie kartonowe pudło, zakrywające jego tułów i twarz. Widzę jedynie sam czubek jego włosów. Po butach poznaję, że to on. Przebrał się wcześniej w ulubione adidas, które wystają spod nogawek jego granatowych, garniturowych spodni. Wsuwam telefon do tylnej kieszeni i śpieszę przytrzymać mu drzwi.

– Dziękuję, Beth – mówi, uśmiechając się do mnie zza krawędzi kartonu. – To bardzo miłe z twojej strony.

Jeśli nawet wielebny mnie podejrzewa – z powodu tego co zobaczył, albo czego nie zobaczył, w historii wyszukiwarki swojego komputera – o kradzież gotówki z szuflady Charlene albo o to, że nie jestem osobą, za którą się podaję, to nie umiem tego wykryć z sposobie, w jaki na mnie patrzy. Identycznym spojrzeniem obrzuca kobiety i mężczyzn stojących przed ołtarzem, gdy klepie ich po ramionach, albo gdy składa dłonie do modlitwy. Jakbym była zabląkaną owieczką, którą należy uratować.

To uczyni sytuację jeszcze bardziej niezręczną, gdy jutro po południu wymknę się tylnymi drzwiami na chwilę przed tym, gdy wywiąże się ze złożonej obietnicy i wezwie policję. Jorge jest dobry, ale nie aż tak. Wystarczy jedno spojrzenie na moje prawo jazdy, a policjanci zakują mnie w kajdanki.

Wielebny nie jest głupi. Domyśli się, dlaczego uciekłam, tak samo jak reszta personelu wysnuwająca własne przypuszczenia.

Winna.

Co potem? Słyszałam kazania, które wielebny ćwiczy w swoim gabinecie, te o niepewności, łasce i nadstawieniu drugiego policzka. Czy ze mną postąpi tak samo? Czy pozwoli mi odejść? A może wyśle w ślad za mną policję pod adres Morgan House, który podałam we wniosku o przyjęcie do pracy – co było z mojej strony potwornie *głupim* błędem. W następnym tygodniu jest wypłata. Wyobrażam sobie mój czek spoczywający na dnie szuflady Charlene jak przynęta. Cała tygodniowa wypłata pójdzie na marne. Potrzebuję tych pieniędzy, każdego centa.

– Pójdiesz ze mną? – pyta wielebny. – Przygotowuję torby z upominkami dla nowych członków kościoła i przydałaby mi się czyjaś pomoc.

Idę za nim do jego biura, gdzie kładzie kartonowe pudło na stół konferencyjny. Wydrukowane ulotki i lśniące kolorowe broszury są na nim poukładane w schludnych stosach. Wielebny pokazuje je po kolei palcem.

– List od pastora, kościelna ulotka, zaproszenia do różnych klubów i grup, biblijna broszurka i formularz oceny zwrotnej. Chcę, żebyś spięła je razem i włożyła do koperty. – Wyciąga z pudła plik kopert i wręcza mi go.

Uśmiecham się.

– Brzmi dość prosto.

– Gdy się z tym uporasz, włóż koperty do tego. – Wyjmuje z kartonu białą, płócienną torbę i rozprostowuje ją, bym mogła zobaczyć. Jej logo to wariacja napisu na mojej roboczej koszulce. Szkic panoramy kościoła z napisem „Tu mieszka Bóg”. – W każdej torbie powinien się również znaleźć kubek, pióro z naszym logo i magnes na lodówkę. Wszystkie przedmioty znajdziesz w pudle. Jeśli coś się skończy albo będziesz potrzebowała pomocy, zawołaj jedną z pracownic biura. Ja śpieszę się na spotkanie z chorą parafianką mieszkającą po drugiej stronie miasta.

Podczas gdy wielebny zbiera swoje rzeczy, siadam na krześle i biorę się do pracy. Zebrać, złożyć, spiąć, wsadzić. Praca jest powolna i monotonna, ale bije na głowę szorowanie podłóg i przynajmniej mogę wykonywać ją na siedząco. Myślę o Martinie i Ayanie na dole, zajętych czyszczeniem zabawek i odbudowujących więź dzięki wspólnej niechęci oraz braku zaufania wobec mnie, i krzywię się. Gdybym była na ich miejscu, też bym

się nienawidziła.

– Do zobaczenia jutro – mówi wielebny.

Unoszę wzrok. Wielebny stoi w drzwiach, z płaszczem zarzuconym na przedramię. Z palców zwisają mu skórzane buty z dziurkowanymi czubkami. Posyła mi uśmiech, a mnie nie pozostaje nic, jak tylko go odwzajemnić.

– Do zobaczenia jutro.

Przedzieram się powoli przez sterty broszur i ulotek, gdy Martina zakrada się bezgłośnie do sali konferencyjnej biura wielebnego. Unoszę wzrok znad papierów i widzę ją, jak stoi w drzwiach. Uśmiecham się, ale ona nie rewanżuje się tym samym.

Ignoruję afront, spinając trzymany w dłoni plik papierów.

– Poczekaj, nic nie mów. Przysłali cię tu, żebyś ze mną porozmawiała, prawda?

Wyobrażam sobie, jak ekipa sprzątająca dorwała ją w pokoju socjalnym, domagając się, by tu przyszła i... No właśnie, co? Skonfrontowała się ze mną? Przeszukała? Wbijam wzrok w broszury, od czasu do czasu zerkając na Martinę kątem oka.

Zamyka za sobą drzwi.

– Dziwisz im się? Prawie każdy z nich robił ciemne interesy z facetem takim jak Jorge, o ile wiesz, co mam na myśli. Są strasznie zdenerwowani, tak jak ja. Tak jak ty powinnaś być.

Patrzę na nią spod zmarszczonych brwi.

– A kto mówi, że nie jestem? Jeśli przyszłaś tu, żeby mnie pouczać albo oskarżać, od razu możesz sobie odpuścić i wyjść. Pracowniczki z biur wzdłuż korytarza przez całe popołudnie posyłały mi nienawistne spojrzenia, więc czuję się już wystarczająco beznadziejnie.

– To nie jest gra, Beth. Załatwiłam ci tę pracę. Poręczyłam za ciebie. Jeśli wielebny znajdzie te dwa tysiące dolarów w saszetce, którą chowasz pod ubraniem, to jak myślisz, co się ze mną stanie?

– Więc ty też uważasz, że je ukradłam. Świetnie. – Unoszę dłonie w powietrze i pozwalam im opaść z trzaskiem na stół.

– Pracowniczki biur miały dziś rano czytanie Biblii.

– I co z tego?

– Ano to, że ich biura były puste. Miałybyś okazję do kradzieży. Obie wiemy, jak uwielbiasz chomikować pieniądze. – Jej spojrzenie prześlizguje się na moją talię. – Ile tam tego jest?

Podnoszę się z krzesła, rozluźniając mięśnie kolan. Jeden fałszywy ruch, a zmiotę ją z powierzchni ziemi w drodze do drzwi.

– Nie twój interes. A co z tobą i Ayaną? Wy też byłyście na górze, wyklócając się o to, która jest większą złodziejką. Widziałam, jak przechodzicie obok biurka Charlene więcej niż raz.

– Jasne, ale żadna z nas nie ma dostępu do kluczy wielebnego. – Milknie, a ja przygotowuję się w duchu na słowa, które zaraz padną. – Ty masz.

Kręcę głową, próbując ukryć zzerające mnie od środka nerwy.

– Nie będę stać i wysłuchiwać tych oskarżeń, skoro nie zrobiłam niczego złego. Szczególnie że wszystko wskazuje na to, że to ty ukradłaś Ayanie pieniądze. No to jak, zrobiłaś to?

Martina mruży powieki.

– Mówiłam ci już, że nie jestem złodziejką.

– To kto je wziął?

Wyrzuca dłonie w powietrze.

– A kto to wie, do cholery? Przez jej mieszkanie zawsze przewijały się setki osób. W dodatku kryjówka, którą wymyśliła, nie była specjalnie dobra. Skoro ja ją znalazłam, innym też by się udało.

Sięgam po plik kopert, zastanawiając się nad odpowiedzią Martiny. Ton jej głosu jest szczery, ale to w dalszym ciągu nie tłumaczy, dlaczego szperała za toaletą Ayany. Kto normalny szuka czyichś pieniędzy, skoro nie zamierza ich ukraść?

Martina wzdycha i opiera się o ścianę, rozglądając dokoła.

– Co tu właściwie robisz całymi dniami?

– Głównie umieram z nudów.

– Dlaczego wielebny chce, żebyś tu pracowała? Co go skłoniło, by cię o to poprosić?

– Nie wiem. Chyba bałagan w bibliotece. Wiesz, jaki on jest. Lubi troszczyć się o innych ludzi.

Przypominam sobie moje łzy z pierwszego dnia i to, jak powiedział, że jestem tu bezpieczna. W ciągu następnych dni wywiązał się ze swojej obietnicy.

– O mnie nigdy nie zadbał w ten sposób.

W powietrzu między nami unosi się niewypowiedziane pytanie, ale nie drążę dalej tematu. Martina chce wiedzieć, co czyni mnie tak wyjątkową, a udzielenie odpowiedzi wiąże się z uznaniem jej racji. Wielebny wyróżnił mnie, i to z powodów, których nie rozumiem lub w które wolałabym nie wnikać. *Dlaczego ja? Dlaczego nie ona?*

Martina odsuwa się od ściany i podchodzi prosto do mnie. Odruchowo przykładam ręce do paska pod ubraniem. Rozkładam dłonie, zahaczając palcami o jego krawędzie.

– Beth, powiedz, że nie wzięłaś tych pieniędzy. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że to nie twoja sprawa.

– Nie wierzę, że w ogóle mnie o to prosisz.

– *Mów.*

Panika rozpycha się w mojej piersi jak stado łopoczących skrzydłami nietoperzy, ale jakimś cudem udaje mi się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Powiem ci, o ile ty powiesz, kim są Rosa i Stefan.

Chodzi o imiona wygrawerowane zamasytą czcionką na srebrnych dyskach wiszących na jej szyi. Twarz Martiny blednie pod wpływem mojej przypadkowej uwagi. Moje serce wykonuje gwałtownego fikołka, po czym zamiera, tak samo jak oddech. Jeśli spojrzy mi prosto w oczy i odpowie szczerze – jeśli zaufa mi na tyle, by wyznać prawdę – ja zrobię dokładnie to samo. Każę jej usiąść i opowiem jej swoją smutną, straszną historię.

Martina przysuwa się tak blisko, że kontury jej twarzy lekko się rozmazują.

– Odłóż je, Beth. Jeśli tego nie zrobisz, nie tylko ty zapłacisz za swój błąd. Odłóż pieniądze z powrotem.

MARCUS

W Pine Bluff jest kilkanaście autoryzowanych punktów sprzedaży telefonów, takich jak salony franczyzowe AT&A i Sprint, oraz kilka punktów mieszczących się w sklepach wielkopowierzchniowych typu Walmart. Miejsc, do których chodzą przestrzegający prawa klienci, kiedy chcą kupić nowy telefon, wyposażonych w dział obsługi klienta i monitoring.

Istnieją również nieposiadające licencji outletry, warsztaty naprawcze i sklepiki, w których telefony są kupowane i sprzedawane po kryjomu spod lady. Zaczynam właśnie od nich, od północnej części miasta, i kieruję się na południe.

Za każdym razem scenariusz wygląda mniej więcej tak samo:

Ja, pokazujący odznakę: *Detektyw Marcus Durand, posterunek policji w Pine Bluff. Szukam kobiety, trzydziestoparoletniej, o brązowych włosach i oczach, metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, szczupła budowa ciała.*

Kierownik sklepu: *Chciałbym panu pomóc, detektywie, ale tak wygląda połowa klientek, które do nas przychodzą.*

Ja, pokazujący zdjęcie: *Jestem pewien, że akurat ona utkwiałaby panu w pamięci.*

Kierownik, gwizdząc pod nosem: *Faktycznie, jest piękna.*

Ja: *Kupiła kilka telefonów na kartę i zapłaciła gotówką. Transakcji dokonano w zeszłym miesiącu.*

Kierownik: *Przykro mi, panie detektywie, ale dokonujemy tuzina /pięćdziesięciu /setek transakcji każdego dnia. To fizycznie niemożliwe, żebym zapamiętał każdą z nich.*

Ja, kładący na ladzie pięćdziesiąt dolarów: *Może sprawdzi pan w komputerze? Jeśli dokonana przez nią transakcja jest w systemie, znalezienie jej wcale nie zabierze panu dużo czasu. Kwota będzie większa niż zwykle i w całości zapłacona gotówką.*

On, chowający banknot do kieszeni i wymykający się na zaplecze.

Czasami trwa to kilka minut, czasami dłużej. Ale za każdym razem, kiedy jakiś kierownik wraca ze swojego biura na zapleczu, kręci głową, a ja za każdym razem opuszczam sklep z pustymi rękami.

Ale nie tym razem.

Tym razem kierownik wychodzi z zaplecza uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Dwudziesty czwarty maja, godzina 10:42. Kupiła cztery telefony. Dwa nowe LG K8 i dwie stuningowane motorole. Wliczając w to podatek i wykupione minuty, rachunek wyniósł 407 dolarów i 73 centy.

Oddycham głęboko, próbując zapanować nad oślepiającą furia. Czekam, aż ochłone, ale gniew nie ustępuje. Czteryście dolarów to mnóstwo pieniędzy do wydania jak na taką totalną norę. Norę, w której sprzedawca trzyma strzelbę pod kasą, a kraty na oknach mają nie dopuścić do strzelaniny. Norę, w której sprzedają kradziony towar za kradzioną gotówkę.

– Będą mi potrzebne numery – mówię przez zaciśnięte usta.

Moja szczęka jest jak gład, który napiera na trzonowce z taką siłą, że z łatwością mogłyby pęknąć na pół.

Kierownik marszczy brwi. Jego twarz wykrzywia się w okropnym grymasie.

– Przecież przez chwilę podałem panu cyfry. – Zerka na kawałek papieru w dłoni, na którym nabazgrał niebieskim długopisem kwotę rachunku. – Proszę... 407,73.

– Numery *telefonów*.

Zaciskam dłonie w pięści. Mięśnie drżą mi z wysiłku, jakim jest utrzymanie rąk w bezruchu. Mam ochotę przyłożyć idiotcie prosto w tę jego szpetną gębę za to, że ze mną pogrywa.

Szczególnie gdy wkłada dłonie do kieszeni i kołysze się na piętach, mrużąc oczy w sposób, który wcale nie wskazuje na to, że chce mi pomóc.

– Z przyjemnością bym panu pomógł, detektywie, naprawdę. Ale nie wolno mi ujawniać prywatnych numerów telefonów klientów byle komu.

– A co powiesz na stróża prawa? Czy ujawniłbyś mu te numery?

Wzrusza ramionami.

– Mógłbym, przy odpowiedniej zachęcie.

Innymi słowy, chce kolejną pięćdziesiątkę.

– Naprawdę chcesz się do tego zniżyć? Mogę cię aresztować za

wymuszanie łapówki albo zdobyć nakaz umożliwiający mi sprawdzenie nie tylko tej transakcji, ale *wszystkich* pozostałych. Którą opcję wybierasz?

Jego kołtuński uśmiezek znika w ułamku sekundy.

– Zaraz przyniosę panu te numery.

– Tak właśnie myślałem.

Bębnię palcami w kontuar, kipiąc ze złości, podczas gdy na końcu alejki jakiś nastolatek wsuwa do kieszeni parę słuchawek z funkcją Bluetooth. W porównaniu do innych sklepowych złodziejów jest całkiem kiepski w swoim fachu. Robi to w zbyt oczywisty sposób, w dodatku w obecności stojącego sześć metrów dalej policjanta przy kasie. Muszę jednak przyznać, że jest wyjątkowo szybki, bo udaje mu się wejść i wyjść ze sklepu w trzydzieści sekund.

Czuję na biodrze vibracje swojego telefonu. Spoglądam na ekran, a w międzyczasie kierownik wraca z zaplecza. Mama. Przełączam ją na pocztę głosową. Mruczając pod nosem, kierownik przesuwając w moją stronę dwie kartki z kserokopiarki, jeszcze ciepłe. Uśmiecham się na widok tego, co na nich znajduję: cztery paragony, każdy z dołączonym numerem telefonu. Na pewno zdążyła zużyć dwa, może trzy, ale jeśli będę miał szczęście, jeden z nich w dalszym ciągu może zostać namierzony. Potrzebuję tylko jednego, który zaprowadzi mnie prosto do niej.

Rozkładałam kartki na ladzie i robię im zdjęcie. Podpinam je w załączniku do maila, gdy znowu dzwoni moja mama. Nie spodoba jej się, kiedy po raz drugi przerzucę ją na pocztę głosową, ale oddzwonię do niej, jak tylko wyślę zdjęcia Jade, by zaczęła namierzać numery. Wciskam „wyślij”, zgarniam kartki, zanoszę do samochodu i wybieram numer do mamy.

Odbiera po pierwszym dzwonku, wyraźnie wkurzona.

– Marcus, co się dzieje, do cholery?

Tłumię westchnięcie. Ciężko jest być aroganckim twardzielem, kiedy dostaje się opieprz od własnej matki.

– To się dzieje, że jestem w samym środku poszukiwań zaginionej osoby. Jestem bardzo zajęty.

Rozsiadam się na fotelu kierowcy. W samochodzie jest jakieś trzydzieści osiem stopni, choć zaparkowałem auto w cieniu. Włączam silnik i nakierowuję nawiew klimatyzacji na twarz.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale...

Na dwie, trzy sekundy zapada cisza, gdy przechodzę na zestaw głośnomówiący.

– Mamo, jesteś tam?

– Co? Pewnie, że jestem. Byłam tu przez cały czas.

– Co dokładnie mówiłaś?

Wzdycha z irytacją.

– Mówiłam o twoim domu.

– A co z nim jest nie tak?

– Dlaczego wygląda, jakby mieszkał w nim jakiś menel?

Pomimo gorąca moją skórę pokrywa warstwa zimnego potu. Jest w domu. Wrzucam wsteczny i wciskam gaz, wyjeżdżając na parking.

– Gdzie dokładnie?

– Przecież właśnie ci powiedziałam. Jestem w waszym domu.

– Ale *gdzie* dokładnie? W którym stoisz pokoju? – Przerzucam biegi. – Mów konkretnie.

– Konkretnie, to stoję na waszym dywanie w salonie, choć ledwie go widać spod zwałów papierzysek. Kiedy sprzątałeś je po raz ostatni?

Wciskam gaz do dechy. Cokolwiek ma do powiedzenia moja matka, zostaje zagłuszone przez pisk opon prujących po chodniku. Na końcu parkingu robię ostry skręt w prawo i wjeżdżam w sznur samochodów przy akompaniamencie nieustannie wciskanego klaksonu. Wyciągam policyjnego koguta i kładę go na dachu, tak na wszelki wypadek.

Przez samochodowe głośniki przebija się głos mamy.

– Marcus? Gdzie jest Emma?

Błąd numer jeden: przekazanie mamie klucza do domu. Dla ścisłości, ten pomysł wyszedł od Emmy. Ale z drugiej strony, niby co miałem zrobić, gdy już się o tym dowiedziałem? Poprosić o jego zwrot? Mama wpadłaby w szał, a ja musiałbym wysłuchiwać jej tyrad w każde urodziny i święta, aż do końca życia. Pozwoliłem jej zatrzymać klucz, ale gdybym miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, już dawno wymieniłbym zamki w drzwiach.

Błąd numer dwa: pozostawienie domu w tragicznym stanie – choć w tym przypadku również niewiele byłem w stanie poradzić. Policyjna robota wiąże się z bałaganem, a ja jestem typem wzrokowca. Lubię porozkładać akta na stołach i podłogach, przykleić do ścian notatki i zdjęcia. Oczami wyobraźni widzę swoją mamę chodzącą po kuchni

i salonie, układając wszystko w jedną całość i kręcącą z dezaprobatą głową. Wciskam klakson.

– Z drogi! – krzyczę na kierowcę przede mną, błyskając światłami, a on pokazuje mi faka przez ramię. Zjeżdżam na utwardzone pobocze, wciskam gaz do dechy i przejeżdżam obok.

Trzyście wlokących się w nieskończoność minut później zatrzymuję się z piskiem opon na podjeździe, tuż za białą hondą mojej mamy. Drzwi frontowe odskakują, a ona wychodzi na zewnątrz, wymachując rękami. Jej ręce, słowa i wyraz twarzy, który zawsze przywdziewała, gdy byłem dzieckiem – to wszystko do dnia dzisiejszego przyprawia mnie o fantomowe uczucie niemal nieustającego bólu brzucha, który towarzyszył mi w dzieciństwie. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, próba zadowolenia tej kobiety to praca na pełen etat. Robi mi awanturę, choć nie zdążyłem jeszcze wysiąść z samochodu.

– ...wygląda, jakby przetrząsnął je złodziej. Wiem, że jesteś zajęty, ale nie wychowałam syna tak, żeby mieszkał w chlewie. Czy przez miasto przeszło jakieś tornado, o którym akurat zapomniałeś mi powiedzieć?

Biegnę przez podjazd, łomocąc ciężkimi butami o beton.

– Mamo, co ty tu robisz?

Posyła mi urażone spojrzenie spod ściągniętych brwi.

– Jak to, co ja tutaj robię? Ugotowałam dla Emmy kolejną porcję rosółu. Tak postępują ludzie, kiedy ich bliscy chorują. Przynoszą im rosół.

– Dostałaś klucz tylko na nagłe wypadki.

Pokazuje kciukiem na dom.

– Widziałeś, co tam jest? To właśnie nagły wypadek. Do twojej wiadomości, sterczałam na progu i wciskałam dzwonek przez bite piętnaście minut. Zapytaj tej swojej wścibskiej sąsiadki, panny Delaney. Obeszłam dom i zobaczyłam, że samochód Emmy stoi w garażu. Myślałam, że coś jej się stało. Że zemdląca albo spadła ze schodów. – Milknie, taksując mnie badawczym spojrzeniem, i kręci głową z dezaprobatą. – Wyglądasz okropnie. Kiedy jadłeś coś po raz ostatni?

Dla mamy każdy zły albo pracowity dzień, każda choroba, złamane serce albo kłopot – wszystko sprowadza się do jedzenia. Co jadłeś, kiedy i czy posiłek był przygotowany z dbałością i troską oraz właściwą ilością soli. Nie mam śmiałości powiedzieć jej prawdy – że przez ostatnie trzy dni żywiłem się resztkami z przyjęcia urodzinowego Annabelle, na stojąco,

połykając zimne potrawy prosto z pojemnika i ledwie czując ich smak. I to tylko wtedy, kiedy przypomniało mi się, żeby wrzucić coś na ząb.

Jeśli mama zajrzała do kuchni, a na pewno tak było, sama zdążyła się tego domyślić. Brudne, plastikowe pojemniki wysypują się ze zlewu, cuchnąc na kilometr.

– Dopiero co jadłem w Leon’s – kłamię, wiedząc, że nazwa restauracji sprawi, że ustąpi i nie będzie drażnić tematu jedzenia. Leon’s są znani ze smażonego suma, smażonych krewetek, z niemal samych smażonych potraw, które potrafią napęlić brzuch na pół dnia. – Słuchaj, to miłe, że pofatygowałaś się do nas taki kawał drogi, ale...

– Marcusie Robercie Durandzie, w tej chwili mów, co tu się wyprawia. – Opiera dłoń na biodrze i patrzy na mnie spod byka. – Gdzie jest Emma? Myślałam, że jest chora. Dlaczego nie ma jej w domu?

Błąd numer trzy: powinienem był mieć w zanadrzu gotową bajeczkę, wiarygodną wymówkę, którą mógłbym zaserwować w każdej chwili bez najmniejszego zająknięcia. Oboje doskonale wiemy, że Emma zadzwoniłaby do teściowej i podziękowała za rosół. Wysłałaby esemesa albo krótki liścik. Pojawienie się mamy na progu domu nie ma nic wspólnego ze sprawdzeniem stanu zdrowia ulubionej synowej ani z przyniesieniem jej nowej porcji zupy. Tu chodzi o wysepienie podziękowania, które powinna była usłyszeć już dawno temu.

Wzdycham, zapraszając mamę do środka.

– Nie chciała, żebyś o czymkolwiek wiedziała. Żeby ktokolwiek się dowiedział. – Zamykam drzwi i opieram się o chłodne drewno. Mama ma rację. Dom przypomina chlew i cuchnie w nim jak w wiejskiej zagrodzie. – Jeśli powiem ci, gdzie jest Emma, obiecaj, że nikomu nie powiesz. Ani Camille, ani Duke’owi, nikomu.

Mama przytakuje szybko, kiwając głową jak figurka psa na desce rozdzielczej.

– Oczywiście. Nie puszcę pary z ust. Masz moje słowo.

Patrzę jej prosto w oczy. Jakimś cudem udaje mi się nie spuścić wzroku.

– Wyjechała do ośrodka.

Mama marszczy brwi.

– Jakiego ośrodka?

– Takiego, w którym ludziom się poprawia. Gdzie czuje się mniej... przygnębiona.

Mama mruży podejrzliwie powieki, składając ręce na piersi, odgradzając się od reszty. Zawsze wiedziała, kiedy kłamałem jako dziecko, i teraz też wie. Podkręcam nieco scenariusz.

– Sęk w tym, że... chodzi o to, że... Em bez przerwy płacze. Ona... wiesz co? Nie chcę zagłębiać się w nieprzyjemne szczegóły. No co? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bo ta bajeczka nie ma żadnego sensu. Skoro twoja żona ma depresję, ostatnią rzeczą, jaką powinienesz zrobić, to odesłać ją do jakiegoś ośrodka. A już na pewno nie do miejsca, w którym przebywają sami obcy ludzie. Trzymasz ją w domu, pod własnym dachem i próbujesz naprawić problem. Rodzina zawsze powinna trzymać się razem.

Dla mojej matki nie ma innej opcji. To właśnie rodzina jest powodem, dla którego jej dzieci nie wyprowadziły się dalej niż osiem kilometrów stąd, dla którego wzywa nas do siebie w każdą niedzielę, urodziny i święta, dla którego przyjeżdżamy tam bez słowa skargi. Camille i Duke mogą nie pamiętać, jak mama praktycznie wypruwała sobie żyły, żeby utrzymać trójkę dzieci z minimalnej pensji samotnej matki, ale ja doskonale to pamiętam. Pamiętam jej nieustanne zmęczenie oraz to, jak dręczące ją zmartwienia – o pieniądze, o to, co ludzie mówili o naszym ojcu kryminaliście, o plotki, które mogły wyrzucić negatywny wpływ na Camille i Duke'a – napełniały mnie zgorzknieniem i smutkiem. Pamiętam, jak płakała, gdy myślała, że jej nie słyszę, jak jej łzy sprawiały, że gotowałem się z wściekłości. Kiedy ojciec zmarł w więzieniu, kazała nam ustawić się w rzędzie na cmentarzu i powiedziała, że mam wyglądać na smutnego, choć z całego serca nienawidziłem tego człowieka. Jestem pewien, że z czasem ona również zaczęła go nienawidzić. „To twój ojciec”, powiedziała, klepiąc mnie w tył głowy. *Rodzina.*

– *Trzymam* nas razem – mówię. – A przynajmniej się staram, ale nie mogę tego robić, kiedy stoisz tu i wyklócasz się ze mną.

– Czy ten „ośrodek”... – mówi, robiąc palcami cudzysłów i zaciskając usta, dając mi do zrozumienia, co myśli o tym określeniu – ...ma cokolwiek wspólnego z tym, co wydarzyło się w Wielkanoc?

Krzywię się, żałując, że w ogóle o tym wspomniała. Nie wiem, jak wytłumaczyć jej, że to błahostka, że w jej mikroskopijnej kuchni po prostu było za dużo ludzi. Rzuciłem Emmie paczkę serwetek, ale ona zobaczyła tylko, że coś zbliża się, by uderzyć ją w głowę. Z jej ust wydobył się

mrozący krew w żyłach wrzask, tak okropny, że wszystkich dosłownie wbiło w ziemię.

Potem bardzo się staraliśmy, by zbyć incydent śmiechem, szczególnie Emma, ale zauważyłem sposób, w jaki mama nam się przyglądała. Jakby coś ją gryzło.

Teraz też tak na mnie patrzy.

– Mamo, mówiłem ci już, to nic nie znaczyło. Em po prostu... zobaczyła coś, czego wcale nie było. To wszystko.

Świdruje mnie wzrokiem ze stanowczym wyrazem twarzy.

– Co to za papiery walające się po kuchennym stole?

– Moja praca. Jestem w samym środku śledztwa dotyczącym zaginionej osoby, pamiętasz? Pracuję niemal non stop.

– Co setki e-maili Emmy mają wspólnego z poszukiwaniami Sabine Hardison?

Jej pytanie sprawia, że ogarnia mnie nerwowe napięcie. Wdziera się do płuc i rozlewa dalej, wysysając całe powietrze. Muszę się jej stąd pozbyć. Musi natychmiast opuścić mój dom. Ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, jest wtrącająca się w moje śledztwo matka.

– Może nic, a może bardzo wiele. W zeszłym roku Sabine pokazywała nam dom i wysłała Emmie listę ludzi, z którymi warto nawiązać kontakt. Inspektorzy budowlani, pożyczkodawcy i tym podobni. Muszę znaleźć tę listę i porozmawiać z tymi ludźmi. Mogą wiedzieć, gdzie jest Sabine.

– Dlaczego nie spytasz Emmy, gdzie ona jest?

– Bo nie wolno mi z nią rozmawiać. Lekarze nie chcą mi na to pozwolić. Najpierw musi ukończyć terapię.

– A kiedy to nastąpi?

– Jeszcze nie wiem.

Mama milczy przez bardzo długi czas. Patrzy na mnie, ja na nią, a im dłuższa cisza, tym bardziej moja skóra robi się zimna i spocona. Emma prowadzi udane życie. Mieszka w ładnym domu, jeździ ładnym samochodem, chodzi do ekskluzywnych restauracji i na różne przyjęcia, a ja jej to wszystko zapewniam. To więcej, niż kiedykolwiek zrobił mój leniwy, zapijaczony ojciec dla mamy i jej dzieci, a mimo to spojrzenie matki sprawia, że wnętrzości wywracają mi się na drugą stronę. W zeszłym miesiącu skończyłem trzydzieści sześć lat, a matka nadal potrafi zmrozić mnie wzrokiem.

– Zajmę się tym, mamó. Przysięgam na Boga, zrobię wszystko, żeby to naprawić.

Przyciska dłonie po obu stronach mojej twarzy i kręci głową.

– Idź. Posprzątaj bałagan, którego narobiłeś. Ja posprzątam w domu.

BETH

– Hej.

Podskakuję na dźwięk męskiego głosu, a kartki wyslizgują się z trzymanego przeze mnie pliku, uderzają o stół i rozsypują. Najpierw Martina, teraz Erwin Czwarty. Zupełnie jakby to była godzina odwiedzin w szpitalu czy coś w tym stylu. Ludzie bez przerwy wchodzą i wychodzą. Erwin stoi w tym samym miejscu, które jego ojciec zajmował niecałą godzinę temu, wyglądając, jakby dopiero co wrócił z galerii handlowej albo z wizyty u krawca. Kanty jego koszuli są idealnie wyprasowane, a sprzączka paska lśni tak mocno, że widzę w niej własne odbicie.

– Przestraszyłeś mnie.

– Zauważyłem. – Wchodzi do środka nieproszony, kiwając brodą w kierunku stert leżących na stole. – Torby powitalne dla nowych parafian? Wygląda to na niezłą zabawę.

Zgarniam upuszczone kartki i układam w schludny stosik.

– Szukasz ojca? Nie ma go, pojechał do chorej parafianki.

– Pani McPherson, tak, wiem. Charlene mi powiedziała. – Podchodzi do stołu, spoglądając na stosy zaproszeń i broszur. Bierze do ręki biblijną ulotkę i kartkuje kciukiem. – Słyszałem, że ktoś włamał się do jej szuflady. To chyba najbardziej skandaliczna sytuacja, jaką to miejsce widziało od wieków. – Posyła mi przebiegły uśmiezek. – Ile pieniędzy zabrał złodziej?

– Z tego, co słyszałam, to dwa tysiące dolarów.

Erwin gwizdże przez zęby.

– To mnóstwo forsy. Jak myślisz, kto ją sobie przywłaszczył?

Wstaję zza stołu i szperam w pudle w poszukiwaniu naręcza toreb. Zarzucam je sobie na ramię.

– Szczerze mówiąc, staram się o tym za bardzo nie myśleć.

To kłamstwo, bo podobnie jak wszyscy inni, o niczym innym nie myślałam.

Erwin rzuca broszurkę z powrotem na kupkę i wzrusza ramionami.

– Pomyślałem, że skoro i tak siedzisz tu cały dzień, mogłaś zobaczyć coś, czego inni nie byli w stanie. Na przykład kogoś, kto mógł węszyć wokół szuflady Charlene.

Ha, ha, dobre sobie. Choć lubię i szanuję wielebnego Andrewsa, nie wyczuwam tej samej uczciwości i serdeczności w jego synu.

– Nie widziałam, żeby ktokolwiek gdzieś węszył – mówię na tyle swobodnie, na ile to możliwe – ale z drugiej strony, niespecjalnie wszystkiemu się przyglądałam. Byłam zbyt zajęta pracą.

Kiwa głową, jakby nie do końca wierzył w moje słowa.

– Co myślisz o tym, że mój ojciec dał złodziejowi czas, by mógł zwrócić pieniądze? W końcu to nie przedszkole, a dwa tysiące dolarów to nie byle co. Gdyby to mnie ukradli te pieniądze, już dawno zadzwoniłbym po policję.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Też chciałabym być tak wspaniałomyślna, wybacząca i litościwa jak twój ojciec, ale na tym świecie jest tylko garstka ludzi o tak miękkim sercu jak jego.

Erwin prycha pod nosem, siada na krześle i wyciąga przed siebie nogi.

– Tak to się teraz nazywa? Miękkie serce?

– Ty tak nie uważasz?

W momencie, w którym zadaję pytanie, żałuję, że to zrobiłam. Niespecjalnie obchodzi mnie, co Erwin Czwarty myśli o ojcu, skradzionych pieniądzach i całej reszcie. Chcę, żeby sobie poszedł. Czuję nieprzyjemne mrowienie na skórze karku. Włoski stają mi dęba.

– Bądź w domu przed dziesiątą. Przynoś ze szkoły same piątki, inne oceny są nie do przyjęcia. Nie czytaj Biblii, tylko wykuj ją na blachę, żebyś mógł w każdej chwili karcić grzeszników odpowiednimi wersetami. Tak właśnie wygląda życie syna kaznodziei. – Wzdycha, przyglądając się, jak napełniam torby wiszące na ramieniu, ale nawet nie kiwnie palcem, żeby mi pomóc. – Prawie nigdy go nie widuję, no chyba, że tu przyjdę. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jedliśmy razem rodzinny obiad.

Jeśli Erwin Czwarty chce, żebym mu współczuła, będzie musiał się bardziej postarać, niż wciskać kit o problemach z ojcem. Tatuś nie poświęcił wystarczająco dużo czasu na to, by porzucać z nim piłką do baseballu. *Za to mój mąż mnie bił*, chcę mu wykrzyczeć prosto w twarz.

Wsadził mi lufę pistoletu do ust i położył palec na spuście. Szuka mnie, żeby móc dokończyć, co zaczął. Myśli wirują w mojej głowie, ale zaciskam usta i przechodzę na koniec stołu. Wkładam kubki do toreb, choć tak naprawdę korci mnie, żeby przyłożyć którymś z nich Erwinowi Czwartemu w głowę.

– Hej, muszę cię o coś spytać – dodaje tonem niemal swobodnej rozmowy. – Co zrobiłaś, żeby dostać robotę Oscara?

Moje dłonie zastygają w pół ruchu. Błyskawicznie odwracam głowę w jego stronę.

– Że co proszę?

– Kupiłaś go pochlebstwami? Chwaliłaś, jaki jest dobry i mądry? Przekonałaś, żeby wyświadczył ci przysługę? Co dziwne, to potwierdzona technika mająca na celu sprawienie, by ktoś nas polubił. Osoba *wykonująca* przysługę po jakimś czasie zaczyna darzyć drugą osobę większą sympatią. Dziwne, ale prawdziwe. – Śmieje się, choć nie ma w tym cienia wesołości. – A może to *ty* wyświadczałaś mu przysługi.

Nie chodzi tylko o jego słowa, ale o sposób, w jaki na mnie patrzy – jakbym była zagadką, którą należy rozwiązać. Jakbym nie była do końca uczciwa. W dalekim końcu korytarza dzwoni telefon. Przez głowę przelatuje mi ostrzeżenie Martiny. *Erwin Czwarty to zbok i menda. Trzymaj się od niego jak najdalej.*

– Mam nadzieję, że nie sugerujesz tego, o czym myślę.

– Niczego nie sugeruję. Próbuję cię rozgryźć. Dostrzec to, czego reszta nie zauważa, a co widzi mój ojciec. Skoro już o tym mówimy, jeśli znasz jakieś wskazówki, które pomogą mnie i siostrze zdobyć trochę uwagi ojca, to zamieniam się w słuch.

Może na początek przestań zachowywać się jak rozpieszczony bachor? Może nie bądź dupkiem? Rozumiem, że presja oczekiwań, jaką musi odczuwać dziecko duchownego, jest olbrzymia, ale Erwin Czwarty powinien patrzeć na to z szerszej perspektywy – ma ojca, któremu bardzo zależy, by wyrobił sobie wyższe standardy moralne niż reszta jego parafian. To powinno mieć dla niego duże znaczenie.

– Wielebny bardzo kocha ciebie i twoją siostrę. Twój ojciec bez przerwy o was mówi. Wasze imiona tworzą nawet hasło do jego komputera.

Wielebny prosił mnie, abym o tym nie wspominała, ale jestem pewna, że gdyby słyszał naszą rozmowę, powiedziałby to samo.

– Wiem. ErwinGrace2. Nie sądzisz, że dział IT ma dostęp do wszystkich używanych tutaj haseł?

Nie odpowiadam. Skoro Erwin jest kierownikiem działu IT i wie, jak zalogować się na komputer ojca, będzie wiedział, jak wyszperać historię Sabine z historii przeglądarki. Przyglądam mu się w poszukiwaniu najmniejszych wskazówek, ale może fakt, że przebywa tu ze mną sam na sam, powinien być dla mnie najbardziej oczywistą z nich. Nagłe zrozumienie tego faktu przyprawia mnie o ciarki na całym ciele.

Erwin unosi dłonie, po czym pozwala im opaść na kolana.

– Wierzysz w to, co głosi mój ojciec? Że małżeństwo jest świętym przymierzem pomiędzy trzema osobami – mężczyzną, kobietą i Bogiem?

O mały włos nie parskam śmiechem. Nie dlatego, że rozmowa przybrała niedorzeczny obrót, ale również dlatego, że gdyby Bóg był przy mnie w trakcie trwania naszego małżeństwa, nie stałby z boku i nie pozwolił ci bić mnie i kopać. Ochroniłby mnie jak tarczą. Poświęciłby się dla drużyny.

– Do tego również nie przywiązywałam zbyt dużej wagi – mówię, starannie dobierając słowa.

Wstaje z krzesła. Wtedy to czuję. Coś strasznego i oczywistego. Coś tu nie gra. Zwiększam dystans między nami, chowając rzeczy do toreb i przesuwając się jeszcze dalej.

– A co z grzechem? Jak się na niego zapatrujesz?

– Dlaczego mnie o to pytasz? Ciężko nazwać mnie ekspertką w sprawach związanych z Biblią.

– Dlatego, że nie jesteś jedną z bezmyślnych owieczek ojca. Nie będziesz go papugować i nie uraczysz mnie jednym z jego kazań. W domu nasłucham się tego wystarczająco dużo. Chcę usłyszeć szczerą odpowiedź od kogoś podobnego do mnie, kto z niejednego pieca jadł chleb.

Jego spojrzenie wędruje w dół. Po krzyżu przebiegają mi ciarki.

Odwracam się, wyglądając koszulkę.

– Zdarzyło mi się popełnić kilka błędów. Tak jak wszystkim.

– Na pewno, ale mój ojciec jest zdania, że grzech jest z góry przesądzony. Biblia mówi nam, żebyśmy nie grzeszyli, a jednocześnie głosi, że jest nam pisane kłamać, oszukiwać i kraść. Moim zdaniem na tym polega cały problem z chrześcijaństwem. Odbiera jednostce wolną wolę. Sprawia, że jesteśmy bezsilni.

Wyjdź, krzyczy w mojej głowie jakiś głos. Nie zostawaj sama z tym

mężczyzną.

Oceniam odległość pomiędzy Erwinem Czwartym a drzwiami. Tarasuje przejście jak blokada drogowa.

– Nie sędzę, by chodziło o odebranie komuś siły – mówię powoli, zapewniając sobie trochę więcej czasu. Wkładam torby do pudła i przechodzę na drugi koniec stołu. – Raczej o jej zwrócenie. O wybranie Boga i pójście do nieba. Czy nie o to w tym wszystkim chodzi?

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Przesuwa się w prawo, a ja w lewo.

– Jestem pewna, że odpowiedziałam.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj!

W trzech krokach Erwin Czwarty staje przede mną, pachnąc płynem po goleniu, czymś cierpkim i... chyba piwem. A może to pamięć płata mi figle.

– Nie. Jestem pewny, że nie. Pytanie wciąż jest aktualne. Co myślisz o grzechu pierworodnym? Uważasz, że jest dobry? – Przesuwa palcem po moim przedramieniu, tak lekko, że aż muszę spojrzeć w dół, by upewnić się, że faktycznie to zrobił. – A może zły?

Nie odsuwam się, bo zwyczajnie nie mogę. Fala obrzydzenia, tak intensywna, że stoję jak sparaliżowana, przytwierdza moje buty do podłogi. Powietrze między nami drga, a ja przenoszę się do innej chwili i innego miejsca. Na pole, gdzie odbywała się doroczna impreza z barbecue.

Pamiętam każdy szczegół tamtego dnia. Powietrze było duszne i parne, oficjalna zapowiedź skwarnego lata. Piwo lało się strumieniami szybciej niż woda w rzece za sceną, a ty piłeś je duszkiem z czerwonego plastikowego kubka. Zażartowałam wtedy, że mógłbyś przerzucić się na wodę, a ty parsknąłeś śmiechem i przesunąłeś palcem po moim ramieniu, lekko i delikatnie, zupełnie jak Erwin Czwarty przed chwilą.

Zrobiłeś to tylko dlatego, że patrzyli na nas ludzie.

Twój śmiech był dla nich, ale słowa, które wypowiedziałeś mi szeptem do ucha, były przeznaczone wyłącznie dla mnie. Pochyliłeś się w moją stronę, cuchnąc piwem i trzęsąc się z wściekłości. „Jeśli jeszcze raz zawstydzisz mnie w ten sposób przy ludziach, zabiję cię i porzucę twoje ciało w miejscu, w którym nikt cię nigdy nie znajdzie”.

To właśnie twoją twarz widzę, gdy Erwin Czwarty pochyła się ku mnie,

i twój oddech czuję na policzku.

– Myślę, że to ty ukradłaś pieniądze, Beth – mówi niskim, niebezpiecznym głosem. – Jeśli będziesz miła, pozwolę ci je zatrzymać.

Mam tylko jedno wyjście z sytuacji. Jedyne, które ukoi zarówno mój gniew, jak i strach.

Patrzę Erwinowi Czwartemu prosto w oczy i z całej siły kopię go między nogi. Chwilę później rzucam się do ucieczki.

MARCUS

Mama zaczyna sprzątać na górze, a ja zbieram dokumenty, które porozkładałem po salonie i kuchni, zdejmuję kartki ze ścian i wrzucam wszystko do kosza na brudy, który przyniosłem z pralni. Nie mogę siedzieć w domu, kiedy mama bez przerwy wzdycha i posyła mi zmartwione spojrzenia. Zanoszę kosz do samochodu, wrzucam go do bagażnika i jadę na posterunek.

Gdy docieram na miejsce, akurat przychodzi druga zmiana. Strudzeni policjanci wychodzą, powłócząc nogami, kiwając w stronę wypoczętych stróżów prawa, zupełnie jakby przekazywali im pałeczkę w maratonie. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak długo byłem w pracy ani jak mało spałem zeszłej nocy. Jadę na oparach i adrenalinie, tak jak to robię za każdym razem, gdy jestem o krok od przełomu w śledztwie. Wydarzy się coś naprawdę ważnego – czuję to w kościach. Kartki z czterema numerami telefonów wypalają dziurę w mojej kieszeni, gdy podniecenie przenika mnie na wskroś.

Zostawiam auto na końcu parkingu i idę w stronę drzwi.

– Cześć, Marcus – mówi drugi detektyw, kiwając podbródkiem w stronę kosza, który niosę w rękach. – Skoro robisz pranie, zgarnij ciuchy z siłowni Ricka, bo zaśmierdzają nam cały posterunek.

– Przytrzymaj mi drzwi, dobra?

Cofa się o parę kroków i łapie za klamkę.

– Komendant cię szukał. Miej się na baczności, bo wygląda, jakby wstąpił na wojenną ścieżkę.

Świetnie. Opieprz od komendanta Eubanksa to ostatnia rzecz, której mi potrzeba. Jest facetem, który urodził się, by nosić policyjny mundur. Wiecznie pochmurnym facetem wyszczekującym rozkazy tonem głosu, który sprawia, że dorośli mężczyźni trzęsą przed nim portkami. Postanawiam pójść do swojego gabinetu okrężną drogą. Wymykam się na klatkę schodową, próbując przemknąć niezauważony przez nikogo.

Odprężyć mogę się dopiero po dotarciu na miejsce, gdzie zastaję komendanta Eubanksa siedzącego na moim fotelu i przeglądającego stertę dokumentów, których – gdyby to ode mnie zależało – nigdy nie powinien zobaczyć.

– O, dzień dobry, panie komendancie. – Nie unosi wzroku znad czytanych stron. Kładę kosz na pranie na podłogę i kopniakiem wciskam go po biurko. – Mogę panu w czymś pomóc?

Eubanks dźga palcem kartkę na wierzchu pliku.

– Tak, możesz mi powiedzieć, co to właściwie znaczy: „Charlotte, Louisville, Jacksonville, Raleigh, Atlanta”. – Patrzy na mnie znad krawędzi okularów do czytania w kształcie półksiężyców. – Masz jakiś powód, by przypuszczać, że Sabine Hardison zdecydowała się na ucieczkę?

Jade również wyszła z takiego założenia. Siadam na krześle naprzeciwko komendanta, które normalnie jest dla gości, i nonszalancko opieram kostkę o kolano.

– Ja tylko badam każdy aspekt śledztwa, sir. Mąż zaginionej powiedział, że to nie był pierwszy raz. Sabine brała w przeszłości antydepresanty i nie była do końca stabilna emocjonalnie.

Komendant ściąga okulary i rzuca je na biurko.

– To zabawne, że akurat wspominasz o mężu. Dzwoniła do mnie Olivia Spinella. Rozumiem, że wiesz, kim ona jest.

Kręcę głową, czując ukłucie niepokoju gdzieś głęboko w trzewiach. Nie mam pojęcia, kim jest Olivia Spinella, ale fakt, że komendant Eubanks wspomniał o niej, na pewno nie wróży niczego dobrego.

– Nie, nie znam jej.

– Pani Spinella jest adwokatem Jeffreya Hardisona. Twierdzi, że Jeffrey ma wiarygodne alibi na czas zniknięcia swojej żony, i utrzymuje, że wiedziałeś o nim, gdy dwa dni temu zjawileś się pod domem jej klienta, nagabując go.

– Wcale go nie nagabywałem, tylko przesłuchiwałem. Jego alibi jest trochę podejrzanę. Dlaczego nie powiedział prawdy na temat tego, gdzie był? Dlaczego nie chciał ujawnić, co robił w Little Rock?

– O 14:30 pan Hardison zjawił się z wizytą u doktora Lee, urologa w szpitalu CHI St. Vincent w Little Rock. Wizyta trwała około czterdziestu minut. Po jej zakończeniu otrzymał receptę do zrealizowania

w aptece na parterze. Receptę wypisano na Viagrę, a jego adwokat zaproponowała nieotwartą buteleczkę leku jako dowód. Wygląda na to, że tamtego wieczoru pan Hardison miał plan ożywienia swojej małżeńskiej relacji z panią Hardison, ale nigdy nie było mu dane go zrealizować.

Słowa Eubanksa są jak cios prosto w brzuch. Robię wszystko, co w mojej mocy, by się nie skrzywić.

– Och.

– No właśnie, „och”. – Komendant wzdycha ciężko, co nigdy nie jest dobrym znakiem. – Pani Spinella i pan Hardison chcieliby wiedzieć, co dokładnie robimy, aby odnaleźć jego żonę. Jeśli mam być szczerzy, ja również chętnie posłucham, co masz do powiedzenia w tej sprawie. Czego właściwie szukasz? Jakie sprawdzasz poszlaki?

Komendant Eubanks lepiej niż ktokolwiek inny zna ograniczenia, z jakimi muszę borykać się każdego dnia w pracy. Pod tym przeciekającym dachem pracuje szesnastu detektywów. Tylko w tym roku zajmowaliśmy się trzystoma pięćdziesięcioma siedmioma śledztwami. Każdy z nas ma więcej pracy, niż jest w stanie udźwignąć, a miasto nie zamierza przyznawać nam podwyżek ani płacić za nadgodziny. Jesteśmy najbardziej potrzebnymi pracownikami w całym mieście, a ono zwyczajnie nas nie docenia. Nic zatem dziwnego, że każdego roku nasze szeregi coraz bardziej się kurczą.

Mimo to odnoszę wrażenie, jakby komendant oskarżał mnie o to, że za mało się staram.

– Niech pan da spokój, komendancie. Dobrze pan wie, że haruję najciężej ze wszystkich. Każdy mój ruch jest zgodny z przepisami. Przesłuchałem rodzinę i przyjaciół zaginionej, przeczesalem jej komputer i namierzyłem telefon. Sprawdziłem konta bankowe, a nawet znalazłem kilka, o których mąż nie miał bladego pojęcia.

Komendant powoli przytakuje, a ja czuję, jak potylicy zaczyna mi pulsować z bólu.

– Otrzymałem również skargę od Trevora McAdamsa – oznajmia.

Biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze ustami.

– Naprawdę?

– Twierdzi, że przyszedłeś do jego domu, rzucając pod adresem Sabine mnóstwo oskarżeń. Że jest stuknięta, że sfalszowała wynik testu ciążowego i tym podobne. Jak się z tego wytłumaczysz?

– Ona *naprawdę* była stuknięta. W aptece potwierdzili, że stale realizowała recepty na leki antydepresyjne i że wystąpiły u niej niepożądane skutki uboczne, gdy odstawiła je z dnia na dzień. Sabine miała trudności z zajściem w ciążę i doświadczyła długiej serii poronień. Nie byłem w stanie potwierdzić, czy faktycznie była w ciąży, czy też cierpiała na jakieś schorzenie, które uniemożliwiało jej utrzymanie tego stanu.

– Więc co? Myślisz, że przeszła jakieś załamanie nerwowe i po prostu uciekła?

Unoszę ręce do góry, jakbym chciał powiedzieć „możliwe”.

– Tak jak wspomniałem, sprawdzam wszystkie poszlaki. Do tego dochodzi fakt, że Shelley McAdams wyjechała z miasta w dniu, w którym zniknęła kochanka jej męża. Miała motyw. Mogła maczać w tym palce.

– Doktor chce, żebyś trzymał się od niej z daleka.

Parskam śmiechem.

– Mogę się założyć.

– Przesłuchałeś ją?

– Wyjechała na weekend do Chicago.

– Masz wystarczająco dużo dowodów, by ją tu ściągnąć?

– Pracuję nad tym.

Innymi słowy, nie. Komendant Eubanks kręci głową.

– Ten cały McAdams jest lekarzem, Marcus. Inteligentnym i szanowanym. I cholernie zdeterminowanym. Nie jest przypadkowym typem z ulicy.

Jakimś cudem udaje mi się zapanować nad twarzą i nie wykrzywić jej w grymasie wściekłości.

– Zdaję sobie z tego sprawę, sir.

– Zna swoje prawa i nie zamierza odpuścić. Zgromadził na Twitterze całe rzesze ludzi, którzy myślą, że jesteś niekompetentny albo, w najgorszym wypadku, że się obijasz. Nie wiem, czy widziałeś jego kanał internetowy, ale przedstawiają cię w nim w najgorszym możliwym świetle.

O tak, widziałem ten materiał. Jest równie wkurwiający co McAdams. Ciąg bez przerwy publikowanych melodramatycznych postów. W jednej chwili jest wściekły, a w następnej mazgai się jak dziecko. Jego emocje są totalnie rozchwiane. Nie wiadomo, jak za chwilę się zachowa. Posty łączy

jeden temat, czyli moja osoba. Wynika z nich, że jestem krnąbrnym, twarogłowym palantem, który wszystko robi źle. Kiedy zajrzałem do niego po raz ostatni, wściekłem się tak bardzo, że wybiłem pięścią dziurę w ścianie.

– Domaga się, by odsunąć cię od sprawy. Grozi pozwem. Ma pieniądze i kontakty, dzięki którym może wywiązać się ze swoich gróźb.

– O to w tym wszystkim chodzi? Chce pan odsunąć mnie od śledztwa?

Zapada długa cisza – o ułamek sekundy zbyt długa – a ja staram się nie wiercić nerwowo na krześle jak jakiś podrzędny kryminalista przyprawiony na przesłuchanie, choć dokładnie tak się czuję. Komendant siedzi na *moim* fotelu, za *moim* biurkiem, na którym oparł swoje umięśnione ramiona jak u Popeye'a. Zgarniam opieprz za *moje* śledztwo. Nie mogę pozwolić, żeby mi je odebrał.

Malutki ekranik mojego telefonu stacjonarnego podświetla się, a jego przenikliwy dzwonek eksploduje w pograżonym w ciszy pomieszczeniu. Czuję się tak, jakby pod powierzchnią mojej skóry przepływał prąd. To na pewno Jade. Komendant Eubanks ignoruje telefon.

– Jeśli chcesz przekazać śledztwo innemu detektywowi...

– Nie chcę.

– Jeśli masz na głowie inne sprawy, którymi koniecznie musisz się zająć, albo potrzebujesz trochę czasu, żeby odpocząć...

– *Nie potrzebuję* – rzucam przez zaciśnięte zęby, bo któregoś razu mocno mnie poniosło, gdy jakiś dupek wycelował w moją twarz kamerę w telefonie komórkowym. Komendant nadal wraca do tego incydentu, choć minęły już dwa lata.

Telefon dzwoni po raz trzeci, a komendant sięga po okulary, składa je i wsuwa do kieszonki na piersi.

– Masz napisać raport. Chcę wiedzieć, jakie badasz poszlaki, z jakimi ludźmi rozmawiasz i co robisz z ciężko zarobionymi pieniędzmi podatników, by znaleźć Sabine Hardison. Chcę go mieć na swoim biurku przed końcem dnia.

Komendant wychodzi, a ja siedzę dalej na swoim miejscu, oddychając głęboko przez nos, by nie wpaść w szal. Pierdolony Jeffrey Hardison i jego pierdolona pani adwokat. Pierdolony Doktor McDupek. Kroki Eubanksa cichną na korytarzu, a ja wykręcam numer Jade.

– *Błagam*, powiedz, że masz dla mnie jakieś dobre wieści.

– To zależy. Podobno życie w Atlancie sporo kosztuje, a ja słyszałam, że o tej porze roku panuje tam straszny skwar. – Parska śmiechem, ale nie jestem w nastroju do żartów.

Domykam stopą drzwi i siadam za biurkiem, trzymając kabel wysoko, by o nic nie zaczepił.

– Mów.

– No dobrze, natknęłam się na kilka logowań do sieci przy użyciu kilkunastu różnych adresów IP. Są rozsiane dość chaotycznie, a to oznacza, że tę operację najprawdopodobniej wykonano przy użyciu telefonu komórkowego.

– Z którejś z jednorazówek?

– Nie widzę numerów, tylko adres IP operatora, który bez przerwy się zmienia, w zależności od stacji przekaźnikowej telefonii komórkowej. Jedynym wyjątkiem jest połączenie z siecią Wi-Fi, po którym sygnał jest stały.

Głowa mi pęka. Szarpnięciem otwieram górną szufladę i wyjmuję z niej buteleczkę Excedrinu – największą z dostępnych na rynku, którą mam przygotowaną na wypadek okazji takich jak ta. Gównu mnie obchodzą adresy IP i stacje przekaźnikowe. Chcę tylko wiedzieć, dokąd mnie zaprowadzą.

– Znalazłaś ją czy nie?

– Nie tak szybko, kolego. Zaraz do tego dojdę. Mam dla ciebie dwa adresy, oba z ogromną liczbą logowań do sieci. Znajdują się w granicach Atlanty. Jeden należy do pensjonatu przy English Street, a drugi do kościoła.

Podaje adresy, a ja zapisuję je w notesie.

– Co z jednorazówkami?

Kierownik podał mi cztery numery, które przekazałem Jade niecałą godzinę temu.

– Zaraz się tym zajmę. Zadzwoń, jak tylko wpadnę na jakiś ślad. A teraz idź i dorwij ją wreszcie.

Zrywam się na równe nogi, zastanawiając się nad najszybszą drogą prowadzącą na lotnisko.

– Jadę.

BETH

Jestem spakowana i łomoczę w drzwi apartamentu panny Sally w rekordowo krótkim czasie. Według moich obliczeń minęło zaledwie dwadzieścia siedem minut od chwili, w której poczęstowałam Erwina Czwartego kopniakiem w jaja. Przez całą drogę powrotną w godzinach szczytu i w trakcie pakowania całego dobytku do torby liczyłam sobie w myślach. Cztery, może pięć minut zajęło temu gnojkwowi pozbieranie się z podłogi, około dziesięciu, zanim wszczął alarm... Będzie rzucał pod moim adresem kłamstwa i fałszywe oskarżenia, co znaczy, że muszę się śpieszyć.

Ponownie uderzam pięścią w drzwi.

– Chwileczkę, już idę! – woła po drugiej stronie drzwi panna Sally. Otwiera mi z uśmiechem na twarzy. – Hej, skarbie, co ty tu... O rany, czemu jesteś taka spocona?

Nie czekam, aż wpuści mnie do środka. Przeciskam się obok niej.

– I dlaczego tak sapiesz? Biegłaś tu przez całą drogę? – Zatrzaskuje drzwi za moimi plecami i przekręca zamek, który wydaje z siebie metaliczny szczęk. Dźwięk przyprawia mnie o dreszcz paniki. Zerkam szybko w stronę okien, dwóch matowych, szklanych tafli, które są wystarczająco duże, by dało się przez nie uciec.

Wtedy dostrzegam resztę pokoju i zamieram w bezruchu.

– Co się stało? – pyta, zauważając wyraz malujący się na mojej twarzy.
– Coś nie tak?

Nie odpowiadam, bo nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Stoję jak skamieniała na widok pokoju panny Sally. Wygląda jak wyrwany żywcem z planu filmowego. Jest utrzymany w odcieniach ciemnej czerwieni, z ozdobnymi sztukateriami i ogromnymi, wiktoriańskimi meblami o nóżkach rzeźbionych w kształt szponów. Aksamit w kolorze głębokiego bordo i burgundu jest dosłownie wszędzie, przybrany frędzlami i chwostami. Nawet ściany są nim wytapetowane.

Gdzieniegdzie palą się ażurowe, mosiężne kinkiety.

Na każdej płaskiej powierzchni, na stolikach, sekretarzykach i fantazyjnie rzeźbionych etażerkach stoją figurki ogromnych, wzwiedzionych penisów. Zupełnie jak zderzenie *Moulin Rouge* z gejowskim porno. Mieszanka Belle Epoque i burdelu dla homoseksualistów.

Odwracam się powoli, rejestrując każdy szczegół.

– Co to za miejsce? Gdzie ja jestem?

– Podoba ci się? – Panna Sally osuwa się na wyściełaną kanapę dla dwóch osób i poklepuje poduszkę obok siebie. – A teraz usiądź i opowiedz panie Sally, co się wydarzyło. Dlaczego jesteś taka roztrzęsiona?

Odrywam wzrok od rubinowej lampy w kształcie wibratora i przekazuję jej skróconą wersję:

– Kopnęłam syna pastora w jaja i teraz muszę stąd odejść.

Po jej twarzy przemyka rozczarowanie.

– Zaraz, zaraz. Nie kopie się jakiegoś frajera między nogi bez powodu. Na pewno chodzi o coś więcej. Panna Sally chce wiedzieć co.

– Z przyjemnością bym ci o wszystkim opowiedziała, ale nie mam czasu. Podałam twój adres w formularzu rekrutacyjnym.

– Więc odchodzisz – konstatuje panna Sally.

Wiele można o niej powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest głupia.

Kiwam głową, czując nieoczekiwane ukłucie bólu. Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo będę tęsknić za Morgan House. Przyzwyczaiałam się do myślenia o nim jak o domu, nawet jeśli tylko tymczasowym. Siadam na kanapie obok niej, odpychając od siebie smutek. Policja może tu być w każdej chwili. Już dawno powinnam była wyjść.

– Ile jestem ci winna?

– Cóż, minęło południe – mówi, krzyżując długie nogi wyglądające spod białej, ażurowej spódniczki. Są wysmarowane jakimś balsamem nawilżającym, który sprawia, że błyszczą w przytłumionym świetle jak szkło.

– W porządku. Ile?

Spodziewam się, że sprawdzi jakąś listę, otworzy plik na komputerze albo chociaż sięgnie po kalkulator, ale ona podaje sumę bez cienia wahania, jak jakiś Rain Man.

– Sto dwadzieścia dolarów.

Odliczam banknoty z pliku i wręczam pannie Sally.

– Mogę pożyczyć długopis i kawałek kartki?

Panna Sally wstaje i przynosi je z kredensu stojącego pod przeciwną ścianą. Perfumowany papier i wieczne pióro. Mogłam się tego spodziewać. Klękam i notuję wiadomość na stoliku ze szklanym blatem. Gdy kończę, składam liścik dwa razy, zapisuję na zewnętrznej stronie imię Martiny i przekazuję go pannie Sally.

– Wiesz już, dokąd pojedziesz? – pyta, chowając liścik do kieszeni.

– Dowiem się, gdy już tam trafię.

Panna Sally uśmiecha się ze smutkiem.

– Uważaj na siebie, dobrze?

– Jasne. Dziękuję za wszystko. Będzie mi brakować tego miejsca.

Łapie mnie za ramię i przyciąga do siebie, by zamknąć w uścisku. Nie spodziewałam się po niej takiego gestu, więc przez kilka pierwszych sekund stoję sztywno jak kołek. Panna Sally pachnie tak ładnie, a jej biust jest jak wielka, mięciutka poduszka na moim policzku, więc rozluźniam się i odwzajemniam uścisk, choć czas ucieka nieubłaganie. Panna Sally poklepuje mnie po plecach swoim gigantycznym, wymanikiurowanym szponem i szepcze w moje włosy:

– Biedne małeństwo. Wierz mi, z czasem to stanie się łatwiejsze.

– Co takiego?

Odchyła głowę, by móc na mnie spojrzeć. Wygina plecy, a wtedy coś, czego zupełnie się nie spodziewałam, napiera na moją nogę.

– Uciekanie. Zaczynanie wszystkiego od początku. Ale ty jesteś bystra i silniejsza, niż ci się zdaje. Znajdziesz swoje miejsce.

Jedyne, co mogę zrobić, to kiwnąć głową.

Wypuszcza mnie z objęć, machając w powietrzu pachnącą różami dłonią.

– A teraz spadaj. Jestem cholernie zajęta.

Kilka sekund później biegnę już bocznymi uliczkami do miejsca, w którym kilka przecznic dalej zaparkowałam samochód, myśląc o tym, że chociaż jedna tajemnica została rozwiązana. Piersi panny Sally są co prawda większe od moich, ale ona z pewnością nie urodziła się kobietą.

Droga Martino,

przepraszam, że Cię dzisiaj zostawiłam. Jest mi jeszcze bardziej przykro, że

skłamałam. Miałaś rację, jak zwykle. To ja ukradłam pieniądze z szuflady Charlene. Tak, wiem – okradanie kościoła to praktycznie bilet w jedną stronę do piekła, ale miałam swoje powody. Bardzo uzasadnione. Powiedz wielebnemu, że to moja wina. Niech odciągnie uwagę policji od Ciebie i ekipy sprzątajacej. Przekaż pozostałym, że jest mi naprawdę bardzo przykro.

Dziękuję za wszystko – za Jorge, za pracę i za Twoją przyjaźń. Szczególnie za to ostatnie. Pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy, mam nadzieję, że będę mogła wrócić i podziękować Ci osobiście.

Uważaj na siebie.

Całuję

Beth

* * *

Jeśli chodzi o znalezienie nowego miejsca, w którym mogłabym się zatrzymać, dwa tysiące dolarów skradzione z szuflady Charlene i prawo jazdy stanu Georgia spoczywające w mojej kieszeni z pewnością poszerzyły zakres moich możliwości. Nie mam śmiałości włączyć telefonu, który wyłączyłam w trakcie ucieczki z kościoła, więc kieruję się do innej części miasta i objeżdżam ulicę za ulicą, aż w końcu znajduję motel z wolnymi pokojami w cenie dwudziestu dwóch dolarów za noc. Trzypiętrowy budynek wygląda na wiekowy. Jest wciśnięty pomiędzy dwiema drogami, a jedno skrzydło praktycznie znajduje się nad estakadą, co prawdopodobnie tłumaczy tak niską cenę. Wystarczy, że przejedzie obok niego jedna ciężarówka z naczepą za dużo, a budynek runie.

Parking jest pełny, ale udaje mi się znaleźć jedno miejsce między dwoma zardzewiałymi gratami, przy których mój regał wygląda jak najnowszy model cadillaca. Dwóch mężczyzn opiera się o poręcz w korytarzu na pierwszym piętrze, przyglądając się, jak podbiegam do recepcji. Zauważam ich obecność, ale nie uśmiecham się ani nie macham na powitanie.

Recepcja jest mikroskopijna. To pozbawiony okien pokoik z paroma rozklekotanymi krzesłami i biurkiem stojącym za płytą z kuloodpornego pleksiglasu. Siedząca za nim kobieta jest dość nijaka z wyglądu – mysie włosy ma związane w niski kucyk, na jej twarzy nie ma nawet śladu makijażu, a jej ciało ukrywają obszerne, bezkształtne ciuchy. W porównaniu do barwnej jak rajski ptak panny Sally wygląda jak nudny

szary wróbelek.

Pokazuję jej prawo jazdy, ale zbywa mnie machnięciem ręki.

– Nie ma takiej potrzeby. Jesteś sama?

Przytakuję.

– W takim razie dostaniesz pokój na piętrze. Dociera tam mniej zabłąkanych kul.

Pokój na piętrze oznacza utrudnioną drogę ucieczki, w razie gdybym musiała z niej skorzystać. A na pewno tak będzie. Bez komórki, która mogłaby ich do mnie doprowadzić, istnieje szansa, że Erwin Czwarty i policja nie dobiorą mi się do skóry, ale ty na pewno. Może uda mi się ciebie pokonać – o ile się przygotuję i wezmę cię z zaskoczenia – ale kuli raczej nie odeprę. Decyduję się zatem na pokój na piętrze.

– Wie pani, gdzie znajduje się najbliższy Best Buy?

Podaje mi wskazówki, jak dojechać do jednego z nich, oddalonego o parę kilometrów stąd, po czym przesuwam kartę do drzwi wraz z hasłem do Wi-Fi pod płytą z pleksi. Dziękuję jej i wracam do samochodu.

Po kilku źle wykonanych skrętach docieram do Best Buy, gdzie decyduję się na laptop ze średniej półki cenowej, kolejny główniany smartfon z zapasem minut i śliczne, różowe etui na telefon z motylkami zatopionymi w złotym brokacie. Łącznie kosztuje mnie to 846 dolarów i 23 centy.

– Matko Boska! – woła sprzedawca, gdy zaczynam odliczać banknoty z grubego pliku. – Dziewczyno, to jest Atlanta. Schowaj tę kasę.

Przyśpieszam liczenie, choć wiem, że przez to sprawiam wrażenie podejrzanej, a w najgorszym wypadku osoby, która zostanie przez kogoś zapamiętana. Wiem też, że na suficie są zamontowane dwie małe kamery o wysokiej rozdzielczości, rejestrujące obraz mojej twarzy z obu profili – i to na razie jedyne, które zauważyłam. Ile kamer przegapiłam w trakcie przechadzania się po sklepie? Założę się, że o wiele więcej. Kładę na ladzie gruby plik pieniędzy.

Sprzedawca odlicza banknoty, po czym robi to jeszcze raz. Trwa to o wiele za długo. Płacę głównie pięcio- i jednodolarówkami, wygniecionymi i pomiętymi przez koszyk na ofiarę dla kościoła.

Dla ścisłości, nie ukradłabym tamtych pieniędzy, gdybym ich nie potrzebowała. Nie mam zamiaru ich zatrzymać. W którymś momencie każdy cent wróci do koszyka wielebnego, nawet jeśli spłacenie długu

zajmie mi całe lata. Zamykam oczy, przyciskam dłoń do reszty pieniędzy za paskiem i przypominam sobie, że jestem Beth Louise Murphy. Uciekinierką. Złodziejką.

Sprzedawca wydaje mi resztę i podaje plastikową torbę wypchaną sprzętem elektronicznym, na który, gdyby nie gotówka z szuflady Charlene, nigdy nie mogłabym sobie pozwolić. Parę sekund później siedzę już w buicku, kierując się w stronę następnego przystanku – drogerii CVS, którą mijałam po drodze. Wyjmuję koszyk zakupowy ze stosu przy drzwiach i wchodzę między alejki, wrzucając do niego rzeczy z listy: czarny eyeliner, ciemnoczerwona szminka, parę produktów spożywczych, które starczą mi na dzień lub dwa, pasta do zębów i pudełko farby do włosów Miss Clairol. Płacę gotówką i pocieszam się jedynym pozytywnym aspektem tego beznadziejnego, haniebnego dnia: zawsze chciałam mieć rude włosy.

Wyjeżdżam na szosę w momencie, w którym zaczyna padać. Deszcz tworzy lśniąca, srebrzystą zasłonę po drugiej stronie przedniej szyby samochodu. Włączam wycieraczki, ale nie nadążają z usuwaniem wody z jej powierzchni. Skupiam się na drodze, myśląc, że gwałtowna ulewa to znak. Zapowiedź nieuchronnych wydarzeń.

Ciebie. Wiem, że po mnie idziesz.

Będę gotowa.

MARCUS

Gdy odbieram samochód z wypożyczalni na lotnisku w Atlancie i udaje mi się dotrzeć do północnej części miasta, dochodzi już dziesiąta, a autostrada jest pogrążona w półmroku i śliska od deszczu. Deszcz zalewa ulice i bębni w dachy oraz szyby, korkując ulice, choć minęły już godziny szczytu. Droga przede mną to jeden wielki parking błyskających, czerwonych świateł. Włączam światła awaryjne, wjeżdżam na pobocze i przedzieram się przez korek.

GPS doprowadza mnie do English Street, pierwszego adresu, który przekazała mi Jade. Logowano się stąd na stronę posterunku i jego profil na Facebooku. Podjeżdżam do krawężnika i wytężam wzrok, próbując dostrzec coś przez ulewny deszcz. Zauważam świeżo odmalowane ściany, drewniany płot i światła wylewające się z okien, w których wiszą ozdobne zasłony z frędzlami. To miejsce jest zbyt eleganckie jak na pensjonat. Jakim cudem jest w stanie pozwolić sobie na wynajmowanie tu pokoju?

Biegnę w deszczu w stronę drzwi.

Gdy docieram na zadaszoną werandę, przysuwam twarz do okna i zaglądam do salonu. Na kanapie siedzi trójka mężczyzn z butelkami piwa wspartymi na brzuchach, skupionych na meczu drużyny baseballowej Atlanta Braves, który leci w telewizji. Oceniam ich profile, ubranie, rozmiar stóp opartych o stół kawowy. Moją uwagę zwraca koleś siedzący w środku, wysoki i szczupły, nadal posiadający większość włosów. Wygląda mi na typa, który uderzałby do żony innego mężczyzny. Czy gapi się w telewizor i o niej myśli? Czy ona jest w którymś z pokoiów na górze i myśli o nim? Nad moją głową przetacza się grzmot. Pocieram pięść o mostek, powstrzymując się od tego, na co mam ochotę: od zrobienia nią dziury w szkłe.

Oddycham głęboko do momentu, w którym udaje mi się nad sobą zapanować, po czym wciskam kciukiem dzwonek.

Drzwi otwiera nie jeden z mężczyzn, tylko kobieta. Wysoka i obdarzona

bujnymi kształtami, ubrana w jaskraworóżowy szlafrok i z wałkami na włosach. Włącza światła werandy. *O kurwa*. To nie jest kobieta. Nie ma takiej opcji.

Facet patrzy na mnie znad upudrowanego nosa.

– W czym mogę panu pomóc?

No dobra, głos należy do faceta, ale te piersi... Wyglądają... Jeśli nie są *prawdziwe*, to musiały naprawdę sporo kosztować. Podnoszę wzrok i... Cholera, dałem się przyłapać.

Pokazuję ponad ramieniem na deszcz siekący asfalt za moimi plecami.

– Parszywa pogoda, prawda?

Facet nie sprawia wrażenia ani trochę rozbawionego.

Chrząkam i podkreścam nieco swój urok osobisty.

– Jestem tu nowy. Dopiero co przyjechałem. Słyszałem, że macie naprawdę ładne pokoje.

– Przykro mi, ale mamy komplet.

Zaczyna zamykać drzwi, ale przytrzymuję je butem.

– Jaki jest koszt noclegu? – pytam, posyłając mu koleżeński uśmiech. – Zapłacę podwójnie.

– Jak już mówiłam, mamy komplet. – Patrzy w dół na moją nogę zaklinowaną w drzwiach. – Proszę nie zmuszać mnie, żebym kazała panu zabrać stopę.

– Bo co? Wezwiesz policję?

Jego lśniące usta wyginają się w uśmiechu.

– Nie rozśmieszaj mnie, skarbie. Oboje dobrze wiemy, że to ty *jesteś* z policji. Może od razu przejdźmy do rzeczy, co? Ty mi powiesz, dlaczego stoisz na moim progu, zalewając wodą wycieraczkę, a ja powiem ci, czy będę mogła pomóc, czy nie.

– Szukam kogoś.

Przewraca oczami.

– Co ty nie powiesz.

– Metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, długie ciemne włosy. Mogła je ściąć od czasu, kiedy zrobiono to zdjęcie.

Znajduję zdjęcie w telefonie i odwracam go, by mógł zobaczyć.

Pochyla się, by lepiej przyjrzeć się widocznemu na ekranie zdjęciu, a wtedy ja zauważam stojącą za nim kobietę – powalającą urodą Latynoskę w bojówkach i koszulce. Oczy ma szeroko otwarte, a jej twarz

zastygła w wyrazie zaskoczenia. Albo strachu. Kiwam do niej, ale znika mi z oczu.

– Przykro mi. – Mężczyzna w różowym szlafroku prostuje się. Kręci głową, a jeden z wałków podskakuje mu za przekłutym uchem. – Nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety.

Kłamię. Pracuję w policji wystarczająco długo i wiem, po czym to rozpoznać. Skóra wokół jego oczu napina się, a z głosu znika sarkazm. On wie.

– No dobrze, dziękuję za poświęcony czas – mówię, odsuwając się. Stawiam wysoko kołnierz, a po szyi spływa mi woda. – Dobrej nocy.

Facet bez słowa zamyka drzwi, a ja wracam do samochodu, przeskakując kałuże i szczerząc się jak idiota. Jeśli jej tu nie ma, to wiem, gdzie ją znajdę. Zobaczyłem to w twarzy tamtej ślicznej Latynoski i wielkich, czarnych literach zdobiących przód jej bujnej piersi.

Tutaj pracuje Bóg.

Otwieram oczy o piątej rano i natychmiast zrywam się z łóżka. Włączam lampkę na nocnym stoliku i odłączam telefon z ładowarki, żalując, że w tym głównianym hotelu nie ma obsługi ani ekspresu do kawy, bo w ogóle nie zmrużyłem oka.

Komendantowi nie spodobał się mój raport. Twierdzi, że był zrobiony po łebkach i napisany w jednej trzeciej czasu, który powinienem był nad nim spędzić. Oznajmił mi to wszystko w długiej, krzykliwej wiadomości na poczcie głosowej, którą zakończył odsunięciem mnie od sprawy. Zamierza przekazać śledztwo w ręce detektywa Phillipsa. Gdybym nie był na maksa wkurwiony tym faktem, to poczułbym się urażony. Phillips to wyrobnik. Obibok stosujący podejrzane metody i mający zaledwie pięćdziesięcioprocentowy wskaźnik skuteczności. Muszę wracać do Pine Bluff, i to natychmiast, jeśli chcę, by sprawa Sabine trafiła w dobre ręce.

Dostaję powiadomienie na telefon i przeglądam pojawiające się na nim maile. Wśród powiadomień z Facebooka, reklam implantów penisa i okien spełniających wymogi najwyższej efektywności energetycznej zauważam wiadomość od Jade, na którą od dawna czekałem. Klikam w nią kciukiem.

Trzy z czterech jednorazówek zostały wykorzystane i wyrzucone, ale jedna nadal jest aktywna, ta kończąca się numerem 607. Nie wykonano z niej żadnych połączeń, ale logowano się do sieci dzięki Wi-Fi hotelu przy autostradzie w Atlancie. I wiesz co? Mają tam mikrokomórkę. Zadzwoń, kiedy będziesz gotowy, żeby tam pojechać, a ja pomogę ci namierzyć ją w czasie rzeczywistym. – J.

Rzucam telefon na łóżko i wchodzę pod prysznic.

Trzydzieści minut później siedzę już za kółkiem wynajętego samochodu, a w uchwycie na kubki paruje kawa. Ulice zapełniają się porannym ruchem, spowalniając jazdę w kierunku pensjonatu. Gdy w końcu docieram na English Street, robię szybki rekonesans po okolicy, po czym parkuję pod dereniem i obserwuję wychodzących z budynku mieszkańców. Trójka facetów z kanapy, ubranych w robocze ciuchy budowlańców, ludzie w kuchennych strojach, ktoś z fartuchem przerzuconym przez ramię, śliczna Latynoska z włosami związanymi w kucyk i tą samą koszulką, którą miała na sobie poprzedniego wieczora. Skręca w kierunku wiekowego gruchota zaparkowanego na ulicy, rozglądając się dokoła, jakby kogoś szukała. Wsiada do auta i odpala silnik, który zaskakuje dopiero za trzecim razem, wystrzeliwując chmurę czarnego dymu. Uruchamiam samochód z wypożyczalni i jadę za nią.

Dziewczyna kluczy po dzielnicy i wyjeżdża na drogę międzystanową, a ja trzymam się kilka samochodów dalej. Wiem, dokąd jedzie. Zdążyłem już sprawdzić trasę od pensjonatu do kościoła. Jedzie do niej jak po sznurku. Jedyłą rzeczą, która trochę mnie zaskoczyła i trochę rozczarowała, był fakt, że jedzie sama. To, jak spojrzała na mnie zeszłego wieczoru... Ona coś wie. Jestem tego pewien.

Skręca w prawo na podjazd przed kościołem, a ja jadę prosto, gapiąc się na niego z rozdziawionymi ustami przez boczną szybę. Budynek jest olbrzymi. Prawdziwy kolos wzniesiony z cegieł i beżowego kamienia, robiący naprawdę ogromne wrażenie. Moloch bijący na głowę inne molochy. Wypełnia całe wsteczne lustro, gdy robię zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymuję się na parkingu po drugiej stronie ulicy. Znajduję miejsce przy drodze, gaszę silnik i sięgam po telefon.

Po incydencie z drag queen postanawiam obrać dzisiaj inną taktykę. Zeszłego wieczoru poszperałem trochę na stronie internetowej kościoła i znalazłem idealną przykrywkę – wyprawę misyjną mającą na celu zbudowanie szkoły w Gwatemali tej jesieni oraz prośbę o pomoc

uzdolnionych wolontariuszy w realizacji tego celu. Nie znam się na budowlance, ale wiem, jak trzymać młotek i wbić parę gwoździ.

Gdy tylko wybija dziesiąta, odpalam silnik i pokonuję pięć pasów ruchu.

Blondynka siedząca w recepcji ma akcent równie słodki, co jej różowa bluzka i soczyste gruszki. Elegancki i wyrafinowany, jak u bogatej właścicielki plantacji z drzewami porośniętymi oplątwą. Mówi mi, że ma na imię Charlene.

Opieram łokieć o biurko, a ona czerwieni się pod wpływem mojego spojrzenia.

– Miło mi cię poznać, Charlene. Jestem Marcus. Widziałem na waszej stronie, że poszukujecie ochotników do misji w Ameryce Środkowej. W jakim to miało być kraju? W Kostaryce?

– Gwatemali.

Pstrykam palcami.

– Dokładnie tak. Tak się akurat składa, że prowadzę firmę budowlaną w Macon, razem z grupą utalentowanych i entuzjastycznie nastawionych chłopaków, którzy chcieliby zrobić coś dla społeczeństwa. Pomyślałem sobie, że dacie im na to szansę, ja dam im parę dni wolnego, i w rezultacie wszyscy będą zadowoleni.

Charlene składa dłonie na biurku i pochyla się nad nim.

– O mój Boże, to... to niesamowite! Wielebny na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać.

Łopoczące rzęsy. Powłóczyście spojrzenia. Błysk nadziei w jej oczach, gdy uśmiecha się do mnie. Ta kobieta czegoś chce i wyraźnie daje mi to do zrozumienia, ale nie jestem ani trochę zainteresowany – nie wtedy, gdy jestem tak blisko swojego celu.

Wskazuję palcem na długi korytarz po prawej.

– Czy wielebny jest u siebie?

Charlene prowadzi mnie krótszym korytarzem, zatrzymując się przed drzwiami na samym końcu.

– Wielebny, pewien pan przyszedł tu w sprawie misji w Gwatemali.

– Niech wejdzie – odzywa się głos z głębi pokoju. – I przynieś nam kawę, jeśli możesz.

Charlene odwraca się do mnie z zalotnym uśmiechem.

– Już przynoszę.

Mężczyzna siedzący za biurkiem jest wysoki i szczupły, o zapadniętych policzkach maratończyka. Wstaje i wyciąga w moją stronę chudą rękę.

– Wielebny Erwin Andrews. Jak pan sobie radzi z młotkiem?

– Marcus Durand z Durand Constructions. Umiem wbić gwóźdź w trzech uderzeniach. Tak jak reszta moich pracowników. Jest nas siedmiu, wliczając w to mnie.

– Czy któryś z was mówi po hiszpańsku?

Parskam śmiechem.

– Nie wiem, co wielebnemu wiadomo na temat branży budowlanej w tym kraju, ale *każdy* z nas potrafi mówić po hiszpańsku.

– *Excelente* – mówi, klepiąc się po udach. – A co z muzyką?

– A co ma być?

– Śpiewa pan? Gra na jakichś instrumentach? Przydałby się nam ktoś grający na gitarze basowej. Banjo byłoby jeszcze lepsze. Zawsze szukamy nowych osób do chóru.

Ten facet jest niemożliwy. Ubrany w polówkę i z włosami jak po wizycie u fryzjera, w niczym nie przypomina surowego i poważnego ojca Iana. Domyślam się, że wielebny nie złożył ślubów ubóstwa.

Kręcę głową.

– Nie, przykro mi. Ale moja żona całkiem nieźle gra na pianinie. A przynajmniej grała.

– W takim razie proszę ją przyprowadzić. Jestem pewien, że udałoby się nam zdobyć pianino.

Przez następne pół godziny omawiamy szczegóły wyjazdu, terminy, koszty i obowiązkowe szczepienia, z czym nie powinno być żadnego problemu. Facet jest gadatliwy, więc przytakuję, uśmiecham się i udaję, że słucham, podczas gdy tak naprawdę czekam na odpowiedni moment. Ta chwila nadchodzi, gdy wielebny odprowadza mnie do drzwi.

– Och, prawie bym zapomniał – mówię po zastanowieniu. – Chyba minąłem się w korytarzu z kimś, kogo znam, ale ta pani zniknęła, zanim udało mi się ją dogonić. To sąsiadka mojej znajomej, która mieszka w jednym z domów przy English Street. Tego wzrostu, bardzo ładna. Latynoska.

Wielebny wyraźnie się ożywia.

– Założę się, że mówi pan o Martinie. Tak, pracuje u nas już od sześciu miesięcy. Wspaniała dziewczyna, naprawdę wspaniała.

Kiwam głową, uśmiechając się.

– Tak, to ona. Proszę ją ode mnie pozdrowić. I jej przyjaciółkę też. Nie pamiętam imienia.

– Ma pan na myśli Beth? Ona i Martina są nierozłączne. A przynajmniej było tak aż do niedawna. Obawiam się, że nie mogę powiedzieć nic więcej o zaistniałych okolicznościach.

Unoszę brwi, starając się nie pokazać po sobie, że właśnie skoczyło mi ciśnienie.

– Mam nadzieję, że wszystko jest okej.

Po minie wielebnego poznaję, że jednak jest odwrotnie.

– Modlę się, aby tak było. Proszę, aby zrobił pan to samo, jeśli to nie kłopot.

– Załatwione.

Ściskam jego dłoń na pożegnanie, jeszcze raz dziękuję i obiecuję wysłać mu mailem listę nazwisk i numery paszportów w ciągu kilku następnych dni. Wracam pośpiesznie do samochodu, a jedno słowo krzyczy w mojej głowie jak gwizdek przejeżdżającego pociągu.

Beth.

Suka nadała sobie imię Beth.

BETH

Motelowy pokój 303 jest tak beznadziejny jak przypuszczałam. Ciemna, wilgotna nora cuchnąca dymem papierosowym i niemytymi ciałami. Narzuta na łóżku to relikw z lat 80. Wytarta płachta materiału w kwiecisty wzór upstrzona plamami, nad pochodzeniem których nie chcę się zbyt długo zastanawiać, dlatego spałam w ubraniu, zwinięta w kłębek pod szorstkim ręcznikiem kąpielowym, który rozłożyłam na wierzchu. Klimatyzator pod oknem stukał i rzeźił przez całą noc, ale przynajmniej zagłuszył hałasy dobiegające z sąsiedniego pokoju.

Zwlekam się z łóżka i wyłączam urządzenie. W pokoju zapada cisza. Moi sąsiedzi po obu stronach ścian nadal śpią po tym, co wstrzyknęli sobie wczoraj w żyły. Wyglądam przez zasłonki na korytarz. Jest pusty. W oddali świeci prażące słońce, zalewające parking palącymi promieniami. Nie bez powodu ludzie nazywają to miasto Hotlanta.

Pozostałości po mojej wczorajszej metamorfozie stoją na wąskiej, szklanej półce w mikroskopijnej łazience. Widać je w rozmazanych śladach na mojej twarzy. Makijaż w stylu emo, podkreślone czarnym eyelinerem oczy i ciemne usta, których żadna ilość mydła nie była w stanie domyc do czysta. Do tego dochodzą włosy w kolorze, który nie występuje w naturze. Na opakowaniu napisano, że uzyskam głęboki, czerwono-brązowy kolor, ale składniki chemiczne farby w kontakcie z moimi krótkimi włosami sprawiły, że zamiast olśniewającego kasztanu wyglądam jak klaun Bozo o wściekle czerwonych włosach. Kretyńsko, ale kompletnie nie do poznania.

Myję zęby i wracam do łóżka. Wyciągam z pudełka nowy komputer i uruchamiam go po raz pierwszy. Przechodzę przez kolejne kroki konfiguracji, zatrzymując się przy podaniu danych. Nazwisko. Adres e-mail. Lokalizacja. Każde z nich wydaje się pułapką. Każda odpowiedź jest jak potencjalna mina. Myślę o ludziach, którzy mnie szukają – wielebny, Erwin Czwarty, Martina, ty – i nakazują sobie ostrożność.

Gdy aktywacja komputera dobiega końca, loguję się do sieci za pomocą kodu, który dostałam w recepcji. Możesz sobie mówić, co tylko chcesz o tej zapyziałej dziurze, ale Internet mają tu pierwszorzędnym. I szybki jak błyskawica.

W pasku wyszukiwania wpisuję adres lokalnej gazety z Pine Bluff. Chwilę później na ekranie pojawia się artykuł o Sabine. Najważniejsza wiadomość dnia. Czytam nagłówek nad jej zdjęciem, a powietrze w pokoju zamiera.

Znaleziono zwłoki zaginionej kobiety z Pine Bluff.

Fala mdłości eksploduje w moim żołądku, torując sobie drogę do gardła. Powstrzymuję ją, przyciskając rękę do ust, ale włożony w to wysiłek sprawia, że oblewam się zimnym potem.

Sabine nie zaginęła.

Nie ukrywa się.

Ona *nie żyje*.

Świadomość tego faktu uderza we mnie szybko i gwałtownie. Kręci mi się w głowie. Czuję się, jakbym spadała, jakbym nie do końca potrafiła utrzymać się na łóżku. Widzę twarz Sabine na ekranie telewizora wielebno i za każdym razem, kiedy szukałam w Internecie więcej informacji, modląc się, by była bezpieczna. Zginam się w pół, obejmując się w pasie rękami i walcząc z niespodziewanym uciskiem w klatce piersiowej. Czy właśnie tak wygląda atak serca?

Prawda jest taka, że mogłam się tego spodziewać. Od chwili, w której dowiedziałam się o zaginięciu Sabine, rozpaczliwie próbowałam dotrzeć do nowych informacji w jej sprawie. Strach narastał we mnie całymi dniami, czając się za dnia w mrocznych zakamarkach mojego umysłu i nie dając mi spokoju nocami, kiedy leżałam na łóżku trapiąca zmartwieniami zbyt wielkimi, zbyt przerażającymi, by w ogóle zasnąć. Zanosilo się na to od samego początku. Podskórnie zawsze wiedziałam, że do tego dojdzie.

W korytarzu na zewnątrz dwóch mężczyzn próbuje dobić targu w sprawie narkotyków. Spierają się o cenę, dyskutują o jakości produktu, ale ich głosy są stłumione przez szum krwi w moich uszach. Wyłapuję tylko pojedyncze słowa, fragmenty zdań podobnych do tych, które przewijają się na laptopie.

Zwłoki. W stanie zaawansowanego rozkładu. Autopsja.

Zrywam się na równe nogi i zaczynam chodzić w tę i w tę przed

łóżkiem. Jak mogłam być tak głupia i myśleć, że to się skończy wyłącznie na mnie? O ucieczce przed przeszłością, przed tobą? Byłam gotowa walczyć o wolność, zapłacić za nią krwią i połamanymi kośćmi, ale nawet przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że mogę nie być twoją jedyną ofiarą.

Siadam ciężko na łóżku, a pod powiekami zbierają mi się gorące łzy. Biedna, kochana Sabine. Resztę artykułu czytam w częściach, z narastającym przerażeniem przetrawiając szczegóły.

Sabine została uduszona. Jej kark uległ złamaniu w dwóch miejscach, kości i tchawica zostały zmiażdżone. Jej zwłoki obciążono i wyrzucono do stawu przy autostradzie numer 133, gdzie rozkładały się od co najmniej tygodnia, może dłużej. Coś – motorówka albo jakieś zwierzę – uwolniło ją z podwodnego grobu, a ona kołysała się na wodzie, dopóki myśliwi ze swoim ogarem nie znaleźli jej w szuwarach, odwróconą twarzą ku wodzie. Jej zwłoki zostały rozszarpane przez myszołowy.

Myszołowy. O mój Boże.

Wyobrażam sobie ciało Sabine rozkładające się na dnie jakiegoś przypadkowego stawu, a obraz sprawia, że zaczyna brakować mi tchu. Przez chwilę nie jestem w stanie się ruszyć ani *myśleć*, a potem mój mózg wskakuje na najwyższe obroty, gdy przypominam sobie twarze ludzi, których widziałam w wiadomościach. Zdruzgotany doktor. Siostra bliźniaczka Sabine. Jej mąż. Ludzie, którzy ją kochali, modlili się za nią i chcieli, aby wróciła. Serce mi pęka pod wpływem świadomości, że wyobrażają sobie dokładnie to samo.

Chowam twarz w dłoniach i daję upust łzom, płacząc z powodu Sabine, jej przyjaciół, rodziny i siebie samej. Z powodu własnego cierpienia, wściekłości, przerażenia i poczucia winy. Głównie poczucia winy.

Wiem, że to nie Jeffrey zacisnął palce wokół jej gardła. Nie on miażdżył je do momentu, aż pękły dwie kości, i nie on zostawił ją na pożarcie myszołowom.

Wiem, że to byłeś ty.

BETH

DZIESIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

Przykucnęłam za krzakiem jałowca, obserwując balony kołyszące się nad szyldem z napisem „Prezentacja domu”, i czekałam, aż wszyscy wyjdą. Grupka agentek nieruchomości o blond włosach i na niebotycznych obcasach, starsza para, którą rozpoznałam z kościoła, jakiś przybłęda z kieszeniami pełnymi jedzenia. Sabine powiedziała mi, że zawsze trafiają się jakieś łajzy. Mówiąc to, zanosila się śmiechem, zupełnie jakby nic jej nie obchodziło, że obcy ludzie wpadali na prezentacje wyłącznie z zamiarem zwinięcia paru przekąsek. Pomyślałam wtedy, że jest taka miła, wyrozumiała i hojna, i to jeszcze zanim zaoferowała mi swą pomoc. Chodzi o to, że czekałam, aż wszyscy wyjdą.

Gdy znów zrobiło się cicho, wychyliłam głowę ponad gałązki i przeczesalam wzrokiem ulicę. Żadnych samochodów, żadnych przechodniów wyprowadzających swoje psy w tym upale. Słyszeć jedynie odgłosy wydawane przez przejeżdżające w oddali auta. Mimo to, czekałam i obserwowałam. Siedem lat spędzonych z tobą nauczyło mnie, że ostrożności nigdy za wiele. Gdy w końcu miałam pewność, że jest bezpiecznie, wyskoczyłam z krzaków i podbiegłam do bocznych drzwi.

Kiedy weszłam do kuchni, Sabine wkładała resztki ciasteczek do plastikowego pojemnika. Zobaczyła mnie i wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Co ty tu robisz? Wszystko w porządku? O mój Boże, nie ruszaj się. Natychmiast odsuń się od okna.

Przegoniła mnie z widoku i przebiegła obok, stukając obcasami o marmurową podłogę. Usłyszałam metaliczny szczęk zamka we frontowych drzwiach. Po dwóch sekundach była już z powrotem. Otaksowała mnie wzrokiem, szukając skaleczeń i siniaków.

– Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?

– Bolał mnie zebra – powiedziałam, osłaniając dłonią prawy bok – ale nie złamałam.

Wszyscy inni spytaliby, skąd mogę o tym wiedzieć, ale nie Sabine. Ona wiedziała, co mi zrobiłeś. Za każdym razem, kiedy zrzuciłeś mnie ze schodów, każde uderzenie, kopniak, ugryzienie, wstrząsy mózgu i złamane zebra. Wiedziała, do czego jesteś zdolny, a i tak mi pomogła.

Pamiętasz w ogóle, jak ją poznaliśmy? Założę się, że nie. Sabine była agentką pośredniczącą w sprzedaży tamtego domu przy Hillcroft Street, który oglądaliśmy w zeszłym roku. Nie było nas stać, ale ty strasznie chciałeś go kupić, a ja wiedziałam, że lepiej nie mówić o tym na głos. Dwa tygodnie później zrobił to za mnie bank hipoteczny. Gdy odrzucili nasz wniosek o kredyt, wpadłeś w taki szal, że kopnąłeś mnie w głowę.

Pewnie nie pamiętasz Sabine, bo byłeś zajęty paradowaniem po domu, zachwycaniem się wysokimi na cztery metry sufitami, granitowymi blatami i kuchnią pełną lśniących sprzętów, których i tak nigdy byśmy nie użyli. Ale ja zauważyłam. Zauważyłam, że jej uśmiech był zbyt szeroki, a oczy smutne, to, że na jednej stronie twarzy warstwa jej makijażu była o wiele grubsza, i sposób, w jaki bez przerwy dotykała policzka, zupełnie jakby bolał ją ząb.

„Ona jest taka jak ja”, pomyślałam wtedy. „Jej mąż jest taki sam jak mój”.

Kiedy wszedłeś na strych i zacząłeś sprawdzać krokwie i przewody, spytałam, czy nic jej nie jest.

– Nie, wszystko w porządku – odparła, ale nie chciała spojrzeć mi prosto w oczy. Uśmiechnęła się wymuszenie, zupełnie jak ja, gdy ludzie zadawali mi identyczne pytanie. – Serio, nic mi nie jest.

Słyszałam dudnienie twoich kroków nad głową, gdy tak chodziłeś napuszony jak paw i przekonany o swojej wyższości, choć w rzeczywistości nie miałeś zielonego pojęcia, na co patrzysz, a ja wiedziałam, że mam mało czasu.

Zacisnęłam dłoń na jej nadgarstku i wyszeptałam:

– Mój mąż robi to samo. – Oczy Sabine rozszerzyły się pod wpływem szoku i zrozumienia. – On też robi mi krzywdę.

Przysięgam na Boga, nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałam. Aż do wtedy nie wyjawiałam prawdy nikomu, nawet własnej siostrze, ale tamtego dnia słowa po prostu wyszły z moich ust. W końcu odważyłam się

otworzyć te ciężkie, metalowe wrota, które, jak mi się wydawało, ochraniały mnie, i zdradziłam komuś naszą małą przykrą tajemnicę. Kolana ugięły się pod mną pod wpływem ulgi, która mną zawładnęła.

Minęło wiele miesięcy, nim ponownie na nią wpadłam, w alejce z szamponami w drogerii. Powiedziała mi, że jej mąż stał się zupełnie innym człowiekiem. Przynosi jej rano kawę, chowa słodkie liściki do aktówki, dzwoni bez powodu. „Bardzo się starał”, powiedziała z przyklejonym do twarzy, sztucznym uśmiechem, a ja poczułam, jak lód ścina mi krew w żyłach, a palce zaczynają mrowić z zimna. Spojrzałam na Sabine i ujrzałam siebie sprzed wielu lat. Jeszcze z czasów, kiedy nie wiedziałam, że uderzenie na odlew grzbietem dłoni to dopiero początek, a nie koniec spirali przemocy.

Ujęłam jej dłoń i ścisnęłam tak mocno, że poczułam, jak kości przesuwały się pod jej skórą.

– Oni już tacy są, Sabine. Tworzą idealne, przepełnione szczęściem momenty na wypadek, gdyby znowu nadszedł jeden ze złych, bo wtedy my będziemy pamiętać wyłącznie o idealnych i zostaniemy.

Zrozumienie, które odmalowało się na jej twarzy, było identyczne jak to, które rozkwitło w mojej piersi. Żadna kobieta nie chce przyznać, że jej małżeństwo się rozpadło. Pragniemy kochać osobę, którą niegdyś pokochałyśmy. Chcemy żyć nierealnymi marzeniami. Długo i szczęśliwie, jak w bajce. Odejście jest równoznaczne z przyznaniem się do porażki.

Jednak w tamtej chwili w drogerii, gdy ostrzegałam obcą kobietę, by nie poszła w moje ślady, zrozumiałam, że muszę zrobić to samo. Ja też musiałam zejść z utartego szlaku. Musiałam przełamać spiralę czułości i brutalności, nawet jeśli oznaczałoby to dla mnie morze bólu i cierpienia.

Sabine pomogła mi w wymyśleniu całego planu – podkradaniu pieniędzy na zakupy, sprawieniu, żebyś myślał, że pojechałam w jakieś miejsce, choć w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie, podpowiedziała mi, żebym zmieniła nazwisko i kolor włosów, ukryła się na widoku. Zaczęła chodzić do przytułków i schronisk jako wolontariuszka, zarówno w swojej, jak i mojej sprawie. Zadawała pytania mieszkającym tam kobietom, dowiadywała się, jakie sztuczki i metody działały, a przez jakie kobiety ginęły. Była jak studentka studiów magisterskich pisząca dysertację, skupiona i dokładna.

Swoimi odkryciami dzieliła się ze mną w różnych miejscach – w szatni

na siłowni, przy fontannach w parku, w trakcie prowadzonych szeptem rozmów na stacjach benzynowych. Nigdy nie chodziłyśmy dwa razy w jedno miejsce i nigdy niczego nie zapisywałyśmy.

Zachowywałyśmy nadzwyczajną ostrożność, a mimo to i tak wpadłeś na jej ślad.

Jednak tamtego dnia w trakcie prezentacji domu przyszłam, aby się pożegnać.

– Wyjeżdżasz? Naprawdę zamierzasz zrealizować swój plan?

Jej oczy rozszerzyły się, podobnie jak za pierwszym razem, kiedy mnie zobaczyła, tyle że tym razem nie ze zdziwienia, ale z dumy. Choć na każdym kroku dopingowała mnie, żebym od ciebie odeszła, i powtarzała, że jestem w stanie to zrobić, wydaje mi się, że jakaś część niej nigdy nie podejrzewała, że się na to zdecyduję. Byłam z tobą o wiele za długo, więc nie sądziła, że kiedykolwiek się odważę.

Przytaknęłam.

– Tak.

– Wiesz już, dokąd pojedziesz?

Znow kiwnęłam głową. Do Tulsy, a potem okrężną trasą do Atlanty, ale zatrzymałam tę informację dla siebie. Sabine nie chciałaby poznać prawdy, a ja wolałabym jej tego nie mówić. I tak wiedziała już zbyt wiele.

– A co z jego przyjaciółmi? Policjantami, którzy mogą mieć na ciebie oko? Skąd możesz mieć pewność, że nie będą cię ścigać?

– Nie mam, ale cały wydział pojechał dziś na szkolenie do Little Rock. Zajęcia z kontroli nad gniewem. Ironia losu, prawda? Będą tam aż do szesnastej. Jeśli zastanawiałaś się kiedyś nad napadem na bank, to teraz nadszedł do tego dobry moment.

Parsknęła śmiechem.

– Skoro już mowa o bankach, ile masz pieniędzy?

– Niecałe cztery tysiące dolarów, wliczając sumę na karcie dla Nicka.

Sabine wiedziała o Nicku, bo to ona wpadła na pomysł, żeby go w to wciągnąć. To ona powiedziała mi, jak założyć konto, dzięki któremu wynurzył się Bóg jeden wie skąd. Ona nic nie mówiła, a ja nie pytałam, choć udzielała się już wtedy jako wolontariuszka w schronisku dla maltretowanych kobiet, więc miałam swoje podejrzania. Miałyśmy niepisaną umowę, by dzielić się wyłącznie najpotrzebniejszymi informacjami, niczym więcej. Sabine mieszkała tu przez całe życie

i zdawała sobie sprawę z władzy, jaką masz w tym mieście, i ilu ludzi może nas obserwować. Im mniej o sobie wiedziałyśmy, tym lepiej.

Zaczęła szperać w torebce, wyciągając z portfela plik wygniecionych banknotów.

– Masz. To wszystko, co przy sobie mam, ale chcę, żebyś to wzięła. – Gdy nie wyciągnęłam od razu ręki po pieniądze, pomachała nimi w powietrzu. – Proszę. Jeśli je weźmiesz, będę się o ciebie mniej martwić.

Schowałam pieniądze do kieszeni, bo prawda była taka, że ich potrzebowałam. Cztery tysiące dolarów nie starczą mi na długo.

Jeśli chodzi o moją relację z Sabine, pieniądze były ostatnią rzeczą, za którą mogłam być jej wdzięczna. Nie tylko wręczyła mi mapę na nową drogę życia z dala od ciebie, ale powiedziała, że jestem na tyle silna, że będę w stanie nią podążać. Powiedziała, że nie tylko powinnam to zrobić, ale że *mogę*. Nie chodziło o to jedno zdanie, ale o milion dodających otuchy słów nakładających się na siebie. Sabine we mnie wierzyła i nauczyła mnie, by w siebie wierzyć. To dzięki niej odzyskałam władzę nad samą sobą.

– Odplacę ci się – powiedziałam. – Nie chodzi tylko o pieniądze, ale o wszystko. Jeszcze nie wiem jak, ale przysięgam, że pewnego dnia odwdzięczę ci się za całą twoją dobroć.

– Och, daj spokój. – Uśmiechnęła się, a oczy jej pojaśniały. – Kiedy zaczęłyśmy rozmawiać o tym po raz pierwszy, nie sądziłam, że doprowadzisz sprawę do końca. Myślałam, że będzie potrzebna jakaś katastrofa, by oderwać cię od niego, ale spójrz tylko na siebie. Jestem z ciebie cholernie dumna.

Powinnam była powiedzieć mnóstwo innych rzeczy. Że miała w sobie na tyle dużo siły, że zdecydowała się odejść od męża, zanim przemoc zaczęła pojawiać się regularnie. Że kiedy okazała mi wsparcie, oddała mi część swojej siły. Że jej duma i przyjaźń uczyniły mnie odważniejszą niż kiedykolwiek. Że zawdzięczam jej dosłownie wszystko.

Myślałam wtedy, że zostało mi mnóstwo czasu.

– Dziękuję – powiedziałam zamiast tego. – Nigdy nie zapomnę o wszystkim, co dla mnie zrobiłaś.

– Uważaj na siebie, dobrze? I postaraj się odnaleźć znowu szczęście. To najlepsze podziękowania, jakie kiedykolwiek mogłam usłyszeć.

Uściskałyśmy się, a potem ona wypchnęła mnie za drzwi. Uciekłam

przez boczny ogródek. Zanim zniknęłam za krzakami, odwróciłam się po raz ostatni i zobaczyłam ją w oknie w kuchni, dumną i pełną nadziei.

Wtedy po raz ostatni widziałam Sabine.

BETH

Nie miałam zamiaru zasypiać, ale wiadomości o Sabine strasznie mnie wyczerpały, wysysając ze mnie całą energię, emocje i łzy. Siły zostało mi już tylko na ściągnięcie dzinsów i umycie zębów. Osuwam się na łóżko we wczorajszej koszulce i zasypiam w momencie, w którym moja głowa dotyka brudnej poduszki.

Krzyki na korytarzu sprawiają, że gwałtownie otwieram oczy. Słyszę gwar podniesionych głosów tuż za drzwiami swojego pokoju. Podrywam się z łóżka, zanim jeszcze dociera do mnie, że się obudziłam. Rozlega się krzykliwy damski głos. Chodzi o pieniądze. W odpowiedzi rozlega się niski pomruk, stłumiony i bełkotliwy, ale kobieta nie owija w bawełnę. Coraz bardziej podnosi głos, a jej wrzaski wstrząsają szybami w oknie.

Sprawdzam czas na telefonie. Jest parę minut po czwartej.

– Zamknij się, do kurwy nędzy! – drze się ktoś zza ściany.

To mój sąsiad, kościsty Afroamerykanin. Niestety, jego wysiłek idzie na marne. Ludzie na zewnątrz nadal obrzucają się przekleństwami i grożą poważnymi uszkodzeniami ciała. Stawką jest czterdzieści dolców. Każda ze stron jest przekonana, że pieniądze należą się właśnie jej.

Kłótnię wieńczy głośny huk, po który następuje seria trzech kolejnych wystrzałów, a ja przypadam do podłogi. W całym zamieszaniu słyhać kroki. Ktoś ciężki zaczyna uciekać w dość hałaśliwy sposób, a na korytarzu robi się cicho. Odklejam się od brudnego dywanu, podnoszę rąbek zasłonki i zerkam na zewnątrz.

Za drzwiami mojego pokoju co chwila mruga światło. Chyba doszło do krótkiego spięcia w przewodzie elektrycznym. Normalnie powinni dołączać do niego jakieś ostrzeżenie wywołania ataku padaczki. Z tego co widzę, na korytarzu nie ma żadnych ciał ani krwi.

Opuszczam zasłonkę i pełzną pod oknem w stronę drzwi, przyciskając jedną połowę ciała do ściany. Cisza trwa już jakieś trzy minuty, przechodząc do pięciu. Odpycham się od ściany i zakładam dzinsy

z wprawą jadącego na akcję strażaka.

Cisza przedłuża się, ale adrenalina szalejąca w moich żyłach mówi mi, że już nie zasnę, więc odpalam laptopa i wchodzę do sieci. Równie dobrze mogę zabrać się do pracy.

Praca. Zabawne, że zaczęłam uważać moje internetowe wojaże za pracę – przeszukiwanie strony posterunku policji w Pine Bluff i jego profilu na Facebooku, monitorowanie wiadomości i policyjnego pasma radiowego. Odkąd dowiedziałam się o Sabine, co rusz przeskakiwałam z jednej strony na drugą, szukając informacji i czekając.

Pogrzeb Sabine został zaplanowany jeszcze na dzisiaj. Msza w kościele baptystów ma się odbyć bez miejsc siedzących, a po niej nastąpi prywatna ceremonia pogrzebowa w parku Memorial z udziałem jej męża, kochanka i siostry, z których żadne nie potrafi się ze sobą dogadać. Ingrid pozwała Jeffreya do sądu z powodu pieniędzy na kontach Sabine, a Jeffrey wniósł kontrpozew, aby je zatrzymać. Trevor nie chce żadnych pieniędzy, tylko kilku rzeczy osobistych: zdjęć na jej laptopie, pierścionka, który nosiła w chwili śmierci, oraz zabytkowej wazy, którą kupili w trakcie potajemnego, weekendowego wypadu. W odpowiedzi na jego prośbę Jeffrey pozwał Trevora na półtora miliona dolarów odszkodowania, obwiniając go o rozpad ich małżeństwa. Serce mi się ściska, gdy pomyślę o Sabine, która byłaby wstrząśnięta ich nedorzecznym awanturami.

Zatrzymuję się przy informacji wybijającej się ponad monotonne powiadomienia o drobnych kradzieżach i zgłoszeniach podejrzanych osób. Znaleziono kolejne ciało. Jakiś mężczyzna został postrzelony w głowę w zaułku w centrum miasta. Według jednego ze świadków zdarzenia ofiara poniosła śmierć w wyniku nieudanej transakcji narkotykowej. Odprężam się odrobinę i zanoszę laptop do łazienki.

Nakładam odżywkę na spalone farbowaniem włosy, gdy nagle słyszę twoje nazwisko i numer odznaki. Operator centrali wzywa cię na miejsce zdarzenia, a moje dłonie nieruchomieją na włosach. Odsuwam na bok zasłonkę i wychylam głowę, nasłuchując twojego głosu, ale w nasłuchu radiowym odzywa się ktoś inny. Twój kumpel policjant, który przyjmuje wezwanie.

Spłukuję włosy i wycieram je w pośpiechu ręcznikiem.

Wyjeżdżając z Pine Bluff, wiedziałam, że w końcu i tak mnie znajdziesz. Odnajdywanie ludzi to twoja praca, a ja zostawiłam wystarczająco dużo

wskazówek, by ci to ułatwić – a już na pewno sprawić przyjemność. Oczami wyobraźni widzę, jak siedzisz w aucie jadącym do Atlanty, gratulując sobie w duchu, że udało ci się mnie dopaść, tak jak przewidziałam. Dopóki żyję, nie pozwolisz mi odejść.

Zarzucam torbę na ramię i wyglądam na zewnątrz. Czysto.

Powiedziałeś mi, że jestem głupia, że bez ciebie sobie nie poradzę. Bardzo długo w to wierzyłam. Jestem jednak o wiele sprytniejsza, niż ci się wydaje. Sabine mnie tego nauczyła. Wiem, że każde wejście na stronę zostawia dla Jade ślad. Wiem, że choć wielebny jest dobrym i wybaczącym człowiekiem, już dawno zgłosił kradzież pieniędzy. Raporty policyjne to kolejne wskazówki, tak samo jak zarzuty obarczające kobietę z fałszywym nazwiskiem czy podrobiony dowód tożsamości z moim zdjęciem. Podejrzewam, że nie ma cię już w Pine Bluff, o ile wierzyć policyjnemu radiu. Równie dobrze mogłeś dotrzeć na miejsce. Gdy tylko zamknę oczy, czuję na szyi twój oddech i wiem, że depcesz mi po piętach.

Kiedy po mnie przyjdiesz, będę gotowa.

Za pomocą nawigacji w nowym telefonie udaję się prawie trzydzieści kilometrów na północ, do parku wychodzącego na rzekę Chattahoochee. Podchodzę do brzegu i spoglądam na wodę. Widok jest jednocześnie znajomy i rozczarowujący. Rzeka, nad którą mieszkaliśmy, jest dzika, pełna niebezpiecznych, nieprzewidywalnych prądów, które wdzierają się do ogródków i zalewają farmy, gdy tylko spadnie deszcz. W odróżnieniu od tamtej, wody tej rzeki toczą się leniwie. Wstęga brązowych wód opływa łagodnie kamienie i muska czerwone, gliniaste brzegi. Na głazach leży powalone drzewo, sięgające niemalże na drugi brzeg.

Wyjmuję z torby starą komórkę, jedną z kilku jednorazówek, które kupiłam w Pine Bluff, i patrzę na ciemny ekran. Nie musiałam jechać aż taki kawał drogi. Mogłam wyrzucić ją do śmietnika po drugiej stronie miasta albo oddać jakiemuś włóczędze, tak jak zrobiłam to w przypadku trzech pozostałych. Podobało mi się, że osoba, która je namierzała, tak naprawdę szukała wiatru w polu, ale podobnie jak wybór restauracji McDonald's na spotkanie z Nickiem, wydało mi się odpowiednim pomysłem, by złożyć ją do wodnego grobu. Ten pościg zaczął się wzdłuż brzegu rzeki i na nim się zakończy. Idealna symetria.

Biorę zamach ramieniem, ale nieoczekiwana fala nostalgii sprawia, że

trudno mi oderwać palce od urządzenia. To ostatnia rzecz, która łączy mnie ze spotkanymi tu ludźmi, panną Sally, wielebny i Martiną. Jeśli próbowali się ze mną skontaktować, wiadomości od nich na pewno pojawią się w telefonie.

Włączam go po raz ostatni, czując ostre szarpnięcie w okolicach serca, gdy telefon łapie sygnał od pobliskiego nadajnika, choć zanim ktokolwiek zdąży go namierzyć, mnie już dawno tu nie będzie. Telefon piszczy, a chwilę później zaczynają napływać wiadomości. Nieodebrane połączenia, esemesy od wielebnego, na które nie odpisałam, oraz kilku innych numerów, których nie znam. Znajduję numer, którego szukałam, i stukam w niego palcem.

Dwie nieodczytane wiadomości od Martiny oraz jedno zdjęcie.

Zdjęcie jest pierwsze w kolejności, a widok tego, co przedstawia, sprawia, że oddech więźnie mi w gardle. To ty, stojący tyłem do aparatu, schodzący po schodach kościoła. Zrobiła je pod dziwnym kątem, przez szybę okna w jednym z biur administracji, ale poznaję twoje włosy, kształt ucha i koszulę, którą kupiłam ci w zeszłe Boże Narodzenie. Twoje zdjęcie wstrząsa mną do szpiku kości.

Jesteś tutaj.

Przewijam dalej, napotykając kolejną wiadomość:

To przed nim uciekasz? Był tutaj i szukał cię.

Ostatnia wiadomość:

Rosa i Stefan to moje dzieci. Bliźniaki, które zostawiłam w Meksyku pod opieką mojej matki. Teraz twoja kolej.

Nie tak dawno temu powiedziałaś swojemu bratu Duke'owi, że jestem najgorszym strzelcem, który kiedykolwiek pociągnął za spust. Dopiero co wróciliśmy z jednej z naszych comiesięcznych wizyt na strzelnicy. Zawsze udawałam, że ich nienawidzę, choć tak naprawdę napełniały mnie nadzieją. Siłą.

– Środek tarczy – powiedziałaś, strofując mnie z powodu trzęsących się dłoni i kiepskiego celu. – Musisz celować w środek tarczy.

Kiwnęłam głową i strzeliłam w górny róg arkusza, zaginając papier jak

róg w książce. Czasem faceci ze strzelnicy litowali się nade mną. „Utrzymaj balans ciała”, podpowiadali, chwając moją poprawioną technikę kiwnięciem głowy. „Patrz prosto na cel i staraj się nie mrugać przy odrzucie”.

Uśmiechałam się i dziękowałam, czując, jak oczy pieką mnie od prochu i dezaprobaty – dla jasności: twojej, a nie ich. Im bardziej mnie krytykowałeś, tym bardziej chybiałam celu.

– Jesteś żoną policyjnego detektywa – mówiłeś po tym, jak kolejny wystrzelony przeze mnie pocisk kompletnie nie trafił w cel. – Tarcza wisi i nawet się nie rusza. Czy to naprawdę jest takie trudne?

Słyszę twoje słowa ta samo wyraźnie, jak za każdym razem, kiedy syczałeś mi je do ucha, i zastanawiam się, co byś powiedział, gdybyś stał obok mnie, na usianej dziurami drodze w południowej części Atlanty. W towarzystwie mężczyzny, który kazał mówić do siebie Clyde, i przy furgonetce pełnej broni, rozłożonej na wytartym dywaniku samochodowym jak pierwszorzędny towar. Dowiedziałam się o nim dzięki właścicielowi miejscowego lombardu po tym, jak przekonałam go, że myślę poważnie o kupnie broni.

– Ten – mówię do Clyde’a, wskazując na składanego siga P320.

Bierze pistolet i podaje mi go do ręki na zupełnym luzie, tak jakby wcale nie miał do czynienia z zabójczym kawałkiem metalu.

Oglądam lufę, obejmuję palcem spust i sprawdzam suwak. Przydałoby mu się porządne czyszczenie, ale przyjemnie czuć w dłoni jego ciężar. Jest lekki i solidny.

– Ile?

Clyde wzrusza ramionami.

– Dwieście.

O wiele mniej, niż normalnie zapłaciłabym w sklepie z bronią, choć to również mogłoby się nie udać z powodu fałszywego dowodu tożsamości.

– Masz drugiego?

– Drugi pistolet?

Mówi to oczywistym tonem, zerkając z ukosa na broń leżącą na tyłach furgonetki.

– Drugiego siga 320 – mówię, unosząc tego, którego trzymam w dłoni. – Interesuje mnie para.

– Chcesz kupić dwa sigi.

Przytakuję. Chcę kupić dwa sigi.

Wzruszając po raz kolejny ramionami, Clyde pochyla się nad rozłożonym towarem i zaczyna szperać w kartonowym pudle stojącym przy nadkolu. Sig, którego wyciąga, jest inny niż ten, który trzymam. Jeden jest czarny, a drugi czarno-srebrny, ale to nadal ten sam model.

– Trzysta pięćdziesiąt za oba.

Mogłabym się targować, ale biorąc pod uwagę to, że kupuję dwie sztuki niezarejestrowanej broni z tyłu jakiejś podejrzanego furgonetki, od gościa, który na pewno nie nazywa się Clyde, odliczam z pliku trzysta pięćdziesiąt dolarów i podaję mu do ręki.

– Potrzebujesz naboju?

Kiwam głową.

– Tylko jeden.

– Jedno pudełko?

– Jeden nabój.

Oczy Clyde'a rozszerzają się ze zdziwienia. Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Wiesz, że magazynek jest w stanie pomieścić piętnaście naboju?

Uśmiecham się, w ostatniej chwili powstrzymując się przed powiedzeniem mu, że wiem, jak posługiwać się bronią.

– Potrzebuję tylko jednego. Z wklęsłym czubkiem.

Taki pocisk może rozerwać człowieka na pół.

Wzruszając ramionami, Clyde wyjmuję z furgonetki pudełko naboju dziewięć milimetrów i podaje mi jedną sztukę.

– Na koszt firmy – mówi, a ja chowam pocisk do kieszeni.

Sęk w tym, że po tylu latach wyśmiewania na strzelnicy nauczyłam się paru rzeczy. Na przykład tego, że spust sigi sunie o wiele płynniej niż w modelu 357, na którym kazałeś mi ćwiczyć. Że wersja kompaktowa lepiej pasuje do mojej dłoni i kieszeni torby. Że jeśli skupię się na celu, a nie na kanonadzie wystrzałów innych strzelających ani na twoim gorącym oddechu na szyi, mogę oddać niemal idealny strzał. Że dłonie wcale mi się nie trzęsą, a powieki nie zamykają się odruchowo, chyba że postanowię inaczej.

Rozumiesz, co chcę ci przez to powiedzieć?

Wiem, jak się strzela, Marcus.

Ty mnie tego nauczyłeś.

BETH

Siedzę z powrotem w pokoju motelowym numer 313, wsłuchując się w monotonny szum policyjnego radia, gdy nagle dzwoni telefon. Dźwięk jest przenikliwy i przypomina oldskulowy dzwonek starego aparatu telefonicznego, który niemal podrywa do góry wiekowy, beżowy telefon z obrotową tarczą stojący na nocnym stoliku. Nachylam się nad łóżkiem i podnoszę słuchawkę, jednym okiem wpatrując się w drzwi.

– Halo?

– Ej, tu Terry z recepcji. Na parkingu stoi bordowy buick na blachach z Arkansas. To twoja bryka?

Ześlizguję się z łóżka i podnoszę słuchawkę dwoma palcami, rozciągając kabel na tyle, na ile się da w stronę okna. Zasłony nadal są zaciągnięte. Brzydki, poliestrowy materiał w kwiecisty wzorek zrobił się błyszczący wraz z biegiem lat. Mogę wyjrzeć na zewnątrz, a pod warunkiem, że nie włączę światła, jedyną rzeczą, jaką ktoś może zobaczyć, są cienie. Regal stoi dokładnie tam gdzie go zaparkowałam, wciśnięty pomiędzy dwa sedany na końcu parkingu.

– Tak, a co?

– Ktoś przed chwilą wybił w nim szybę.

To pułapka, odzywa się twój głos w moim drugim uchu, a ja się wzdrygam. Nie chcę tego słuchać. Nienawidzę faktu, że słyszę w głowie twój głos, szczególnie że masz rację.

To zdecydowanie jest pułapka.

– Dzięki – mówię do słuchawki i rzucam ją na widełki.

Podchodzę do komody, gdzie leżą obok siebie dwa sigi. Pierwszy pistolet chowam z przodu dzinsów. Lufa nie jest zbyt długa, ale za mocno rzuca się w oczy, a metal wbija mi się w kość biodrową. Przesuwam pistolet tak długo, aż w końcu udaje mi się znaleźć w miarę wygodne miejsce, w dolnej części pleców, i obciążam koszulkę, by go zakryć. Drugiego sigę wrzucam do kieszeni listonoszki, którą zarzucam na ramię. Czuję, jak

objija się o moje biodro.

„Nigdy do nikogo nie celuj, o ile nie jesteś gotowa pociągnąć za spust”, powiedziałaś mi kiedyś.

Dużo o tym myślałam, Marcus, i nie jestem taka jak ty. Gniew nie zmusiłby mnie do wepchnięcia komuś do ust lufy pistoletu, tak samo jak nie zmusiłby mnie do zaciśnięcia dłoni na gardle drugiej osoby tak mocno, że złamałabym jej kości. Nie umiem tak po prostu odebrać komuś życia. Ostatnie dziesięć miesięcy planowania było bardzo intensywnym okresem. To sprawa życia i śmierci, ty albo ja. Jestem bardziej niż gotowa pociągnąć za spust.

– Będzie dobrze – mówię sama do siebie, zbliżając się do drzwi. – Wszystko będzie dobrze.

Na długim pustym korytarzu, zaśmieconym niedopałkami i śmieciami panuje cisza. Wyglądam przez barierkę na parking i zauważam to, co przegapiłam wcześniej – szkło rozbite na milion kawałków leżących na asfalcie. Przyglądam się uważnie samochodom. Jest ich tam co najmniej tuzin. Szukam takiego, który się wyróżnia. Coś w typie samochodu z wypożyczalni albo twojego nieoznakowanego sedana. Na pewno nie będziesz na tyle lekkomyślny, by zaparkować auto w miejscu, w którym będę w stanie je zobaczyć, ale mimo wszystko próbuję je wypatrzeć. Potem przyglądam się zaparkowanym samochodom, szukając w środku jakiegoś ruchu. Po chodniku idzie samotny przechodzień, ale nie licząc go, parking jest pusty.

Wychodzę na klatkę schodową, wychylając głowę zza rogu, prawie spodziewając się, że zaraz wyskoczysz z ukrycia jak diabeł z pudełka. Tak się jednak nie dzieje. Schody są puste. Wstrzymuję oddech i zbiegam na dół, ściskając dłonią poręcz. Włóczędzy robią sobie w kątach toalety. Żadna ilość wody z mydlinami nie będzie w stanie zmyć tego smrodu.

Przecinam parking, idąc w stronę swojego samochodu. Szkło chrzęści pod podszewkami moich tenisówek. Upał jest nie do wytrzymania. Palące promienie słońca uderzają w czarny asfalt. Powietrze jest gęste od spalin docierających tu z autostrady po drugiej stronie budynku. Nawet przy sobocie słychać zewsząd ryk przejeżdżających aut.

Docieram do buicka. W szybie po stronie kierowcy wybito dziurę. Przysuwam do niej twarz i widzę kolejny dowód twojej obecności. Na środku pękniętej deski rozdzielczej leży jaskrawożółty samochodzik Hot

Wheels. Zabawka identyczna jak tamta, którą wiele lat temu oddałam ci w McDonald's, żebyś dał ją swojemu siostrzeńcowi. Pod nią znajduje się różowa samoprzylepna karteczka ze zawijającymi się pod wpływem gorąca krawędziami. Wsuwam rękę do środka i odrywam ją od deski, czując, jak serce zamiera mi w piersi na widok słów wypisanych na środku ciemnoniebieskim długopisem.

Droga żono, znalazłem cię.

Upuszczam liścik i odwracam się na pięcie. Oddech mam płytki i urywany. Przeczesuję wzrokiem wszystkie miejsca na parkingu, w których możesz się ukrywać. Przechodziłam przez niego dziesiątki razy i dobrze wiem, na co patrzeć. Cieniste wejścia na klatki schodowe, mroczne zakamarki przy krzewach, wąskie szpary między śmietnikami a ścianą. Jeśli tu jesteś, a na pewno tak jest, dobrze się ukryłeś. Obserwujesz mnie. I czekasz.

W dalekim końcu budynku otwierają się drzwi, a ja odwracam głowę w stronę dobiegających stamtąd dźwięków. Terry wysuwa głowę ze swojej kanciapy.

– Chcesz, żebym po kogoś zadzwoniła? – woła.

Obie dobrze wiemy, że mówiąc „kogoś”, Terry ma na myśli policję. W miejscu takim jak to słowo „policja” jest niczym sygnał ostrzegawczy. Mój fałszywy dowód tożsamości i brak ważnego prawa jazdy sprawiają, że jadę na tym samym wózku co moi sąsiedzi, diler narkotyków i prostytutka, którzy chowają się po krzakach na sam widok policjantów. Kręcę głową. Terry wzrusza ramionami, jakby nic jej to nie obchodziło, i wraca do siebie.

Stoję tam jeszcze przez minutę, analizując wszystkie możliwości. Mogłabym wrócić do pokoju, ale to by oznaczało, że mam ograniczone pole manewru i tylko jedną drogę ucieczki, a nie ma dla mnie bardziej przerażającego dźwięku niż szcęk zamykającego się zamka i świadomość, że stoisz po drugiej stronie drzwi. Mogłabym wsiąść do samochodu i gdzieś pojechać, ale to tylko odwlekłoby w czasie nieuniknione, przenosząc konfrontację do przypadkowego miejsca. Nie znałabym jego rozkładu i nie wiedziałabym, gdzie znajdują się wszystkie potencjalne kryjówki. Mogłabym zacząć drzeć się wniebogłosem i modlić, by Terry faktycznie zadzwoniła na policję, ale co potem? Siedem lat z tobą nauczyło mnie, żeby nie ufać nikomu, nawet jeśli nosi odznakę.

Opieram się biodrem o samochód.

– Możesz już wyjść, Marcus.

Mój głos brzmi nadspodziewanie zwyczajnie, wręcz spokojnie, choć w środku potwornie się trzęsę. Strach jest prymitywny i głęboki, tak samo jak wściekłość.

Świetnie. Wściekłość jest dobra. Myślę o Sabine, o moich złamanych kościach i sercu, o siedmiu latach życia, które mi ukradłeś, przez cały ten czas twierdząc, że mnie kochasz. Wściekłość da mi siłę potrzebną do zrobienia tego, co konieczne.

Słyszę cię, jeszcze zanim pojawiasz się w zasięgu mojego wzroku. Głuche odgłosy butów uderzających o chodnik, niski śmiech, który rozpoznałabym wszędzie. Ostatnim razem usłyszałam go na chwilę przed tym, jak zepchnąłeś mnie ze schodów.

Wyłaniasz się zza białej furgonetki, a ja cieszę się, że mam za plecami samochód, który podtrzymuje mój ciężar, bo nie jestem pewna, czy zdołałabym się utrzymać samodzielnie na nogach. Jesteś tak samo przystojny jak zawsze. Pokryte zarostem policzki, kwadratowa szczęka, ciemne włosy układające się w idealnie miękkie fale. Podobnie jak wtedy, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy, czuję dziwny ucisk w głębi czaszki. W ciągu tych siedmiu lat przysporzyłeś mi tak wiele bólu, że wywołuje go samo patrzenie na ciebie.

Przecinasz asfalt długimi krokami, zbliżając się jak drapieźnik okrążający ofiarę. Przeczytałam kiedyś, że oprawcy wybierają swoje ofiary ze względu na ich sposób chodzenia. Potem spędziłam więcej czasu, niż bym chciała, na chodzeniu przed lustrem i analizowaniu własnego chodu. Co mnie zdradziło? Przygarbione ramiona? Podrygujący krok? Co sprawiło, że wybrałeś akurat mnie? Skąd wiedziałeś, że będę potulną ofiarą?

Nie muszę udawać, że się ciebie boję, bo tak jest. W gardle narasta mi krzyk, ale nie mam zamiaru sprawić ci tej przyjemności. Rozkoszujesz się moim strachem. Żywisz się nim jak wampir.

– Twoje włosy – mówisz, taksując mnie wzrokiem. Nie wyglądasz na złego, tylko zaskoczonego i może odrobinę rozczarowanego. – Co z nimi zrobiłaś?

Przeczesałam palcami kosmyki za uchem.

– Podobają ci się?

– Wyglądają... inaczej.

Uśmiechasz się, ale ten grymas jest sprzeczny z emocjami, jakie wyrażają twoje oczy. Nienawidzisz tego, jak wyglądają teraz moje włosy, ale głównie nienawidzisz powodu, dla którego zmieniłam ich kolor – po to, by zrobić ci na złość.

– Jak mnie znalazłeś?

– Myślałaś, że uda ci się mnie zmylić przypadkowymi transakcjami na dwadzieścia parę dolarów? Albo złożeniem niedokończonego wniosku o wynajem mieszkania? Na tym polega moja praca, Emmo. Znajduję ludzi. Znajduję przestępców. Nie jesteś nawet w połowie tak bystra, jak ci się wydaje.

To zawsze zaczyna się w ten sam sposób – od twoich zniewag. Od upokarzających komentarzy, które wychodzą z twoich wygiętych w wyrazie obrzydzenia ust. Twierdzisz, że mnie kochasz, ale to nie jest miłość. Poniżasz mnie, żeby podbudować swoją wartość. Potrzebujesz mojej aprobaty, pragniesz jej. Wydaje ci się, że to zwróci ci władzę nade mną.

Zaciskam usta i milczę.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Namierzyłem twoje jednorazowe telefony. Ustaliłem adres pensjonatu, kościoła i tego motelu. Za bardzo ułatwiłaś mi sprawę.

– Myślałam...

Przekrzywiasz głowę na bok i patrzysz na mnie.

– Co sobie myślałaś?

Myślałam, że jesteś dobrym człowiekiem. Że naprawdę mnie kochałeś.

– Wiedziałam, że w końcu mnie znajdziesz.

Nie chodzi ci o wyrazy uznania, ale moje słowa odnoszą zamierzony efekt. Robisz krok naprzód, znajdując się w zasięgu ręki, a twoja twarz zastyga. Zmienia się za to język ciała. Opierasz cały ciężar na palcach u stóp, przybierając o wiele bardziej agresywną pozę. Właśnie tę część lubisz najbardziej. Część, w której napinasz mięśnie, a ja trzęsę się ze strachu.

Tyle że tym razem to nie strach sprawia, że dygoczę na całym ciele.

To furia. Usprawiedliwiona i słuszna. Pistolet schowany za paskiem spodni ociera się o moje biodro. Place świerzbą mnie, aby po niego sięgnąć, ale wiem, że ty również jesteś uzbrojony. Twoja służbowa broń

zwisa z kabury na ramieniu. I pewnie nie jest jedyna. Założę się, że masz ich więcej. W kieszeniach albo przy kostce. Nie jestem aż tak stuknięta, żeby myśleć, że uda mi się wyciągnąć broń jako pierwszej.

– Nie powinnaś była uciekać, Em. Nie powinnaś była odchodzić.

Kręcę głową. A jaki miałam wybór? Gdybym została, w końcu byś mnie zabił. Tak samo gdybym wyjechała. Nie miałam innego wyjścia.

– Co wmówiłeś pozostałym? Co myśli sobie twoja matka? Wie, gdzie jestem?

– Powiedziałem jej, że wyjechałaś do ośrodka terapeutycznego. Że byłaś w złym stanie psychicznym i musiałaś odpocząć.

– *Uwierzyła ci?*

Wzruszasz ramionami, co nie do końca oznacza „tak”.

– Nie zniknęłaś wcale na tak długo. W końcu wymyśliłbym jakąś wiarygodną wymówkę.

– A co z Sabine?

– Sabine – wypluwasz z siebie to słowo, krzywiąc się ze wstrętem. – Ta suka wtykała nos w nie swoje sprawy. Dowiedziałem się o niej paru ciekawych rzeczy, wiesz? Była członkiem zarządu miejskiego schroniska dla kobiet. Przechwalała się, że pracuje na rzecz praw ofiar i pomaga kobietom uciec od mężów. Założę się, że sprawiła, że zaczęłaś uważać się za jedną z nich, prawda? Za ofiarę.

Zrobiłeś to? Zabiłeś ją? Pytania kłębią się w mojej głowie, ale nie potrafię zmusić się do wypowiedzenia ich na głos. Widzę twoją twarz, słyszę złość w twoich słowach i w głębi duszy znam już odpowiedź.

– Nie patrz tak na mnie – mówisz. – To nie moja wina, tylko twoja. To ty ode mnie odeszłaś. Wszystko przez ciebie.

Wyobrażam sobie wyraz twarzy Sabine, gdy podszedłeś do niej na parkingu przed Super1, i to, jak bardzo musiała się bać. Wiedziała, co się zaraz stanie, i na pewno była przerażona.

– Co teraz? – pytam, ale w moim głosie nie ma strachu. Jestem autentycznie zaintrygowana. – Co dalej robimy?

Jak chcesz mnie zabić? Nie jestem na tyle głupia, by sądzić, że zaplanowałeś coś innego. Nie możesz odwieźć mnie do Pine Bluff tak, jakby nic się nie stało. Oprócz twojej matki na pewno ktoś zdążył już zauważyć moją nieobecność. Twój znajomi, rodzina, zawsze czujna pani Delaney z naprzeciwka. Co im powiedziałaś o moim zniknięciu? A może

jestem jak ta żona przywódcy scjentologów, której nikt nie widział od ponad dekady. Jeśli mój mąż nie zgłosi zaginięcia, czy faktycznie można mnie uznać za zaginioną?

Z drugiej strony, twoja matka wie, czego się wobec mnie dopuszczałeś, i podejrzewam, że twoja siostra również. Bardzo długo nienawidziłam ich za to, że odwracały wzrok, że umyślnie ignorowały moje siniaki i udawały, że ich nie widzą, że nie zrobiły nic, by mnie uratować. „Dlaczego?”, chciałam walić je pięścią w pierś, żądając odpowiedzi. „Dlaczego nie powiecie mu, żeby przestał robić mi krzywdę? Może by was posłuchał”.

A potem zobaczyłam wyraz twarzy twojej matki w święta wielkanocne, gdy omyłkowo wzięłam paczkę serwetek za twoją pięść, a z moich ust wyrwał się ten mrozący krew w żyłach wrzask, i dotarło do mnie, dlaczego tego nie zrobiła.

Podobnie jak ja, twoja matka żyła w złudnym przekonaniu, że mogę uratować *ciebie*.

Próbowałam. Bóg jeden wie, że próbowałam. Wydawało mi się, że jeśli będę wystarczająco uprzejma, potulna i kompetentna, uda mi się sprawić, że znów staniesz się mężczyzną, którym byłeś na początku naszej znajomości. Facetem, który wynosił śmieci sąsiadowi na wózku inwalidzkim z mieszkania piętro niżej albo który pomagał układać drewnianą podłogę w przykościelnym żłobku. Jednak to był fałszywy Marcus, słodki i pomocny Marcus, mężczyzna, którym byłeś na pokaz, gdy wiedziałeś, że ludzie na ciebie patrzą. Nikt nie jest w stanie cię uratować. Dojście do tego ostatecznego wniosku kosztowało mnie mnóstwo sińców i złamanych kości.

Kładziesz dłoń z tyłu mojej głowy i szarpnięciem przyciągasz mnie do siebie tak szybko, że aż zaciskam powieki, spodziewając się eksplozji bólu. Mój nos dotyka twojego czoła. Jednak nic się nie dzieje. Otwieram jedno oko. Tylko kilka centymetrów dzieli twoją twarz od mojej. Dociskasz palce do podstawy mojej czaszki. Nie sprawiasz mi bólu, czuję jedynie mały dyskomfort, zapowiedź tego, co dopiero się stanie.

– Teraz pójdziemy sobie do twojego obskurnego pokoju. Odbędziemy przyjemne – dla mnie – i łzawe – dla ciebie – pojednanie. Później, gdy oboje będziemy do cna wyczerpani – znowu, głównie ja – utniemy sobie drzemię. Poczekasz, aż zasnę, po czym wymkniesz się z łóżka, napiszesz

smutny list pożegnalny, w którym będziesz błagać o wybaczenie Boga i mnie, i strzelisz sobie w głowę tym.

Jedynym płynnym ruchem wyciągasz pistolet zza paska moich spodni.

– Sig. Dobry wybór. – Sprawdzasz blokadę, wyjmujesz magazynek i patrzysz na mnie, parszając śmiechem. – Nie naładowałaś go? Rany boskie, Em, czy ja cię niczego nie nauczyłem?

Serce wali mi jak oszalałe, objając się o żebra. Jeśli mnie przeszukasz, jeśli tylko wsadzisz rękę do torby, to już po mnie. Przywołuję na twarz maskę przerażenia i rezygnacji. Efekt jest na tyle dobry, że wyglądasz na zadowolonego. W końcu miałam wiele lat, aby wyćwiczyć to do perfekcji.

Wydajesz z siebie pełne rozczarowania westchnięcie. Twój gorący oddech owiewa mi policzek. Wsuwasz pistolet za pasek spodni.

– Będę musiał to skonfiskować, bo domyślałem się, że raczej nie masz pozwolenia na tę broń. Na pewno mnie rozumiesz.

O tak, w zupełności. Doskonale cię rozumiem. Rozumiem też, że bez względu na to, co się stanie, nie mogę wejść do pokoju hotelowego. Gdy tylko przekroczę jego próg, będę martwa.

– Chodźmy. – Kiwasz głową w stronę chodnika, wskazując na wejście na klatkę schodową. Nie ruszam się z miejsca, a twoje brwi szybują w górę. – Im szybciej znajdziemy się na górze, tym szybciej będziemy to mieli za sobą.

Pomimo twoich słów moje serce napełnia ekscytacja. Nie zajrzałeś do torby objającej mi się o biodro. Możliwe, że nawet nie zwróciłeś uwagi, że ją mam.

Popychasz mnie w stronę schodów, a moje buty ślizgają się na potłuczonym szkle. Pełne desperacji myśli kłębią się w mojej głowie. Przeczesuję wzrokiem parking w poszukiwaniu jakichś ludzi, zaglądam w okna, szukając kogokolwiek, prostytutki, jej alfonsa albo Terry, która przyciska twarz do szyby. Jednak tutejsi mieszkańcy potrafią wyczuć niebezpieczeństwo z dokładnością psa tropiącego, szukającego bomby. Wiedzą, że należy zabarykadować drzwi i trzymać się z dala od okien. Jeśli nawet którekolwiek z nich wygląda przez okna swojego pokoju, przyglądając się, jak siłą wleciesz mnie przez parking, i tak żadne z nich mi nie pomoże.

Kazesz mi iść pierwszej, popychając w stronę schodów. Powoli zaczynam wspinać się na górę. Depczesz mi po piętach, a ja celowo się osiągam.

Pistolet podskakuje w torbie objijającej się o moje biodro, ale i tak nie wygram w bezpośredniej wymianie ognia. Potrzebuję czegoś, co odwróci twoją uwagę, ćpuna ze strzykawką wbitą w ramię albo menela kucającego w kącie ze spodniami opuszczonymi do kostek. Potrzebuję sekundy, tylko jednej sekundy, by wziąć cię z zaskoczenia.

Docieramy prawie do półpiętra, gdy nadarza się ku temu okazja. Naszym oczom ukazuje się wielka brązowa kupa, którą mijałam za pierwszym razem. Na pewno nie zostawił jej pies. Chowasz nos w zgięciu łokcia, próbując zablokować odrażający smród.

– Jezu Chryste, jakim cudem możesz tu mieszkać?

Teraz.

Zaciskając dłoń na poręczy, odpycham się do tyłu, z całej siły uderzając w ciebie górną połową ciała. Czuję ukłucie bólu, gdy zderzamy się głowami, i słyszę chrzęst, gdy twój nos trafia w moją czaszkę. Tryska z niego krew, a ty zataczasz się do tyłu na schodach. Moje ramię działa jak lina do bungee. Szarpnię za barierkę, podciągając się do góry. Impet sprawia, że przeskakuję przez półpiętro i ląduję twarzą w kierunku schodów.

Nie odwracam się za siebie. Gdy tylko moje stopy uderzają w ziemię, zrywam się do ucieczki.

BETH

Otrząsam się z bólu i wbiegam pędem po schodach, pokonując po dwa, trzy stopnie naraz. Docieram do korytarza na drugim piętrze. Mijam zakręt, gdy ziemia pode mną zaczyna drżeć pod wpływem twoich ciężkich kroków. Słyszę szelest twoich ocierających się o siebie nogawek dżinsów i twój niski warkot, gdy mamrociesz pod nosem „suka, suka, suka”. Jesteś szybki, ale mam nad tobą sporą przewagę i wiem, dokąd uciekam.

Sądziłeś, że nie wymyślę żadnego planu? Że znajdę tak daleko, kłamiąc, oszukując i kradnąc, i się nie przygotuję? Kolejny błąd. Znów mnie nie doceniłeś.

Biegnę korytarzem, krzycząc i łomocząc do drzwi.

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! *Pomocy!*

To oczywiste, że nikt mi nie pomoże. Bez przerwy dochodzi tu do napadów z bronią w rękę, bójek, handlu narkotykami i strzelanin tuż pod moimi drzwiami. Ludzie nie bez powodu siedzą zamknięci w swoich pokojach, unikając styczności ze zużytymi strzykawkami i przypadkowymi kulami.

Ty jednak pomyślisz sobie, że liczę na ich pomoc.

Docieram do klatki w drugim końcu korytarza i wbiegam po schodach. Jedynym sposobem, by się od ciebie uwolnić, jest wbiegnięcie na samą górę. Element zaskoczenia to moja jedyna przewaga.

Będąc na szczycie schodów, wdrapuję się po metalowych szczeblach przytwierdzonych do ściany, prowadzących do ciężkich drzwi w suficie, które wiodą na dach. Mają być zamknięte, i tak też było, dopóki nie wzięłam klucza do kół z bagażnika buicka i nie wyważyłam zardzewiałego zamka w kłódce. Otwieram drzwi mocnym pchnięciem. Wita mnie blask słońca i fala upału. Podciągam się do góry i zatraskuję drzwi w momencie, w którym wyłaniasz się zza rogu.

Nie ma tu nic, czym można by obciążyć drzwi, żadnych klimatyzatorów ani stert śmieci, za którymi mogłabym się schować. Żadnych schodów

pożarowych ani balkonów, na które mogłabym się opuścić, tylko stromy szczyt budynku, kończący się upadkiem na autostradę z wysokości trzech pięter. Jest tu całkiem pusto, nie licząc ptasich odchodów i gigantycznego billboardu wiszącego nad sześcioma pasami ruchu.

Bez względu na to, czy jestem gotowa, czy nie, moja ucieczka oficjalnie dobiegła końca.

Słyszę cię tuż pod sobą. Przez dach przebija metaliczny stukot twoich butów uderzających w pręty, gdy wspinasz się po drabinie. Zajmuję miejsce po przeciwnej stronie drzwi i cofam się, by znaleźć się poza zasięgiem twojego wzroku. Zanim się odwrócisz i mnie zobaczysz, będzie za późno. Zdążę wycelować lufę pistoletu w twoją głowę.

Drzwi wylatują z zawiasów i uderzają o asfaltowy dach, wzbijając w powietrze kłęby kurzu i drobinki ziemi. Zaciskasz dłonie po obu stronach futryny i podciągasz się z o wiele mniejszym wysiłkiem niż ja. Wyskakujesz do przodu jak z procy, lądując na dachu na równych nogach. Rozglądasz się dokoła i za późno dociera do ciebie, że stoję tuż za twoimi plecami.

Staję w rozkroku i unoszę broń.

Gdy dostrzegasz pistolet, parszask śmiechem. Śmiejesz się, a twoje oczy błyszczą w promieniach słońca, tak samo jak krew ciekąca ci z nosa, zostawiająca szkarłatne plamy na przodzie koszuli. Nie wyglądasz na wystraszonego, tylko na rozbawionego.

– Ten jest naładowany. – Kiwam brodą w stronę twojej służbowej broni spoczywającej w kaburze. – Połóż swój pistolet na ziemi.

Przewracasz oczami.

– Nie jesteś wystarczająco dobrym strzelcem, by umieć się tym posługiwać. Na bank spudłujesz.

– Trafię cię między oczy, prosto w serce albo w nerkę. Powiedz tylko którą, prawą czy lewą?

Przekrzywiasz głowę na bok, słysząc pewność siebie w moim głosie, ale arogancki uśmieszek nie znika z twojej twarzy.

– Odlóż broń – powtarzam.

Ani drgniesz.

– Zaczynasz mnie naprawdę wkurzać, Emmo.

Przyciskam palec do spustu.

– Masz dokładnie trzy sekundy, żeby wyjąć broń z kabury i położyć na

ziemi. Jeden, dwa...

– Dobrze, już dobrze. Niech ci będzie.

Wyjmujesz służbową broń i kładziesz ostrożnie na ziemi. W jej ślad idzie sig z pustym magazynkiem, który mi odebrałeś. Nie próbujesz żadnych sztuczek, nie podejmujesz ryzyka i nie strzelasz do mnie, co jest kolejnym błędem. Wydaje ci się, że dostaniesz kolejną szansę. Cały czas mnie nie doceniasz.

– Jeszcze pistolet przy kostce.

Parskasz krótkim śmiechem, po czym odpinasz ostatnią sztukę broni i kładziesz ją na ziemi.

– Świetnie. Teraz opróżnij kieszenie.

– Daj spokój, Em...

– *Opróżnij kieszenie.*

Wzdychając teatralnie, rzucasz wszystko na ziemię. Portfel, kajdanki, odznakę, jakieś papiery i drobne. Po wszystkim unosisz wysoko dłonie, chcąc mnie rozśmieszyć, ale wyraz twojej twarzy nie ma nic wspólnego z wesołością.

– Zadowolona?

Ani trochę. Celuję w twoją twarz, zmuszając cię do cofnięcia się, do zwiększenia odległości między tobą a pistoletami. Gdy udaje mi się podejść do nich wystarczająco blisko, posyłam je kopniakiem na bok.

– Co teraz? Strzelisz mi w głowę i zostawisz na pożarcie szczurom? Przetnącisz mi rzepki w kolanach i zrzucisz z dachu? – Ogląda się za siebie, wbijając wzrok w krawędź budynku oddaloną od niego o jakieś cztery i pół metra. Ta odległość stale się zmniejsza. – Jaki masz plan?

Plan jest taki, żeby *nie* zrobić żadnej z tych rzeczy.

Robisz kolejny krok w tył, a potem następny. Spojrzenie, którym przewiercasz mnie na wskroś, jest takie samo – zacięte i stanowcze, ale wściekłość, która szalała w nich jeszcze chwilę temu, zdążyła wyparować.

Teraz to ja mam kontrolę nad sytuacją.

– Skąd wiedziałeś? – Muszę krzyczeć, żeby usłyszał mnie przez ryk przejeżdżających pod nami samochodów. – Mam na myśli Sabine. Skąd wiedziałeś, że mi pomaga?

– Zobaczyłem was razem w parku.

Pozwalasz, by twoje słowa zapadły głęboko w mój umysł. Nasze spotkanie w parku odbyło się jakieś... dwa, trzy tygodnie temu? To wtedy

Sabine powiedziała mi o Nicku i kazała zapamiętać numer jego telefonu. Ciekawe, co jeszcze wiesz i co zobaczyłeś, kiedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nas obserwujesz.

– Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś jest winny, i widziałem wyraz twojej twarzy. Byłaś przerażona świadomością, że ktoś mógł zobaczyć was razem, więc trochę poszperałem. Gdy tylko odkryłem, że pracowała w schronisku dla kobiet, domyśliłem się, co planujecie. Potem wróciłem wcześniej do domu ze szkolenia i nie mogłem cię znaleźć, ale za to spotkałem Sabine na parkingu przed Super1. Gdy wyszła ze sklepu, czekałem już przy jej samochodzie.

– Tyle że Sabine nie wiedziała, dokąd pojechałam. Celowo nie zdradziłam jej tej informacji.

Wzruszasz ramionami.

– To tłumaczy, dlaczego nie była zbyt pomocna.

– Więc ją *zabiłeś*?

Mimo wszystko nadal mam nadzieję, że zaprzeczysz. Krzywdzenie mnie dla rozrywki to jedno, ale żeby zrobić krzywdę obcej osobie za to, że mi pomogła? Modlę się, abyś nie był aż tak zły.

– A co niby miałem zrobić? Okłamała mnie w żywe oczy co do tamtego dnia w parku. Powiedziała, że wasze spotkanie było zupełnie przypadkowe, że rozmawialiście zaledwie przez minutę czy dwie, gdy w rzeczywistości trwało to szesnaście minut. Szesnaście bitych minut. Wiem, bo mierzyłem czas. Kiedy dałem jej do zrozumienia, że zdaję sobie sprawę, że pomaga ci w planowaniu ucieczki, zaczęła się głośno zachowywać. Sięgnęła po telefon. Wepchnąłem ją do bagażnika swojego samochodu i odjechałem stamtąd, zanim ktokolwiek zdążył zainteresować się naszą wymianą zdań. Jak myślisz, co by się stało, gdybym puścił ją wolno? Powiem ci. Poleciałaby do mojego szefa i nagadała kłamstw o nas i o mnie. Nie mogłem jej na to pozwolić. Muszę dbać o swoją reputację.

Ty i ta twoja cenna reputacja. Jest dla ciebie ważniejsza niż to, jak w rzeczywistości traktujesz swoją żonę. Stworzyłeś ją, by uciec przed prawdą o tym, kim naprawdę jesteś – rozpieszczonym synusiem mamusi, takim samym narwańcem co twój przesiadujący w więzieniu ojczulek. Wszystko, co robisz, to próba udowodnienia, że w niczym go nie przypominasz. Zatrudnienie się w policji. Troskliwa opieka nad matką. Wepchnięcie lufy pistoletu w moje usta, żebym od ciebie nie odeszła.

Zrobisz dosłownie wszystko, żeby tylko podtrzymać złudzenie wielkiej szczęśliwej rodziny.

Nienawidzę cię całym swoim jestestwem.

– Zrobiłam to celowo.

– Co takiego?

W dole przejeżdża ciężarówka, wstrząsając dachem niczym trzęsienie ziemi. Czekam, aż drgania ustaną.

– Sprowadziłam cię tutaj.

Marszczysz brwi.

– Jak to, sprowadziłaś mnie tutaj? Nic podobnego. Zostałem do tego wyszkolony. Na tym polega moja praca. Próbowalaś mnie zwieść, zmylić pościg, ale i tak cię *znalazłem*.

– Myślałeś, że nie wiem, że będziesz sprawdzał na bieżąco wszystkie wejścia na Facebooka z sieci Wi-Fi? Że nie zauważysz wielominutowych odsłuchów policyjnego radia? Miały zadziałać jak wielkie dymne sygnały na niebie. Wiedziałam, że tak się stanie.

Przechylasz głowę na bok, rzucając mi pełne wątpliwości spojrzenie.

– Nie, to niemożliwe. Przecież ty nawet nie umiesz zainstalować drukarki. Kiedyś musiałem wrócić do domu w przerwie na lunch, żeby zrobić to za ciebie.

Twoje stopy znajdują się zaledwie o kilka centymetrów od krawędzi dachu. Jeszcze jeden krok, a będziesz wisiał w powietrzu.

– Skup się, Marcus. Wiedziałam, że Jade użyje swoich magicznych sztuczek i naniesie na mapę wszystkie adresy IP, które doprowadzą cię prosto do mnie. Widziałeś mojego kumpla Nicka na kamerach przemysłowych w bankomatach? Nie jestem tak głupia, jak ci się wydaje.

Nie odzywasz się, ale piorunujesz mnie wzrokiem.

– Co z telefonami, które kupiłam w tamtym obskurnym sklepiku? Znalazłeś je? – Dostrzegam przebłysk zaskoczenia w twoich oczach. Mina ci rzednie, a ja parskam gorzkim, ochrypłym śmiechem. – Trzy z nich oddałam przypadkowym osobom, które spotkałam na ulicy. Z czwartego telefonu korzystałam przez wiele *dni*. Ukradłam pieniądze z kościoła, które następnie wydałam w przydrożnym sklepie, gdzie mieli całe mnóstwo kamer. Rozumiesz, co do ciebie mówię? *Zaplanowałam* to wszystko. Wysłałam sygnały dymne, które miały cię tu przyprowadzić. *Chciałam*, żebyś mnie znalazł.

Wyraźnie widzę moment, w którym składasz wszystko w jedną całość, a twoje zmarszczone brwi rozprostowują się w wyrazie zrozumienia i szoku. W twoim głosie słyhać zarówno niedowierzenie, jak i wściekłość.

– Ty pieprzona dziwko.

– Dlaczego tak mówisz? Bo po tylu latach w końcu zaczynam się bronić? Nie jestem dziwką, tylko odważną kobietą. A teraz mnie przeproś.

– Nie.

Nawet w takiej chwili, zapędzony w przysłowiowy kozi róg, nie mając żadnego wyjścia oprócz spotkania się z wystrzeloną przeze mnie kulą, nie potrafisz się zmusić do wypowiedzenia tego jednego słowa. Nie może ci przejść przez gardło.

Macham lufą, celując w powietrze obok twojej twarzy.

– Powtarzaj za mną, Marcus: Jestem żalospną imitacją człowieka i przepraszam za to, że cię skrzywdziłem.

– *Nie!* – Tym razem krzyczysz. Kręcisz głową. Na twojej twarzy maluje się gorycz. – To ty powinnaś przeprosić, bo to wszystko twoja wina. Zostałbym z tobą już na zawsze. Umarłbym dla ciebie. To ty wszystko spieprzyłaś, nie ja. Kochałem cię, a ty to spieprzyłaś.

Kręcę głową.

– Nie kochałeś mnie. Kochałeś tylko to, co mogłam ci dać – władzę.

– Co? To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyzałem. Nie dajesz mi władzy. Sam ją przejmuję.

I właśnie w tym tkwi sedno całego problemu. To jedno udało ci się po mistrzowsku. Zbyt długo na to pozwalałam. Pozwoliłam ci odebrać władzę nad samą sobą. Byłam współwinna własnej wiktymizacji. Trzeba było kogoś obcego, obcej kobiety – Sabine – abym mogła to sobie uświadomić, więc żeby zakończyć cykl przemocy, muszę z powrotem przejąć władzę.

Wystarczy kolejne machnięcie lufą – *halo, nie widzisz, że ja tu teraz rządzę?* – żeby podziałało. Wściekłość znika z twojej twarzy, a oczy stają się szkliste.

– Myliłaś się wcześniej. Ja naprawdę cię kocham. Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała. Jedyłą osobą, która sprawia, że chce mi się żyć. Nawet gdybym dożył setki, nigdy nie pokocham nikogo tak mocno jak ciebie.

Kręcę głową. Dosłownie nic, co powiesz, nie nakłoni mnie do opuszczenia broni.

– Skarbie, nie wygłupiaj się. Mamy mnóstwo dobrych wspomnień. Mogę sprawić, że znów zaczniesz się uśmiechać. Pamiętasz, jak spędzaliśmy zeszłe lato na rzece? Sączyłaś wino i siedziałaś między moimi nogami, a ja wiosłowałem? Wróćmy do domu i zrobmy to ponownie. Urządzmy piknik i popływajmy łódką.

Twoje słowa służą wyłącznie manipulacji, tak samo jak przeprosiny, udawane łzy i wielkie, romantyczne gesty, na które zawsze zdobywałeś się po kolejnym biciu. Rok temu powiedziałabym, że nic się nie stało. Doszłabym do wniosku, że coś jest z tobą nie tak, że masz problem – że nie pozwolę ci przejść przez to samemu. Ale nie jestem już tą samą osobą, którą byłam dziesięć miesięcy temu, kiedy zaczęłam wcielać w życie swój plan. Ani osobą, którą byłam jeszcze dziesięć dni temu, gdy zegnałam się z Sabine.

Teraz jestem Beth Murphy, a Beth Murphy doskonale zna twój następny ruch.

Poznaję to po sposobie, w jaki balansujesz ciężarem ciała i mrużysz kąciaki oczu. Zaciskasz dłonie do białości, mięśnie ci drżą, ale kolana są luźne. Jesteś jak drapieżnik gotowy do ataku.

Przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa przechyliłam lufę o pół centymetra w prawo i naciskam spust. Choć byłam na to przygotowana, siła wystrzału wstrząsa moim ramieniem, przenikając aż do kości. Dla mojego organizmu to prawdziwy szok.

Ale to nic w porównaniu z szokiem, który odmalowuje się na twojej twarzy. Kula przelatuje obok twojego ucha. Założę się, że wydaje przy tym świszczący odgłos. Draśnięcie musi palić żywym ogniem – jest głębokie zaledwie na milimetr lub dwa, ale na tyle bolesne, że zataczasz się do tyłu. Odrywasz stopę od ziemi, ale dalej już nic nie ma. Twój drugi but dotyka krawędzi dachu, a ty lecisz do tyłu, na moment zawisając nad autostradą.

Chwiejesz się na krawędzi przez całą wieczność. Dostatecznie długo, by dotknąć ucha i ubrudzić palce krwią. Dostatecznie długo, bym mogła opuścić broń i się odsunąć. Dostatecznie długo, byś zdążył otworzyć usta i powiedzieć, że jest ci przykro.

A potem spadasz, tak po prostu.

BETH

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Przyjeżdżam dwadzieścia siedem minut po rozpoczęciu niedzielnej mszy, w połowie pieśni, która brzmi bardziej jak rockowa ballada. Z tyłu sceny stoi ze czterdziestu śpiewaków ubranych w jaskrawofioletowe szaty. Ich twarze są doskonale widoczne na dwóch ekranach. Wielebny śpiewa na samym końcu, uderzając tamburynem o kolano. Z postaci śpiewających bije czysta radość, podobnie jak z otaczających mnie ludzi. Cały kościół kołysze się w rytm muzyki. Jak nazwała to Martina? Nabożeństwa w stylu „weselcie się i klaszczcie”, choć teraz, kiedy zobaczyłam jedno na własne oczy, prędeż określiłabym je „euforycznymi”. Na tyle, że nikt nie zwraca uwagi na to, że siadam ukradkiem w górnym rzędzie ławek.

Nikt i tak by mnie nie rozpoznał po tym, jak wróciłam do naturalnego koloru włosów, głębokiego mahoni, którym obdarzył mnie Bóg. Jeszcze ze dwa miesiące i będą mi sięgać do ramion. Może zostawię je takie jak teraz, obcięte na boba. Są na tyle długie, że mogę założyć za ucho pasmo włosów. Zdążyłam się przyzwyczaić do tego, że są krótkie, i podoba mi się to, że czuję na karku powiew powietrza. Na pewno bije na głowę moją dawną fryzurę i dotyk dłoni Marcusa wsuwającej się w moje włosy. Jakaś kobieta na lotnisku powiedziała wczoraj, że pasuje mi ta fryzura, że dzięki niej wyglądam zadziornie i z pazurem. Jeszcze nie do końca się tak czuję, ale powoli do tego zmierzam.

Czy to dziwne, że nadal słyszę jego głos? Na pewno jest to wkurzające, i może trochę dziwne, ale czasami, kiedy wykonuję zwykłe czynności dnia codziennego, takie jak podgrzanie zupy z puszki na lunch albo szczotkowanie zębów przed snem, słyszę, jak on psioczy, że wszystko robię źle. „Zakręć tubkę pasty. Robisz bałagan. I odstaw lody, bo robisz się coraz bardziej okrągła”.

Ty, ty, ty. Źle, źle, źle.

Nie jestem tą samą Emmą, którą pomiatał przez te wszystkie lata. W końcu mogę robić to, czego nie mogłam, kiedy nadal żył: ignoruję go. Pozwalam mu się wygadać i udaję, że niczego nie słyszę. Czytam książkę, biorę długą kąpiel z bąbelkami, piekę ciasteczka i zjadam od razu połowę blachy. Nie pozwolę, by wyrył w mojej psychice trwałe ślady swojej umiejętności wdzierania się w myśli i sprawiania, że czuję się beznadziejnie sama ze sobą. Jeśli Marcus mówi, a ja udaję, że go nie ma, to czy on naprawdę tu jest?

Muzyka cichnie, a wierni zajmują swoje miejsca.

Wielebny wychodzi na podium, a ja chciałabym móc powiedzieć, że jego kazanie było o czymś ważnym. O wybaczeniu, nowym początku albo wielu powodach, dla których dobrzy ludzie popełniają złe uczynki, a mimo to nadal idą do nieba. Przypuszczam jednak, że to by było zbyt wygodne, zbyt mało prawdopodobne. Prawdziwe życie nie jest usłane różami. Wielebny chwala potęgę Pana. Słucham go przez chwilę, po czym odpływam myślami.

Minęły cztery miesiące, odkąd Marcus spadł z dachu. Cztery miesiące, odkąd policja zakuła mnie w kajdanki i zawiozła na komendę. Opowiedziałam im wszystko ze szczegółami, a oni i tak postanowili postraszyć mnie paragrafami. Zostałam oskarżona o sfałszowanie tożsamości, oszustwo i nielegalne posiadanie nie jednego, ale dwóch kradzionych pistoletów. Przez chwilę policja groziła mi również morderstwem drugiego stopnia, dopóki mój prawnik nie zwrócił uwagi na to, że oba pistolety były puste. Kuli, którą dał mi Clyde, nigdy nie znaleziono, za to znaleziono ślady prochu na moich rękach, koszulce, twarzy i czerwonych włosach jak u klauna.

Wtedy policja z Atlanty otrzymała telefon od komendanta Eubanksa. Powiedział im, że kiedy ciało Sabine wynurzyło się z ciemności, przyniosło ze sobą jednoznaczny i niepodważalny dowód: sportowy zegarek, który miała na nadgarstku, jedno z tych urządzeń monitorujących tętno i treningi. Bieganie. Jazdę na rowerze. Pływanie. Ten model był wodoszczelny, a kiedy funkcjonariusze naładowali baterię, odkryli, że Sabine włączyła funkcję GPS, która śledziła ją przez całą drogę do jeziora. Jak można się było spodziewać, trasa pasowała do GPS radiowozu Marcusa w czasie jej śmierci.

W bagażniku znaleźli również kosz z wydrukowanymi e-mailami, odręcznymi notatkami i listami, które składały się na obraz człowieka o władniętego obsesją, jednak nie znalezienia Sabine, tylko mnie. Nagle moje wyjaśnienia o działaniu w samoobronie zaczęły stawać się coraz bardziej wiarygodne, a powody posiadania fałszywego dowodu tożsamości i broni całkowicie przekonujące. Policja z Atlanty puściła mnie wolno, ale nie bez uprzedniego zapłacenia pokaźnej grzywny. Zaproponowali, że od niej odstąpią, jeśli podam im nazwisko osoby, która dała mi tak doskonale podrobione prawo jazdy z Georgii. Wolałam zapłacić grzywnę.

Przez cały czas spędzony na posterunku, pocąc się jak mysz za zamkniętymi, metalowymi drzwiami pokoju przesłuchań, czekałam, aż ktoś oskarży mnie o kradzież. Wspomni o pieniądzach, które zniknęły z szuflady biurka Charlene, i spyta, czy je ukradłam. Jednak nikt do mnie nie przyszedł. Przez te ostatnie cztery miesiące dużo myślałam o tym, dlaczego wielebny nie wydał mnie policji. Może Martina nie pokazała mu liściku, który do niej napisałam, a może naprawdę wierzył w te wszystkie kazania o wybaczeniu i pomaganiu innym w potrzebie. Mam nadzieję, że pewnego dnia zbiorę się na odwagę, by go o to zapytać.

Kobieta obok szturcha mnie łokciem i kładzie koszyczek na tacę na moich kolanach, kwadratowy pojemnik z wikliny pełen pogniecionych banknotów i złożonych na pół czeków. Wyjmuję z torebki kopertę i wkładam do środka. W środku znajduje się czek gotówkowy na dwa tysiące dolarów, które wzięłam z szuflady Charlene, plus dwadzieścia procent odsetek. Dałabym więcej, ale śmierć kosztuje, a ja nadal czekam, aż zostaną mi wypłacone świadczenia Marcusa. Komendant Eubanks dał mi wszystko, do czego miałam prawo, na wypadek gdyby Marcus zginął na służbie – hojny gest, na który prawdopodobnie nie zasługuję. W przeciągu kilku dni powinnam otrzymać okrągłą sumę, pełną emeryturę oraz zwrot kosztów pogrzebu, które opłacałam z naszych oszczędności.

Komendant Eubanks dał mi jednak coś znacznie lepszego. Gdy siedziałam przy jego biurku, opowiadając całą smutną historię, trzymał w dłoniach moją rękę i powiedział słowa, na które mój mąż nie mógł się zdobyć. Powiedział, że przeprasza, zarówno za Marcusa, jak i za to, czego nie zrobił wydział, a wtedy moje serce pękło. Gdybym poszła do niego te kilkanaście miesięcy temu, może Marcus nadal by żył. Siedziałby

w więzieniu, ale nadal żył. Jednak ostatnie siedem lat nauczyło mnie, żeby nie ufać nikomu, nawet policji. *Szczególnie* policji. Ze wszystkich powodów, dla których nienawidzę Marcusa, ten jest najgorszy. Okradł mnie z umiejętności ufania innym. Sprawił, że zapomniałam, że wielu z nich jest po prostu dobrymi ludźmi.

Nie przepadam za modleniem się, ale to miejsce wydaje się do tego stworzone. Modłę się za Ingrid, która ledwie potrafi powstrzymać się od płaczu na tyle długo, by opowiedzieć historię swojej siostry każdemu, kto chce słuchać, wliczając w to scenarzystę z Netflixa oferującego sześciocyfrową kwotę. Modłę się za Trevora, który spakował walizki i wyjechał za rodziną do Salt Lake City. Tylko tak był w stanie namówić żonę na wspólną opiekę nad dziećmi. Modłę się za Jeffreya, uwięzionego w domu, którego nie może sprzedać, żyjącego z pieniędzy, których nie zarobił, w mieście, które nie chce mieć z nim nic wspólnego. Jest odludkiem, samotnikiem, miejscowym pariasem, dupkiem, który przespał się z Mandy, podczas gdy w oddalonym o osiemdziesiąt kilometrów stawie rozkładały się zwłoki jego żony. Wychodzi z domu tylko po to, żeby przegonić wandalów ze swojego trawnika.

Jednak najwięcej modlitw zanoszę w intencji Sabine. Mam nadzieję, że wiedziała, jak bardzo jest kochana, i że cierpienia zadane jej przez Marcusa nie były zbyt długie. Że znalazła spokój, gdziekolwiek jest.

Wielebny kończy kazanie, a ja wymykam się z ławki. Zrobiłam to, po co tu przyszłam, i najwyższy czas się zbierać.

– Nie na każde pytanie znajdzie się odpowiedź – mówi, gdy wspinam się po schodach. – Nie na każdy problem znajdzie się rozwiązanie. Lecz jeśli tylko jesteśmy na to otwarci, dostaniemy łaskę wątpliwości.

Łaska wątpliwości.

Jego słowa sprawiają, że moje tenisówki przywierają do dywanu. Odwracam się. Głowa wielebnego jest odchylona do tyłu, a twarz ma skierowaną w moją stronę. Przechodzą mnie ciarki. Ciekawe, czy mnie poznaje, czy widzi moją twarz z tak daleka, gdy stoję na górnym schodku. Przyglądam się jego obliczu wyświetlanemu na obydwu ekranach i wydaje mi się, że chyba widzę w nim przebłysk zrozumienia.

Uśmiecha się i unosi dłonie po obu stronach ciała, rozpościerając je niczym skrzydła.

– Wątpliwość sprawia, że jesteśmy otwarci na niepewność, ale dzięki

niej możemy również doświadczyć chwały, radości i cudownego zdumienia. Otwiera nas na piękno nadziei. Nic nie jest pewne, nie wszystko zostało poznane, lecz to właśnie w chwilach naszej największej wątpliwości zdarzają się prawdziwe cuda.

Przez ostatnie cztery miesiące wylałam z siebie morze łez. Więcej, niż chciałabym pamiętać. Stoję tu jednak, na środku kościoła, i płacę. Po raz pierwszy nie wstydzę się swoich łez i nie ocieram ich rękawem. Pozwalam im płynąć, ponieważ to dobre łzy. Jeśli nie łzy *szczęścia*, to przynajmniej takie z rodzaju „wszystko będzie dobrze”. Mówię sobie w duchu, że wielebny ma rację. W wątpliwości jest pewna łaska i wiem, że wszystko będzie dobrze.

Na dole, na scenie, orkiestra zaczyna grać melodię, która ściga mnie aż na sam szczyt schodów, w drzwiach i gdy wychodzę na słoneczne, październikowe powietrze. Jesień sprawia, że Atlanta staje się o wiele przyjemniejszym miejscem. Powietrze jest rześkie, a niebo intensywnie niebieskie. Wystawiam buzię do słońca, pozwalając, by promienie ogrzały moją twarz. Może dlatego ludzie chodzą do kościoła, aby poczuć się lżejszym na duszy, wyzbyć się strachu i odzyskać spokój, choćby tylko na godzinę.

Patrzę na zegarek. Mam trzy godziny, zanim samolot zabierze mnie z powrotem do Pine Bluff, gdzie spakuję wszystkie rzeczy i wyjadę do... Wszystko jedno gdzie. Jeszcze nie postanowiłam. Jednak po wydarzeniach, które rozegrały się na dachu tamtego motelu, wiem, że muszę naprostować parę spraw, i właśnie od tego powinnam zacząć.

Wyjmuję telefon i wpisuję kciukiem numer, który wyryłam w pamięci na brzegu rzeki Chattahoochee. Może i jest złodziejką, ale kim jestem, żeby ją oceniać? Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że ludzie posuną się do wszystkiego, żeby tylko przetrwać.

Słyszę sygnał połączenia i rozpoznaję schrypnięty głos, w którym pobrzmiwa charakterystyczny hiszpański akcent, który tak bardzo stara się ukryć.

– Halo, Martina? To ja. Emma Durand.

Tytuł oryginału: *Dear Wife*

DEAR WIFE © 2019 by Kimberle S. Belle Books, LLC.
Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce © Christopher Rees/Arcangel

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-116-6

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl